



MAGGIE STIEFVATER

GRZESZNIK

WAL

Maggie Stiefvater

GRZESZNIK

przełożył Jakub Radziwiński



Tytuł oryginału: *Sinner*

Copyright © 2014 by Maggie Stiefvater. All rights reserved.

Published by arrangement with Scholastic Inc., 557 Broadway,
New York, NY 10012, USA

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Jakub Radzimiński,
MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Dedykacja

Motto

Nie sam koniec, ale tuż przed

Rozdział pierwszy. Cole

Rozdział drugi. Isabel

Rozdział trzeci. Isabel

Rozdział czwarty. Cole

Rozdział piąty. Isabel

Rozdział szósty. Cole

Rozdział siódmy. Isabel

Rozdział ósmy. Cole

Rozdział dziewiąty. Cole

Rozdział dziesiąty. Isabel

Rozdział jedenasty. Cole

Rozdział dwunasty. Isabel

Rozdział trzynasty. Cole

Rozdział czternasty. Isabel

Rozdział piętnasty. Cole

Rozdział szesnasty. Cole

Rozdział siedemnasty. Isabel

Rozdział osiemnasty. Cole

Rozdział dziewiętnasty. Isabel

Rozdział dwudziesty. Cole

Rozdział dwudziesty pierwszy. Isabel

Rozdział dwudziesty drugi. Cole

Rozdział dwudziesty trzeci. Cole

Rozdział dwudziesty czwarty. Isabel

Rozdział dwudziesty piąty. Cole

Rozdział dwudziesty szósty. Isabel

Rozdział dwudziesty siódmy. Cole

Rozdział dwudziesty ósmy. Isabel

Rozdział dwudziesty dziewiąty. Cole

Rozdział trzydziesty. Isabel

Rozdział trzydziesty pierwszy. Cole

Rozdział trzydziesty drugi. Isabel

Rozdział trzydziesty trzeci. Cole

Rozdział trzydziesty czwarty. Cole

Rozdział trzydziesty piąty. Isabel

Rozdział trzydziesty szósty. Cole

Rozdział trzydziesty siódmy. Isabel

Rozdział trzydziesty ósmy. Cole

Rozdział trzydziesty dziewiąty. Isabel

Rozdział czterdziesty. Cole

Rozdział czterdziesty pierwszy. Cole

Rozdział czterdziesty drugi. Isabel

Rozdział czterdziesty trzeci. Cole

Rozdział czterdziesty czwarty. Isabel

Rozdział czterdziesty piąty. Cole

Rozdział czterdziesty szósty. Isabel

Rozdział czterdziesty siódmy. Cole

Rozdział czterdziesty ósmy. Cole

Rozdział czterdziesty dziewiąty. Isabel

Rozdział pięćdziesiąty. Cole

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy. Cole

Rozdział pięćdziesiąty drugi. Isabel

Rozdział pięćdziesiąty trzeci. Cole

Epilog. Cole

Przypisy

*Książkę tę dedykuję czytelnikom, którzy zawsze mnie wspierają.
Wiecie, o kim mowa.*

W dół, w dół, w dół. Czy ten upadek *nigdy* się nie skończy?
Lewis Carroll, *Przygody Alicji w krainie czarów*¹

Tam, gdzie byłaś Ty, zieje teraz w świecie dziura, którą za dnia
nieustannie omijam i w którą w nocy nieustannie wpadam. Brakuje mi
Ciebie jak diabli.

Edna St. Vincent Millay, *Letters*²

Nie sam koniec, ale tuż przed

Jestem wilkołakiem w L.A.

Zapytałaś mnie, dlaczego to zrobiłem.

„Dlaczego co zrobiłem?”

„Wszystko, Cole. Wszystko”

Ech, zawsze lubiałaś przesadę. Wcale nie chodziło ci o wszystko.

Chodziło ci o ostatnie pięć tygodni. O podpalenie sklepu, w którym pracowałaś. O wykopanie z jedynej knajpy podającej sushi, którą lubiałaś. O rozciągnięcie twoich ulubionych legginsów, a potem podarcie ich podczas ucieczki przed glinami.

Chciałaś wiedzieć, dlaczego tu wróciłem.

To nie jest wszystko. Nawet jeśli teraz tym się wydaje.

„Wiem, dlaczego to zrobiłeś”

„Ach tak?”

„Zrobiłeś to tylko po to, żeby móc powiedzieć: jestem wilkołakiem w L.A.”

Zawsze powtarzasz, że robię różne rzeczy tylko dlatego, że dobrze by wyglądały w telewizji. Albo że mówię tylko to, co będzie później dobrze brzmiało jako tekst piosenki. Albo że robię coś, bo moim zdaniem dobrze wtedy wyglądam. Mówisz to wszystko, tak jakbym miał jakikolwiek wybór. Rzeczywistość wdziera się we mnie oczami, uszami, porami skóry; moje receptory zaczynają pulsować bez wytchnienia, neurony odpalają niczym artyleria, a kiedy wszystko to dociera w końcu do mojego mózgu i wychodzi ze mnie po drugiej stronie, jest zmienione, przeistoczone w inny gatunek, inne piksele, inne kanały. Błyszczące lub matowe. Nie mogę zmienić tego, jaki jestem. Jestem artystą, piosenkarzem, wilkołakiem, grzesznikiem.

To, że śpiewam dla tłumów, nie sprawia, że moje słowa nie są prawdziwe.

Jeśli to przeżyjemy, zdradzę ci prawdę. Powiem ci, dlaczego to robię. I lepiej, żebyś mi wtedy uwierzyła.

Wróciłem po ciebie, Isabel.

F 4 Live: *Dzisiaj rozmawiamy z młodym Cole'em St. Clairem, liderem NARKOTIKI. To jego pierwszy wywiad od... no, od bardzo dawna. Dwa lata temu padł twarzą na scenę podczas koncertu, a zaraz potem zaginął. Zapadł się pod ziemię. Policja przeszukiwała dna rzek, nastolatki płakały i budowały kapliczki. Sześć miesięcy później uderza informacja, że jest na odwyku. A potem znowu zniknął. Ale wygląda na to, że wkrótce usłyszymy nowe utwory ukochanego cudownego dziecka amerykańskiego rocka, bo właśnie podpisał kontrakt z Baby North.*

– Wolisz psy czy szczeniaki, Larry? – zapytałem, wyciągając szyję, aby wyrzeć przez przyciemnianą szybę.

Po lewej: śnieżnobiałe samochody. Po prawej: samochody czarne jak węgiel. Głównie mercedesy, ale też kilka audi. Promienie słońca odbijały się i skrzyły na maskach. Palmy wyrastały tu i ówdzie w nieregularnych odstępach. Dotarłem do celu. W końcu dotarłem do celu.

Kochałem Zachodnie Wybrzeże miłością typową dla kogoś ze Wschodniego. Było proste, czyste i nieskalane czymś tak nieprzyzwoitym jak prawda.

Mój kierowca spojrział na mnie w lusterku wstecznym. Jego powieki przypominały dwa namioty rozbite niedbale nad przekrwionymi oczami. Był przygnębiającym rezydentem garnituru, który cierpiał z konieczności okrywania go.

– Leon.

Komórka była urojonym słońcem przy moim uchu.

– „Leon” nie jest poprawną odpowiedzią na to pytanie.

– Tak się nazywam – odparł.

– Oczywiście, że tak – przytaknąłem serdecznie.

Gdy się nad tym zastanowić, rzeczywiście nie wyglądał jak Larry. Nie z tym zegarkiem. I nie z takimi ustami. Uznałem, że Leon nie pochodził z L.A. Zapewne przyszedł na świat w Wisconsin. Albo w Illinois.

– Psy. Szczeniaki.

Wypuścił powietrze z płuc, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Chyba szczeniaki.

Wszyscy zawsze wybierali szczeniaki.

– Dlaczego szczeniaki?

Przez chwilę Larry – nie, Leon! – szukał właściwych słów, tak jakby nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał.

– Chyba przyjemniej się je obserwuje. Są ciągle w ruchu.

Nie mogłem go za to winić. Sam bym wybrał szczeniaki.

– Jak sądzisz, Leonie, dlaczego z wiekiem powolnieją? – zapytałem. Przytknięty do ucha telefon był naprawdę bardzo rozgrzany.

– Mam na myśli psy,

Leon odpowiedział bez wahania:

– Męczą się życiem.

F ♪ Live: *Cole? Jesteś tam jeszcze?*

Cole St. Clair: *Tak jakby odpłynąłem podczas twojego wstępu.*

Właśnie pytałem swojego kierowcy, czy woli psy, czy szczeniaki.

F ♪ Live: *To był długi wstęp. I co wybrał?*

Cole St. Clair: *A ty co byś wybrał?*

F ♪ Live: *Chyba szczeniaki.*

Cole St. Clair: *Ha! Podwójne „ha”. Larry – Leon – się z tobą zgadza. Dlaczego wybrałeś szczeniaki?*

F ♪ Live: *Chyba dlatego, że są słodsze.*

Odsunąłem telefon od twarzy.

– Martin z *F Natural Live* też wybrał szczeniaki. Są słodsze.

Informacja ta jakoś specjalnie nie rozweseliła Leona.

Cole St. Clair: *Leon uważa, że zapewniają więcej rozrywki. Mają więcej energii.*

F ♪ Live: *Ale to jest też wyczerpujące, prawda? No, chyba że to jest czyjś inny szczeniak. Wtedy możesz się przyglądać, a bałagan jest problemem kogoś innego. Masz psa?*

Ja byłem psem. W Minnesocie mieszkałem razem ze sforą wyczulonych na zmiany temperatury wilkołaków. Należałem do tej watahy. W niektóre dni ten fakt sprawiał wrażenie ważniejszego niż wszystko inne. To była jedna z tych tajemnic, które znaczyły więcej dla

innych.

Cole St. Clair: *Nie. Nie, nie, nie.*

F 4 Live: Cztery „nie”. *Usłyszycie to tylko u nas, ludzie. Cole St. Clair zdecydowanie nie ma psa. Ale może wkrótce będzie miał album. Spójrzmy na to z odpowiedniej perspektywy. Pamiętajcie, kiedy to było hitem?*

Gdy wymawiał ostatnie słowa, zabrzmiały pierwsze takty jednego z naszych ostatnich singli, *Wait/Don't Wait*, czyste i żrące niczym kwas. Grali to wszędzie tak często, że dla mnie dawno już straciło resztki pierwotnego emocjonalnego wydźwięku. To był utwór mówiący o mnie napisany przez kogoś innego. Ale musiałem przyznać, że to był świetny kawałek kogoś innego. Ktokolwiek wymyślił tę linię basu, zdecydowanie wiedział, co robi.

– Możesz mówić – zwróciłem się do Leona. – Rozmowa jest tak jakby zawieszona. Puścili jedną z moich piosenek.

– Nic nie mówiłem – odparł Leon.

Oczywiście, że nie. Nasz dobry Leon był nieznośnie milczący za kierownicą tej wytwornej limuzyny z L.A.

– Wydawało mi się, że mi wyjaśniałeś, dlaczego prowadzisz ten samochód.

Słowa popłynęły wartkim strumieniem. Opowiedział mi całą historię swojego życia. Zaczęło się w Cincinnati, jeszcze jak był za młody, żeby prowadzić. A skończyło tu, w wynajętym cadillacu, kiedy był już za stary, żeby robić cokolwiek innego. Opowieść trwała trzydzieści sekund.

– Masz psa? – zapytałem.

– Zdechł.

Oczywiście, że zdechł. Ktoś za nami zatrąbił. Czarny wóz albo biały. I z całą pewnością mercedes albo audi. Byłem w Los Angeles od trzydziestu ośmiu minut, z których jedenaście staliśmy w korku. Słyszałem, że podobno w tym mieście są takie miejsca, których nie dotyczy opinia o wiecznie zakorkowanych ulicach, ale najwyraźniej było tak dlatego, że nikt nie chciał tam jeździć. Nie byłem najlepszy w siedzeniu bez ruchu.

Obróciłem się, żeby wyjrzeć przez tylną szybę.

W monochromatycznym morzu dostrzegłem stojące bez ruchu żółte lamborghini. Samochód jaśniał na tle kępy palm jak dziecięca zabawka. Obok niego stał volkswagen minibus w kolorze wody w basenie, za którego kierownicą siedziała kobieta z dredami. Obróciłem się z powrotem w stronę mojego kierowcy i opadłem na skórzaną tapicerkę. Przed nami promienie słoneczne odbijały się od dachów magazynów, terakotowych płytek i czterdziestu milionów par olbrzymich okularów słonecznych. Ech, to miasto. *To miasto!* Poczulem kolejną falę radości.

– Jesteś sławny? – zapytał Leon, gdy podjechaliśmy kawałek do przodu.

Moja piosenka wciąż brzmiała w słuchawce telefonu. Dźwięk był nieco stłumiony.

– Czy gdybym był sławny, musiałbyś mnie o to pytać?

Prawda jest taka, że sława była bardzo niestałą przyjaciółką. Nigdy jej nie było, kiedy człowiek jej potrzebował, gdy zaś chciało się od niej trochę odpocząć, nie odstępowała cię na krok. Dla Leona byłem nikim, za to dla co najmniej jednej osoby w promieniu kilku kilometrów – wszystkim.

W samochodzie obok nas jakiś chłopak w ray-banach zauważył, jak spoglądam przeciągle w stronę Kalifornii. Pokazał mi kciuki wyprostowane w geście aprobaty. Odwzajemniłem gest.

– Ten wywiad jest teraz w radiu? – zapytał Leon.

– Tak mi powiedzieli.

Leon zaczął skakać po stacjach. Przez chwilę słyszałem *Wait/Don't Wait*, ale on od razu przełączył dalej. Potrząsnąłem lekko jego fotelem. Zrozumiał i wrócił na poprzedni kanał.

– To jest to? – Nie wyglądał na przekonanego.

Mój głos dobiegał z głośników, nakłaniając słuchaczy do zdjęcia co najmniej jednej części ubrania i obiecując im – *przyrzekając* – że rano nie będą tego żalowali.

– Głos nie przypomina mojego?

Leon spojrział na mnie w lusterku wstecznym, tak jakby chciał wyczytać odpowiedź w mojej twarzy. Miał tak strasznie przekrwione oczy. Pomyślałem, że oto jest człowiek, który wszystko głęboko odczuwał. Trudno było mi sobie wyobrazić bycie tak smutnym jak on

w miejscu takim jak to. Chociaż ja, prawdę mówiąc, też kiedyś byłem tu smutny.

Ale tamten czas sprawiał wrażenie zamierzchłej przeszłości.

– Chyba przypomina.

W radiu wybrzmiały ostatnie takty utworu.

F ♪ Live: *No to macie, drodzy słuchacze. Przypominacie już sobie? Ach, te lata podrygiwania w rytm kawałków NARKOTIKI. Dobra, Cole. Jesteś tam czy też może przeprowadzasz kolejne badanie na temat psów?*

Cole St. Clair: *Rozważaliśmy kwestię sławy. Leon nigdy o mnie nie słyszał.*

Leon: *To nie twoja wina. Po prostu rzadko słucham w radiu czeokolwiek poza publicystyką i wywiadami. Czasem może trochę jazzu.*

F ♪ Live: *Czy to był Leon? Co powiedział?*

Cole St. Clair: *Woli jazz. Zorientowałbyś się, Martin, gdybyś go tylko zobaczył. Leon jest bardzo jazzowy.*

Rozprostowałem palce obu dłoni i pomachałem w stronę lusterka wstecznego w sposób, w jaki muzycy jazzowi zwykli machać do publiczności. Leon przyglądał mi się przez chwilę swoim zmęczonym, smutnym wzrokiem, po czym oderwał dłoń od dźwigni zmiany biegów i pomachał niemrawo w odpowiedzi.

F ♪ Live: *Wierzę ci na słowo. Który ze swoich albumów polecisz mu na początek?*

Cole St. Clair: *Tylko ten cover Spacebar, który nagraliśmy z Magdalene. Jest bardzo jazzowy.*

F ♪ Live: *Czyżby?*

Cole St. Clair: *Słysząc w nim saksofon.*

F ♪ Live: *Twoja dogłębna znajomość gatunków muzycznych mnie onieśmiela. Słuchaj, może byśmy tak przeszli do tego kontraktu z Baby North. Pracowałeś z nią już kiedyś?*

Cole St. Clair: *Zawsze...*

F ♪ Live: *Zastanawiam się, czy wszyscy nasi słuchacze wiedzą, kim jest Baby?*

Cole St. Clair: *Martin, bardzo niegrzecznie jest przerywać.*

F ♪ Live: *Wybacz, stary.*

Leon: *Ja wiem, kim ona jest.*

Cole St. Clair: *Serio? Znasz ją, ale mnie nie? Leon wie, kim ona jest.*

F ♪ Live: *Chłopak naprawdę zna się na jazzie. Czy zechciałby opisać ją reszcie słuchaczy w paru słowach? Oczywiście jeśli nie będzie wam z tego powodu groziła jakaś kraksa.*

Podąłem Leonowi telefon.

– Prawo tego stanu zabrania kierowcom trzymać telefon podczas jazdy – zaprotestował.

– Potrzy mam ci – zaoferowałem się.

Spodziewałem się, że odmówi, ale on wzruszył ramionami i nachylił głowę.

Przesunąłem się na tylnej kanapie za jego fotel i przytknąłem mu aparat do ucha. Miał jedną z tych fryzur, w których włosy wokół ucha przycina się dość krótko.

Leon: *To ta zwariowana kobieta, która prowadzi w telewizji program Sharp Teeth Dot Com, ale oni to jakoś dziwnie zapisują. Chyba z cyframi? Sharp t-trzy-trzy-t-h-dot-com? Nie pamiętam. Może są jedyńki zamiast liter t.*

F ♪ Live: *Oglądasz jej program?*

Leon: *Czasem, jak czekam na klienta, oglądam na ekranie telefonu. W zeszłym roku miała jeden taki, chyba z narkomanką z dzieckiem.*

F ♪ Live: *Kristin Bank. Dzięki temu programowi o sharpt33th.com usłyszało wiele nowych osób. Kto by pomyślał, że babka rodząca kolejne dzieciaki na odwyku przyciągnie tylu widzów, co? Podobało ci się?*

Leon: *Nie sądzę, żeby to był program, który może się podobać albo nie. Jego się po prostu ogląda.*

F ♪ Live: *Doskonale wiem, co masz na myśli. Dobra, daj z powrotem do słuchawki Cole'a. Zapewne się zastanawiasz, dlaczego zaprosiła go do swojego programu. Jak myślisz, Cole, co nią kierowało?*

Nie byłem głupi. Baby North zainteresowała się mną, ponieważ miałem wbudowaną widownię. Zaprosiła mnie, bo jestem przystojny

i umiem się uczesać lepiej od większości facetów. Pomyślała o mnie, bo przedawkowałem na scenie w klubie Josephine, po czym zniknąłem.

Cole St. Clair: *Och, pewnie dlatego, że gram wspaniałą muzykę. Jestem też niesamowicie uroczy. Na pewno dlatego.*

Leon uśmiechnął się niemrawo. Przed nami samochody zmieniały leniwie pasy, przywodząc na myśl tasowane karty. Jaskrawe promienie słońca odbijające się od lusterek i reflektorów raziły w oczy. Palmy rosnące wzdłuż autostrady były oddalone o kilka pasów. Wciąż trudno mi było uwierzyć, że dotarłem do Kalifornii, że właśnie na nią patrzyłem, choć nie mogłem jej jeszcze dotknąć. Wnętrze samochodu nadal sprawiało wrażenie znajdującego się jakieś dwa stany dalej.

F ♪ Live: *To brzmi przekonująco. Słynie z dobrego gustu muzycznego.*

Cole St. Clair: *Łapię. Nabijasz się ze mnie.*

F ♪ Live: *Szybki jesteś.*

Cole St. Clair: *A wiesz, że nikt nigdy tak do mnie nie powiedział?*

F ♪ Live: *Ha, ha! Łapię. Nabijasz się ze mnie.*

Obaj z Leonem roześmialiśmy się na głos.

Znałem Martina osobiście. Chociaż zawsze miał młodzieńczy głos, siedział w dziennikarstwie muzycznym dłużej, niż ja chodziłem po tym świecie. Pierwszy wywiad, jakiego mu udzieliłem, składał się z dwudziestu minut niesmacznych aluzji seksualnych. Potem spotkałem go twarzą w twarz i odkryłem, że mógłby być moim ojcem. Pytania, pytania: Jak śmie w wieku sześćdziesięciu lat mieć głos dwudziestolatka? Czy można było zrobić operację plastyczną strun głosowych? I jak bardzo go obraziłem? Na szczęście okazało się, że Martin był jednym z tych przyzwoitych starszych panów, których wciąż bawili nieprzyzwoici młodsi mężczyźni tacy jak ja.

F ♪ Live: *Ile ci zajmie napisanie piosenek i nagranie albumu? Niezbyt długo, prawda?*

Cole St. Clair: *Sądzę, że jakieś sześć tygodni.*

F ♪ Live: *Brzmi ambitnie.*

Hasło „ambicja” w Wikipedii zostało zilustrowane moim zdjęciem. Miałem już trochę materiału napisanego podczas samotnych dni

spędzonych w Minnesocie, ale dziwnie się czułem, usiłując coś sklecić w całkowitej próżni: bez zespołu czy choćby słuchaczy.

Wszystko się wykrystalizuje w studiu.

Cole St. Clair: *Mam wizję.*

F ♪ Live: *Jak sądzisz: zostaniesz w L.A.?*

Zostawanie gdziekolwiek nigdy nie szło mi zbyt dobrze. Ale w L.A. była Isabel Culpeper. Samo wspomnianie jej imienia było niebezpieczne i groziło wpadnięciem w obsesyjny ciąg myśli. Nie mogłem sobie pozwolić na zadzwonienie do niej, dopóki nie dotrę do domu. Dopóki nie obmyślę jakiegoś teatralnego sposobu zakomunikowania jej, że przyjechałem do Kalifornii.

Dopóki nie upewnię się, że moja obecność ją ucieszy.

Gdyby jej to nie ucieszyło, wtedy...

Przesunąłem dłonią po kratce nawiewu i zamknąłem dopływ zimnego powietrza. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem się zdecydowanie zbyt blisko wilka. Poczułem w brzuchu dobrze znane szarpnięcie, które zwiastowało rychłą przemianę.

Cole St. Clair: *To zależy. Od tego, czy L.A. mnie zechce.*

F ♪ Live: *Wszyscy cię pragną.*

Leon uniósł swój telefon ekranem do mnie, abym mógł zobaczyć, że właśnie kupił utwór *Spacebar* w wykonaniu NARKOTIKI (*feat. Magdalene*). Sprawiał wrażenie szczęśliwszego niż przy naszym pierwszym spotkaniu (kiedy był jeszcze Larrym). Za szybami samochodu upał robił się coraz bardziej nieznośny. Asfalt falował w oparach spalin. Od dobrej minuty nie przejechaliśmy nawet kawałka. Obserwowałem L.A. jak na ekranie telewizora.

Do tego, skoro już pozwoliłem sobie pomyśleć o Isabel, w mojej głowie nie było miejsca na nic innego. Samochód, wywiad, całą resztę. Tylko Isabel była rzeczywista. Była muzyką.

Cole St. Clair: *Wiecie co, Martinie i Leonie? Postanowiłem wysiąść z samochodu i przejść resztę drogi.*

Leon uniósł brwi zdziwiony.

– Po autostradzie nie wolno chodzić. Chyba nawet chodzenie po poboczu jest zabronione. Widziałeś, żeby ktokolwiek wysiadał z samochodu i po prostu szedł dalej?

Nie widziałem. Ale bardzo rzadko widywałem kogokolwiek robiącego to co ja. A kiedy kogoś takiego widziałem, zazwyczaj oznaczało to, że powinienem przestać.

„Isabel...”.

F 4 Live: *Zaraz, co Leon powiedział? Gdzie wy jesteście?*

Ale ja już wyrzuciłem wywiad z głowy. Zarejestrowanie pytań Martina wymagało wysiłku całej mojej woli.

Cole St. Clair: *Odradza mi wprowadzenie mojego planu w życie. Jesteśmy na 405. Będzie w porządku, jestem w dobrej formie. Nie uwierzyłbyś, jakie mięśnie można sobie wyrobić na odwyku. Leonie, idziesz ze mną?*

Zdażyłem już odpiąć pas. Sięgnąłem ręką w bok i przyciągnąłem do siebie swój plecak – jedyną rzecz, jaką zabrałem ze sobą z Minnesoty. Leon patrzył na mnie oczami rozszerzonymi ze zdziwienia. Nie potrafił ocenić, czy mówię poważnie, co było dość absurdalne, bo ja zawsze mówiłem poważnie.

Isabel. Zaledwie kilka kilometrów stąd.

Serce zaczynało mi robić fikołki w piersi. Wiedziałem, że powinienem je jakoś uspokoić, czekała mnie przecież jeszcze długa droga. Ale nie miałem pomysłu, jak to zrobić. Ten dzień poprzedzało tyle tygodni planowania i snucia marzeń...

F 4 Live: *Czy ty właśnie starasz się namówić Leona do porzucenia samochodu na międzystanowej?*

Cole St. Clair: *Staram się ocalić jego życie, zanim będzie za późno. Chodź ze mną, Leonie. Pójdziemy razem, zostawiając ten samochód za plecami. Znajdziemy gdzieś mrożony jogurt i uczynimy świat lepszym.*

Leon uniósł tylko dłoń w geście bezradności. Jeszcze parę chwil temu machał nią wesoło. Teraz mnie zawodził.

Leon: *Nie mogę. Ty również nie powinieneś. Teraz stoimy w korku, ale za kilka minut wszystko ruszy. Musisz tylko poczekać...*

Poklepałem go po ramieniu.

Cole St. Clair: *W porządku, wysiadam. Dzięki za wywiad, Martin.*

F 4 Live: *Czy Leon idzie z tobą?*

Cole St. Clair: *Nie wygląda na to. Może następnym razem.*

Przyjemnego słuchania, Leon. Jesteśmy rozliczeni, co nie? Dobra.

F 𐀀 Live: *Cole St. Clair, były frontman NARKOTIKI. Cała przyjemność jak zwykle po mojej stronie.*

Cole St. Clair: *Coś takiego już mi ktoś kiedyś powiedział.*

F 𐀀 Live: *Świat się cieszy, że wróciłeś, Cole.*

Cole St. Clair: *Teraz mi to mówi. Dobra, muszę kończyć.*

Rozłączyłem się i otworzyłem drzwi. Kierowca w samochodzie za nami nacisnął lekko klakson. Upał, o rany, ten upał. Był niczym uczucie. Zawładnął mną. W powietrzu unosił się zapach czterdziestu milionów samochodów i czterdziestu milionów kwiatów. Na wspomnienie wszystkiego, co kiedykolwiek robiłem w Kalifornii, i obietnicę tego, co mogłem teraz zrobić, poczułem nagły zastrzyk adrenaliny.

Ponieważ Leon gapił się na mnie żałośnie, nachyliłem się i zajrzałem do wnętrza samochodu.

– Nigdy nie jest za późno na zmianę – powiedziałem.

– Ja nie mogę się zmienić – odparł.

Wyglądał na zdruzgotanego tą konstatacją.

– Musisz kiedyś spróbować, Leon. Wybrać kierunek i po prostu ruszyć.

Zarzuciłem plecak na ramię, przeszedłem przed maską stojącego obok czarnego mercedesa i ruszyłem w stronę najbliższego zjazdu.

Ktoś za mną krzyknął:

– Niech żyje NARKOTIKA!

Posłałem całusa w stronę fana i przeskoczyłem nad betonową barierką.

Gdy moje stopy dotknęły ziemi, byłem już w Kalifornii.

W L.A. zawsze znajdowało się miejsce na kolejne potwory.

– Isabel, piękności. Czas się wziąć do pracy – powiedziała Sierra.

Tylko że ja już wzięłam się do pracy – podlewałam jej idiotyczne rośliny. Malutki sklepik .blush., z betonową posadzką, w którym Sierra (bez.nazwiska) sprzedawała swoje ubrania, zawsze zawierał więcej roślin niż ciuchów. Właścicielka kochała paprocie, palmy i orchidee, ale nigdy nie zdradzała najmniejszej chęci dbania o nie. Jej uzdolnienia koncentrowały się raczej na torturowaniu rzeczy martwych i nieożywionych. Takich, które nie wkurzały się, kiedy wbić w nie igłę. Takich, które można było powiesić bez łamania praw człowieka.

– Ja już się wzięłam do pracy – odparłam i wetknęłam pałeczkę nawozu w ziemię. – Zajmuję się utrzymywaniem twoich roślin przy życiu.

Sierra włożyła dwa zasuszone listki palmy w upięte włosy (o kilka odcieni bliższe bieli od mojej blond czupryny). Było jej z nimi do twarzy. W zasadzie z takim wyglądem byłoby jej do twarzy z czymkolwiek. Kiedyś była supermodelką, przy czym „kiedyś” znaczyło tu „w zeszłym roku”. Czyli jakieś siedem lat temu według rachuby psiej. Albo według rachuby Los Angeles.

– Rośliny do życia potrzebują tylko słońca, ślicznotko – stwierdziła.

– Sierra, czy rodzice mówili ci kiedykolwiek o czymś takim jak fotosynteza? To idzie tak: kiedy roślinka i słoneczko bardzo się kochają...

– Christina zaraz tu będzie – przerwała mi Sierra. – Proszę, Isabel. Nieskończone buziaki. Dzięki.

Ach, Christina. *Ta* Christina. Gdy była w odpowiednim nastroju, lubiła dużo wydawać. Lubiła też, jak się na nią czekało. Naprawdę wprost uwielbiała wiedzieć, że gdy tylko zechce, ktoś będzie na nią czekał. Nie chciała, żeby podążać za nią krok w krok. Nie pragnęła nieustannej uwagi. Nie oczekiwała, że ktoś jej pokaże i przytrzyma parę legginsów. Nie chciała być pytana, czy byłaby zainteresowana tym

samym modelem w innym kolorze. Chciała, żeby w chwili, gdy przybędzie do sklepu, czekało na nią kilka osób z personelu sklepu, aby mogła ostentacyjnie o nic ich nie poprosić.

Sierra kazała więc nam wszystkim usiąść na całych pięciu meblach będących na wyposażeniu sklepu i zająć się oglądaniem paznokci i pisaniem esemesów do chłopaków. Wszystkim blond potworzycom z grzywkami przyciętymi w ząbki, modnym bależem, oczami mrocznie podkreślonymi czarną kredką, ustami w kolorze gumy balonowej lub wiśni. Wszystkie byłyśmy równie całuśne co rozbity samolot.

Chociaż pracowałam tu dopiero od kilku tygodni, sprawdzałam się w nowej roli doskonale. To nie było tak, że pozostałe potwory Sierry kiepsko sobie radziły z eleganckim składaniem tunik albo poprawianiem ze znużoną miną bluzek na wieszakach. Chodziło o to, że sekretem sprzedawania ubrań Sierry było rozwalenie się na stołku niedaleko wejścia do sklepu i ostentacyjnie okazywanie, jak bardzo zupełnie nic cię nie obchodzi. Czyli pokazywanie potencjalnym klientkom, jak wyglądałyby w tych ubraniach, gdyby je kupiły i dalej gardziły wszystkim wokół.

Pozostałe potworzyce nie były w tym dość dobre, ponieważ zbyt wiele rzeczy je obchodziło.

Ja koncentrowałam się w życiu głównie na otwieraniu oczu rano, ruszaniu nogami i zjedzeniu dość, aby oczy mi się nie zamykały, a nogi nie przestawały się ruszać. To wystarczało. Gdy tylko dodawałam cokolwiek innego, wpadałam w złość. A kiedy wpadałam w złość, niszczyłam bardzo ładne rzeczy.

Christina weszła do sklepu. Tym razem włosy potraktowała karbownicą.

– Czy to nowa roślina? – zapytała Sierrę.

– Tak – odparła właścicielka sklepu. – Czy nie jest najbujniejsza z bujnych?

Christina dotknęła liścia starannie wymanikiurowanym paznokciem.

– Co to jest?

Sierra również dotknęła liścia, ale zrobiła to w taki sposób, jakby się zastanawiała, jak wyglądałby wpięty w jej włosy.

– Urocza.

W czasie gdy Christina rozglądała się po sklepie, ja leżałam brzuchem na stołku i wpisywałam na telefonie w wyszukiwarce grafiki Google'a nazwiska słynnych neurochirurgów. Miałam na sobie dwie głęboko wycięte prześwitujące bokserki Sierry, opuszczony nisko na biodra sizalowy pasek i moje ulubione legginsy. Z daleka lśniły się metalicznie wszystkimi kolorami tęczy. Dopiero z bliska można było zobaczyć, że były całe pokryte malutkimi czaszkami. Nie zaprojektowała ich Sierra, były raczej nie w jej stylu. Gdy się przestało podziwiać, jakie są ładne, człowiek konstatował, że tak naprawdę były nieco brzydkie.

Przestałam oglądać chirurgów i wpisałam „przyjacielskość definicja”. Moja matka, która nie miała żadnych przyjaciół, ciągle marudziła, że nie mam innych przyjaciółek niż Sofia (moja kuzynka) i Grace (która mieszkała w Minnesocie). Nie myliła się. Liczbę przyjaciół ograniczałam do minimum z różnych powodów. Po pierwsze, chodziłam tu do szkoły tylko przez ostatnie pięć miesięcy ostatniego roku liceum. Po drugie, okazało się, że po skończeniu szkoły dużo trudniej jest spotykać nowych ludzi. Po trzecie, większość dziewczyn pracujących w .blush. była ode mnie starsza. Miały swoje dwudziestokilkuletnie życia i problemy, a do tego to wszystko je obchodziło. Mnie zaś nic a nic.

No i poza tym nie byłam przyjacielska.

– Wszystko, co ona ma na sobie – powiedziała Christina.

Stała niedaleko, ale nie uniosłam wzroku. Po sposobie, w jaki wymówiła słowo „ona”, zgadywałam jednak, że mówi o mnie. Czułam się trochę tak jak w czasie, gdy w klasie były dwie Isabel. Nazywali nas Isabel C. i Isabel D., ale ja zawsze wiedziałam, którą z nas mają na myśli, zanim doszli do inicjału nazwiska.

Zerknęłam na chwilę w górę. Christina mierzyła mnie podejrzliwym wzrokiem. Pozostałe dziewczyny rozpełzły się po sklepie w poszukiwaniu podkoszulków i paska. Nie wiedziały, że gdyby ktoś chciał naprawdę uzyskać mój wygląd, do ciuchów musiałby dorzucić śmierć w rodzinie i zupełnie strzaskane serce. Basy muzyki dobiegającej z zawieszonych pod sufitem głośników pulsowały i szeptały do mnie. Zaczęłam zamykać okna aplikacji na telefonie. Wielu neurochirurgów

wyglądało bardzo dziwnie. Przyczyna czy skutek?

– Isabel – odezwała się Sierra. – Christina chce twoje legginsy.

Nie oderwałam wzroku od ekranu.

– Nie jestem zainteresowana.

– Isabel, skarbie. Ona chciałaby je kupić.

Zerknęłam ponownie na tę Christinę. Niektóre sławne osoby na co dzień nie wyglądały zbyt szczególnie. Kiedy nie obserwował ich obiektyw kamery lub aparatu, były mniej zadbane, czasem wręcz niższe. Ale Christina do nich nie należała. Nawet jeśli ktoś jej nie rozpoznał, dostrzegał od razu, że jest sławna. Bo wyglądała jak ktoś, kto ma coś do powiedzenia.

Taki sposób bycia może być bardzo onieśmielający – nawet w Los Angeles.

Po jej minie widziałam, że jest przyzwyczajona do tego, że inni jej ustępują.

Ja jednak wodziłam wzrokiem od wyczekującej szefowej do pięknej Christiny i z powrotem, myśląc sobie, że całowałam usta osoby sławniejszej od niej.

Wzruszyłam ramionami i zajęłam się ponownie telefonem. Wpisałam w wyszukiwarce „lobotomia czołowa”. Autokorekta poprawiła literówkę. Wyglądało na to, że nie można napisać „lobotomia” bez trzech „o”.

– Isabel.

Nie uniosłam wzroku.

– Czarne legginsy Artemis dają z grubsza ten sam efekt.

Kiedy żadna z nich nawet nie drgnęła, uniosłam niedbale dłoń i machnęłam w stronę wieszaków z kolekcją Artemis.

Piętnaście minut później Christina odebrała siatkę z dwiema bokserkami, sizalowym paskiem i dwiema parami legginsów Artemis w cenie wycięcia migdałków (w promocji).

Kiedy już wyszła ze sklepu, Sierra zwróciła się do mnie:

– Ale z ciebie suka.

Aby podkreślić swoje słowa, klepnęła mnie czule w tyłek.

Nie lubiłam, jak ludzie mnie dotykali.

Wstałam, odepchnęłam stołek i ruszyłam w stronę zaplecza.

– Idę posiedzieć z orchideami.

– Zasłużyłaś sobie na to.

Tak naprawdę zasłużyłam na medal za okazywanie ogólnego braku zainteresowania czymkolwiek. Czułam się, jakby wyglądanie na odpowiednio zblazowaną pochłonęło całą moją energię.

Gdy odsunęłam płócienną zasłonkę oddzielającą sklep od zaplecza, usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Jeśli to Christina wróciła spróbować jednak mnie namówić do sprzedania jej moich legginsów, będę zmuszona zacząć krzyczeć. A nie lubiłam krzyczeć.

Ale to nie jej głos usłyszałam zza pleców.

Głos był zdecydowanie inny, bardzo znajomy.

– Nie, nie. Szukam czegoś bardzo konkretnego. A, nieważne, właśnie to znalazłem.

Obróciłam się.

Cole St. Clair uśmiechnął się do mnie leniwie.

Zaczęło mnie obchodzić tyle rzeczy jednocześnie, że poczułam wręcz fizyczny ból.

Nie potrafiłam w pełni pojąć znaczenia tej chwili. Po pierwsze dlatego, że Cole St. Clair był zupełnie jak ta Christina – przede wszystkim wyglądał na kogoś sławnego, nieprawdziwego i nie do końca obecnego. Między nim a otoczeniem zawsze wyczuwało się pewien dysonans, tak jakby był gładką i elegancką projekcją z oddali.

Po drugie, Cole był wilkiem.

Nie mogłam się zdecydować, czy jego widok mnie ucieszył, czy przestraszył. Widziałam go leżącego na podłodze ze strzykawką w żyłę. Widziałam go przemieniającego się w wilka. Widziałam go błagającego mnie o pomoc w popełnieniu samobójstwa.

Co więcej: on widział mnie płaczącą. Nie wiedziałam, czy mogłabym żyć z tą świadomością.

„Dlaczego tu jesteś? Czy jesteś tu z mojego powodu?”

– Hejka – powiedział.

Na twarzy Cole’a wciąż tkwił ten leniwy, luzacki uśmieszek. Miał najlepszy uśmiech na świecie, co powtarzało mu mnóstwo ludzi. Świadomość uroku tego uśmiechu powinna była zmniejszyć jego skuteczność, ale właśnie ta swobodna arogancja była jego częścią.

Ja jednak zostałam zaszczepiona na to kilka miesięcy temu i od tego czasu tylko zwiększałam swoją odporność. Teraz byłam już całkowicie odporna.

Staliśmy pół metra od siebie. Rozdzielało nas wszystko to, co razem przeżyliśmy. Wszystko inne ciągnęło nas ku sobie.

– Mogłeś zadzwonić – wypaliłam głupio.

Uśmiechnął się szerzej i wskazał na siebie teatralnym gestem, niemal przewracając stojak z cienkimi koszulami.

– To by zepsuło efekt.

Gdy on tu był, cały sklep wyglądał inaczej. Tak jakby wciągnął ze sobą przez drzwi południowe słońce.

– Jaki niby efekt? – zapytałam.

– Ta-da.

Usilnie próbował utrzymać na twarzy swój uśmiech à la Cole St. Clair zamiast prawdziwego. Za każdym razem, kiedy ten drugi prawie się przebijał na powierzchnię, moje serce zaczynało bić szybciej.

Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że mamy publiczność. Co prawda dziewczyny nie gapiły się ostentacyjnie (starały się być uprzejme), ale obserwowały nas z lekkim zaciekawieniem. Wolałam odbyć tę rozmowę na chodniku przed sklepem albo w uliczce na jego tyłach. Chciałam chociaż móc spojrzeć na swoje dłonie i sprawdzić, czy naprawdę drżą tak bardzo, jak mi się wydawało. Nie mogłam się jednak zdecydować na żadne działanie.

Sprawa wyglądała bowiem tak, że byłam obecnie zakochana w Cole’u.

Albo kiedyś byłam. Albo kiedyś będę. Nie widziałam większej różnicy.

Ale nie wiedziałam, czy przyjechał do L.A. dla mnie. A jeśli tak nie było, nie zniosłabym tej świadomości. Tak właściwie nie było najmniejszej szansy, żeby przebył całą drogę z Minnesoty z mojego powodu. Zapewne tylko wpadł się przywitać, bo się tu właśnie przeprowadził w związku z czymś zupełnie innym. To dlatego nie zadzwonił mnie uprzedzić.

– Idziemy – warknęłam. – Na tyły. Masz czas?

Szedł za mną nieśpiesznie, tak jakby czasu miał akurat pod dostatkiem. Gdy wchodziliśmy na zaplecze, spojrzał na Sierrę z uniesionymi brwiami, tak jakby chciał jej pokazać, że jest przyzwyczajony do takiego mojego tonu.

Czy to się działo naprawdę?

Poprowadziłam go między pudłami z nowo narodzonymi legginsami i nienarodzonymi tunikami we wszystkich możliwych odcieniach khaki aż na pomalowaną na niebiesko uliczkę na tyłach sklepu. Niedaleko stał pojemnik na śmieci, który jednak nie śmierdział – wypełniały go kartonowe opakowania i martwe rośliny. Obok stał stary garbus Sierry, ale nie jeździł – też był pełen kartonowych opakowań i martwych roślin.

Prowadząc Cole’a w stronę samochodu, odbyłam ze sobą poważną

rozmowę i przedstawiłam wszystkie możliwe powody, dla których jego obecność nic nie zmieniała, nic nie znaczyła i w ogóle nie była niczym ważnym. Niczym, niczym.

Obróciłam się i otworzyłam usta, aby powiedzieć coś innego, żeby zbesztać go za niezadzwonienie przed pojawieniem się w Kalifornii, w moim miejscu pracy, w moim życiu.

Ale wtedy on objął mnie i przyciągnął do siebie.

Oddech zamarł mi w piersi, tak jakby Cole zasłonił mi usta dłonią. Nie odwzajemniłam od razu uścisku, ponieważ miałam za mało informacji, aby wiedzieć, *jak* mam go uścisnąć.

Pachniał dziwnym mydłem w płynie z łazienki na lotnisku i sprawiał wrażenie dziury, w którą miło byłoby wpaść.

Cofnął się. Na jego twarzy nie mogłam znaleźć żadnej wskazówki, żeby odgadnąć, co się właściwie dzieje.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałam.

– Cześć, ciebie też miło widzieć – odparł.

– *Cześć* mówi się wtedy, kiedy się do kogoś najpierw zadzwoni.

Spląnęło to po nim jak woda po kacze.

– Nie dzwoni się do kogoś przed „ta-da”.

– Może ja nie lubię „ta-da”.

Szczerze mówiąc, nie miałam zielonego pojęcia, co właściwie lubiłam. Wiedziałam tylko tyle, że serce biło mi tak szybko, że aż mi palce u dłoni zdrętwiały. To było logiczne – wiedziałam, że to tylko reakcja związana z zaskoczeniem. Ale nie wiedziałam, czy to było zaskoczenie w rodzaju „niespodzianka, oto twój tort urodzinowy”, czy też raczej „niespodzianka, właśnie miałeś zawał”.

Powoli jednak uśmiech Cole’a zamierał. Oczy przybierały nieobecny wyraz, co mu się zdarzało, kiedy ktoś go zranił. Prawdziwy Cole poddał się, opuścił swoje ciało i stanął obok.

Może to było okrutne, ale mnie cieszyło, tak jak wcześniej cieszyło mnie dostrzeżenie przez chwilę jego prawdziwego uśmiechu. Ponieważ reakcja ta była prawdziwa, nieudawana. Bo to znaczyło, że naprawdę obchodziła go moja reakcja na jego widok. Uśmiechowi nie mogłam zaufać, ale bólowi tak – doskonale wiedziałam, jak wygląda ten prawdziwy.

– Słuchaj – powiedziałam – nie możesz się tak po prostu pojawić i oczekiwać, że będę krzyczeć i chichotać. Ja taka nie jestem. Nie rób więc smutnej miny, że się tak nie zachowałam.

Jego twarz ponownie zaczęła wyrażać emocje. Tym razem były z niej głód i niecierpliwość.

– Chodź gdzieś ze mną. Pójdźmy gdzieś. Jest tu w okolicy jakaś ciekawa miejscówka? Chodźmy tam.

– Muszę zostać w pracy do szóstej.

Szóstej? A może siódmej? W tej chwili nie potrafiłam sobie nawet przypomnieć, o której kończyłam. Gdzie my w ogóle byliśmy? A, uliczka na tyłach .blush. Wiejący od oceanu wiatr muskał moją skórę, siedzący na drucie telefonicznym błyszczak śpiewał sennie, suchy liść palmowy opadał powoli na beton. To było rzeczywiste. To się działo naprawdę.

Cole przestępował z nogi na nogę. Już prawie zapomniałam, że przestawał się ruszać tylko wtedy, kiedy sprawy przybierały zły obrót.

– Jaki będzie następny posiłek? Lunch? Obiad? Kolacja? Tak. Zapraszam cię na kolację.

– Na kolację? – Aż do teraz moje plany na resztę dnia obejmowały przedarcie się z powrotem do Glendale, do Domu Rozwodów i Separacji na wieczór wypełniony estrogenem oraz śmiechem niczym nieróżniącym się od łez i *vice versa*. – A potem?

Chwycił moją rękę.

– Deser. Seks. Życie.

Pocałował mnie w wierzch dłoni. To nie był przyjacielski całus. Skóra ściągnęła mi się od nagłego przyływu dzikiego pożądania. Jego *usta*.

Miałam wrażenie, że naprawdę mam zawał.

– Cole, przestań, zaczekaj. – Nigdy dobrze nie rozumiał idei przestawiania i czekania. – Cole.

Czułam się tak, jakbym mogła utonąć w tej błękitnej uliczce.

– Co?

Zacząłam ponownie mówić „przestań”, ale nie to chciałam powiedzieć. Zamiast tego wypaliłam:

– Daj mi chwilę. Boże!

Puścił moją dłoń, a ja się tylko w niego wpatrywałam. To był zdecydowanie Cole St. Clair: wyraźnie zarysowana szczęka, lśniące zielone oczy, zmierzwione ciemnobrązowe włosy. Jego uśmiech zyskałby sławę nawet bez NARKOTIKI. Widać było, że lubi, jak się w niego wpatruję. Widziałam wyraźnie, że podoba mu się wszystko, co się teraz dzieje. Od początku zamierzał mnie zaskoczyć, zmusić do reakcji.

Do głowy napłynęły mi w równych dawkach nadzieja i przerażenie.

– Dlaczego tu jesteś?

– Dla ciebie.

To była doskonała odpowiedź udzielona w niedoskonały sposób. Powiedział to tak szybko. Tak po prostu: *dla ciebie*. Tak łatwo było powiedzieć te dwa krótkie słowa. Chciałam, żeby powiedział to jeszcze raz. Żebym za tym drugim razem miała szansę coś *poczuć*.

Dla ciebie.

Dla *mnie*.

– Dobra – powiedziałam. Czułam uśmiech usiłujący pojawić się na mojej twarzy. Szybko go ukryłam. Nie było mowy, żeby dostał ode mnie ten uśmiech, przecież nie zadzwonił wcześniej. – Kolacja. Przyjedziesz po mnie?

Cole roześmiał się śmiechem tak nieskazitelnie radosnym, że aż nierealnym.

– Właśnie to zrobiłem.

Jeśli wierzyć zegarkowi w taksówce, byłem strasznie spóźniony na spotkanie z Baby North.

Spóźniałstwo nie załapało się na jedną z moich licznych wad i w zwykłych okolicznościach czułbym się z tym źle. W tej jednak chwili nic nie mogło popsuć mi humoru. W głowie mi szumiało od przyjemnego poruszenia wywołanego ostrym konturem ust Isabel.

Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, ja dopiero co ocalałem swoje życie, zostając wilkołakiem, a jej brat umarł, próbując przestać nim być. Isabel była jedyną osobą w całym Mercy Falls ostrzejszą ode mnie.

Ona jedna naprawdę mnie знаła.

Słońce świeciło niezwykle jasno, tysiącrotnie jaśniej niż ten mizerny błądy dysk widywany zwykle nad Minnesotą. Wszystko wokół pokrywały beton, sztuczna trawa i palmy.

– Może pan powtórzyć nazwę ulicy? – poprosił taksówkarz.

Miał na głowie kapelusz pochodzący z miejsca, które zdecydowanie nie było Los Angeles. Wyglądał na zmęczonego.

– Ocean Front Walk – odparłem. – W Venice. Jeśli są dwie. Pewnie nie. Gdyby jednak były.

– To deptak, nie ulica – zauważył. – Prowadzi wzdłuż plaży. Musi pan wysiąść wcześniej i dalej pójść o własnych siłach.

Nie wiedziałem, czy to wynikało z tego, że dawno mnie nie było na Zachodnim Wybrzeżu, czy też z tego, że przez długi czas nie ruszałem się nigdzie poza Minnesotę, ale Kalifornia nieustannie mnie zaskakiwała. Gdy zbliżaliśmy się do domu Baby North, okolica wydała mi się dziwnie znajoma, jakbym widział ją już wcześniej we śnie lub w jakimś filmie. Nazwy ulic – Mulholland Drive czy Wilshire Boulevard – i nazwy wymalowane na znakach przy drodze – Hollywood Hills, Cheviot, Beverly Hills – przywoływały wspomnienia blond włosów, czerwonych samochodów, drzew palmowych i nigdy niekończącego się lata.

Isabel...

Los Angeles. Gdy byłem tu za pierwszym razem, niepozberany młodociany jankeski uzurpator, zrobiłem zdjęcie tabliczki z nazwą

Hollywood Boulevard i wysłałem do matki z podpisem: „Wiesz co, jestem sławny”.

Teraz naprawdę byłem sławny, chociaż nie wysłałem już wiadomości do matki.

„Wróciłem”.

Czułem się tu doskonale. Trochę tak, jakbym był dotąd nieszczęśliwy, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie przestałem. Wydawało mi się, że w Minnesocie było w porządku. Nudno, samotnie, w porządku.

„Kalifornia, Kalifornia, Kalifornia”.

Wciąż czułem obecność Isabel w moich ramionach. Była niczym słońce przedzierające się przez powieki i zapach oceanu w ustach, gdy zasysałem powietrze przez zęby. Już kiedyś byłem w tym miejscu.

Tym razem będzie inaczej.

Zadzwoiłem do mojego kumpla Sama z Minnesoty. Zaskoczył mnie, odbierając od razu – nie znosił rozmawiania przez telefon, ponieważ nie widział wtedy twarzy rozmówcy.

– Jestem na miejscu – powiedziałem, skrobiąc naklejkę korporacji taksówkarskiej przytwierdzoną do szyby w drzwiach. Kierowca również do kogoś zadzwonił i teraz rozmawiał z tym kimś przyciszonym głosem w jakimś obcym języku. – Twarz mam rozluźnioną, minę zadowoloną, kąciki ust uniesione ku górze.

Sam się nie roześmiał. Był całkowicie odporny na mój urok.

– Widziałeś już miejsce, w którym się zatrzymasz? Jest w porządku?

– Wszystko ze mną dobrze, mamusiu – odparłem. – Nie, jeszcze nie widziałem. Teraz jadę na spotkanie z Baby.

– Miałem tej nocy koszmarny sen na twój temat. Biegałeś po Los Angeles i ugryzłeś jakieś dwadzieścia osób, aby również tam mieć watahę wilków.

Jest taki stary przesąd, że kiedy ktoś każe ci nie myśleć o konkretnej rzeczy, nie ma bata, żeby właśnie o tym nie pomyśleć. W rezultacie Sam zmusił moje myśli do rozważenia koncepcji obecności więcej niż jednego wilkołaka w Los Angeles. Powinienem pomyśleć o tym już wcześniej, ale jakoś się nie złożyło. Nie była to całkowicie

nieromantyczna wizja.

Wilki pędzące Sunset Boulevard o zmroku.

– Dwadzieścia – zachnąłem się. – Nigdy bym nie ugryzł parzystej liczby ludzi.

– Kiedy ci powiedziałem, że to bardzo zły pomysł, odparłeś, że nie chciałeś być tam sam.

To brzmiało jak coś, co rzeczywiście mógłbym powiedzieć, ale na pewno nie zamierzałem szlajać się po mieście i gryźć sobie nowych przyjaciół. Podczas gdy ja przybierałem wilczą postać na zaledwie kilka minut, aby szybko powrócić do ludzkiego ciała, większość ludzi spędzała w wilczej skórze całe miesiące. Zresztą dokładnie to stało się w Minnesocie. W ten sposób zostałem sam z Samem i Grace. I wtedy oni zdecydowali się pójść dokąd? Do college'u. Na letnie zajęcia. W Duluth. Kto w ogóle robił coś takiego?

– Najgorsze w tym wszystkim było to – ciągnął Sam – że budzik miałem nastawiony na radio i obudziła mnie twoja durna piosenka *Villain*.

– Cóż za cudowną stację udało ci się złapać. – Taksówka zwalniała. – Muszę lecieć. Czeka na mnie przyszłość, cała w kwiatach i owocach.

– Czekaj... – powiedział śpiesznie Sam. – Widziałeś się już z Isabel?

Moje palce wciąż czuły jej kształt.

– *Da*. Obejmowaliśmy się. Anioły nam zaśpiewały, Sam. Te grubawe. Cheruby. Cherubiny. Muszę lecieć.

– Nie gryź ludzi.

Rozłączyłem się. Taksówkarz zaciągnął ręczny.

– Dalej na piechotę.

Otworzyłem drzwi i wręczyłem mu kilka banknotów.

– Chcesz się przejść ze mną?

Tylko mnie zgromił wzrokiem.

Wysiadłem na chodnik. Właśnie zarzucałem plecak na ramię, kiedy minęła mnie w pełnym pędzie grupka młokosów na deskorolkach. Jeden z nich krzyknął do mnie:

– Dajemy czadu!

Pozostali roześmiali się radośnie.

Na ustach wciąż czułem smak perfum Isabel.

Słońce prażyło niemiłosiernie. Mój cień był tylko niewielką plamką przy stopach. Nie wiedziałem, jak zdołam wytrwać we własnej głowie aż do kolacji.

wait/don't wait

Baby North mieszkała w domu na plaży w Venice wyglądającym, jakby został wybudowany przez przedszkolaka, który przedawkował kofeinę. Stanowił zestaw różnokształtnych klocków w jaskrawych kolorach ustawionych jeden na drugim i obok siebie, połączonych betonowymi schodami i metalowymi balkonikami. Front wychodził na ciągnącą się w obie strony zapelnioną turystami plażę i błękitny ocean, który aż się prosił, aby go dotknąć. Lokum było weselsze, niż się spodziewałem.

Ludzie bali się Baby North. Zapewne dlatego, że niszczyła rodziny. To znaczy zniszczyła życie ostatnich siedmiu osób, które zaprosiła do telewizji. Był to jej swoisty znak rozpoznawczy. Znaleźć jakiś wrak, posadzić przed kamerą w studiu telewizyjnym i rzucić gruby plik banknotów ponad krajobrazem zniszczenia.

Każdy, kto podpisywał z nią kontrakt, sądził, że to właśnie jemu uda się uciec bez szwanku na godności i poczytalności. Wszyscy – co do jednego – się mylili.

Nikt zdawał się nie wiedzieć, że to wszystko było na pokaz.

Wspiąłem się po betonowych schodach. Gdy zapukałem w drzwi, ustąpiły i stanęły otworem. Nie było najmniejszego sensu wołać gospodyni. Muzyka grała tak głośno, że nie mogłem być pewien niczego poza najwyższymi skrzekami wokalu i najgorszymi basami perkusji. Śpiewała jakaś dziewczyna o głosie młodego talentu z Disney Channel.

Gdy wszedłem do środka, klimatyzacja uderzyła mnie jak obuchem. Poczulem, jak wszystkie moje nerwy naprężają się i poważnie rozważają właściwy kształt ciała i gatunek.

Czułem, że wydarzy się tu coś ważnego.

Minęło już bardzo dużo czasu, odkąd ostatni raz byłem wilkiem. Za każdym razem moje ciało potrzebowało naprawdę silnych bodźców, aby się przemienić. Nagłego spadku temperatury, intrygującej mieszanki

chemikaliów, przekonującego kopniaka w podwzgórze. Różnica temperatur, jakiej właśnie doświadczyłem, nie była wystarczająca do zainicjowania przemiany, ale była dość silna, aby wzbudzić w moim ciele kuszące wspomnienie wilczej postaci.

„Wilkołak, wilkołak”.

To byłaby niezła piosenka.

Sufit znajdował się bardzo wysoko nad betonową posadzką. Właściwie był to już dach, pod którym umieszczono wszystkie możliwe przewody. W pomieszczeniu znajdowały się cztery meble. Na środku stała Baby North z głową pochyloną nad iPadem. Rozpoznałem ją bardziej dzięki zdjęciom z blogów z plotkami niż naszemu krótkiemu spotkaniu przed laty. Brązowe włosy zwisały nad głęboko osadzonymi oczami długą, gęstą grzywką, nadając jej wygląd modelki z lat siedemdziesiątych minionego wieku. Miała na sobie legginsy frotté i jakąś ni to luźną koszulę, ni to tunikę z płótna czy czego tam się używa do szycia habitów. Była niska i ładna, lecz w dziwny, niepokojący sposób – miła dla oka, ale niezachęcająca do dotykania. Nie miałem zielonego pojęcia, ile może mieć lat.

Wskazałem jeden z zawieszonych pod sufitem głośników. Piosenkarka szczebiotała, że wszyscy powinniśmy do niej zadzwonić i coś zrobić, zanim będzie za późno. Kawalek niemiłosiernie wpadał w ucho.

– Wiesz, że od czegoś takiego ludzie ślepną, prawda? – krzyknąłem.

Baby odwróciła się do mnie z olbrzymim, szczerym, pochłaniającym światy uśmiechem. Dotknęła czegoś na ekranie iPada i muzyka umilkła jak nożem uciął.

– Cole St. Clair – powiedziała.

Chociaż byłem przekonany, że mnie nie złamie, poczułem lekkie ukłucie. Było coś w sposobie, w jaki wymówiła moje nazwisko. Tak jakby to, że stoję w jej domu, było w pewnej mierze jej triumfem.

– Przepraszam za spóźnienie.

Przycisnęła w zachwycie obie dłonie do piersi.

– Mój Boże, twój *głos*.

W recenzji ostatniego albumu NARKOTIKI ten efekt został

opisany następująco:

Tytułowy utwór z albumu *Either One/Or the Other* zaczyna się dwudziestosekundową recytacją. Chłopcy z NARKOTIKI są w pełni świadomi, że nawet bez energicznej perkusji Victora Baranova i natchnionych riffów na basie Jeremy'ego Shutta sam głos Cole'a St. Claira pchnąłby słuchających w objęcia ekstatycznej śmierci.

– To był najlepszy pomysł, jaki mi kiedykolwiek przyszedł do głowy – oznajmiła Baby.

Serce zabiło mi mocniej tylko na chwilę, jak silnik podczas rozruchu. Minął szmat czasu, odkąd byłem w trasie koncertowej, odkąd pokazywałem się publicznie jako muzyk. Teraz, wsłuchując się w swój przyśpieszony puls, nie potrafiłem pojąć, jak mogłem w ogóle myśleć o porzuceniu tego na dobre. To dawało mi cel, siłę, pchało mnie naprzód. Przez rok trwałem w zastoju, a teraz ponownie czułem twardy grunt pod nogami.

Nie byłem nieudacznikiem.

Isabel zgodziła się pójść ze mną na kolację.

Zostałem rozłożony na kawałki i złożony ponownie. I ta nowa wersja mnie była niezniszczalna.

Baby odłożyła tablet na jeden z czterech mebli w pomieszczeniu – brzoszową otomanę, która wyglądała trochę jak jakiś zwierzak czy coś – i obeszła mnie z dłońmi wciąż przyciśniętymi do mostka. Widziałem już takie zachowanie. W ten sposób faceci obchodzili samochód na parkingu komis. Ściągnięcie mnie tutaj wymagało od niej zauważalnego wysiłku i teraz chciała się przekonać, czy było warto.

Odczekałem, aż wykona pełne koło.

– Zadowolona? – zapytałem.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś. Byłeś martwy.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. Nie w moim prawdziwym uśmiechu, lecz tym z NARKOTIKI. Jeden przebiegły kącik ust uniósł się wyżej od drugiego.

Wszystko zaczynało do mnie wracać.

– Ten *uśmiech* – skostatowała Baby, po czym powtórzyła: – To był najlepszy pomysł, jaki mi kiedykolwiek przyszedł do głowy.

Widziałeś już swój nowy dom?

Oczywiście, że nie. Byłem zbyt zajęty nawiedzaniem Isabel w Santa Monica.

– Cóż, wkrótce go zobaczysz. Reszta zespołu wprowadza się jutro. Chcesz coś do picia?

Chciałem ją zapytać o muzyków, których dla mnie wyszukała, ale uznałem, że mogłaby odnieść wrażenie, że mam tremę.

– Masz colę?

Kuchnia była duża i raczej minimalistyczna. Zupełnie nie przypominała kuchni w zwykłych domach. Nie sprawiała nawet wrażenia, żeby korzystał z niej jakikolwiek człowiek. Szafki były zbite z cienkich listewek z jakiegoś bladego drewna. Po powierzchni ścian biegły pionowo plastikowe rury. Lodówka wyglądała dziwacznie, tak jakby pierwotnie miała być dystrybutorem jakiegoś popularnego napoju. Nie trzeba mi było więcej wskazówek – Baby mieszkała tu sama.

Podawała mi colę w szklanej butelce, zadowolająco chłodnej jeszcze przed otwarciem. Baby przyglądała mi się, jak odchyłam głowę z szyjką butelki przytkniętą do ust, i dopiero po chwili upiła łyk ze swojej. Cały czas mnie oceniała. Przyglądała się mojej szyi, moim dłoniom.

Sądziła, że mnie poznała.

– Och, mam... – Otworzyła szufladę małym palcem i wyjęła z niej notes. Jeden z tych malutkich, mieszczących się w dłoni, wymuszających zwięzłość notatek. – Coś takiego chciałeś?

Ucieszyłem się, że o tym pamiętała, ale gdy odbierałem od niej notes i chowałem do tylnej kieszeni spodni, jedynie skinąłem chłodno głową.

– Słuchaj, dzieciaku – powiedziała – to będzie trudne.

Brwi mi drgnęły na słowo „dzieciaku”.

– Chcę, żebyś wiedział – ciągnęła – że jak tylko będziesz czegoś potrzebował, możesz walić do mnie jak w dym. Jeśli przestaniesz sobie radzić z presją, wystarczy telefon. Albo możesz po prostu przyjść do mnie, nie ma problemu. Twój dom jest tylko kilometr stąd. Jej troska sprawiała wrażenie szczerzej, co mnie zaskoczyło. Po tym, jak zachowywała się w pracy, oczekiwałem raczej potwora pożerającego niemowlaki.

– Jasne – odparłem. – Już mi to mówiłaś. Spójrz, nawet już sobie zapisałem twój numer.

Pokazałem jej ekran telefonu, aby mogła zobaczyć swój numer. W polu na nazwisko widniał napis „Załamania nerwowe/śmierć”.

Baby roześmiała się na głos z prawdziwym zachwytem.

– Ale ja mówię poważnie. Zdziwiłbyś się, jak kamery potrafią wpłynąć na ludzi – dodała. – To znaczy oczywiście nie będą w ciebie wycelowane cały czas, głównie tylko na potrzeby nagrywania odcinków. Trochę nagrań ciebie i zespołu w domu. Ogólnie możesz im mówić, gdzie i kiedy mają kręcić. Ale wiesz, widzowie potrafią być dość okrutni, a z twoją historią...

Posłałem jej tylko kolejny uśmiech à la NARKOTIKA. Widziałem go, wiedziałem, jak wygląda. Widniał w czasopismach, na blogach, w książeczkach dodawanych do płyt, a także w niezmiennie czułym spojrzeniu lustra. Słyszałem, że zmarszczenie brwi angażuje więcej mięśni niż uśmiech. Byłem pewien, że w wypadku tego mojego grymasu jest to prawda. To było tak naprawdę tylko lekkie drgnięcie ust i zmrużenie oczu. Bez słów przekazywałem drugiej osobie, że nie tylko całkowicie ją rozgryzłem, ale także rozgryzłem *to*, gdzie „to” oznaczało cały świat.

Sięgałem po ten uśmiech głównie wtedy, kiedy nie przychodziło mi do głowy nic mądrego do powiedzenia.

– Dla innych to było nieco przytłaczające – przyznała Baby, tak jakbyśmy oboje nie znali losu jej poprzednich ofiar. – Zwłaszcza dla tych, którzy mieli... no, problemy z pewnymi substancjami.

Nie przestawałem się uśmiechać. Dopilem colę i oddałem jej pustą butelkę.

– Zobaczmy dom – powiedziałem.

Wrzuciła szkło do kosza na śmieci w kolorze nieba.

– Skąd ten pośpiech? Wy ze Wschodniego Wybrzeża ciągle się gdzieś śpieszycie.

Już chciałem jej powiedzieć, że mam plany na wieczór, ale uzmysłowiłem sobie, że nie chcę jej mówić, kogo obejmowały te plany.

– Nie mogę się doczekać zobaczenia tej przyszłości, którą dla mnie zaplanowałaś.

– Zrobiłam kanapki – zakomunikowała moja kuzynka Sofia, gdy tylko wieczorem przekroczyłam próg Domu Rozpaczy i Tragedii.

Powiedziała to tak szybko, że była tylko jedna możliwość: czekała, aż wrócę do domu, by móc mi to powiedzieć. Wiedziałam też, że chociaż powiedziała „kanapki”, tak naprawdę miała na myśli: „Spójrz na to zwięźczenie złożonego kulinarnego procesu obejmującego ponad cztery godziny wytężonej pracy”.

– W kuchni? – zapytałam.

Sofia zamrugła. Miała duże, piwne oczy. Jej ojciec – jeden z licznych mężczyzn wyrzuconych za burtę z naszych wspólnych żyć – stosownie nadał jej imię zabójczo pięknej aktorki Sophii Loren.

– I trochę w jadalni.

Wspaniale. Kanapka wypełniająca dwa pomieszczenia.

Ale nie było możliwości, żebym odmówiła zjedzenia jednej. Nawet mimo planowanej kolacji z Cole’em. Sofia była moją krewną ze strony mamy. Była rok młodsza ode mnie i żyła w nieustannym odbierającym dech lęku przed porażką, upływem czasu i wizją, że matka przestanie ją kochać. Z nieodgadnionych dla mnie powodów wprost mnie uwielbiała. Zupełnie tego nie rozumiałam, było tyle innych osób bardziej godnych jej podziwu.

– W kuchni by się wszystkie nie zmieściły?

Zrzuciłam niedbale swoje znoszone buty przy drzwiach.

Wylądowały na znoszonych butach mojej matki. Pusty wieszak na ubrania zachwiał się, stuknął o kinkiet, ale ostatecznie się nie przewrócił. Mój Boże, to miejsce wysysało z człowieka duszę. Byłam tu już od dwudziestu jeden wtorków, ale wciąż do niego nie przywykłam. McPosiadłość była tak sterylna, że za każdym razem, gdy tu wracałam, odrywała kolejny kawałek mojej tożsamości.

– Nie chciałam nikomu przeszkadzać, gdyby ktoś zechciał zrobić coś innego – odparła Sofia. – Ładnie dziś wyglądasz.

Machnęłam w jej stronę lekceważąco ręką i przeszłam do jadalni. Jeden rzut oka na pomieszczenie wystarczył, aby dostrzec, że Sofia

poświęciła popołudnie na przygotowanie długiego, uporządkowanego kolorami bufetu z domowej roboty komponentami kanapek. Powycinała pomidory w kształt kwiatów, upiekła indyka i pocięła w plasterki krowi tylek. Wyczarowała sosy czosnkowe i winegret w czterech różnych odmianach. Upiekła dwa różne gatunki chleba w dwóch różnych kształtach.

Wszystko to było ułożone spiralnie, z warzywami w środku. Na końcu stołu leżały jej telefon i olbrzymi aparat fotograficzny, co znaczyło, że zdjęcia trafiły już na jeden z jej czterech blogów.

– Wygląda w porządku? – zapytała niepewnie.

Śnieżnobiałymi dłońmi maltretowała papierową serwetkę.

W takiej właśnie chwili wszyscy zakładali, że Sofia jest ofiarą wygórowanych oczekiwań rodziców, ale jedyną rzeczą, jakiej według moich obserwacji moja ciotka Lauren wymagała od swojej córki, było bycie jak najbardziej zestresowaną. I Sofia wywiązywała się z tego zadania wprost śpiewająco. Stanowiła precyzyjnie nastrojony instrument buczący w emocjonalnym rezonansie z osobą, która akurat stała najbliżej niej.

– Zdecydowanie przeszłaś samą siebie, jak zwykle – stwierdziłam. Sofia odetchnęła z ulgą. Obeszłam stół, przyglądając się uważnie aranżacji. – Odkurzyłaś też całe piętro?

– Nie zdążyłam ze schodami – bąknęła.

– Boże, Sofia, żartowałam. Naprawdę odkurzyłaś?

Sofia spojrzała na mnie swoimi olbrzymimi, świecącymi oczami. Wyglądała jak jakieś bajkowe stworzenie.

– Miałam dużo czasu!

Zaatakowałam chleb ząbkowanym nożem. Cel: kanapka. Skutek uboczny: okaleczenie. Gdy Sofia tylko spostrzegła, jak się męczę, szybko obiegła stół, żeby mi pomóc. Całość przypominała scenę morderstwa odtwarzaną w zwolnionym tempie. Wydarłam nóż z jej dłoni i sama ukroiłam dwie nierówne kromki. Ciotce Lauren nie przeszkadzała ta cholerna usłużność Sofii, ale mnie doprowadzała do szewskiej pasji.

– A co z tą książką, którą czytałaś?

– Już ją skończyłam.

Wzięłam plasterek pieczeni wołowej i trochę tartego parmezanu.

– Sądziłam, że masz do zrobienia to kolażowo-rzeźbowe coś.

Sofia przyglądała się w skupieniu, jak sięgam po mocno zielony majonez.

– Pierwszy etap to schnięcie.

– Co to jest? Rukola? Kiedy masz następną lekcję gry na er-hu³?

Nie byłam pewna, co sędzę na temat pobierania lekcji gry na er-hu przez Sofię – najbielszą dziewczynę świata. Nie mogłam się zdecydować, czy to się liczy jako zawłaszczenie kulturowe. Ale Sofii te lekcje zdawały się sprawiać przyjemność. I była w tym dobra, jak zresztą we wszystkim innym. Ponadto nikt z komentujących na jej blogu na temat tego instrumentu nigdy Sofii nie krytykował, zatem trzymałam język za zębami.

– Rzeżucha. Lekcję mam dopiero wieczorem. Już rano ćwiczyłam.

– A drzemka? Normalni ludzie ucinają sobie drzemki.

Sofia spojrzała na mnie zbolalym wzrokiem. Chciała, żebym cofnęła swoje słowa i powiedziała, że jasne, tak naprawdę była normalna, wszystko było w porządku, nie musiała głęboko oddychać, ponieważ nie stało się nic ważnego. Chciała usłyszeć, że to było normalne życie i że każdy by to przyznał.

Ja jednak tylko mrugnęłam powoli i ugryzłam kanapkę. Nie mogłam uwierzyć, że Sofia spędziła kolejne popołudnie w towarzystwie przypraw zamiast znajomych.

– Powinnaś wziąć się w garść i wyjść do ludzi – powiedziałam i przełknęłam kęs. – To jest pyszne i mnie obraża.

Sofia sprawiała wrażenie zastraszonej. Jakkolwiek niewielkim stworzeniem była moja zdolność poczuwania się do winy, została celnie trafiona. Przypomniałam sobie, jak moja matka ciągle powtarzała mi to samo: żebym się wzięła w garść i wyszła do ludzi. Za każdym razem odpowiadałam jej, że zrobię to, jak tylko znajdę jakichś ludzi, do których warto wyjść. Możliwe, że Sofia zwyczajnie nie znalazła jeszcze nikogo wartego jej czasu.

– Słuchaj – powiedziałam – pójdźmy dziś coś zjeść na mieście. Możesz włożyć coś czerwonego.

– Na mieście? – powtórzyła jak echo.

W tej samej chwili przypomniałam sobie, że umówiłam się z Cole'em. Nie mogłam uwierzyć, że o tym zapomniałam. Z drugiej strony nie było w tym dziwnego. Przecież to jak obudzić się po przyjemnym śnie i zapomnieć go w połowie drogi na dół na śniadanie.

Poczułam w brzuchu niezbyt przyjemny ucisk, jakby ktoś otwierał mi w żołądku parasolkę. Tak jakbym bała się Cole'a, ale to nie o to chodziło. Bałam się, że nie okażę się osobą, za którą mnie brał. Był tak oczarowany wizją mnie mieszkającej w Kalifornii, jakby ten stan do mnie pasował, a ja do niego.

Zaczęłam się zastanawiać, w co ja się właśnie pakowałam.

– Cholera – powiedziałam. – Nie dzisiaj. Jestem umówiona na kolację. Ale jutro tak. Coś czerwonego. Ty i ja.

– Na kolację? – powtórzyła ponownie jak echo.

– Jeśli będziesz wszystko po mnie powtarzać, nigdzie nie pójdziemy. – Odgryzłam kolejny kęs kanapki. Była naprawdę smaczna.

– Gdzie jest twoja matka?

Ciągle nie wiedziałam, jak powinnam mówić o swojej ciotce w rozmowie z Sofią. Kiedy mówiłam „Lauren”, brzmiało to, jakbym była zarozumiała. Kiedy mówiłam „twoja matka”, brzmiało to, jakbym była oschła. Ale słowa „twoja mama” nie przechodziły mi przez gardło. Jeśli tylko miałam wybór, słowo „mama” nie figurowało w moim słowniku. Może dlatego, że byłam zarozumiała i oschła.

– Na zamknięciu – odparła Sofia. – Powiedziała, że wróci do domu przed Teresą.

Teresa to moja matka. Kiedy Sofia tak o niej mówiła, nie wydawała się ani zarozumiała, ani oschła, ale pełna szacunku i miła. Posługiwała się chyba jakąś straszliwą magią.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Sofia przybrała zboląły wyraz twarzy.

– Ja otworzę – powiedziała.

Nie chciała tego robić. Otworzenie drzwi wiązało się z koniecznością rozmawiania z osobą czekającą po ich drugiej stronie, a wtedy ten ktoś mógłby poddać ocenie jej ubranie, fryzurę, twarz albo umiejętności i dostrzec gdzieś jakąś rysę.

– Och, daj spokój – rzuciłam. – Serio, ja pójde otworzyć.

Przed drzwiami czekała celebrytka. Mój świętej pamięci brat

zawsze mówił, że wszystko chadza trójkami. Trzy sławne osoby jednego dnia. Całkiem nieźle, nawet jak na Los Angeles. Tym razem była to drobna kobieta z puszystą brązową grzywką częściowo przesłaniającą zmęczone zielone oczy. Była piękna w ten staroświecki sposób. Tak niewymuszony, że musiała spędzać przed lustrem długie godziny, żeby osiągnąć ten efekt. Nie była kobietą, była zdjęciem kobiety. Chwilę mi zajęło przypomnienie sobie jej nazwiska. Była jedną z tych trzeciorzędnych celebrytek, które trafiały na wewnętrzne strony brukowców i na blogi plotkarskie (w dni, w które nic ciekawszego się nie działo). Nazywała się jakoś tak dziwnie. To było...

– Cześć, jestem Baby North – przywitała się. – Czy to ty jesteś Isabel?

Wyraźnie sądziła, że będę zaskoczona, gdy usłyszę swoje imię z jej ust, ale stawiałam sobie za punkt honoru nie okazywać zaskoczenia niezależnie od okoliczności. Zwłaszcza dziś, kiedy mój zmysł zaskoczenia doznał poważnego szwanku po niespodziewanym pojawieniu się Cole’a St. Claira. Wyczuwałam za sobą obecność Sofii i bez oglądania się byłam pewna, że stała z lekko rozchylonymi ustami.

– Sofia – powiedziałam, wychodząc na frontowe schody pomalowane na zdecydowanie zbyt jasny kolor – czy możesz sprawdzić piekarnik? Chyba zostawiłam włączony.

Po chwili zawahania Sofia zniknęła. Nie była głupia.

– O co chodzi? – zapytałam.

Myśl, że to nie było zbyt grzeczne, naszała mnie już po tym, jak słowa opuściły moje usta.

– O okazję. Jeśli poświęcisz mi chwilę, przedstawię się, powiem ci, kim jestem, co robię...

– Wiem, kim jesteś – weszłam jej w słowo.

Była bardzo ładnym sępem, który reanimował trupy na potrzeby telewizji internetowej. Nie dodałam jednak tej informacji, gdyż założyłam, że sama doskonale o tym wie. Dręczył mnie dziwny niepokój, domniemywany powód jej odwiedzin. Podświadomie przeczuwałam, że mi się to nie spodoba.

– Świetnie! – stwierdziła i uśmiechnęła się szeroko. Nie ufałam temu uśmiechowi, głównie z powodu jego rozmiarów. Był szeroki,

z dołeczkami w policzkach, idealnie symetryczny. Jak u pin-up girl na plakacie z lat czterdziestych. – Mogę wejść?

Przyjrzałam się jej. Ona przyjrzała się mnie. Jej samochód stał kołami na krawężniku za moim SUV-em. Miał mnóstwo chromowań.

– Nie – odparłam.

Jej mina uległa przemianie w coś zdecydowanie bardziej naturalnego.

– Cóż, w porządku.

Dobre maniery zaczęły mnie powoli doganiać, dodałam więc z tak dużą dozą lodowatej uprzejmości, na jaką tylko było mnie stać:

– To nie mój dom. Nie chcę narażać ich prywatności. Tak jak powiedziałam: wiem, kim jesteś.

– Sprytnie – stwierdziła Baby tonem sugerującym, że naprawdę tak uważała. – Cóż, będę się zatem streszczać: jesteś dziewczyną Cole’a St. Clair’a?

Staralam się zachować obojętny wyraz twarzy, ale zaskoczenie odarło mnie z tajemniczości. Wiedziałam, że na ułamek sekundy moja mina mnie zdradziła.

– Nie sądzę, żebym mogła użyć słowa „dziewczyna” – odparłam.

– Jasne. Przyjechałam tu, żeby zapytać, czy może chciałabyś wystąpić w programie razem z nim? Bombowo, nie? Nie zajęłoby ci to dużo czasu, a mogłoby otworzyć przed tobą wiele możliwości. Zwłaszcza przy twojej niewątpliwej urodzie.

Nieprzyjemne uczucie kłębiące się w moim brzuchu napęczniało i nabrało konkretnych kształtów. Ścisnęłam mocno klamkę.

– Jakim programie?

– Robimy taki mały programik o nim i jego zespole. Wiesz, kamera będzie za nimi podążać i nagrywać życie w trakcie prac nad nowym albumem.

Taki
mały
programik.

Wiedziałam, że nie przyjechał tu dla mnie. Wiedziałam to od pierwszej chwili.

Ale moje głupie serce nie chciało tego przyjąć do wiadomości. Tak

bardzo chciało mu uwierzyć. Teraz było przygniatane do żeber przez coraz większe, okropne uczucie, stopniowo wypełniające mnie całą.

– Nie jestem zainteresowana – powiedziałam. – Jak już wspomniałam, nie jestem jego dziewczyną.

– Ale nawet jako przyjaciółka...

– Przyjaźnić się też tak naprawdę nie przyjaźnimy – przerwałam jej. Musiałam jak najszybciej zamknąć te drzwi przed jej nosem, żebym mogła gdzieś pobiec i wrzeszczeć albo coś rozbić. – To była przelotna znajomość.

Przyglądała się uważnie mojej twarzy, usiłując z niej wyczytać prawdziwą odpowiedź. Ale ja już zdołałam nad sobą zapanować i wpatrywałam się w nią pustym wzrokiem spoza grubej warstwy kredki do oczu.

– Gdybyś zmieniła zdanie – powiedziała w końcu, wyciągając wizytówkę z kieszeni luźnej koszuli.

Nie zmieniłam wyrazu twarzy, ale wzięłam od niej kartonik. Potrzebowałam czegoś, co mogłabym spalić.

– Byłoby fajnie – dodała Baby. – To jest coś, co się potem pamięta do końca życia. Przemyśl to.

Po tych słowach ruszyła chodnikiem w stronę ulicy. Wróciłam do Domu Rozpacz i Tragedii. Gdy zamknęłam za sobą drzwi, budynek odebrał mi kolejny fragment duszy i przekształcił w elegancki mebel. Czułam się, jakby mój mózg właśnie eksplodował. Sofia stała w drzwiach prowadzących do pokoju dziennego.

– Czy to naprawdę była...

– Tak.

Wyrwałam z kieszeni telefon i gniewnie wybrałam numer.

– Czego ona chcia...

Potrząsnęłam w powietrzu dłonią z palcami zagiętymi niczym szpony, po czym pokazałam na telefon. Usłyszałam ciche pyknięcie i ktoś odebrał po drugiej stronie.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, jakobyś przyjechał tu z mojego powodu – warknęłam.

– Cześć – odparł Cole. – Właśnie wciągałem spodnie. Chyba że wolisz, żebym ich nie wkładał.

– Teraz udaj, że zarejestrowałeś, co powiedziałam.

– Ale nie zarejestrowałem.

– Powiedziałeś, że przyjechałeś tu dla mnie. Skłamałeś.

Zapadła cisza. Najgorsze w rozmowach przez telefon było to, że człowiek nie wie, co się dzieje podczas takiej nagłej ciszy. Nie wiedziałam, czy oznaczała gorączkowe poszukiwanie skutecznych przeprosin, czy też może był naprawdę zdumiony.

– Że co? – zapytał w końcu.

– Nagrywasz album? Będziesz w telewizji? Te rzeczy nie są *mną*.
Znowu cisza.

– Powiedz coś.

– Coś.

– Och, ha, ha. Cóż, posłuchaj zatem. Problem polega na tym, że wywołałeś u mnie wrażenie, jakobyś przyjechał tu tylko dla mnie, podczas gdy tak naprawdę jesteś tu, żeby trafić do telewizji. Nie przyjechałeś z mojego powodu. Przyjechałeś, żeby być Cole'em St. Clairem.

– Rozumiesz wszystko na opak – stwierdził rozdrażnionym głosem.

– Zabawne, że nawet słowem o tym nie wspomniałeś – wypaliłam.

– Zapomnij o kolacji. Zapomnij o wszystkim.

– To nie...

– Nie odzywaj się do mnie. Tak właściwie to umrzyj.

Rozłączyłam się.

Kiedy byłem wilkiem, nie pamiętałem niczego z bycia sobą. Byłem zredukowany do najbardziej pierwotnego pierwiastka; równaniem bytu rozwiązany dla x . Nie byłem niczym mniej lub bardziej nadzwyczajnym niż zwykłe zwierzę.

To było to, czym próbował być każdy inny narkotyk, który kiedykolwiek zażyłem.

Po telefonie Isabel potrafiłem myśleć tylko o tym, że gdybym zmienił się teraz w wilka, to uczucie by przeminęło, przynajmniej na chwilę.

Zamiast tego stałem na balkonie z drucianą barierką w domu w Venice i spoglądałem na nocne migotanie miasta. Księżyc był ogromny, przypominał hollywoodzki rekwizyt zawieszony na drugim końcu Abbot Kinney Boulevard. Egzotyczne sylwetki palm odcinały się na tle tarczy księżyca – idealna sceneria filmowa, idealna sceneria Los Angeles. To miejsce... Czy filmy były hollywoodzko doskonałe dlatego, że to miasto było doskonałe, czy też zbudowali to wszystko takim doskonałym z powodu filmów?

Stałem bez ruchu na balkonie, odcinając się ostrym cieniem na tle fioletowego nieba, pogrążając się w depresji dorównującej rozmachem scenografii.

Co powinienem był jej powiedzieć?

Czułem na plecach spojrzenie maleńkiej kamery. Była zamocowana do okapu dachu – jedna z wielu rozmieszczonych na terenie ośrodka, chociaż „ośrodek” nie było zbyt dobrym słowem na opisanie tego budynku. Mój apartament – jasny, z dużymi oknami i ze świetlikami, zajmował całe piętro kanciastego betonowego budynku. Mieszkanie na parterze było przewidziane dla jednego z członków zespołu. Szeroki taras prowadził do trzeciego mieszkania w niskim otynkowanym budynku po drugiej stronie posesji. Pośrodku znajdowało się maleńkie podwórko wypełnione roślinami wyglądającymi nierealnie dla kogoś ze Wschodniego Wybrzeża.

Nagle zaatakowała mnie myśl o czekających mnie najbliższych

sześciu tygodniach. Nie potrafiłem pojąć, jak mogłem w ogóle uważać, że czterdzieści dwa dni to niewiele.

Bujałem się to w przód, to w tył na balkonowej barierce. Miałem ochotę na piwo. Miałem ochotę wbić sobie igłę w ramię.

Chociaż nie, ja już taki nie byłem. Byłem czysty, bez nałogów, nówka sztuka. Baby wybrała mnie, żebym nie dał rady, ale ja miałem inne plany.

Isabel nawet nie dała mi szansy.

Pomyślałem sobie, jak szybko mógłbym zmienić się w wilka. Jak zupełnie mógłbym oczyścić umysł z wszelkich myśli. Tylko na kilka minut. Do tego w przeciwieństwie do innych moich chemicznych koktajli to nie pozostawiało żadnego śladu i nie wymagało ode mnie niczego więcej. To nie był nałóg.

Ale nie poruszyłem się.

Wsparłem skrzyżowane ramiona na barierce i oparłem o nie czoło. Pierś stopniowo wypełniała czarna rozpacz. Twarzą dotykałem tych miejsc na skórze, gdzie były ślady mojego dawnego życia, zanim drzemiały we mnie wilk je wymazał.

Jaki był sens przebywać tu, jeśli nie dla niej? Jaki był sens czegokolwiek, jeśli nie potrafiłem poradzić sobie nawet z tą jedną rzeczą? To była tylko kolacja. To była tylko...

Isabel...

Usłyszałem samochód zatrzymujący się w uliczce na tyłach budynku. Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Trzask otwieranego i zamykanego bagażnika. Grzechot furtki prowadzącej na podwórko.

Uniosłem wzrok. Przy płocie jakaś bliżej nieokreślona postać w jasnym kapeluszu siłowała się z pakunkami. On/ona/ono spostrzegł/a/o mnie.

– Hej, koleś, może byś mi tak pomógł?

Nie poruszyłem się. Przyglądałem się, jak on/ona/ono majstruje jeszcze przez minutę przy zamku, aż skrytka uległa jego/jej perswazji i wydała klucz.

Nie chciałem grać. Kiedy stałem w domu Baby, wydawało się to wspaniałym pomysłem. Ale teraz? „Umrzyj”.

Czułem się, jakbym nigdy nie przestał się kłócić z Isabel, odkąd

tylko ją poznałem w Minnesocie.

Nie mogłem nawet uwierzyć, jak szybko wszystko w moim sercu poszło w diabły.

Na dole postać weszła na podwórko. Trzymała jakąś torbę, która chyba nie miała kółek, ale postać i tak ciągnęła ją po ziemi. Przybysz przedarł się obok nachalnego drzewka figowego, stanął bezpośrednio pod balkonem. Jego/jej rozmazany chudy cień padał na wszystkie strony od światła latarni na ulicy, światła na ganku i księżyca. To, co początkowo wziąłem za kapelusz, okazało się bujną burzą dredów. Postać spojrzała w górę.

– Dzięki za pomoc, koleś – powiedział kobiecy głos.

Nie doczekawszy się mojej odpowiedzi, podciągnęła torbę jeszcze trochę w stronę domu, po czym rzuciła ją pod ścianę i zapaliła papierosa. Albo blanta.

Powoli zmusiłem się do przejścia na tryb odgrywania mojej typowej roli. W tryb Cole'a St. Claira. To było jak dobrze znana koszula. Ale włożenie jej zajmowało chwilę.

Zwlokłem się schodami na dół. W panującym na ganku półmroku żarzący się koniec skrzyta rozświetlał spowijający ją dym. Miała pociągłą i bardzo szczupłą twarz. Bardzo przypominała Ichaboda Crane'a. Gdyby ten miał blond dredy. Które właściwie mógł mieć. W końcu osiemnasty wiek obfitował w paskudne fryzury.

– Cześć. Dlaczego tu jesteś? – zapytałem.

– Jestem twoją perkusistką – odparła.

Nie zapowiedziały jej żadne fajerwerki, parady ani znaki z niebios. Jej, pierwszej z muzyków zgromadzonych u muzycznych stóp Cole'a St. Claira, byłego frontmana NARKOTIKI.

Ta dziewczyna nie była z mojego zespołu. Mój zespół w jednej trzeciej poszukuje nirwany, a w jednej trzeciej nie żyje.

– Mam nadzieję, że to nie jest jakiś wymyślny sposób oznajmiania mi, że jesteś prostytutką? Bo naprawdę nie mam nastroju.

Dmuchnęła w moją stronę dymem, po czym odezwała się niskim, nosowym głosem sprawiającym wrażenie, jakby trzeba go było kształtować.

– Nie psuj mi, koleś, fazy – wycedziła.

Zamknęła oczy. Sprawiała wrażenie osoby, która osiągnęła harmonię z całym światem.

Marihuana nigdy nie miała na mnie takiego wpływu. Najpierw robiłem się niesamowicie dowcipny, a potem opadało mnie przygnębienie. Cały proces był przyjemny tylko dla osób postronnych.

– Nawet bym o tym nie śnił. Wydawało mi się, że przyjedziesz jutro. Jutro to dzień następujący po dniu obecnym, gdybyś nie wiedziała.

Kobieca wersja Ichaboda otworzyła oczy. Jej czupryna była tak ogromna, że zasługiwała na własny kod pocztowy. Swego czasu widziałem trochę fajnych dredów, ale te wyglądały na zrobione przy użyciu zgliszcz opuszczonych wiosek z krajów Trzeciego Świata.

– Psujesz. Fazę.

– Sorry. Jestem Cole.

– Leyla.

Podawała mi swojego blanta.

– Nie jaram.

Odmówiłem, chociaż kiedyś uważałem gandzię za najmniejszy z całego wachlarza dostępnych dla mnie grzechów. Pierwszy raz w życiu powiedziałem „Nie jaram” na głos. W tych słowach pobrzmiwała olśniewająca szlachetność.

– Może powinieneś, uspokoiłbyś się – stwierdziła. – Zanim przyjedzie reszta.

– Reszta?

Jakby na sygnał podwórko zaalało światło reflektorów. Uniosłem dłoń, żeby osłonić oczy. Cztery osoby weszły przez furtkę zupełnie swobodnie. Na zacięzionym skraju podwórka wyglądały jak zgraja mrocznych potworów. Dwa potwory niosły kamery, pozostałe dwa zaś – futerały z jakimiś instrumentami. Ci pierwsi nagrywali tych drugich, ale kiedy tylko dostrzegli Leylę i mnie, obiektywy momentalnie zostały wycelowane w nas.

Czułem się jak rzucony na scenę bez planu jazdy. „To jest show – przypomniałem sam sobie – i zaczyna się teraz”.

– Mówiłam – rzuciła obojętnie Leyla.

– Cześć, Cole – powiedział koleś trzymający kamerę. Widziałem połowę jego twarzy. Bardzo przypominała twarz Baby. Te same ciężkie

powieki, te same brązowe włosy, to samo wrażenie patrzenia na kogoś wyrwanego wprost ze zdjęcia z lat siedemdziesiątych. – Myślałem, że będziesz spał. Przepraszam za najście bez zapowiedzi, ale wszyscy zjechali się przed czasem i stwierdziliśmy, że fajnie by było nakręcić kilka minut materiału, jak wchodzi do domu. – Wyciągnął do mnie dłoń, drugą wciąż trzymając kamerę. Na ręce miał jakieś czterysta bransoletek z konopnego sznurka. Tylko na tej podstawie wydałem trzy błyskawiczne osądy na temat ich właściciela. – Nazywam się Te. Tylko litera.

– Jaka znowu litera?

– T. Tak się nazywam. Po prostu T.

Wydałem kolejny osąd, po czym uścisnąłem mu rękę.

– Masz twarz Baby.

– Ha, wiem. Jestem jej bratem bliźniakiem.

– Perwersja.

– Ta, wiem, co nie? Będę jednym z kamerzystów. – Od razu było widać, że jest jednym z tych amebowatych ludzi, którzy lubili kręcić się w pobliżu sławnych osób. Nie był fanem nikogo szczególnego. Nadskakiwał każdemu, kto kiedykolwiek cokolwiek znaczył. Mimo to natychmiast polubiłem go bardziej niż Baby. Był bardziej szczery. – Za drugą kamerę, która będzie wam zawsze towarzyszyła, odpowiada Joan. To ona. – Wskazał swoją towarzyszkę. – Jeśli więc zobaczysz w okolicy którekolwiek z nas, nie panikuj.

Słuchałem go jednym uchem. Większość procesów myślowych poświęcałem właśnie na kontemplowanie faktu, że ich rodzice nazwali swoje dzieci łącznie Baby T⁴.

– W każdym razie my tylko, wiesz, nakręcimy ich na szybko, jak wchodzi do domu, a potem usuniemy się na bok – dodał T. – Będziemy się starali, co nie, jak najmniej wchodzić w drogę.

– Róbcie, co musicie – rzuciłem.

T i Joan cofnęli się i zaczęli celować obiektywami kamer to tu, to tam, szukając najlepszych możliwych ujęć. Joan o mało co nie nadepnęła na Leylę, która zdążyła tymczasem usiąść wygodnie na trawie. Przez chwilę widziałem kadr na ekranie podglądu kamery Joan. Przypominał jeden z tych filmów dokumentalnych o nocnym życiu dzikich zwierząt.

Brakowało tylko zderzaka land rovera i na wpół zjedzonej padliny.

Jednocześnie z kamerą Joan skoncentrowałem się na dwóch nowych muzykach.

– Dlaczego dwóch? – zapytałem.

T, skory do pomocy i uprzejmy, natychmiast przerwał kręcenie i spojrzał na mnie.

– Dwóch co? Kamerzystów? Chodzi o róż...

– Nie, ich.

– To twój zespół, człowieku – wyjaśnił T. Miał taki sam szeroki uśmiech jak jego siostra. – Gitarzysta i basista.

– Który z nich to gitarzysta?

T spojrzał na dwóch kolesi z dwoma bardzo podobnymi futerałami. Nie miał zielonego pojęcia, który jest który. W końcu jeden z muzyków podniósł rękę.

– Możesz już iść – oznajmiłem.

Senny wzrok T stracił dużą część swojej senności.

– Hej, chwila moment.

– Drzwi są tam – powiedziałem gitarzyście, który patrzył na mnie z wyrazem twarzy, jakiego dawno nie widziałem. Była to mieszanka niedowierzania i oburzenia. – Miło cię poznać, *do swidania itepe, itede*.

– Obróciłem się do basisty. Przełknął ślinę. – A ty...

– Hej, zaczekaj – przerwał mi T. Wciąż jeszcze się uśmiechał, ale w oczach miał już pierwsze oznaki niepokoju. – Baby osobiście wybrała tych kolesi. Nie sądzę, żeby była zadowolona, jeśli tak po prostu jednego z nich wyrzucisz, zanim w ogóle...

– Nie prosiłem o gitarzystę. Do czego miałby mi być potrzebny gitarzysta? To nie Beatlesi. Bas. Perkusja. Ja. – Wskazywałem palcem kolejne osoby. – I tyle.

T wyraźnie chciał załagodzić sytuację.

– A może pozwolisz mu zostać i zobaczymy, jak wyjdzie? Ty będziesz zadowolony, Baby będzie zadowolona, Chip będzie zadowolony.

Założyłem, że Chip to gitarzysta, którego właśnie musiałem wyrzucić ze swojego życia. Najbardziej irytujące w tym wszystkim było to, że dałbym sobie rękę uciąć, że Baby na pewno doskonale pamiętała,

że nie chciałem gitarzysty. Ktoś, kto pamięta o kupieniu notesu, nie myli liczby członków zespołu.

– Jeśli chce sobie z nami posiedzieć, jego sprawa – odparłem. – Ale to coś nie opuszcza futerału. Nie piszę piosenek z gitarą. Może dotrzymać towarzystwa roślinom.

T patrzył mi w oczy, wyraźnie czekając, aż ustąpię. Ale ja nie miałem takiego zamiaru. Jeśli nic innego na świecie nie chciało pójść po mojej myśli, to przynajmniej tego się będę trzymał: album nagram po swojemu.

W końcu T dał za wygraną.

– Chip, może zaczekasz w samochodzie? – rzucił przez ramię. Leyla posłała kłęb dymu wprost w oświetlenie planu filmu o dzikich zwierzętach.

Chip opuścił podwórko.

– No dobra – powiedział T.

Odwróciłem się do basisty, wysokiego, patykowatego dzieciaka z długimi włosami. Jego palce przypominały odnóża jakiegoś owada.

– Umiesz w ogóle grać na tym sprzęcie? – zapytałem. – Zapodaj coś.

Basista otworzył usta, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

T nie był głupi. Już z daleka widział, co się święci.

– Teraz? – zapytał. – Myślałem, że my tyl...

– Co masz zrobić jutro, zrób dziś, T – nie dałem mu dokończyć. – Nie robimy się młodszy, a młodość, jak słyszałem, jest najlepszym okresem naszego życia. Wyciągaj grata, koleś. Przekonajmy się, co potrafisz.

Basista pojął w lot, że to ja tu rządzę, a nie T. Zaczął nerwowo otwierać futerał.

– Lepiej brzmi, eee, wzmocniony.

– Posłużę się wyobraźnią.

– Co mam zagrać? – zapytał.

– Twój wybór.

Jeremy, basista NARKOTIKI, nie był najlepszym muzykiem świata, ale miał w sobie niepokonowaną energię. Każdy nowy utwór musiał studiować całymi dniami, zanim potrafił zagrać najprostszy riff,

ale kiedy już to rozgryzł... Och, człowieku, trzymaj się czegoś albo lepiej usiądź. Nie miało znaczenia to, że potrzebował tyle czasu na opanowanie każdego kawałka. Ważne było, że w końcu każdy opanowywał.

Teraz długowłosa basista zagrał riff z jednego z naszych utworów. Nie mogłem sobie przypomnieć tytułu. Choroba, nagle poczułem się taki stary. Pryszczaty młokos grał riff Jeremy'ego z jakiegoś kawałka, którego tytuł wyleciał mi z głowy.

– Nie to – powiedziałem. – Coś, czego nie słyszałem.

Zagrał coś innego. Było funkowe i zdecydowanie akceptowalnie przyzwoite. Brzmiało jednak jak coś, czego nigdy nie chciałem usłyszeć w żadnej swojej kompozycji. Nigdy. Nie chciałem nawet przebywać w jednym pomieszczeniu z tymi dźwiękami. Mógłbym się od nich zarazić funkowością.

– Dzięki, Charlie, ale nie – stwierdziłem.

Nie mogłem uwierzyć, co się porobiło z tym wieczorem. Powiniennem teraz spędzać czas z Isabel.

– Nie nazywam się...

– On też może pójść do samochodu – nie dałem mu dokończyć. – Dobranoc wszystkim. Ja odpadam.

Zostawiłem ich tak, jak stali. Wspinając się po schodach, zastanawiałem się, czy powinienem zadzwonić do Isabel. Może należało jej coś wysłać. Tylko nie kwiaty, kwiaty były nudne. W ten sposób nic bym u niej nie wskórał. Może karzeł wyskakujący z kartki z życzeniami czy coś takiego.

– Co za złamas – rzucił basista wystarczająco głośno, żebym usłyszał.

Jeśli sądził, że coś takiego miało choć cień szansy na poruszenie mnie, moja reputacja musiała być mu zupełnie obca.

– Cole, no weź – zawołał za mną T. – Co ja mam powiedzieć Baby?

– Niepokojące jest, że mówisz na swoją siostrę *baby* – odparłem. – Powiedz jej, że jutro zaczynają się przesłuchania. Sam je przeprowadzę. Zjaw się ze swoją kamerą i w czystych szortach.

Towarzysząca mu kamerzystka – Jane? Joan? – odezwała się po raz pierwszy od ich przybycia i zapytała zgryźliwie:

– Leyle też wyrzucisz?

Zerknąłem na perkusistkę, która cały czas siedziała na trawniku i z błogim wyrazem twarzy dopalała skręta. Chciałem mieć swój zespół, a nie taką zgraję klaunów.

– Jeszcze nie.

Upewniłem się dwa razy, czy w łazience nie ma żadnych kamer, odkręciłem wodę w prysznicu, żeby uniemożliwić podsłuchiwanie pod drzwiami, po czym wyjąłem wszystko, czego potrzebowałem, aby zostać wilkiem na pięć, siedem czy dziewięć minut.

Na tle wszystkiego innego był to względnie mały grzeszek. U szczytu sławy NARKOTIKI słyłem z całkowitego braku lęku przed substancjami chemicznymi – nie było narkotyku, którego nie spróbowałbym chociaż raz. Niektóre miały niesamowicie odrażające i złożone skutki uboczne, ale wtedy nie dbałem zbyt o swój organizm. Tak naprawdę chciałem całkowicie ewakuować się z życia, ale byłem zbyt dużym tchórzem, aby zrobić to wprost.

Rozstawiłem wszystko na umywalce i rozebrałem się do naga. Mój ojciec, szalony naukowiec, zagorzały wielbiciel metody naukowej, byłby dumny ze sposobu, w jaki dotarłem do tej właśnie chwili. Kilka miesięcy przeprowadzania eksperymentów na samym sobie dało mi autorską miksturę umożliwiającą bezstresowe wilkołakowanie: epinefryna inicjująca przemianę, wazodylatator⁵ usprawniający cały proces, beta-bloker zapobiegający rozsadzeniu czaszki od środka oraz aspiryna eliminująca uczucie, jakby czaszka mimo wszystko eksplodowała.

Całość była bezpieczniejsza od wszystkich specyfików, jakie kiedykolwiek wcześniej zażywałem. Nie było to groźniejsze od wzięcia piwa z lodówki. Ba, nawet było od tego mniej szkodliwe. Nie miało się potem kaca.

Nie było więc najmniejszych powodów, żebym miał z tego powodu poczucie winy.

Ale miałem. Trochę. Pewnie z racji skojarzeń. Zostałem wilkołakiem tylko dlatego, że wszystkie pozostałe narkotyki przestały na mnie działać. Potrzebowałem czegoś, co mnie nie zawiedzie. Bo upadłem na samo dno. Ponieważ chciałem, żeby wszystko się po prostu skończyło, a byłem zbyt dużym tchórzem. Zawsze byłem tchórzem.

Ale nie o to dziś chodziło.

Dzisiaj nie było różnicy między tym a piwem. Potrzebowałem tylko czegoś do zrestartowania mózgu; czegoś, co by mnie pchnęło w objęcia snu, co by mnie zalało do czasu, aż kalifornijskie słońce wzejdzie, aby mnie wyleczyć. Pięć, siedem czy dziewięć minut.

Pchnąłem tłok strzykawki, połknąłem i czekałem. Patrzyłem na wszystkie drobne rzeczy, które porozstawiano po całej łazience, a które nie miały z tym pomieszczeniem nic wspólnego: na orchideę na parapecie, na udawany znak drogowy zawieszony nad lustrem, na betonowy posązek żyrafy postawiony w kącie. Od ostatniej przemiany minęło już wiele tygodni. Czasem częste zmiany postaci zdawały się zwiększać prawdopodobieństwo spontanicznej przemiany, a ja nie chciałem mieć przykrej niespodzianki na lotnisku w Minneapolis.

Woda tryskająca z prysznicowej słuchawki szumiała na niewielkich płytkach o fakturze przypominającej małe kamyki. Wyczuwałem w wodzie zapach rdzy, przywodzący na myśl krew tętniącą mi w żyłach. Słyszałem dudniący w uszach własny puls. Nie mogłem uwierzyć, że Baby ściągnęła dla mnie gitarzystę i *takiego* basistę. Myśl, że gdyby wszystko nie rozsypało się w cholere, moja randka trwałaby już od godziny, wydawała się nierealna.

Isabel...

Tętno nagle przyśpieszyło i zwiększone ciśnienie krwi zdawało się rozsadzać kruszejącą infrastrukturę mojego ciała.

Wszystkie myśli zniknęły wraz z ludzką skórą.

Tej nocy leżałam w swojej bezdusznej sypialni z laptopem na brzuchu i oglądałam filmy przedstawiające wczesne występy NARKOTIKI. Cole wyglądał na nich młodo i energicznie. Dosłownie promieniał jakimś wewnętrznym ogniem, czymś niestałym i zaraźliwym, od czego zapłonęła cała widownia. A najjaśniejszym punktem w tym wszystkim był jego uśmiech.

Na nagraniach późniejszych występów Cole zaczął się zmieniać. Jego oczy stopniowo gasły. Wyglądało to, jak gdyby ktoś zrobił przypominającą go kukłę i postawił ją na scenie za syntezatorem. Worek mięsa w kształcie gwiazdy rocka. Czasem widać było wyraźnie targające nim drgawki, wywołane jakimś szajsem, który wziął przed występem. Niszczył siebie tak, jak na początku kariery niszczył widownię. Zamiast promieniować na innych, jego wewnętrzny ogień wypalał go od środka.

Tego właśnie Baby North chciała od niego. Umiała dobrać swoje ofiary: pewniaki, murowanych przegranych.

Kotka ciotki Lauren wskoczyła na łóżko. Syknęłam na nią. Zeskoczyła na podłogę, ale nie wyglądała na przejętą. Mieszkała tu wystarczająco długo, aby wszelkie jej uczucia zastąpiło dobrej jakości linoleum. Gdy wypuszczałam ją z pokoju, usłyszałam skrzypnięcie otwieranych drzwi frontowych. Moja matka musiała wrócić z pracy. Miała akurat dość czasu na trochę oglądania HBO, może nawet na krótkie opłakiwanie martwego syna i nieobecnego męża.

Problem polegał na tym, że łzy nie wracały życia umarłym ani nie sprawiały, że nieobecni wracali.

Szybko zamknęłam drzwi sypialni.

Opadłam z powrotem na pościel i wyszukałam nagranie ostatniego koncertu Cole'a z NARKOTIKĄ. Tego, na którym padł na scenę i już nie wstał. Tysiąc niewzruszonych telefonów uwieczniło wycie syntezatora, gdy chciał się go przytrzymać, by zachować równowagę. Prawie mu się to udało. Ostatecznie jednak jego upadek powstrzymały dopiero deski sceny.

Aż żal było na niego patrzeć na tym koncercie. Nie był elegancki

ani przystojny, raczej spocony, wypalony i zgniły. Oglądałam to nagranie w kółko, przy każdym przesuwaniu suwaka na początek myśląc o tym, jak bardzo chcę do niego zadzwonić.

Nie przyjechał tu tylko dla mnie. A to nagranie pokazywało go takim, jakim kiedyś był. Jakim mógł się ponownie stać. Tylko że nie wiedziałam, czy to ma znaczenie.

A jeśli tak, to czy to wystarczy, żeby mnie powstrzymać.

Nienawidziłam płakać.

Ponownie puściłam nagranie od początku. Tym razem przyglądałam się jego kumplom z zespołu mającym na skraju kadru. Jeremy z ustami rozchylonymi w grymasie niepokoju. Krzywiący się Victor.

Tak jakby chciał powiedzieć: „No nie, znowu”.

Przez cienką ścianę sypialni przebijał się głos matki. Znowu się kłóciła z moim ojcem przez telefon.

Moja matka, podsłuchana: „Pozwolenie? Potrzebujesz mojego pozwolenia, żeby mnie odwiedzić? Gdybyś naprawdę chciał się ze mną zobaczyć, już dawno byś tu był. Mam dość twoich gierk”.

Mój ojciec, wyobrażony: „Tereso, gierki są dla dzieci, a my nie jesteśmy dziećmi. Jesteśmy wykształconymi profesjonalistami. Oboje uczyliśmy się przez całe lata, aby nie musieć już nigdy bawić się w gierki”.

Moja matka, podsłuchana: „To moja praca, Tom. Nie zmienię swojego grafiku. To ty mógłbyś chociaż przesunąć kilku klientów”.

Mój ojciec, wyobrażony: „Przesuwanie klientów brzmi jak jakaś gierka, a oboje doskonale znamy moje zdanie na temat gierk, Tereso. Do tego przed chwilą je przypomniałem”.

Moja matka, podsłuchana: „Teraz udaj, że zarejestrowałaś, co powiedziałam”.

Mój ojciec, wyobrażony: „Teraz udaj, że zarejestrowałaś, co *ja* powiedziałem”.

Moja matka, podsłuchana: „Oto, co usłyszałam: »La-la-la, w życiu Toma Culpepera zawsze chodzi tylko o niego«. Naprawdę uważasz, że tylko ty jeden masz jakieś uczucia?”.

Mój ojciec, wyobrażony: „Nie wygaduj głupot. Ja nie mam uczuć.

Uczucia są dla bab i dzieci”.

Moja matka, podsłuchana: „Ale z ciebie dupek”.

Mój ojciec, wyobrażony: „Znowu płaczesz? Boże, sądziłem, że już dawno wykupiłaś wszystkie łyzy w okolicznych sklepach. Znowu je zamawiasz przez internet? Nie jesteśmy tak bogaci”.

Moja matka, podsłuchana: „To była najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam”.

Odłożyła słuchawkę.

To miejsce. Co za dziura. Czułam, jak nieustannie ciągnie za skraj mojej duszy, usiłując oderwać kolejny kawałek.

Jeszcze raz odtworzyłam nagranie przedstawiające Cole’a tracącego przytomność na scenie w klubie Josephine.

Potem do niego zadzwoniłam.

Odebrał od razu.

– *Da.*

Moje okrutne i nienawidzące serce zabiło szybciej. Na ekranie laptopa oczy Cole’a uciekły w górę. W muzyce zabrzmiał fałszywy ton, ale można to było wyłapać dopiero po czterdziestokrotnym obejrzeniu nagrania.

– Wciąż funkcjonujesz według czasu Minnesoty? – zapytałam.

– Funkcjonuję według dowolnego czasu, który sprawi, że ta rozmowa będzie trwała jak najdłużej – odparł.

– Jaki będzie teraz następny posiłek?

Na ekranie Cole próbował przytrzymać się syntezatora. Palce zsunęły mu się po klawiszach.

– Chyba śniadanie. Tak się nazywa pierwszy, prawda? Ten poranny?

Na nagraniu upadł twarzą na scenę i przestał się ruszać.

Miałam już serdecznie dość nieobecnych i martwych.

Nie będę się zbyt angażowała. Nie miałam zamiaru ponownie się w nim zakochać. Zawsze mogę po prostu odejść, tak jak poprzednio.

– Zjedzmy zatem śniadanie.

Po telefonie Isabel wszystko nagle było w porządku.

Zamówiłem falafela na wynos, siedziałem w samej bieliźnie i oglądałem teledyski. Ktoś mnie kiedyś zapytał po którymś z koncertów, czy się zgodzę z twierdzeniem, że teledyski umarły. Nie było możliwości, aby to się stało. Dopóki na świecie pozostanie choć jedna piosenka i choć jeden żywy człowiek, ktoś tę piosenkę zaśpiewa. A jeśli będzie piosenka i dwoje żywych ludzi, jedna osoba zaśpiewa, a druga to sfilmuje.

Teledyski znikną dopiero wtedy, kiedy oślepnjemy. A sama muzyka będzie nam towarzyszyła zawsze, bo nawet jeśli wszyscy stracimy słuch, wciąż będziemy mogli ją czuć.

Gdy tak siedziałem sam, oczyszczony uczuciem ulgi i bardzo odległy od czegokolwiek, co mógłbym nazwać swoim domem, uznałem, że tylko muzyka może mnie na powrót wypełnić. Zacząłem od zespołów, które znam. Potem pozwoliłem sugestiom z komentarzy, polecanym filmom i stronom z Wikipedii porwać mnie i ponieść w stronę bezdennych dźwiękowych tuneli podprzestrzennych. Słuchałem szwedzkiego folk rocka, Elvisa, austropopu, krautrocka, dubstepu i różnych rzeczy, dla których jeszcze nikt nie wymyślił nazwy.

W zamierzonych czasach, zanim stałem się kimś, kiedy byłem tylko dzieciakiem z klawiszami i dziwnym nazwiskiem, to było moim narkotykiem.

Byłem zmiennokształtnym.

Położyłem się na wznak na łóżku, ze słuchawkami w uszach, przy otwartym oknie. Księżyc wszedł i rzucił nowe cienie na moją twarz. Światła samochodów omiatały sufit z miarowością metronomu. Zmieszane zapachy Kalifornii wypełniły moje świeżo odtworzone wilcze nozdrza. A ja zanurzałem się w piosenkę za piosenką. Muzyka utrzymywała mnie na powierzchni i chroniła przed upadkiem. Daleko w dole był gówniany świat wypełniony nieistotnymi ludźmi. Ale tu, wśród tych dźwięków, istniała tylko czysta perfekcja.

Po jakimś czasie obudziłem się nagle. Uszy mi się pociły pod

słuchawkami. Miałem już dość spania, ale było zbyt wcześnie, żeby wstawać i się ubierać.

Muzyka, która jeszcze kilka godzin temu mnie poniosła, teraz sprawiała wrażenie zbyt ospałej, ale i tak siedziałem jeszcze przez kilka minut, słuchając kolejnych utworów. Gdzieś podświadomie wiedziałem, że jeśli pozostanę w bezruchu wystarczająco długo, usypiający czar muzyki w końcu ponownie na mnie zadziała.

Ale moja świadomość była już rozbudzona i nie dawała mi spokoju.

Wstałem z łóżka. Zaduch mieszkania, jego przytulność, te cztery ściany uwierały mnie jak zbyt ciasny but.

Wyszedłem na zewnątrz.

W chłodnym nocnym powietrzu czułem, że żyję. Serce biło mocno i wyraźnie.

Otynkowany domek po drugiej stronie podwórka był pograżony w mroku i bezruchu. Wyszedłem przez furtkę na ulicę. Zatrzymałem się na betonowej nawierzchni zaułka za domem i skrzywiłem się na widok samochodu, jaki załatwiła dla mnie Baby. W przyćmionym świetle latarni trudno było rozpoznać model. Obszedłem go dokoła i przyjrzałem się emblematowi marki, ale nawet to nic mi nie powiedziało. Był to jakiś niewidzialny samochód z początku wieku. Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Siedzenia pokrywała tapicerka w kolorze sierocych szmat.

Stałem obok, zostawiając otwarte drzwi, i wybrałem numer. Po dłuższym oczekiwaniu usłyszałem głos Baby. Przez telefon brzmiał ostrzej niż twarzą w twarz.

– St. Clair? – Po chwili się poprawiła: – Cole?

– Ten samochód się nie nada – zakomunikowałem. – Nikt nie zechce oglądać programu o gwiazdzie rocka jeżdżącej... Co to w ogóle jest? Saturn. Wiesz, widziałem saturna i jest dużo ciekawszy od tego samochodu. Ponadto saturn jest żółty, a ten samochód jest bardziej... menstrualny.

– Cole, jest trzecia dwadzieścia trzy.

– Dwadzieścia cztery – poprawiłem ją serdecznie. – Ale te minuty lecą, kiedy się starzejemy. Chcę swojego mustanga.

Tak właściwie to go nie chciałem, dopóki nie dotarłem do końca zdania. Ale teraz chciałem go w sposób pochłaniający wszystkie myśli.

– Nie załatwię ci mustanga – odparła Baby. – Nie mam wystarczającego budżetu.

– Nie bądź niemądra. Ja już *mam* mustanga. Jest w Phoenix w stanie Nowy Jork. – W garażu moich rodziców, zaraz obok mojego starego motocykla. Pokryty grubą warstwą kurzu. Zapłaciłem za niego ze swojej zaliczki. Nikt nim nie jeździł. – Ludzie chcieliby oglądać program o gwiazdzie rocka jeżdżącej czarnym mustangiem.

– Trzecia dwadzieścia pięć – zauważyła Baby.

Obraz mojego samochodu wwiercał mi się w mózg. Był rozwiązaniem wszystkich problemów stwarzanych przez niemające końca noce. Zastanawiałem się, czy byłbym skłonny zadzwonić do rodziców, żeby go zdobyć.

Nie. Nie byłbym.

– Im bardziej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że nie dam rady wystąpić w twoim programie bez tego samochodu.

– Trzecia dwadzieścia sześć.

– Szósta dwadzieścia sześć w Phoenix – zauważyłem. – A ten mustang wygląda doskonale w porannym świetle. Tylko pomyśl o tym.

Zakończyłem rozmowę. Saturn wciąż stał obok mnie, a ja wciąż byłem rozbudzony. Była nadal trzecia dwadzieścia sześć, chociaż wydawało mi się to niemożliwe.

Stałem bez ruchu, obmyślając dalsze działania. Kiedyś pojechałbym pewnie do Crenshaw czy gdzieś po działkę. Nie na teraz, ale na później. Żeby mieć coś do roboty, żeby powstrzymać to uporczywe ssanie w żołądku. Ale teraz dopiero co byłem wilkiem, dopiero co rozmawiałem z Isabel i dopiero co spałem.

Czułem ulgę, że dręczące mnie uczucie sprawiało wrażenie jedynie tępego bólu mięśni. Wspomnienie. Wszystko było w porządku. Ze mną. Wszystko było w porządku ze mną. „Ci, którzy mieli problemy z pewnymi substancjami”. Słowo kluczowe: „mieli”.

Isabel...

Rozważyłem zadzwonienie do niej, ale zbyt mnie cieszyło to, że odbiera telefony ode mnie, żeby ryzykować zepsucie tego wrażenie

próbą dodzwonienia się bladym świtem.

Wciąż trzecia dwadzieścia sześć. Zdawało się, jakby poranek miał nigdy nie nadejść.

Wybrałem inny numer i czekałem.

Powitał mnie głos podejrzliwy, ale uprzejmy.

– Halo?

– *Leon* – powitałem go radośnie. – Obudziłem cię? – Wiedziałem, że nie. Leon nie spał w nocy. Nie spał też w dzień. Był zbyt smutny, żeby w ogóle spać. – Mówi Cole St. Clair. Jestem jedną z tych gwiazd rocka, które wczoraj woziłeś. Pamiętasz? Byłem z nich wszystkich najbardziej czarujący. Ten od kawałka z saksofonem.

– Eee... pamiętam. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chyba chciałbym coś zjeść. Nic treściwego. Popcorn, lody, sardynki. Coś takiego. Raczej coś ogólnie udającego jedzenie.

Leon bardzo długo nie odpowiadał.

– I potrzebujesz szofera?

Zeskrobałem trochę anemicznej czerwonej farby z błotnika saturna.

– Och, nie, nie. Mam swój samochód. Pomyślałem sobie, że może chciałbyś się ze mną wybrać.

Tym razem milczał jeszcze dłużej.

– Panie St. Clair, czy to jest jakiś dowcip?

– Leonie – odpowiedziałem stanowczo – ja zawsze mówię poważnie. Wybieram się coś zjeść. Nie śpię. Ty też nie śpisz.

Towarzystwo wydaje się rozsądnym pomysłem. Skorzystaj z okazji i przekonaj się, czy ci się spodoba. Bez ciśnienia. Aha, mów mi Cole. O trzeciej dwadzieścia osiem w nocy nie ma żadnych panów. Noc jest świetna w niwelowaniu wszelkich różnic.

– I chodzi o zwykłe wyjście? To nie jest część twojego programu?

– Nawet nie wpadło mi to do głowy. Bombowy pomysł! Ale nie.

W tej chwili nawet kamerzyści śpią, Leonie.

Usłyszałem jakiś szelest, ale odpowiedź nie padła. Świadomość, że jeśli Leon nie zgodzi się mi towarzyszyć, będę musiał zrobić wszystko sam, straszliwie mnie przygnębiała. Jeśli o moim człowieczeństwie będzie mi przypominał tylko saturn, na pewno podejmę mnóstwo złych decyzji.

– Dotarcie do Venice zajmie mi dwadzieścia minut – powiedział w końcu Leon.

Okazało się, że w wolnym czasie Leon nie jeździ czarnym cadillakiem, lecz nieskazitelny i stateczny fordem 500. Pozwolił mi bawić się pokrętłami radia. Jechaliśmy wzdłuż Abbot Kinney, szukając jakiegoś otwartego lokalu, który nie byłby barem. Nie chodziło o to, że miałem coś przeciwko barom jako takim, ale momentalnie zostałbym rozpoznany. Do tego widok ludzi pijących alkohol przypominałby mi, jaki olśniewający i przyjacielski się robiłem po paru głębszych. Wtedy wszystko by się zawaliło.

Po namyśle musiałem przyznać, że jednak miałem coś przeciwko barom jako takim.

Leon zawiózł nas aż do samej plaży.

– Już niedaleko – zakomunikował, gramoląc się z samochodu.

Mówił miłym, skonsternowanym i oszołomionym głosem. Miał na sobie czarne portki i niebieską bluzę od dresu. Obie rzeczy wyglądały na świeżo wyjęte z szafy. Do tego gustowny zegarek. Należał do ludzi, których obdarzało się zaufaniem bez zastanowienia. Był jednym z tych, o których się po prostu nie myślało.

Pożerałem oczami otoczenie. Mój wilczo wyczulony węch wychwycił nikły zapach lodów, asfaltu, spienionego oceanu, lejącego się piwa, pierwszych pocałunków i ostatnich pocałunków. Miejsca parkingowe wzdłuż ulicy były zastawione pozbawionymi nawet śladu rdzy samochodami, które widywało się jedynie w lecie. Dziewczyny nosiły szorty i składały się głównie z nóg. Chłopcy za to składali się głównie z zębów. Księżyc zdawał się wisieć wyżej niż wcześniej. Puste sklepy krzyczały jaskrawymi barwami turkus, różu i żółci. Potknąłem się o krawężnik, wpatrzony w dwóch chłopaków puszczających latawiec na plaży. Ogon zabawki lśnił srebrzyście w świetle księżyca. Piersz wypełniały mi obrazy.

Tutaj wilk nie miał gdzie się schować.

– Nie jesteś stąd – stwierdził Leon.

A ja zrozumiałem, że obserwował mnie, jak przyglądam się wszystkiemu wokół. Wiedziałem, że on wiedział, że podobało mi się to,

co widzę. A ja nie miałem nic przeciwko byciu obserwowanym.

To niesamowicie jasne miejsce wołało mnie śpiewnie po imieniu, raz po raz, raz po raz.

– Nowy Jork – wyjaśniłem. Szybko dodałem: – Stan.

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy musiałem po raz pierwszy wyjaśnić, że chodzi o stan, nie o miasto. Pamiętałem tylko, że wtedy to rozróżnienie sprawiało wrażenie dużo ważniejszego. Skąd teraz pochodziłem? Nie stąd.

– Ty też nie jesteś stąd – przypominałem mu. – Cincinnati.

– Nie wierzę, że zapamiętałeś.

Doprowadził mnie do kawiarenki przypominającej włoskie restauracyjki – ciasnawe i ciemne wnętrza, większość stolików stojących na zewnątrz pod markizą. Chociaż nie wyraziłem na głos swoich obaw na temat zostania rozpoznany, Leon stanął przede mną, zasłaniając mnie przed kelnerką.

– Poproszę stół dla dwóch osób – powiedział. – W miarę możliwości przy chodniku.

Utwierdziłem się w przekonaniu, że właściwie go osądziłem. Był bardzo porządnym człowiekiem.

Kelnerka zaprowadziła nas do małego stolika. Po drugiej stronie chodnika zaczynała się plaża, a za nią – czarny ocean.

Rozmarzyłem się i poczułem, jakbym był pijany.

Siadając, niemal zderzyliśmy się głowami. Pomyślałem o zapisaniu w swoim małym notesie kilku linijek tekstu (*Jak kochankowie lub prawnicy/gryzący, z uśmiechem*). Zamiast tego jednak obserwowałem przejeżdżających deskorolkarzy.

– Podoba ci się tu? – zapytałem.

Odpowiedziało mi przedłużające się milczenie. Gdy spojrzałem na Leona, uśmiechnął się smutno i spuścił wzrok. W ciszy delikatnie rozłożył serwetkę. Miał mocne dłonie, szorstkie i pewne.

– Jestem tu już od dawna.

– Podobało ci się, gdy tu przyjechałeś po raz pierwszy?

– Co widzisz, kiedy patrzysz na to miasto?

– Magię – odparłem.

Pchnął menu w moją stronę.

– Powiedz mi, co byś chciał zjeść, a ja to dla ciebie zamówię. Tymczasem możesz napawać oczy widokiem oceanu.

Miał na myśli, że nie będę musiał rozmawiać z kelnerką moim sławnym głosem ani patrzeć na nią moimi sławnymi oczami. Teraz naprawdę mu się przyjrzałem. Kiedy był w moim wieku, musiał być diablo przystojny. Wciąż byłby, gdyby chodził wyprostowany i zachowywał się, jakby jednak miał jaja.

– Szoferujesz wielu sławnym ludziom? – zapytałem.

– Paru.

– Kiedy wsiadałem do twojego samochodu, nie miałeś pojęcia, kim jestem. A teraz chronisz mnie przed kelnerką?

– Wygooglałem cię, kiedy już wysiadłeś – wyjaśnił Leon.

Miło było słyszeć, że wciąż można było coś o mnie znaleźć w internecie.

– Doniesienia z czasów twojego zniknięcia były... – ciągnął. – Nie masz nic przeciwko mówieniu o tym?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem nic przeciwko czemukolwiek, o ile nie padnie imię Victora. Dopóki nie zapyta mnie, gdzie on jest.

– Cóż, spowodowałeś spore poruszenie.

– Tak naprawdę nie jestem wcale taki sławny – zaprzeczyłem, chociaż byłem trochę taki sławny. – Większość nie rozpoznaje mnie na ulicy. A nawet jeśli się tak zdarzy, biorą mnie za kogoś, kto mnie przypomina, albo nie mają odwagi się do mnie odezwać. Albo zlewa ich, że ja to ja.

To była prawda. Bycie rozpoznawanym nie było wcale wyczerpujące. Wyczerpujące było uczucie samotności w tłumie ludzi.

Leon przyjrzał mi się z zamyśloną miną. Wyraźnie było widać, że on nie lubił, kiedy ludzie rozpoznawali w nim Leona kierowcę. Panicznie się bał pogawędek w kolejce do kasy w supermarkecie. Gdy przychodziła do niego paczka, czekał, aż listonoszka zapukała kilkakrotnie, zostawiła pakunek na ziemi i wsiadła z powrotem do swojego samochodu. Dopiero wtedy otwierał drzwi. Śmierć psa musiała być dla niego ciężkim ciosem, to było widać jak na dłoni. Najtrudniejsze musiało być jednak szukanie sposobu na poradzenie sobie ze współczuciem służby weterynaryjnej.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziałem, przy czym chodziło mi bardziej o to, co wyrażała jego twarz, niż o znaczenie jego słów. – Nienawidzisz rozmowy o niczym. Przez coś takiego wszystko wydaje się nieistotne. Zgadzasz się. To głupota. Powinniśmy rozmawiać tylko o rzeczach ważnych.

– Nie potrafię rozmawiać o niczym. – Leon złagodził nienawiść do czegoś nieco łagodniejszego, ale się nie sprzeciwił. – Ale czy mam jakieś ważne rzeczy, o których moglibyśmy rozmawiać?

– W samochodzie opowiedziałeś mi historię swojego życia. To jest ważne.

– Poprosiłeś mnie o to.

– Naprawdę poprosiłem? To nie brzmi jak coś, co mogłem zrobić.

Kelnerka wróciła. Zamówiłem kanapkę z boczkiem, sałatą i pomidorem. Obyło się bez przykrych incydentów. Leon zamówił koktajl mleczny. Również obyło się bez przykrych incydentów. Kiedy dostał swój napój, objął kubek dłońmi i rozkoszował się smakiem. Zdawał się traktować to jako grzeszną przyjemność – coś dopuszczalnego tylko w środku nocy w towarzystwie nieznanego.

Był bardzo ponury, co zupełnie mijało się z celem całej eskapady. Zapytałem więc:

– Słuchaj, Leonie. Wiem, że nie przepadasz za tym miastem, ale gdybym cię zagadnął jako turysta, gdzie byś mi doradził pójść?

– Jesteś tu pierwszy raz?

Nie do końca.

– Byłem w trasie.

– Nie miałeś czasu na zwiedzanie?

Owszem, był czas na zwiedzanie. Zwodziłem kilka ulic w Koreatown, jedną w Echo Park i jeszcze jedną na Long Beach. Potem zwodziłem Rite Aid w poszukiwaniu strzykawek. Następnie zwodziłem balkon mojego pokoju hotelowego, później podłogę wewnątrz i ostatecznie płytki na posadzce łazienki. Po jakimś czasie przyszedł Victor, wyciągnął mnie z moich rzygów i doprowadził mnie do jako takiego porządku na koncert.

Byłem już wcześniej w Los Angeles, ale to się nie liczyło. Nawet na chwilę nie opuściłem swojej głowy.

– Chyba moło – stwierdził Leon, ale bez przekonania, tak jakby powtarzał coś zasłyszanego od kogoś innego. – Podobno jest tam ładnie o zachodzie słońca. Malibu? To jakieś trzy kwadransy jazdy wzdłuż wybrzeża.

– Malibu nie jest w L.A., Leonie – zauważyłem z poważną miną.

Spojrzałem ku fioletowej plaży. Wyobraziłem sobie bieg po piasku z łapami zamiast stóp. Stwierdziłem, że ze stopami będzie równie dobrze. – Sądzę, że powinieneś odwiedzić własne miasto.

– Może tak zrobię – odparł Leon z tą specyficzną uprzejmością, oznaczającą, że nie ma zamiaru tego zrobić.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Leon zgodził się zjeść pomidory z mojej kanapki.

– Trochę dziwnie tak zamawiać kanapkę z boczkiem i sałatą, ale gdybyś poprosił, nie dodawałaby pomidora.

Posolił trzymany plasterk. Gdy wkładał go do ust, nie wyglądał na ani odrobinę szczęśliwszego.

– Zapomniałem, że nie przepadam za pomidorem – wyjaśniłem. – Wiedziałaś, że należy do tej samej rodziny roślin co wilcza jagoda? Lekko trujące dla psów.

I dla wilków, jak sama nazwa wskazuje. Wystarczająco, żeby mnie przyprawić o ból brzucha.

– Czekolada też – stwierdził Leon, wpatrując się w swój koktajl. Przypomniałem sobie, że przecież jego pies zdechł. – Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Wszystkie pytania są osobiste.

– Ja nie...

– To znaczyło „tak”, Leon. Wal.

Nie miałem nic przeciwko odpowiadaniu na osobiste pytania. Przynajmniej dopóki nie dotyczyły Victora.

– Dlaczego wróciłeś?

Sprawiało to wrażenie pytania podchwytliwego. Moja z trudem wywalczona anonimowość – zapoczątkowana przeze mnie, a przypieczętowana przez Jeremy’ego – nie była błahostką. To była szansa zostania kimś innym. Ile takich szans człowiek dostaje? A mimo to ją odrzuciłem.

Wróciłem, gdyż musiałem to zrobić. Bo ze światem było wszystko w porządku. Poza tym, że się w nim starzałem. Ponieważ Sam i Grace powiedzieli mi, że powinienem to zrobić, jeśli tego właśnie chciałem.

A chciałem...

Chciałem.

Isabel...

Chciałem coś zrobić. Na początku byłem tylko dzieciakiem z klawiszami. Nie chodziło o całą otoczkę, ale o te godziny spędzone na wpadaniu z jednej piosenki w drugą.

– Chcę nagrać album. Brakuje mi muzyki.

Po jego twarzy było widać, że spodobała mu się moja odpowiedź. Kelnerka przyniosła rachunek.

– Spodobała mi się tamta piosenka – oznajmił Leon.

– Która... ach? Serio?

– Miałeś rację. Jazzowy. – Leon wykonał najbardziej subtelny gest jazzowych dłoni, jaki w życiu widziałem. Odwzajemniłem gest, tylko bardziej energicznie. – Nagrałeś kiedyś coś jeszcze z tą damą?

Zdecydowanie nigdy bym nie nazwał Magdalene damą. Kiedy nagrywałem tamten kawałek, kochałem się w niej po uszy.

– Teraz jest na to zbyt sławna – odparłem. – Nie słyszałeś o niej? Załapała się do filmów.

Wzruszył ramionami. Pewnie wolał inne filmy.

– Kupiłem też jeden z twoich albumów.

– Który?

Zastanowił się.

– Na okładce miał kobiecą bieliznę.

– Jeśli dzięki temu lepiej się poczujesz – pośpieszyłem z wyjaśnieniem, gdyż sprawiał wrażenie skonsternowanego – to miał ją na sobie Jeremy, nasz basista.

Poczułem wgrzyzającą się we mnie nostalgię. Nie, nie wgrzyzającą się. Podskubującą. Tylko trochę podskubującą.

– Cóż. – Leon wbił wzrok w zrzutkowe pieniądze leżące obok rachunku. – To tyle. Lepiej cię odwiozę.

Wskazałem ocean.

– Pacyfik – wyjaśnił Leon bez uśmiechu, ale z błyskiem w oku.

– Chyba powinniśmy zdjąć buty.

Zmarszczył brwi.

– Nie przepadam za takimi rzeczami.

Wiedziałem, że tak było, a przynajmniej wiedziałem, że zdecydowanie nie był kimś, kto porzuciłby swój samochód na środku autostrady w L.A. To zaś dość naturalnie prowadziło do osoby, która protestowałaby przeciwko podwinięciu nogawek, zrzuceniu butów i moczeniu stóp w oceanie z bliżej nieznaną gwiazdą rocka o piątej nad ranem.

– Nie patrz tak na mnie. Nie proponuję przecież, żebyśmy sobie zrobili bliźniacze dziary. Proponuję wspólny męski spacer po plaży. Ile zostało do wschodu słońca?

Spojrzał na swój gustowny zegarek.

– Jakieś trzydzieści minut.

– Czymże jest marne trzydzieści minut, jeśli można zobaczyć słońce wznoszące się nad oceanem?

– Jeśli chcesz zobaczyć słońce wznoszące się nad Pacyfikiem, będziemy musieli poczekać dłużej niż pół godziny.

– Oj, już nie bądź taki dokładny.

Spoglądaliśmy sobie w oczy w milczeniu. Leon wyglądał na znużonego, steranego życiem. Zacząłem już podejrzewać, że jest całkiem odporny na mój urok, ale w pewnej chwili pokręcił głową i schylił się, aby rozsznurować buty.

Z triumfem wypisanym na twarzy zrzuciłem trampki ze stóp. Podczas gdy Leon pieczołowicie wiązał sznurowadła i podwijał nogawki, ja maszerowałem po chłodnym piasku. Przy bulwarze plaża była sucha i miękka, a drobne ziarenka zdawały się nic nie ważyć. Mój towarzysz odchylił głowę do tyłu, aby przyjrzeć się helikopterowi lecącemu na południe wzdłuż wybrzeża. Amatorzy latawców gdzieś zniknęli. Plaża zdawała się w końcu układać do snu. Właśnie teraz, kiedy nadchodził czas pobudki.

Zaprowadziłem Leona na ubity piach na skraju zasięgu fal.

– Ożeż ty w mordę! – syknąłem.

Woda była lodowata. Każdy nerw mojego ciała drżał i trząsał się, rozważając przemianę w wilka.

– Zimna – skwitował Leon.

Szczękając zębami, przestępowałem z jednej nogi na drugą tak długo, aż nudności minęły, a moje ciało przypomniało sobie, że jest człowiekiem. *Tylko* człowiekiem.

– Czytałem, że w tej okolicy woda ma jakieś sześćdziesiąt cztery, może sześćdziesiąt pięć stopni⁶ – powiedział mój towarzysz. Wszedł na próbę nieco głębiej. – Wydaje się mieć mniej, prawda?

Gdy już przyzwyczałem się do temperatury, nie było tak źle. Wbiłem palce w dno. Coś umknęło mi spod stopy.

– Nie jesteśmy sami – zakomunikowałem. – Coś jest w piasku.

Leon przyklęknął, uważając, aby nie zamoczyć spodni, i zaczął energicznie kopać. Wydał z siebie serię dźwięków świadczących o rozczarowaniu, po czym wyprostował się z kupką piasku w dłoni.

– Jeden z tych cosiów powinien być w tym piasku.

Wyciągnął dłoń w moją stronę.

Przeszukałem piasek, aż w końcu natrafiłem na kryjącego się w nim stwora: owada czy skorupiaka o białym grzbiecie, wielkością niemal dorównującego ćwierćdolarówce. Miał mnóstwo odnóży.

– To jakiś obcy.

– Krab piaskowy. Nic ci nie zrobi.

– Jest strasznie brzydki.

– Brzydota jeszcze nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy.

Parsknąłem ironicznie.

– Och, brzydota jak najbardziej zrobiła krzywdę kilku osobom.

Problem w tym, że piękno krzywdzi częściej.

– Amen.

Leon ostrożnie wrzucił kraba do wody.

Przez parę minut szliśmy w milczeniu. Towarzyszyły nam tylko szum oceanu i warczenie samochodów sunących ulicą. Nad nami niebo najpierw poszarzało, a potem się zaróżowiło. Za kilka godzin zadzwonię do Isabel. Następnie włączę te zakurzone klawisze i zacznę komponować coś na serio. W nikłym blasku świtu dostrzegłem przelatujące stado pelikanów. Pomyślałem sobie, w jak pięknym znalazłem się miejscu, jaki jest ze mnie szczęściarz, a także, że wszystko, co na dobrą sprawę musiałem teraz zrobić, to tego nie spieprzyć.

Wyjąłem notes z tylnej kieszeni spodni. Leon przyglądał mi się badawczo, zapytałem więc:

– Co?

– Nic wielkiego. Jesteś po prostu inny, niż myślałem. Większość ludzi jest taka, na jaką wygląda. Co tam zapisałeś?

Kochankowie i prawnicy

Usta i zęby

Podlicz to wspomnienie

Określ jego cenę

Czy to twoje marzenie?

Oto twój rachunek

Tutaj coś mądrego

Pelikany są mądre

Był oczarowany.

– Tekst piosenki? Teraz to napisałeś? Czy to naprawdę będzie kiedyś piosenka?

– Może. Ten tekst o pelikanach jest jednym z moich najlepszych.

Zatrzymaliśmy się obaj i wpatrywaliśmy w horyzont. Słońce wschodziło za naszymi plecami, ale mgła czy może smog skradły większość jego pomarańczowej barwy, w wyniku czego ocean powoli stawał się niebiesko-fioletowy.

– Powinieneś zrobić zdjęcie – zwróciłem się do Leona. – Tylko mi nie mów, że nie przepadasz za takimi rzeczami. Zawsze możesz je skasować, kiedy już wrócisz do domu. Nigdy się nie dowiem.

Leon spojrzał na mnie z ukosa, ale wyjął telefon z kieszeni.

– No to pozuj.

– Co? Nie masz robić zdjęcia mnie. Masz zrobić zdjęcie tego

wspaniałego poranka. Albo siebie na tle tego wspaniałego poranka. Jako pamiątkę.

Był wyraźnie rozbawiony.

– Dobrze wiem, jak wyglądam. No dalej.

Odwróciłem się do niego i zrobiłem dłońmi słodkie różki na czole.

Zrobił zdjęcie.

– Uważam ten dzień za uchwycony – oznajmiłem.

Spojrzał na zegarek i dodał:

– A to dopiero jego początek.

Cole kupił na śniadanie torebkę czerstwych pączków z cukrem pudrem. Może nawet więcej niż jedną torebkę. Gdy dotarłam rano do jego domu, do furtki przyczepiona była kartka.

24-13-8. Podążaj za cukrem, księżniczko.

Za furtką rzeczywiście, bez kitu, zaczynał się sznur małych białych pączków prowadzący za róg betonowego budynku.

Pokręciłam głową, wbiłam kod i ruszyłam cukrowym szlakiem. Przesuwne drzwi prowadzące do budynku po drugiej stronie podwórka stały otworem, ale to nie do nich prowadziły pączki. Na trawie jakaś dziewczyna z blond dreadami i w brudnych bojówkach ćwiczyła jogę. Otworzyła oczy na krótką chwilę, która wystarczyła na ocenę mojego ubrania i okazanie skrajnej dezaprobaty dla mojego konsumpcjonizmu. Pączki nawet się do niej nie zbliżały.

Gdy dotarłam do ostatniego cukrowego znaku, Cole objawił się na balkonie nad moją głową. Był pięknie obnażony do pasa. Moje okulary przeciwsłoneczne nadawały jego skórze delikatny niebieskawy odcień. Na nogach miał te same dzinsy, w których widziałam go wczoraj. Jego włosy były w całkowitym nieładzie. Wyglądał gorączkowo to z jednej, to z drugiej strony balkonu, aż w końcu mnie zobaczył.

Serce zabiło mi mocniej. Próbowałam przywołać przed oczy obraz Cole'a tracącego przytomność na scenie. Albo wstrząsanego drgawkami na podłodze obok pustej strzykawki.

Wszystko, tylko nie jego obecny wygląd, nie ten wyraz twarzy, z którym powiedział mi dawno temu: „Tak bym cię pocałował, gdybym cię kochał”.

Nie miałam zamiaru się zbytnio angażować. Taki był plan.

– Schody – powiedział, wskazując stopnie. – Skończyły mi się pączki.

Widziałam wyraźnie, że w tej chwili w jego głowie kłębiło się mnóstwo różnych myśli.

– Czy na górze jest coś lepszego od pączków?

Poczułam na sobie kolejne spojrzenie dziewczyny od jogi.

Oceniała mnie. Cole'a też.

Jeśli zaraz nie przestanie, będzie miała coś naprawdę wartego oceny.

– Ja – odparł. Wskazał okap na rogu dachu. – Kamera, kamera, kamera. Normalnie klub podglądacza. Tak tylko mówię. Kamera. Tam też kamera. – Wykrzywił szyję, żeby lepiej przyjrzeć się skrajowi okapu. Mięśnie na jego plecach napięły się wspaniale i dekoncentrująco. – Czy widziałaś, żeby ktoś tu szedł?

Weszłam po schodach. Z balkonu roztaczał się widok na płaskie dachy domów stojących przy California Avenue.

– Nie. Spodziewasz się kogoś?

– Nie. Chyba nie. Nie wiem. Chodź, chodź, chodź. Na górę, na górę, na górę.

– Miło z twojej strony, że się tak wystroiłeś specjalnie na tę okazję. Cole spuścił wzrok i uszczypnął się lekko w pierś.

– Nie mam na sobie... Mam na sobie spodnie! Wchodź, wchodź. Zapraszam do mojego leża.

Wystrój wnętrza nieco mnie zaskoczył. Była to typowa dla Zachodniego Wybrzeża sztuczka: weź budynek wyglądający jak mały garaż i urządź w nim przestronne, obszerne mieszkanie.

Od razu zrozumiałam, że to lokum zostało urządzone *dla* Cole'a, a nie *przez* niego. Część dzienną od sypialni oddzielał pretensjonalnie awangardowy regał zastawiony kalifornijskimi durnostojkami. Ściany zdobiły oprawione stare plakaty turystyczne i atrapy neonów w stylu retro. W pokoju dziennym stał wyglądający na dość drogi syntezator. Znajdujący się obok głośnik pokrywała cienka warstewka kurzu.

Widok klawiszy sprowadził mnie na ziemię. To się działo naprawdę.

Wszędzie było mnóstwo kamer, niektóre zamontowano na wysokości kolan.

Na jedyny ślad Cole'owego podejścia do wystroju wnętrza natrafiłam w maleńkim aneksie kuchennym. Miniaturowy, długi może na łokieć blat był zagracony niedopitymi butelkami z wodą, otwartą torebką chipsów i niedojedzoną parówką spoczywającą na wymiętolonej bułce.

– Odrażające – oznajmiłam.

Do kosza miałam równie blisko co on, ale nie ruszyłam się z miejsca, dopóki Cole nie zachnął się i nie zmiotł bałaganu do śmieci.

– Czy to było nasze śniadanie? Może jednak powinnam była zjeść te pączki z chodnika?

W odpowiedzi Cole chwycił mnie za rękę, nieco teatralnie zaciągnął do łazienki i zatrzęsął za nami drzwi. Moje odbicie pojawiło się równocześnie w lustrze i szklanych ściankach obudowy prysznic.

– Hej...

Cole przyłożył palec do ust, drugą ręką wskazując drzwi za naszymi plecami.

– Kamery. Kamery, kamery, kamery.

– Ale nie tu?

Rozejrzałam się po łazience. Podobnie jak w pozostałej części mieszkania było tu przestronnie. Zdecydowanie dość miejsca dla gwiazdy rocka i mnie. Wzięłam głęboki wdech. Czułam tylko zapach odświeżacza powietrza i mydła. Ani śladu woni wilka. Musiałam sama przed sobą przyznać, że sprawiło mi to większą ulgę, niż sądziłam.

– No, jest ta jedna – powiedział lekceważąco i wskazał kamerę leżącą w szycowej umywalce, która była oczywiście odłączona i częściowo rozebrana: elektroniczna sekcja zwłok.

– Gdzie ją znalazłeś?

Wszedł bosy do brodzika, nie odkręcając wody.

– Nad łóżkiem. Chciałem się przekonać, jak szybko ktoś się zorientuje, że jej tam nie ma. Wejdz, drogie dziecię, i zobacz, jakie cuda cię czekają.

– Próbujesz być zabawny czy masz na myśli prysznic?

Cole oparł się plecami o ścianę, odsłaniając ręczniki rozpostarte na wyłożonych kafelkami siedziskach. Za stół służył żółty plastikowy kuchenny stołek. Wykonał ręką szeroki, zapraszający gest.

To było śniadanie.

Z ciężkim westchnieniem weszłam do brodzika i opadłam na ręczniki. Cole usiadł naprzeciwko mnie. Na improwizowanym stoliku stała miska z kilkoma pączkami – te miały jakąś czekoladopodobną polewę; najwyraźniej te z cukrem pudrem służyły tylko zwabianiu dziewczyn do mieszkania. Obok w kubku znajdowały się dwa jajka

i jedno kiwi. Między nimi tkwiła pusta szklanka. Cole sięgnął i przesunął ją nieznacznie w moją stronę.

– Szykowne – stwierdziłam. – Czy możesz mi objaśnić dania?

Cole rozprostował z trzaskiem palce i przystąpił do prezentacji, wskazując kolejno naczynia:

– Tutaj mamy miniaturowe glazurowane czekoladowe ciastka łożenkowe z parafinową polewą. Tutaj: parę jaj z wolnego wybiegu, prawdopodobnie ugotowanych na twardo, a przynajmniej moczonych przez dłuższy czas. Obok nich zaś znajdziesz włochate zielone jajko. A tu...

Wziął z rogu brodzika dwulitrową butelkę dietetycznej coli, otworzył ją i napełnił szklankę. Gdy bąbelki zaczęły się przelewać przez brzeg, włożył do środka palec, żeby powstrzymać pienienie.

– Dla siebie nie masz szklanki?

Cole oblizał palec, po czym pociągnął solidny łyk prosto z butelki.

– Jakoś to zniosę.

– Jakże szlachetnie z twojej strony.

Trudno było wyobrazić sobie osobę, która byłaby niewrażliwa na urok *tego* Cole'a.

– Czy mogę obrać ci jajko?

– Bo ja wiem? Może i możesz.

– Czy obrać ci jajko?

Machnęłam ręką. Mozolnie oskubał skorupkę i podał mi rezultat swoich starań. Poskubałam trochę białko, podczas gdy on męczył się ze skorupką drugiego jajka. Gdy doszłam do żółtka, które było ugotowane raczej na miękko niż na twardo, Cole włożył całość do ust i połknął od razu.

– Wcinaj, wcinaj – rzucił.

Oddałam mu resztę swojego dania.

– Czy naprawdę nagrywają wszystko, co robisz?

Cole spałaszował to, co zostało z mojego jajka, i podał mi jeden z pączków.

– To ma być tylko taki spontaniczny dokument o mnie nagrywającym nowy album. Ale mogę się założyć, że liczą na spektakularną katastrofę.

Spojrzałam mu w oczy. Cole miał na koncie już tyle różnych katastrof, że trudno było wybrać tę, która postawiłaby go w najgorszym świetle.

– Doczekają się jej?

– Wykluczone – odparł beztrąsko.

Czułam się jak wczoraj, kiedy tak szybko odpowiedział, że przyjechał tu dla mnie. Nie mogłam uwierzyć w odpowiedź udzieloną bez żadnego namysłu. Ale może rzeczywiście miał rację. Nie znałam już zasad rządzących jego przemianami. W zasadzie to nigdy ich nie znałam, tylko wydawało mi się, że wszystko zależy od temperatury. Im było zimniej, tym większe prawdopodobieństwo przekształcenia się w wilka. Ale w wypadku Cole'a to nigdy nie było takie proste. Dlatego skrupulatnie wystawiał swój mózg na działanie wielu różnych substancji. Kiedy opuszczałam Minnesotę, przeprowadzał eksperymenty z przemianą.

Podejrzewałam, że teraz potrafiłby zmienić się na zawołanie.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Właściwie było to lepsze od heroiny, ale to nie heroina zabiła mojego brata.

Podał mi drugi pączek. Przyjęłam go. Czerstwe ciasto nie smakowało nawet tak źle, jeśli popiło się je odpowiednią ilością coli.

– Czy Sam wie, że tu jesteś? – zapytałam.

Sam był jednym z członków watahy z Minnesoty. Tak jakby. Został mniej więcej wyleczony. Czy raczej był tak jakby na dobrej drodze do wyleczenia. Zapewne powinnam była do niego zadzwonić i zapytać, jak sobie radzi. Zapewne powinnam była zadzwonić do Grace i zapytać, czy nadal z radością wyczekuje rozpoczęcia college'u. Ale jak już wspomniałam, nie byłam zbyt przyjacielska.

– Aha.

– Czy uznał to za dobry pomysł?

Cole wzruszył ramionami.

– Dla niego dobry pomysł to studiowanie tajemniczej poezji.

Chciał wiedzieć, czy wataha będzie bezpieczna. Będzie. O wszystko zadbałem. Poradzą sobie aż do nadejścia zimy. Poza tym wiedział, że chciałem sam zarobić jakieś pieniądze. Nie żeby bycie właścicielem ziemskim nie było miłe i w ogóle.

Chodziło mu o ziemię, którą kupił dla watahy.

„A co ze mną?”

– To nie musiała być Kalifornia – ciągnął. – Mogłem wybrać Nowy Jork. Albo Nashville.

Nie powiedział nic więcej. Nie chciałam drażnić tematu, bo czułam niespotykany napływ emocji. Te kilka jego słów wystarczyło, żeby niepokojąco zburzyć moją równowagę. Dlatego zmieniłam temat.

– Co z twoim zielonym jajkiem?

Cole podniósł owoc kiwi.

– Je się jakoś obiera?

– Na pewno nie palcami – odparłam. Tak właściwie to nie miałam pojęcia, jak to się robi. Zawsze widywałam je od razu w stanie, jaki Bóg dla nich przewidział: obrane i pokrojone na kawałki. Sofia zapewne potrafiłaby zrobić z tego co najmniej cztery potrawy. – Czy skóra jest gruba?

Nadgryzł owoc na tyle, żeby przebić włochatą skórę, i zaczął skubać brzeg otworu. Wyglądało to, jakby zdejmował z owocu ubranie. Gdy udało mu się odsłonić cenny kawałek mięszu, wyciągnął rękę w moją stronę.

– Chcesz zacząć?

Pochyliłam się, aby odgryźć odrobinę. Sok spłynął mi po ustach. Zanim zdążyłam je otrzeć, Cole przycisnął mi kciuk do warg. Zebrał palcem trochę soku, po czym zlizął go powoli, tak jakby czuł smak moich ust na swoich. Nie mogłam oderwać wzroku od jego warg.

W następnej chwili całowaliśmy się wygłodniałe i mocno, nie mogąc się od siebie oderwać. Każdy kolejny pocałunek przechodził natychmiast w następny. Usłyszałam stuk spadającej szklanki i bulgot napoju znikającego w odpływie. Poczułam na policzku wierzch jego dłoni, w palcach wciąż trzymał napoczęte kiwi. Wszystko wokół pachniało rajem. Przesunęłam palcami po jego obojczyku, żebrach, aż do bioder tuż nad paskiem spodni. Czułam się, jakby całe wieki minęły od ostatniego razu, kiedy dotykałam drugiej osoby. Był taki prawdziwy, a jego skóra – taka ciepła. Na języku czułam jego słony pot. Miałam wrażenie, jakbym widziała go pierwszy raz od bardzo dawna. Jakby całowanie go było jedyną rzeczą, jakiej pragnęłam od wielu miesięcy.

Niecierpliwie kopnął na bok nędzne resztki improwizowanego śniadania i przyciągnął mnie do siebie. Kiwi dołączyło do coli w kratce odpływowej. Jedną dłoń przycisnął do mojego policzka, drugą chwycił moje udo, wsuwając palce pod spódniczkę. Nie mogłam złapać oddechu. Było niedobrze. Pragnęłam go zbyt mocno, aby się powstrzymać. A musiałam się powstrzymać albo... albo...

Telefon zaczął dzwonić z natarczywością alarmu pożarowego.

Nie odrywając warg od moich ust, Cole powiedział tylko:

– Nie.

Ale telefon wciąż dźwięczał. Początkowo nie rozumiałam, w jaki sposób dźwięk może dobiegać z tak bliska. Wtedy mój wzrok padł na aparat wiszący na ścianie obok sedesu.

Cole wydał z siebie najbardziej charkotliwe westchnienie świata.

Sądziłam, że poczuję ulgę. Nie poczułam.

Palce, które zaciskałam cały czas na pasku jego dżinsów, opadły bezwładnie, gdy wstał. Przetarł twarz dłonią i wyszedł z brodzika. Nogą opuścił deskę i usiadł na niej, po czym podniósł słuchawkę. Włosy nadal miał w strasznym nieładzie, ale teraz w jakiś dziwny sposób wyglądał na ubranego.

– *Da* – rzucił raczej spokojnym głosem. Twarz mu stężała.

Wyglądał na bardziej niespokojnego, niż kiedy mnie witał, kiedy mnie zapraszał do prysznicza czy kiedy mnie całował. Przez chwilę tylko słuchał. – Jasne. No to mi ją wyślij. Och, zapewniam cię, że tak właśnie brzmi mój głos, kiedy jestem zadowolony. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem zadowolony.

Zaczęłam zbierać rzeczy z podłogi brodzika. Odwróciłam stołek do góry nogami i wrzuciłam miski i skorupki po jajkach do wgłębienia pośrodku.

Gdy skończyłam sprzątać, wyszłam spod prysznicza i oparłam się o umywalkę. Cole stał na środku łazienki i przeglądał coś na swoim telefonie. Serce wciąż mi waliło w piersi. Podeszedł do mnie i oparł się obok, stykając się ze mną ramieniem, ze wzrokiem wciąż wbitym w ekran.

Moje myśli przypominały ekran w kinie przed włączeniem projektora.

Po chwili przechylił telefon tak, abym mogła przeczytać wyświetlany mejl.

Od: Baby North. Temat: PRZESŁUCHANIA.

T mi powiedział, że organizujesz na plaży przesłuchania. Przekręciłam do paru osób, aby świat wiedział, gdzie powinien się zjawić. Kiedy już wszystko załatwisz, zajrzyj do notesu. Zapisałam tam kilka pomysłów. Czekam na sygnał.

Cole wyjął z tylnej kieszeni spodni mały notes. Wyglądał na kupiony niedawno. Otworzył go i spojrzał na pierwszą stronę zapisaną pochyłym, energicznym pismem.

Ujawnić swoją prawdziwą tożsamość fanom na dziale z muzyką w Target.

Urządzić imprezę dla całej okolicy.

Zepsuć komuś ślub.

Ukraść samochód.

No wiesz, być sobą.

– Wydawało mi się, że program ma być o nagrywaniu albumu? – zapytałam retorycznie.

– A kto by to chciał oglądać?

Zmarszczył brwi, studiując krótką listę. Ale nie sprawiał wrażenia poirytowanego. Wyglądał raczej jak ktoś czytający nieco dziwną listę zakupów i zastanawiający się nad jej realizacją.

– Naprawdę chcesz zrobić to wszystko?

– Może – odparł. – Chociaż potrafię wymyślić lepsze.

– Ona chce, żebyś zawałił.

Postukał notesem o usta.

– Ona chce, żebym *wyglądał*, jakbym zawałił.

– Na jedno wychodzi.

Nie wykazywał najmniejszej chęci ciągnięcia tego tematu.

– To tylko gra. Wiem, czego ode mnie chcą.

– Kim są ci oni? Skąd nagle się wzięła liczba mnoga?

– Masy. Ludzie. Nie oglądasz telewizji?

Owszem, oglądałam. Nawet widziałam programy Baby.

Pomyślałam o tych wszystkich kamerach zamocowanych na wysokości kolan. Doskonale nadawały się do nagrania kogoś upadającego na

podłogę.

Chciałam mu powiedzieć, żeby to rzucił i został tu tylko dla mnie.

Ale to przeczyło mojemu postanowieniu, by się zbytnio nie angażować.

Projektor w mojej głowie zaczął wyświetlać obrazy. Zobaczyłam wszystkie rzeczy, przez które mogłabym płakać.

Odepchnęłam się od umywalki.

– Muszę iść do pracy.

– Do *pracy* – powtórzył jak echo Cole, wymawiając słowo „praca”, jakby słyszał je po raz pierwszy w życiu. – W jaki sposób możesz jednocześnie pracować i pomagać mi w niszczeniu nadziei kilkunastu młodych basistów?

– Nie mogę. Nie będzie mnie na tym twoim... twoim czymś. Nie mam zamiaru brać udziału w show Cole’a St. Claira.

– Straszna nuda – powiedział Cole z wyćwiczoną kamienną twarzą.

Wiedziałam, że tak naprawdę miał na myśli frustrację albo irytację, a nie nudę.

– Cóż, takie są porządki w show Isabel. Zadzwoń do mnie, kiedy znowu będziesz poza zasięgiem kamer.

Z jakiegoś powodu zrobiłam się strasznie drażliwa. Za każdym razem, kiedy moje uczucia były zmuszane do jakiejś aktywności, w pierwszym odruchu zachowywały się jak jeż dźgnięty kijem.

Otworzyłam drzwi do łazienki.

– Kurde, tak po prostu? – zapytał Cole.

– Tak po prostu – odparłam. – Bywaj.

Weszłam w pole widzenia licznych kamer. Cole został w łazience, poza ich zasięgiem. Przyłożył do ucha dłoń w geście udającym rozmowę przez telefon i poruszył ustami, chociaż z ruchu warg wychodziła mi inna czynność niż telefonowanie.

Wbrew mojej woli uśmiech przemknął przez moją twarz. Po szybkości, z jaką uśmiechnął się w odpowiedzi, zrozumiałam, że tylko czekał, aż zrobię coś wybacznego.

Szczerze mówiąc, nie był sam.

Gdy Isabel wyszła na zewnątrz, czułem się naładowany i gotowy do bycia Cole'em St. Clairem. Byłem w tak doskonałym nastroju, że mimowolnie wspomniałem czasy, kiedy odtwarzałem to uczucie różnymi narkotykami. Pomyślałem, że kiedyś w takiej chwili poszedłbym jakichś poszukać – nie na teraz, ale na później. Jako nagrodę za dobre zachowanie. Prywatny odlot w niegroźnym otoczeniu. Nawet myśląc o Isabel, poczułem wzbierające nerwowość i niecierpliwy niepokój. Podświadomość już zaczynała układać plan rajdu po L.A.

Stłumiłem te myśli, czując się podle już na samo wspomnienie. „Myśleć to nie robić”.

Pomyślałem o tych paru chwilach sprzed kilku godzin, kiedy byłem wilkiem. „Ostatni raz, nawet to, przynajmniej na jakiś czas” – powiedziałem sobie. To nie było przestępstwo, ale nie potrzebowałem tego.

Zaraz potem wziąłem się do pracy. W drodze na plażę zadzwoniłem do Jeremy'ego, chociaż doskonale wiedziałem, co powie. Był członkiem NARKOTIKI, co znaczyło też, że był częścią mnie. Znałem go więc na wylot.

Odebrał po czwartym sygnale.

Przyglądałem się swojemu odbiciu w witrynach mijanych sklepów.
– Zakładam, że marne szanse, żebyś chciał znowu grać dla mnie na basie?

– Hej, stary – powiedział Jeremy wyluzowanym głosem, po swojemu charakterystycznie przeciągając sylaby. Miał najwspanialszy południowy akcent, jaki można było spotkać u kogoś urodzonego w północnej części stanu Nowy Jork. Znałem go dość długo, aby pamiętać czasy sprzed tego akcentu. Jeśli zaskoczyłem go telefonem po przeszło roku milczenia, nie dawał tego po sobie poznać. – Sądziłem, że zapadłeś się pod ziemię.

Dźwięk jego głosu jednocześnie mnie uspokajał i dusił. Jeremy był nierozzerwalnie związany z moimi wspomnieniami z czasów świetności NARKOTIKI. A te były nierozzerwalnie związane ze wszystkim, co

robiłem, zanim zostałem wilkołakiem. Jedna wielka okropna nostalgia.

– Wydostałem się z powrotem na powierzchnię niczym wspaniały motyl. A teraz będę w telewizji.

– Mhm.

– Potrzebuję basisty. Słuchaj...

– Ćśś – przerwał mi łagodnie Jeremy. – Szukam cię w Google’u.

Czekałem. Poganianie Jeremy’ego nie miało najmniejszego sensu. Przypominałoby to walkę z mgłą. Przeszedłem pół drogi do następnego skrzyżowania w olśniewającym słońcu, podczas gdy on czytał najnowsze doniesienia na mój temat.

– Widzę jeden problem z twoim występem w reality show – stwierdził w końcu. – Z realnym światem zawsze byłeś nieco na bakier.

Przystanąłem, aby przyjrzeć się okularom przeciwsłonecznym na wystawie. We wszystkich szklach pojawiły się moje malutkie barwne odbicia.

– Ściągnęli dla mnie najgorszego basistę pod słońcem.

– Cole, sądzę, że wąpię – odparł łagodnie. – Sprawiają wrażenie mądrych. Użyli cyfr zamiast liter w adresie swojej strony.

– W tym gościu nie było nic właściwego. A do tego zatrudniła jeszcze gitarzystę. Ale to już zupełnie inna bajka.

– Gitary to te dziwne cosie z sześcioma strunami, co nie?

Widziałem kiedyś jakąś?

Omiotłem wzrokiem wystawę kolejnego sklepu. Cała była wypełniona niebieskimi paskami. Chyba trochę przesadzili ze specjalizacją.

– *Mówiłem* jej, że nie chcę gitarzysty.

– Zakładam, że już go nie ma.

– A, tak, jasna sprawa. No i teraz zamierzam zrobić na plaży przesłuchanie. Najfajniej by było, gdybyś się na nim zjawiał i był najlepszy.

– Och – mruknął Jeremy. – Ale ja nie wiem, czy jestem najlepszy.

Nigdy się nie przechwalał. Nawet w żartach. To pewnie ten cały jego buddyzm czy coś. Zmienił wyznanie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy został południowcem.

– Wiesz, o co mi chodzi. Robię przesłuchanie na Jeremy’ego, a ty

byłbyś Jeremym.

Zatrzymałem się przy jeszcze innej wystawie. Mimo szczerých starań nie mogłem ustalić, co właściwie sprzedawano w tym sklepie.

– Zdajesz sobie sprawę, że gram już w innym zespole, prawda? – zapytał.

Owszem, zdawałem sobie z tego sprawę. Nie tylko on umiał korzystać z wyszukiwarki. Nie miałem mu tego za złe. Teoretycznie zaginałem na ponad rok, a następnie teoretycznie wypadłem z branży na kolejne kilka miesięcy. Na jego miejscu też bym sobie znalazł nowy zespół.

– Nie są tak fajni jak ja – powiedziałem.

Jeremy przez chwilę milczał.

– Ano nie, nie są. Ale ich lubię i nie chciałbym ich zostawiać na lodzie.

– To tylko sześć tygodni. Potem możesz do nich wracać. Bez szwanku. W jednym kawałku. Jedyna różnica będzie taka, że po czasie spędzonym ze mną zostaną ci niezapomniane wspomnienia.

– W to nie wątpię. Ale to nie byłoby tylko sześć tygodni. Po albumie ruszasz w trasę, co nie?

Tak podejrzewałem. Tak się właśnie robiło – nagrywało album, grało parę koncertów, sprzedawało płyty. Kiedy wszystko dobrze szło, było to bardzo przyjemne. Byłem w tym dobry. Kiedy wszystko dobrze szło.

Problem polegał na tym, że kiedy coś zaczynało iść źle, robiło się niebezpiecznie. Głównie jednak dla mnie, rzadziej dla postronnych.

– To jak będzie?

Przez chwilę milczał, tak jakby się nad tym zastanawiał. Ale jak już wspominałem, znałem Jeremy'ego. Kiedy graliśmy razem w zespole, znaliśmy się nawzajem lepiej niż samych siebie. Dlatego właśnie byliśmy *najlepsi*. Wiedziałem zatem doskonale, co za chwilę powie. Nie wiedziałem tylko, jakich słów użyje.

– Nie sądzę, żeby udanie się z tobą w trasę było dobrym pomysłem – powiedział w końcu. – To jak cofanie się.

Świetnie rozumiałem, co miał na myśli. Ale i tak powiedziałem:

– Przesuwanie się w bok. Cofanie się jest niepotrzebnie negatywne.

– Słuchaj, Cole, naprawdę się cieszę, że...

Nie dokończył zdania, pozostawiając mi domysły, co chciał powiedzieć. „...jesteś w Los Angeles”, „...wróciłeś do muzyki”, „...jeszcze żyjesz”.

Wszystko sprowadzało się do tego, że mi nie ufał.

Jego zwątpienie zrobiło w moim teflonowym sercu większe wgłębienie, niż się spodziewałem.

– Mogę mimo to przyjść na przesłuchania? – zapytał jak gdyby nigdy nic po paru chwilach milczenia. – Żeby popatrzeć.

– Tylko jeśli pomożesz mi wybrać twój następcę.

– Chętnie.

Żaden z nas nawet słowem nie wspomniał o Victorze. Może tylko ja myślałem w tej chwili o tym, jak bardzo właśnie o nim nie rozmawiamy. Może było łatwiej nie pamiętać, jeśli się nie kopało jego grobu. Jeśli nie było się tym, który go pogrzebał.

„– Co z Victorem, Cole? – zapytał wtedy Jeremy”.

Pamiętasz, jak robiliśmy wszystko razem? Przekonałem go, żeby razem ze mną został wilkołakiem. Teraz ja mieszkam w apartamencie w Kalifornii, a on leży w bezimiennym grobie w Minnesocie.

„– On też to wybrał. To nie była tylko twoja decyzja – podkreślił Jeremy”.

Czasem udaję, że tak właśnie było.

– Cole? Jesteś tam jeszcze?

– Zawsze tu jestem – odparłem, chociaż przez chwilę byłem jednak gdzie indziej. – Przyglądam ci się, kiedy śpisz.

– Wiem. Czuję to. Jaki jest patent na dziś? Jaki masz patent?

Moje odbicie w witrynie sklepowej w końcu się uśmiechnęło. Patent. *Patent*. Kiedy ruszaliśmy w trasę, zanim wszystko poszło w cholerę, każdy występ był inny. Nie chodziło tylko o inny zestaw utworów. Czasem wychodziliśmy przebrani za zombi, czasem graliśmy jakiś kawałek od tyłu, czasem nasączaliśmy dynię benzyną i podpalaliśmy ją na scenie. Pewnie, w koncertach chodziło o muzykę – ona była dla nas zawsze najważniejsza – ale chodziło też o naszą grę. O zaskoczenie publiczności. Po paru razach zaczęliśmy nazywać to patentem. „Jaki jest patent na dziś, Jeremy? Jaki jest patent na dziś,

Victor?”.

Chociaż w zasadzie zawsze brzmiało to tak:

„Jaki jest patent na dziś, Cole?”.

– Szukałem rekwizytów, ale mają tu straszną kichę – odparłem.

– Mogę jakoś pomóc?

Już miałem zaprzeczyć i powiedzieć, że muszę się jeszcze zastanowić, ale właśnie wtedy moje myśli zrobiły nagle salto i wpadłem na nowy pomysł.

Zmrużyłem oczy.

– Jak tam twoje głośniki?

Czasem rozwiązywałam w internecie quizy, żeby się przekonać, czy jestem socjopatką. W naszym społeczeństwie powszechny był pogląd, że większość socjopatów to mężczyźni. Ale to było paskudne, ohydne kłamstwo powtarzane w kółko przez media. Po świecie chodzi więcej nieczułych dziewczyn, niż ludzie chcieliby przyznać.

Może nie byłam szalona. Ale w takim wypadku wszyscy inni byli wariatami.

Nie wiedziałam, dlaczego byłam taka wredna w stosunku do Cole'a. A myśląc: „Cole”, miałam tak naprawdę na myśli: „wszyscy ludzie na świecie”.

Był zaledwie kilka kilometrów ode mnie. W Kalifornii. W L.A.

W pracy upływające minuty zdawały się rozmyte i rozciągnięte w czasie. Poprawiłam niewielki stos fiołkowych bluzek z szerokim dekoltem, starłam kurz z liści roślin i na koniec udałam się na zaplecze. Sierry nie było, ale zostawiła dowód swojej bytności – stertę pasków tkaniny i „inspiracji”, jak nazywała dziwaczne rzeczy zbierane w ramach szukania pomysłów na nowe ubrania. Od wczoraj przybyła butelka po mleku, jakiś wysuszony w zamrażarce liść i rzecz dość groteskowa – noga mewy.

Nie mogłam się doczekać możliwości wieszania w sklepie ciuchów zainspirowanych kawałkiem rozczłonkowanego ptaka.

Zepchnęłam bajzel Sierry na bok, usiadłam na blacie i wyciągnęłam notatki z kursu DAP. Najtrudniejsze w tych zajęciach było dla mnie zapamiętanie rozwinięcia tego skrótu. Dyplomowana. Asystentka. Pielęgniarska. Podobno dobrze było mieć za sobą taki kurs, jeśli chciało się dostać na pierwszy rok przygotowań na medycynę, nie mogłam jednak dojść dlaczego. W oknie przeglądarki w telefonie wciąż miałam otwarte jedno z pytań testowych. Brzmiało tak:

Wchodzisz do pokoju pacjenta i przyłapujesz go na masturbacji.
Co robisz?

- a) Wybuchasz śmiechem i zamykasz drzwi.
- b) Uprzejmie prosisz, aby przestał.

- c) Zamykasz drzwi, aby zapewnić mu trochę prywatności.
- d) Wyjaśniasz mu, dlaczego masturbacja może być szkodliwa.
- e) Donosisz o incydencie pielęgniarki oddziałowej.

Uczyłam się tego na zajęciach. Uczyłam się tego na zajęciach.

Wybierałam się do college'u. Wybierałam się do college'u.

Zamierzałam zostać lekarką. Zamierzałam zostać lekarką.

Miałam nadzieję, że jeśli będę powtarzała to w kółko jak mantrę, nie tylko wszystko to stanie się prawdą, ale także zaczniesz mieć jakiś sens. Albo przynajmniej będzie sprawiało wrażenie prawdy. Albo będzie zachowywało pozory jakiegokolwiek sensu.

Godziny skurczyły się do minut. Poranek spędzony z Cole'em był kolorowy. Wszystko inne było czarno-białe.

Sprzedawałam bluzkę na ramiączkach.

Zadzwoiła moja matka.

– Isabel? Czy masz na sobie te białe spodnie?

Niedawno ktoś pokazał mi kolekcję portretów jakiegoś fotografa, którego interesowały podobieństwa w rodzinach. Na każdym zdjęciu skleiono połówki dwóch różnych twarzy: na przykład ojca z lewej i syna z prawej. Jeśli ktoś zrobiłby takie zdjęcie mnie i mojej matce, w spreparowanej z naszych twarzy fotografii nic by się oglądającemu nie wydało dziwne. Miałyśmy taki sam wzrost, taką samą wagę, takie same blond włosy, takie same niebieskie oczy i takie same zrosnięte brwi, przez które wyglądałyśmy na stale zagniewane. Z racji noszenia tego samego rozmiaru mogłyśmy dowolnie wymieniać się ubraniami, chociaż rzadko to robiłyśmy. Mnie nie interesowały spódnice ołówkowe, a moja matka nie lubiła odsłaniać brzucha.

Ale białe spodnie były wspólne. Wysoki stan, wąskie nogawki – idealny hollywoodzki szyk. Nosiłam je z kusymi bluzkami w lamparcie cętki, odsłaniającymi kuszący pasek skóry. Matka zakładała do nich zmysłową czarną zapinaną bluzkę, która moim zdaniem była bardziej zmysłowa od mojej.

– Na kim chcesz wywrzeć wrażenie? – zapytałam.

– Nie bądź taka wścibska – odparła matka. – Masz je na sobie czy nie?

– Zaniiosłam je do pralni. Coś na nich było. Coś obrzydliwego. Nie

chcę o tym myśleć.

Moja rodzicielka cmoknęła z dezaprobatą.

– To była kawa. Idę teraz do pralni. Chciałam je właśnie zanieść.

O której wrócisz do domu?

– O ósmej, jeśli nie będzie korków. Ale od razu wychodzimy z Sofią. O której wychodzisz do pracy?

– O ósmej, jeśli nie będzie korków.

Ostatnio miała wiele nocnych dyżurów. Częściowo dlatego, że była nową lekarką w starym szpitalu, a nocna zmiana zawsze przypadała osobom z samego dołu służbowej hierarchii. Częściowo również dlatego, że dzięki tym dyżurom mogła potem przespać większość codziennej rzeczywistości. W ten sposób oszczędzała na winie.

– Aha, cóż. Do zobaczenia jutro.

Nie czułam się z tego powodu szczególnie źle. Matka zresztą też nie. Ukończenie szkoły i osiągnięcie pełnoletności spowodowało zaledwie uzyskanie społecznej akceptacji dla naszych stosunków. Nie chodziło o to, że mało się mną interesowała. Problem polegał na tym, że przez długi czas interesowała się mną tak mocno, że moja psychika zachowała ślad jej dłoni długo po jej odjęciu.

Dzień się dłużył. Cole nie zadzwonił. Ja nie zadzwoniłam do niego. Czego chciałam? Nie miałam pojęcia.

Rozważasz związek z gwiazdą rocka, ale on bierze udział w reality show, który zapewne skończy się śmiercią lub hospitalizacją jednego z was bądź obojga. Co robisz?

a) Wybuchasz śmiechem i zamykasz drzwi.

b) Uprzejmie prosisz, aby przestał.

c) Zamykasz drzwi, aby zapewnić mu trochę prywatności.

d) Wyjaśniasz mu, dlaczego masturbacja może być szkodliwa.

e) Donosisz o incydencie pielęgniarki oddziałowej.

Na krótko przed zamknięciem w sklepie pojawił się Mark, mąż Sierry. Na niewiele się przydawał, ale lubił przychodzić i robić bajzel w dokumentacji sprzedaży, jakby od tego zależał świat. Nie byłam pewna, co właściwie robi w życiu. Pewnie coś z byciem modelem. Miał ten rodzaj twarzy, która nakłaniała ludzi do kupowania konkretnych okularów przeciwsłonecznych.

– Hej, ślicznotko – przywitał mnie.

Kiedy on mówił do mnie „ślicznotko”, brzmiało to zabawniej, niż kiedy robiła to Sierra. Ona używała słów „bujna”, „piękna”, „rozmarzona” czy „urocza” w sposób, w jaki inni ludzie używali przedimków nieokreślonych. Podejrzywałam, że Mark naprawdę uważał mnie za ślicznotkę. W zasadzie to pewnie uważał wszystkie potworzyce Sierry za ślicznotki. Właściwie dlaczego nie? Wszystkie zostałyśmy zatrudnione, aby wyglądać w konkretny sposób. Innymi słowy, zostałyśmy zatrudnione, aby wyglądać jak Sierra. A ona zdecydowanie mu się podobała.

Nie odpowiedziałam na jego powitanie, tylko uniosłam brew. U mnie to było na ogół to samo.

– Co robisz?

– Uczę się.

– Czego?

Prawie odparowałam, że masturbacji, bo uznałam to za zabawne. Ale zaraz po tym, jak Mark nazwał mnie ślicznotką, mógłby to wziąć za próbę flirtu.

– Jak ratować ludzi przed nimi samymi.

Mark poprzekładał jakieś papiery. Nie robił absolutnie nic pożytecznego. Tylko psuł system wymyślony przez jedną z potworzyc.

– Można się tego nauczyć w sieci?

Każdy wiedział, że w sieci można znaleźć wszystko, co tylko wymyślono. Poskrobałam obojętnie dno swojej świadomości w poszukiwaniu jakiejś myśli, której chciałoby się wymyślić zabawny sposób oznajmienia tego Markowi.

Nie znalazłam żadnej.

Zawibrował mój telefon. Dzwoniła Sofia.

– Cześć, Sofia, co?

Cały czas obiecywałam sobie, że po odebraniu telefonu zacznę mówić „Culpeper”. Podobał mi się pomysł patriarchalnego pominięcia swojego imienia. Poza tym brzmiało to mniej nieuprzejmie niż „Co?”.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam – wydukała Sofia speszonym głosem. – Ja tylko...

Przepraszanie za coś, co ewidentnie nie było jej winą, wkurzyło

mnie jeszcze bardziej.

– Boże, Sofia. Nie przeszkadzasz. Po prostu jestem jędzą. O co chodzi?

– Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że już jest dostępny. Znaczący pierwszy odcinek. Programu z Cole’em.

„Już?”

– Pewnie sama już wiesz. Przepraszam. Ja...

– *Sofia!* Przestań w końcu przeproszać. Jaki jest adres? A, no tak. Z trójkami zamiast „e”. Pamiętaj o wieczorze. Włóż coś czerwonego.

Rozłączyłam się i otworzyłam stronę w przeglądarce w telefonie. Ekran był strasznie mały, a głośniki kijowe, ale to musiało wystarczyć. W dołku czułam paskudne, nerwowe skurcze. Te podstępne cholery zawsze znajdowały sposób na objawienie się, kiedy najmniej się ich spodziewałam.

Strumieniowanie odcinka już się zaczęło. Cole prowadził przesłuchanie basistów na plaży. Otaczały go dziesiątki głośników najróżniejszych rozmiarów. Kolejni muzycy podchodzili do Cole’a, a on podawał im tę samą wspólną gitarę basową, teatralnym gestem wskazywał pretendenta i przedstawiał go zebranej publiczności. Ten powtarzany za każdym razem gest musiał być jakąś pozostałością z czasów NARKOTIKI, ponieważ za każdym razem spotykał się z przenikliwym piskiem skretyniałych fanek.

Wkurzało mnie to. Tak jakby dysponowały jakąś intymną wiedzą na jego temat, do której ja nie miałam dostępu. Czy one nie widziały, że to nie miało nic wspólnego z tym, kim naprawdę był? Sądziły, że go znają. Nikt go tak naprawdę nie znał.

Dźwięki wydobywane z gitary przez kolejnych basistów dudniły w stosach głośników i wiły się spiralnie nad plażą. Tuż obok Cole’a stał oparty o archaiczny głośnik w drewnianej obudowie smukły długonogi koleś z blond czupryną do ramion i ciemnymi pilotkami na nosie. Był tak niechlujnie ubrany i uczesany, że musiał być albo hipisem, albo kimś sławnym. Pod jego twarzą na ekranie pojawił się napis „Jeremy Shutt, były basista NARKOTIKI”.

Nie byłam pewna, jak się czułam wobec pojawienia się tej części przeszłości Cole’a w jego teraźniejszości. Tak jakby zbliżył się o krok do

tej wyniszczonej gwiazdy rocka padającej bez czucia na scenę.

Mark oparł się o blat obok mnie, aby również popatrzeć. Obróciłam lekko telefon, żeby lepiej widział. Po paru chwilach musiałam na chwilę przerwać oglądanie, żeby podłączyć telefon do ładowarki. Z kolejnymi minutami programu coraz bardziej zapomniałam nasłuchiwać dźwięku dzwonka towarzyszącego otwieranym drzwiom.

Wokół Cole'a zebrał się tłum. Był taki elektryzujący, a jego mowa ciała tak pełna magnetyzmu, że nawet przez maleńki ekran czułam działanie jego czaru. Zaczęłam mu też zazdrościć łatwości, z jaką mu to przychodziło, ale po chwili przypomniałam sobie, że ma za sobą mnóstwo praktyki. Podczas występów oglądanie go miało być ciekawe nawet z najtańszych miejsc na sali.

Kable wiły się na piasku niczym pnącza. Cole zachęcał zebranych do podłączania własnych głośników. W rezultacie na ziemi stało mnóstwo miniaturowych głośników do iPodów, ale także trochę większych, które ludzie musieli specjalnie przynieść. Z oddali całość wyglądała jak elektryczne drzewo obsiane dziwnymi owocami.

Swoich sił próbowali kolejni basiści.

Zachodziłam w głowę, skąd oni wszyscy wiedzieli, że trzeba się tu zjawić. Może Baby wykorzystwała swoje kontakty, a może zrobił to Cole. Może w sieci była jakaś grupka zagorzałych fanów NARKOTIKI komentująca na blogach każdy jego krok. Albo może po prostu zupełnym przypadkiem pojawił się tłum ludzi z zatrzesieniem głośników i dziwnym trafem przeistoczył plażę w Venice w plac zabaw Cole'a.

Na ekranie mała dziewczynka podłączyła pomarańczowy głośniczek i zaklaskała wniebowzięta. Cole St. Clair stał się minimalnie głośniejszy.

– Słyszałem to, kiedy tu jechałem – zauważył Mark. – Zastanawiałem się, co tam się dzieje. Na miejscu musi być strasznie głośno. Jestem pewny, że to jest nielegalne.

Żaden muzyk nie przypadł Cole'owi do gustu, chociaż Jeremy kilkakrotnie wzruszył ramionami na znak aprobaty. Teraz na basie dokazywał koleś, który wyraźnie cieszył się sympatią widzów. Grał i grał bez końca. Czyżbyśmy mieli zwycięzcę?

Po chwili jednak Cole wyłączył wzmacniacz i pokręcił głową.

Tłum jęknął, ale lider NARKOTIKI tylko zakręcił dłonią i odwrócił się do basisty plecami, jak gdyby ten przestał już dla niego istnieć. Zawsze się zastanawiałam, w jaki sposób Cole jest w stanie przeprowadzić cokolwiek konkretnego, w jaki sposób zaszedł tak daleko. Teraz widziałam to na żywo. Ludzie nie byli już ludźmi – byli środkiem do realizacji jego zamierzeń, elementami układanki. A je można przekładać do woli bez potrzeby zastanawiania się nad tym czy angażowania emocji.

Pomyślałam o tych wszystkich dziewczynach, z którymi Cole przespał się podczas trasy koncertowej. Wydawało mi się to niemożliwe. Nie dlatego, że mu nie wierzyłam, ale dlatego, że nie wyobrażałam sobie pozwolenia tak dużej liczbie osób na zbliżenie się do mnie. To wydawało się wyczerpujące i wariackie. Teraz to w końcu zrozumiałam. On obracał ludzi w przedmioty. Z jaką łatwością mógł z nimi zrobić, co tylko chciał, aby potem już niepotrzebnych odrzucić na bok.

Moje serce wypełniały chłód i mrok.

– Ten koleś jest niesamowity – powiedział Mark.

Nie potrafiłam ocenić, czy miał na myśli Cole'a, czy też kolejnego basistę. Kamera ponownie pokazała morze głośników. Od ostatniego takiego ujęcia przybyło chyba kilkadziesiąt nowych. Ciężko było ocenić, jak to wszystko było zasilane. Jeremy nieustannie musiał podchodzić do sprzętu, żeby coś poprawić.

– Chyba pamiętam parę ich kawałków. Jesteś fanką NARKOTIKI?
– zapytał Mark.

– Znam go. W sensie Cole'a.

– Naprawdę taki jest?

Cole naprawdę taki był. Jednocześnie wcale taki nie był. Wszystko zależało od tego, kiedy się go zobaczyło. Czy jednak nie było to prawdą w przypadku nas wszystkich?

– Jasne.

– W następną sobotę urządzamy małą imprezkę w domu. Reszta przychodzi. Wpadniesz?

– Reszta?

Na ekranie Cole odprawił kolejnego basistę. Mark machnął ręką, obejmując gestem cały sklep. Ach. Reszta potworzyc.

– Jaką znowu małą imprezkę?

Mark wziął do ręki nogę mewy.

– Takie tam. Bez ciśnienia. Pomyśl nad tym. Dobra?

Staralam się zachować kamienną twarz, ale w środku poczułam się mile polechtana.

– Pomyślę – odparłam.

Spróbowałam sobie wyobrazić udanie się na *małą imprezkę* z Cole'em.

Na plaży wszyscy muzycy zostali odprawieni. Pojawiło się jeszcze więcej głośników. Kamerzysta szedł wzdłuż niesamowicie długiego szpaleru sprzętu nagłaśniającego: od dużych czarnych prostopadłościanów, przez sześciennie szare pudełka, po małe czerwone, mieszczące się w dłoni.

Oczywiście zjawiły się gliny. Wyglądały, jakby spodziewały się kłopotów, ale ten Cole ich nie sprawiał.

– Nikomu nie robimy krzywdy – oznajmił, zataczając ramieniem szeroki krąg. – Proszę tylko spojrzeć na te wszystkie radosne twarze.

Kamery omiotły zebrany tłum, który usłużnie świergotał, wiwatował i podskakiwał, chcąc choć na chwilę zaistnieć w telewizji. Cole miał rację: większość z nich naprawdę była radosna. Z jaką ogromną łatwością zebrał ich myśli i nastroje, aby zastąpić je tą hałaśliwą radością.

Policjanci poinformowali Cole'a, że narusza przepisy regulujące dopuszczalny poziom hałasu.

– Cieszę się – odparł Cole. Naprawdę wyglądał na zadowolonego.
– Czy któreś z was gra może na basie?

– Słucham?

– Potrzebuję basisty.

Policjant się roześmiał.

Cole mu zawtórował, po czym nagle spowaźniał.

– Ale serio. Pokaże pan, co potrafi, a my zwiniemy tę balangę.

Policjanci, przedstawiciele zdrowego rozsądku, spojrzeli na kamery, na tłum, na siebie nawzajem. Cole uśmiechnął się do nich promiennie.

Zdrowy rozsądek szezł.

Oczywiście, że policjanci wzięli udział w tej szopce. Mieli jakikolwiek wybór?

On zagrał na basie, a ona tańczyła. Tłum dostawał szału. Posterunkowy basista nie grał najlepiej, ale to nie miało znaczenia. Był gliniarzem grającym na basie, którego dźwięk potęgowało trzysta głośników i uśmiech Cole'a St. Claira.

Cały świat należał do Cole'a.

– Teraz z tym skończycie? – zapytał policjant po skończonej grze.
– Taka była umowa.

– Wciąż nie mam basisty – stwierdził Cole.

To z pewnością nie był koniec. Tyle szumu nie mogło pójść na marne. Tłum zamilkł.

W panującej ciszy Jeremy podszedł do Cole'a. Pokręcił głową, jakby czemuś nie dowierzał. Odgarnął kosmyk blond włosów za ucho.

– Dobra, Cole. Niech ci będzie. Wchodzę w to.

Przez sekundę, jedną ulotną sekundę, zobaczyłam prawdziwy uśmiech Cole'a. Błyskawicznie jednak się rozpuścił i przekształcił w uśmiech pokazowy. Wymienił z Jeremym złożony uścisk dłoni, po czym chwycił jego rękę w przegubie i wznosił do góry.

– Mamy zwycięzcę! – zakrzyknął.

Nachylił się do ucha przyjaciela i powiedział przyciszonym głosem, tak jakby jego słowa miały pozostać między nimi. Ale ja znałam Cole'a i wiedziałam, że nawet na chwilę nie zapomniał o kamerach.

Powiedział więc nam wszystkim:

– Witaj z powrotem, stary.

Pojawiły się napisy końcowe.

To był wspaniały pokaz telewizyjnego show.

Nieoczekiwanie odkryłam, że jestem dumna z Cole'a. Miał wcześniej rację przynajmniej w jednym: wiedział, czego ludzie chcą. Nie oznaczało to, że nie wpakuje się w jakieś kłopoty, ale był bardzo dobry w tym, co robił. Przez krótką, krystalicznie czystą chwilę zapragnęłam, żeby był tu ze mną, ponieważ wtedy mogłabym mu to powiedzieć bez mojej zwykłej szorstkości.

Ale nie było go tu. Mogłam więc myśleć tylko o jednym: „Isabel, nie zakochaj się w nim znowu”.

– Kolacja – powiedziałem do telefonu, wracając do swojego mieszkania. W drugiej ręce trzymałem karton soku pomarańczowego za dziewięć dolarów, za który płaciła Baby. Hasło reklamowe zachęcało, aby odmienić swoją przyszłość słonecznym ciepłem zamkniętym w szklance. Moja przyszłość już wyglądała całkiem wspaniale i nie mogłem się doczekać tego, co się stanie, gdy dodam do tego jeszcze sok pomarańczowy. – To jest następny posiłek.

– Co? – zapytała Isabel.

W dzwonieniu do niej tylko po to, żeby musiała odebrać, było coś całkiem przyjemnego.

– Kolacja. Następny posiłek. Ty. Ja. Ale mamy pyszny plan.

– Nie mogę – odparła. – Obiecałam Sofii, mojej kuzynce, że gdzieś z nią pójdę. Jeśli nie będę jej zabierać między ludzi, zostanie zdziwaczalą staruszką.

– Lubię, kiedy jesteś taka szlachetna. Mogłabyś ją przyprowadzić do mnie. – Ciężko mi było ocenić, czy sok pomarańczowy odmieniał moją przyszłość, bo zaczynając pić, nie znałem kierunku jej rozwoju. – W brodziku prysznicą zmieszczą się trzy osoby.

– Nie zabiorę kuzynki na imprezę pod twoim prysznicem. Czego by to ją nauczyło? Za to ty mógłbyś pójść z nami.

Nie wiedziałem, jakiego rodzaju osobą jest Sofia, ale nie miałem ochoty na czcze pogaduszki. Teraz szybowałem wśród długich fioletowych cieni, jakie opanowywały Venice o zachodzie słońca, i rozkoszowałem się uczuciem zadowolenia z dobrze wykonanej roboty. Zasłużyłem na ten cholerny sok pomarańczowy.

– Jaką muzykę dziś grają? – zapytałem.

– Nie wiem.

– Mieszkasz w L.A. i *nie wiesz*?!

W zasadzie ja też nie miałem pojęcia, ale wydawało mi się, że wiedziałbym, gdybym tu naprawdę mieszkał.

– Nie lubię koncertów. Ludzie tylko podskakują i śmierzdzą, a muzyka jest do dupy.

– Nie wiem, czy będę mógł z tobą rozmawiać, jeśli masz zamiar ciągle tak strasznie bluźnić. – Przyjrzałem się reklamie usług frenologa. Na tablicy znajdował się narysowany z profilu kontur głowy łysego mężczyzny otoczony gwiazdkami. Zrozumienie, czego właściwie dotyczyła reklama, nie było łatwe. – Czy podobał ci się jakikolwiek koncert, na którym byłaś?

– Niech no pomyślę... Nie. Nigdy. A czy *tobie* podobał się którykolwiek z tych, na których byłeś? Czy też po prostu uważasz, że powinny ci się podobać?

– Strasznie głupie pytanie – odparłem, chociaż nie do końca to była prawda. Nie byłem na zbyt wielu, dopóki sam nie zacząłem występować. Potem okazało się, że branża muzyczna nie lubiła niezjawiania się na własnych koncertach, nawet jeśli dany występ nie wydawał się dobrym pomysłem na spędzenie czasu. – Nie zalewasz z tą Sofią?

– Co? Nawet nie wiem, dlaczego jest taka, a nie inna. Nic z jej dzieciństwa nie usprawiedliwia jej neurotyzmu. Zaraz. Pytasz, czy istnieje naprawdę? Cole, nie wymyśliłam sobie kuzynki, żeby wykręcić się od pójścia z tobą na kolację. Gdybym chciała, po prostu bym ci odmówiła.

– Czy odbierzesz, gdy zadzwonię następnym razem? – zapytałem.

– Tym razem odebrałam, prawda?

– Powiedz: tak.

– Tak. Warunkowe tak.

Upiłem kolejny łyk soku. Starłem się okazać wielkoduszność w świetle odkrycia, że dzisiejszy wieczór miał nie zawierać ust Isabel Culpeper. Ten sok zmienił moją przyszłość w niemiły sposób.

– A jakie są warunki?

– Czasem dzwonisz do mnie jakieś czterdzieści razy dziennie i nagrywasz sprośne wiadomości na moją pocztę głosową. Wtedy nie odbieram.

– Bez sensu. To zupełnie do mnie niepodobne. Nigdy bym do ciebie nie zadzwonił parzystą liczbę razy.

– Ponadto czasem dzwonisz tylko z nudów, nie zaś dlatego, że masz coś do powiedzenia. A ja nie chcę być jakimś żywym internetem, który możesz sobie wywoływać, kiedy masz ochotę się rozerwać.

To było do mnie podobne.

– Idź więc do domu – ciągnęła – komponuj swój album, a potem zadzwoń do mnie rano i powiedz mi, gdzie się wybieramy w ten weekend.

– Będę bardzo samotny.

– Wszyscy jesteśmy samotni, Cole.

– Zawsze lubiłem twój optymizm.

Rozłączyłem się, dopiłem sok i szedłem dalej do domu.

Myślałem o pocałunku Isabel pod prysznicem.

Myślałem o konieczności spędzenia samotnego wieczoru w tym dziwnym newage'owym rajku.

Myślałem o pracy nad piosenkami do albumu.

Myślałem o zadzwonieniu do Sama.

Myślałem o daniu sobie w żyłę w łazience.

Przeszedłem przez podwórko do otynkowanego budynku, w którym mieszkała Leyla. Przesuwne drzwi były odsunięte na bok.

Wnętrze wypełniały głównie biała sofa i całe mnóstwo bambusa. Promienie wieczornego słońca wpadające przez frontowe okna nadawały pomieszczeniu wygląd salonu sprzedającego eleganckie ekologiczne samochody, tylko bez samochodów. Leyla siedziała na środku podłogi i ćwiczyła jogę albo medytowała. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy to było jedno i to samo, czy jednak dwie różne rzeczy. Medytacja była chyba tym, do czego nie trzeba było mieć specjalnych spodni.

Zapukałem we framugę drzwi.

– Lily. Leyla. Możemy chwilę pogadać o jutrze? Wiesz, o dniu, w którym uczynimy świat lepszym?

Leyla obdarzyła mnie sennym, spokojnym spojrzeniem.

– Och, to ty.

– Tak, to ja. Wiesz, to zabawne. To samo powiedziała moja matka, kiedy zobaczyła mnie pierwszy raz.

Leyla nawet się nie uśmiechnęła.

– Pomyślałam sobie, że powinnam ci powiedzieć – stwierdziła. – Bo wierzę w szczerłość. Nie szanuję twojej pracy ani niczego w twoim sposobie bycia.

– Boże. Cóż. No to mamy to już za sobą.

Leyla wyprostowała rękę i się przeciągnęła.

– To dobre uczucie, prawda? – zapytała.

Zastanawiałem się, czy to była ważna życiowa chwila: zostać wzgardzonym przez hipiskę.

– Nie użyłbym chyba słowa „dobre”, ale niech ci będzie. Chcesz zagrać jeszcze coś na tę nutę czy raz ci wystarczy?

Zmieniła ręce. Szybkość jej ruchów skakała od bolesnej po gnuśną.

– Dla ciebie inni ludzie są całkowicie zbędni – zauważyła. – Traktujesz ich jak... jak przedmioty.

– No dobra. I?

– I robisz to dla sławy, nie dla muzyki.

– I tu się mylisz, moja droga. Robię to dla obu tych rzeczy. Co najmniej po połowie. Może nawet czterdzieści do sześćdziesięciu.

– Czy ty w ogóle masz utwory na ten album, który mamy niby nagrywać za sześć tygodni?

– Teraz ty psujesz moją fazę – odparłem, ale kpienie z kogoś, kto się nie orientował, że to robisz, nie sprawiało mi przyjemności.

– Skąd wiesz, że mój styl gry ci się spodoba? – zapytała. – Skąd wiesz, że nie wywalisz mnie tak jak tamtych gości?

Posłałem jej uśmiech Cole'a St. Claira, żeby zyskać trochę czasu.

Sprawa przedstawiała się tak, że mogłem urządzić przesłuchanie basistów, ponieważ Jeremy, mój poprzedni basista, siedział tuż obok mnie. Mogłem wybrać nowego, bo tak naprawdę nie zastępowałem starego. Jeremy nie odszedł, jedynie przeniósł się gdzie indziej. Ale perkusista NARKOTIKI nie mieszkał w domu stojącym gdzieś w kanionach. Leżał martwy w ziemi. W ciele wilka. Gdybym zaczął myśleć o perkusistach w kategoriach lepszy lub gorszy od Victora, chyba by coś we mnie pękło. Nie wytrzymałbym tego. Swoje poczucie winy i swój żal pogrzebałem w jego grobie. Przeprosiłem martwego i zostawiłem to za sobą.

Ledwie co za sobą.

– Mam plan – powiedziałem. – Wszystko jest pod kontrolą.

Ponownie zamknęła oczy.

– Kontrola to iluzja. Zwierzęta nie łudzą się, że cokolwiek kontrolują.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, zapragnąłem być z Isabel i tylko z nią tak mocno, że dusiłem się na myśl o spędzeniu wieczora w samotności w tym domu, gdzie mogłem spojrzeć co najwyżej na Leylę.

– Szurnięta hipiska – rzuciłem.

Miałem gdzieś, czy kamery to nagrają.

– Wśród zwierząt nie ma hipisów – ciągnęła Leyla. – Każde zwierzę stanowi, z samej swojej natury, jedność z otoczeniem.

Postukałem butem w próg i cofnąłem się na podwórko. Nadal czułem płonące pod skórą pożądanie.

– Mógłbym cię jutro wywalić.

Nie otworzyła oczu.

– Przyjmę rada wszystko, co przyniesie jutro.

Strasznie głupie podejście. Jutro przynosiło dokładnie to, co mu się kazało przynieść. Jeśli nic mu się nie przekazało, otrzymywało się również nic. A ja już miałem dość niczego. Chciałem dostać coś. Nie. Chciałem dostać *wszystko*.

Cole zadzwonił do mnie ponownie po jakichś trzech kwadransach. Właśnie byłam na ostatniej prostej do Domu Tragedii.

– Myślałem o twoich planach na wieczór – powiedział – i uznałem, że tak naprawdę nie są zbyt dobre dla Sylvii. Sofii? Sofii.

– Widzę, że dobrze ją znasz. Dlaczego nie są dla niej dobre? – Cofnęłam SUV-em na podjazd.

Nie patrzyłam w lusterko. Ustawiłam się równo tyłem do manewru, a jeśli po drodze przejechałam jakieś staruszki, zwierzęta albo dzieci, to same sobie były winne. Uczciwie uprzedzałam o swoich zamiarach.

– Dlaczego... Ech, sama zobacz, jak pięknie weszłaś prosto w moją odpowiedź. Ponieważ nie obejmuje mnie.

– A jaki niby jest twój wspaniały plan obejmujący ciebie?

– Wszystkie plany obejmujące mnie są wspaniałe. Ale ten konkretny to niespodzianka i powinnaś przyprowadzić Sylv... Sofię. I przynieść sweter. I może serowe kostki na patykach.

– Nie lubię twoich „ta-da”.

Moje serce już zdążyło zabić mocniej, a tego właśnie chciałam uniknąć.

– To nie jest żadne „ta-da”. To wspaniały plan. Aha, będą jeszcze dwie inne osoby. Ale jedna z nich przypomina Sofię, bo życie ją przeraża. A druga przypomina ciebie. Tak jakby. Może poza sarkazmem. On ma zamiast tego religię.

– Cole...

– Pamiętaj o serze.

Godzinę później byłam z Sofią i gromadką nieboszczyków. Wspaniały plan Cole'a zaczynał się od spotkania się z nim przy pomniku Johnny'ego Ramone'a na cmentarzu Hollywood Forever. Wyglądał – Cole, nie Johnny – na świeżo wykąpanego i tysiącrotnie smakowitego. Miał na sobie gładką białą koszulkę i bardzo drogie džinsy. Przyprowadził ze sobą dwóch żywych: Jeremy'ego i faceta, który najwyraźniej miał na imię Leon. Ten drugi miał chyba tyle lat co mój ojciec. Przyszedł w bardzo schludnych spodniach i porządnej koszuli,

której rękawy podwinął za łokieć. Jakiś menedżer? Z kolei Jeremy na żywo wyglądał bardziej na hipisa niż na kogoś sławnego.

Sofia nie była zadowolona z obecności na cmentarzu. Leon zresztą też nie. Ale oboje byli najwyraźniej zbyt uprzejmi, żeby powiedzieć to na głos.

Mnie było wszystko jedno, ponieważ:

Wokół sami od dawna martwi pomóc im nie mógł już nikt

Nie znałam żadnego z nich nawet Johnny'ego Ramone'a

Nie trzeba było mózgu wyteżać by nie wyobrazić sobie

kiedy będzie następna okazja obściskiwania się z Cole'em

Poza tym cmentarz nie był specjalnie straszny. Słońce oblewało różowawym światłem sięgające nieba palmy i białe mauzolea.

Relatywnie radosne nagrobki stały rozsiane wokół miłych dla oka stawów. Były także pawie. Trudno było o straszną atmosferę w obecności pawi.

Poza tym między grobami siedziało na kocach kilka setek żywych.

– Chciałbym wysłać kartkę flamingowi, którego zabito na potrzeby twojej kurtki – zwrócił się do mnie Cole. – Napisałbym mu, że doskonale się sprawdza w roli ubrania. A wszystko, czego nie zakrywa, chciałbym włożyć do ust.

Czyli całkiem sporo. Była to bardzo skąpa różowa kurtka (i była obszyta futrem, nie piórami). Jego oczy dopowiedziały wszystko, co on sam przemilczał. Nie byłam pewna, czy moja twarz nie odpowiadała mu właśnie tym samym.

Nie było mowy, żebym wyszła z tego spotkania w jednym kawałku.

– Nie przy dzieciach – wtrącił Jeremy.

Cole podał mi swoje ciemne okulary. Założyłam je i spojrzałam na niego. Tego wieczoru na jego twarzy nie było ani śladu po estradowym uśmiechu. Albo może to przyciemnione szkła okularów go filtrowały. Wyglądał po prostu... przystojnie, wesoło i jakby miał ochotę kochać się ze mną tu i teraz.

„Pomocy”.

Ale w okolicy nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Oprócz mnie samej.

Przeniósł swoją uwagę na Sofię.

– Czy w tym czymś jest ser? – zapytał, wskazując niedbałym ruchem dłoni trzymany przez nią koszyk piknikowy.

Jak dotąd moja kuzynka nie odezwała się ani słowem. Jej mózg był przeciążony obecnością tylu różnych przedstawicieli jej gatunku. W tej chwili udzielenie składowej odpowiedzi na pytanie o ser było ponad jej siły. Wpatrywała się tylko w Cole'a szeroko otwartymi oczami.

– Tylko kanapki – wykrztusiła w końcu, po czym dodała nieco głośniej: – Różne kanapki.

Nie miała ze sobą tylko kanapek. Ponieważ Sofia była Sofią, przyniosła klasyczny wiklinowy koszyk, spod wieka którego gustownie wyglądał skraj piknikowego koca w kratkę. Wszystko było gotowe jak na rozkładówkę kolorowego czasopisma: „Zaplanuj idealny piknik! Wystarczy dodać znajomych!”.

– Na swoim nagrobku chcę mieć syntezator – stwierdził Cole, przenosząc wzrok na pomnik Johnny'ego Ramone'a grającego na gitarze elektrycznej. Dotknął twarzy posągu, co wydało mi się świętokradztwem. – Jeremy, co chciałbyś mieć na swoim?

Jeremy wpatrywał się w napis pozostawiony na boku cokołu przez Roba Zombiego: „Zagorzały punk i wierny przyjaciel”.

– Zażyczę sobie kremacji. Na co się zda to ciało, kiedy ja będę już w drodze do następnego?

– No tak – skwitował Cole. – Ale ja i tak cię wypcham. Isabel? A ty? Karabin maszynowy? Albo może tiara?

Nie mogłam się uśmiechnąć, ponieważ prowadzona właśnie gra towarzyska wymagała ode mnie braku uśmiechu. Ale podobała mi się jego wersja mnie.

– I to, i to – odparłam.

– Leon?

Leon był zbyt porządny na takie zabawy, to było widać. Należał do tego szczególnego gatunku poważnych i miłych facetów, którzy nigdy nie daliby ci poznać, że poczuli się urażeni. Co sprawiało, że czułam się w obowiązku pilnować się, żeby go przypadkiem nie urazić. Ale chciał sprawić przyjemność Cole'owi – wszyscy chcieli albo mu sprawić przyjemność, albo go ukatrupić – odpowiedział więc:

– Kiedyś widziałem grób, na którym stała rzeźba anielicy. Chociaż głowę miała tak... – Dotknął brodą piersi. – ...to się uśmiechała. Tak lekko. Podobał mi się. Chciałbym mieć właśnie taki.

– Mógłbym to zorganizować – powiedział Cole.

Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, Sofia zorientowała się, że teraz wypada jej kolej. W jej oczach wezbrała udręka.

– To jest makabryczne – zaprotestowała słodziutkim głosikiem, który dosłyszalyby tylko naprawdę czujne psy.

Na jej szczęście Cole był naprawdę czujnym psem.

– Śmierć nie jest makabryczna – zauważył. – Wszystko inne jest.

– Uważam, że to nieładnie o tym mówić – oznajmiła odważnie Sofia. – Jest tyle pięknych rzeczy, o których można rozmawiać.

– Masz rację – zgodził się ku mojej uldze Cole, po czym ujął Leona za ramię i wskazał coś palcem. – Tam, Leonie, spójrz. Drugiej okazji na zrobienie takiego zdjęcia nie będzie.

Leon posłusznie wyjął telefon z kieszeni spodni i wykadrował wskazany przez Cole'a widok: rosnące za białym mauzoleum palmy, wszystkie przechylone w prawo, na tle soczyście różowego nieba.

– Zrobiłem zdjęcie umysłem – rzucił Jeremy.

Karta pamięci mojego mózgu była już przepełniona. Żeby zapisać ten obraz, musiałam usunąć stare myślowe zdjęcie dużo powszedniejszego zachodu słońca z San Diego.

Gdy minęła nas grupka chichoczących starszych kobiet ściskających butelki z winem, zapytałam:

– Cole, jaki masz dokładnie plan?

– Właściwie – odparł – to plan jest Leona.

Leon zrobił skromną minę.

– Przeczytałem o tym w dodatku weekendowym – powiedział.

– Miejsce, w którym zdarzają się rzeczy, o których potem piszą w gazetach – oznajmił Cole. – Najwyraźniej zamierzają wyświetlić film na ścianie tamtego mauzoleum. – Wskazał budynek, który został przed chwilą sfotografowany. – A my będziemy siedzieć tak... – skrzyżował palce obu dłoni – ...i go oglądać.

Ściana mauzoleum była bardzo wysoka i całkowicie gładka. Doskonale się nadawała na prowizoryczny ekran kinowy.

– Jaki film?

Cole nachylił się w moją stronę z miną osoby wtajemniczonej w największe sekrety. Poczułam ukłucie pożądania.

– *Piękną i Bestię*.

Uśmiechnął się półgębkiem. Na pewno nie mieli zamiaru pokazać *Pięknej i Bestii*.

– Nie lubię, jak nazywasz mnie bestią – zauważyłam, mrużąc oczy.

Cole wyszczerzył zęby w tak wspaniałym uśmiechu, że aż mnie w sercu ukłuło.

– Droga młodzieży – wtrącił się Leon – może byśmy tak poszukali miejsca?

Cole ruszył szybkim krokiem razem z Jeremym. Sofia wisiała na moim ramieniu.

– Och, Isabel – wyszeptała. – On jest taki *cudowny*.

Ostatnie słowo wypowiedziała takim tonem, jakby chciała powiedzieć „okropny”.

Chłopcy znaleźli miejsce, gdzie widoku nie zasłaniało nam zbyt wiele osób. Sofia rozłożyła koc i rozdała wszystkim kanapki. Dość mocno mnie to zirykowało, ale pozostali nie wiedzieli, że należy ją od tego odwieść. Obserwowałam ją, jak jadła w ciszy, metodycznie odgryzając kolejne małe kęsy i uważając, żeby nie otworzyć za szeroko ust i nie uchybić w ten sposób etykietce. Nabrałam ochoty, żeby w coś przywalić. Czy ona naprawdę nie widziała, że inni nie dbali o to, jak przeżuwa swoje jedzenie? Nie dostrzegała, jak wszyscy byli gotowi ją polubić, jeszcze zanim wręczyła im kanapki?

Spodziewałam się (obawiałam?), że ktoś wyciągnie jakiś alkohol. Okazało się jednak, że Jeremy był dość ortodoksyjnym buddystą, Leon rzucił picie jakieś pięć lat temu, a Cole ćwiczył się w abstynencji. Z kolei Sofia i ja byłyśmy sobą.

Siedzący obok mnie Cole wsunął dłoń pod moją kurtkę i dotknął moich pleców. Jego palce mnie pragnęły i nie zadowolilyby się niczym innym. Konałam w męczarniach.

– Chcesz moją marynarkę? – zapytał Sofię Leon.

– Och, nie, nie trzeba – odparła Sofia, chociaż wszyscy doskonale widzieli, że marznie.

A Leon powiedział to w sposób zdecydowanie ojcowski. Zapewne nie pamiętała, co to znaczy ojcowskie zachowanie.

– Sofio – powiedziałam, odejmując kanapkę od ust. W miejscu ugryzienia chleb był zabarwiony na czerwono od szminki. – Jeśli nie weźmiesz od niego tej marynarki, zaraz coś podpalę.

Cole natychmiast się ożywił, ale Jeremy pokręcił powoli głową.

– Nie, stary, nie tutaj – powiedział z leniwym, przytłumionym humorem.

Gdy się na nich patrzyło, było oczywiste, że ci dwaj przez dłuższy czas grali w jednym zespole. Jeremy znał Cole'a w sposób niedostępny dla tych wszystkich piszczących fanek.

Spodziewałam się ukłucia zazdrości, ale poczułam się raczej, jakbym znalazła kolejnego członka klubu ocalałych.

Sofia przyjęła marynarkę.

Zaczęli wyświetlać film. Okazało się, że wybrali *Wolny dzień Ferrisa Buellera*, który wszyscy już widzieliśmy.

Po jakimś czasie zerknęłam na Cole'a i napotkałam jego wzrok. Patrzył na mnie spomiędzy zmrużonych powiek, tak jakby starał się coś wyczytać z mojej twarzy. Jego sylwetka odcinała się coraz mniej wyraźnie na tle wysokich, pochylonych palm i ciemniejszego różowego nieba. Wydawało się niemożliwe, żeby nie był produktem Kalifornii – wyglądał tak, jakby wyrósł z tej ziemi razem z palmami, pawiami i pomnikiem Johnny'ego Ramone'a grającego na gitarze.

Nie odwrócił wzroku.

Boże, tak bardzo pragnęłam go pocałować.

Żałowałam, że nie jesteśmy tu sami.

Niestety, byli z nami Sofia, która mnie potrzebowała, Leon, który chyba był kierowcą i przyzwoitką Cole'a, i Jeremy, który... Tak właściwie nie miałam pojęcia, kim był Jeremy. Wyglądał na takiego, który umie o sobie zadbać.

W pewnym momencie w trakcie filmu Sofia przeprosiła nas i ruszyła w kierunku toalet. Ponieważ długo nie wracała, dźwignęłam się na nogi z ciężkim westchnieniem.

– Idę tylko sprawdzić, co z nią – zakomunikowałam szeptem.

Znalazłam ją w jednym z mauzoleów. Stała w szerokim korytarzu,

rozjaśnionym słabnącym światłem słonecznym wpadającym przez szklaną kopułę umieszczoną na środku wysokiego sufitu. Górujące nade mną po obu stronach ściany podzielono na kwadratowe pola wyglądające jak skrytki pocztowe. Do każdego kwadratu przyczepiono małą urnę. To były skrytki, tyle że na martwych ludzi.

Sofia łkała bezgłośnie przy jednej z urn. Na ramionach wciąż miała marynarkę Leona. Ruszyłam w jej stronę. Obcasy moich butów stukały głośno o kamienną posadzkę.

– Dojrzali ludzie nie robią takich rzeczy – powiedziałam.

Spojrzała na mnie i pociągnęła nosem.

– Nie jestem dojrzała.

– Co się w ogóle stało?

– Nie wiem, co mówić innym.

– Przecież oglądamy film. Nikt nic nie mówi.

– Ale wcześniej rozmawialiśmy. A ja zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

Nie miałam zielonego pojęcia, jak pomóc jej z hipotetycznym problemem, który ledwo bym zrozumiała nawet wtedy, gdyby nie był hipotetyczny.

Oznaczało to tyle, że nie powiedziałam nic. Sofia była coraz bardziej roztrzęsiona, ja się coraz bardziej denerwowałam, a moje myśli nieubłaganie dryfowały w stronę martwych ludzi i tego, że mój brat jest jednym z nich, zimnym trupem zakopanym w jakiejś dziurze zamiast w czystej białej skrytce w Kalifornii.

– Hej – powiedział ktoś za moimi plecami. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi głos należał do Jeremy’ego. Wyglądał zupełnie niegroźnie. Stał nieco przygarbiony, odgarniając kosmyk włosów za ucho. – To ja. Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko w porządku.

– Och, ona jest tylko... „zła na życie”.

Jego obecność sprawiła, że czara goryczy Sofii się przelała.

– Teraz naprawdę wszystko popsułam! – zawyła.

– Nic takiego nie zrobiłaś – krzyknęłam.

– Oj, hej, wyluzuj – powiedział przyjaźnie Jeremy. – Cole przyszedł tu tylko na randkę z Leonem, świetnie się razem bawią. Tak więc wiesz, hej, mogę czegoś spróbować? Nauczyłem się tego, kiedy...

Wyminął mnie i stanął przed Sofią. Coś w wyrazie jego twarzy musiało być bardziej pocieszającego niż w moim, ponieważ moja kuzynka przełknęła najnowszą partię łoż i spojrzała mu w oczy.

– Czasem po prostu świat cię przytłacza, co nie? – zapytał ją, gestykulując leniwie. Miał długie, naprawdę długie palce. Palce basisty. Jedną dłonią stukał się w mostek, drugą zaś ujął jej bezwładną rękę za nadgarstek, podniósł ją na wysokość jej mostka i zachęcił do powtórzenia swoich ruchów. – Po prostu postukaj, o, właśnie tu, i powiedz coś razem ze mną. Coś w stylu: „Wszyscy się tu dobrze bawimy. Podoba im się mój uśmiech”.

Co, do diabła?

Sofia uśmiechnęła się nieśmiało.

„Co, do diabła?” razy dwa.

– A teraz postukaj tutaj – ciągnął Jeremy i zaczął stukać się w brodę. Spodziewałam się, że Sofia odmówi (ja bym odmówiła), ale ona go posłuchała. – I powiedz: „Wszyscy się tu dobrze bawimy. Uważają mnie za miłą dziewczynę”.

Razy trzy. Co. U. Diabła.

– O Boże – jęknęłam. – Czy to się dzieje naprawdę?

– Isabel – zwrócił się do mnie łagodnym głosem Jeremy. –

Jesteśmy w pozytywnym miejscu.

Sofia zdusiła niepewny, bulgoczący chichot. Przewróciłam oczami.

– Długo to zajmie? – zapytałam.

– Czy wieczność to długo? – odpowiedział pytaniem Jeremy.

– O Bo...

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Żartuję sobie z ciebie. Jakies pięć, dziesięć minut.

Wskazałam drogę na zewnątrz.

– Będę tam. Masz coś przeciwko, Sofio?

Nie miała. Oczywiście. Bajkowe stworzenia zawsze chętnie przebywają z innymi bajkowymi stworzeniami.

Zdołałam zrobić zaledwie kilka kroków w zalegający wkoło mrok, kiedy tuż przede mną wyrósł nagle znikąd Cole. Wprost pożerał mnie wzrokiem.

– Isabel...

Zdażyłam tylko zarejestrować jego palce chwytające moją dłoń i odciągające mnie na bok. W następnej chwili byliśmy już za rogiem budynku i się całowaliśmy. To stało się tak nagle i pragnęłam tego tak bardzo, że nie potrafiłam orzec, które z nas przyciągnęło drugie do siebie. Mój mózg wyłączył większość funkcji. Czułam tylko jego usta, ciało, palce zaciśnięte mocno na moim ramieniu, drugą dłoń miętoszącą moją spódniczkę. Ręka na moim udzie była pytaniem. Przyciągnęłam go bliżej w odpowiedzi.

Nie było jeszcze dość ciemno, żeby nas ukryć przed oczami postronnych. Sofia i Jeremy mogli w każdej chwili wyjść z mauzoleum i nas znaleźć. Miałam się zbytnio nie angażować.

Wszystko to było nieistotne.

Pragnęłam go.

Snop światła latarki omiótł nasze twarze. Ostrzeżenie.

– Hej, dzieciaki – powiedział jakiś facet. Strażnik. – Znajdźcie sobie jakiś pokój.

Cole przestał mnie całować, ale wciąż mnie obejmował.

– Dobrze – powiedział, uśmiechając się nerwowo do strażnika, który ruszył dalej na obchód. A potem wyszeptał mi do ucha, muskając moją skórę zębami i czubkiem języka: – Wróc ze mną.

Krew popłynęła szybciej, rozpalając mi brzuch i uda. Doskonale wiedziałam, co ma na myśli, mimo to powiedziałam:

– Właśnie wracałam.

– Nie tam – odparł Cole. – Nie tam. Potem. Wróc ze mną.

Nie miał na myśli obściskiwania się i ślimaczenia. Miał na myśli seks.

– Muszę odwieźć Sofię do domu.

– Podjadę po ciebie.

Moje ciało wibrowało odpowiedzią na jego propozycję.

Spróbowałam uporządkować myśli.

– Jak wrócę do domu?

– Do domu? – powtórzył Cole takim głosem, jakby nie wiedział, co to słowo znaczy. – Zostań. Odwiozę cię rano. Isabel...

– *Zostać!* – wyszeptałam cała rozpalona.

Nie obawiałam się zostania u niego na noc. Chodziło o to, że to

mogłoby mi się *spodobać*. A wtedy co by się stało, kiedy jedno z nas już by się drugim znudziło? Widziałam klótnie tego rodzaju wystarczająco często w Domu Cierpienia, żeby wiedzieć, że ja takich nie chcę. Jeszcze dwa dni temu nie było go tutaj, a teraz chciał, żebym spędziła z nim noc. Może i był wyluzowaną gwiazdą rocka, która przeleciała mnóstwo panienek, ale ja byłam tylko prawdopodobnie byłą katoliczką, która jedynie kilka razy dotarła do etapu pettingu.

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Mówiłem wcześniej – odparł. – Obiadu. Deseru. Seksu. Życia.

Słuchanie go wymawiającego te słowa bolało, ponieważ byłam rozdarta między tym, jak dalece *wierzyłam* w ich szczerłość, a tym, jak bardzo tylko *pragnęłam* w nią wierzyć.

– Mówisz tak dlatego, że twoim zdaniem w ten sposób lepiej wypadniesz.

Cole się zachnął.

– Owszem, ale poza tym naprawdę mówię szczerze.

Zabrałam jego dłoń z mojego tyłka, żeby móc lepiej zebrać myśli.

– Zwolnij, Cole.

Westchnął – głośno i melodramatycznie – po czym oparł głowę na moim ramieniu. Czułam jego oddech na obojczyku. Po raz pierwszy nie ruszał się, nie pragnął, nie prosił, nie robił nic, tylko mnie obejmował. A ja pozwalałam się obejmować.

To było w tym wszystkim najbardziej wstrząsające.

To nie było pytanie. To była deklaracja.

I tak oto dotarliśmy do tego, czego się najbardziej obawiałam: że Cole St. Clair zakocha się we mnie, a ja zakocham się w nim. My – chodzące maszynki do ranienia innych. I że koniec końców oboje skończymy ze złamanymi sercami.

Isabel nie wróciła ze mną. Byłem więc sam w pustym mieszkaniu. Olbrzymi księżyc obserwował mnie przez szklane rozsuwane drzwi na balkon. Pragnąłem jej tak mocno, że nie mogłem zebrać myśli. Tę właśnie chwilę od poranka oddzielała niezliczona liczba minut.

Spojrzałem na klawisze. Instrument odwzajemnił spojrzenie. Żadne z nas nie było zainteresowane drugim.

Przeszedłem do kuchni i przyjrzałem się kamerom zamocowanym na brzegu blatu i skierowanym na podłogę. Przykucnąłem przed jedną z nich i powiedziałem:

– Cześć, jestem Cole St. Clair, a to jest mój instrument.

Następnie wstałem i przez minutę czy dwie kręciłem przed obiektywem biodrami. Niestety, kamera nie była zadowolającą publicznością.

Wszedłem na blat i spróbowałem sięgnąć sufitu. Udało się. Zepchnąłem nogą toster na podłogę, żeby się przekonać, jaki wyda odgłos. Taki sobie.

Poranek jeszcze nie nadszedł.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego mój zniewalający urok nie zniewolił Isabel. Byłem w stanie znieść przemożną frustrację z niespełnionego pożądanego tylko pod warunkiem, że ona też mnie chociaż trochę chciała. Miałem ogromną ochotę zadzwonić do niej i zapytać ją o to wprost, ale nawet ja rozumiałem, że taki telefon naruszyłby wszelkie granice, które mi wyznaczyła.

Łóżko nie kojarzyło mi się w tej chwili najlepiej, skuliłem się więc na jednym z krzeseł w pokoju dziennym i skubałem skraj rękawa, aż nadszedł sen. Śniło mi się, że siedzę na krześle pachnącym stęchłym oceanem. Obudziłem się w pustym mieszkaniu z obolałą szyją. Księżyc wciąż świecił mi prosto w twarz. Ponieważ serce i płuca nieprzerwanie wyżerały mnie od wewnątrz, zebrałem swoje rzeczy i wyszedłem na dach.

W ten późno-wczesny nocny poranek Los Angeles było chłodne i fioletowe. Było tuż po pełni i miesiąc spoglądał na mnie w zasadzie

całkowicie otwartym okiem. Z baru kilka przecznic dalej dobiegł mnie śmiech grupy ludzi.

Chodziłem po tarasie dachowym, wodząc palcami po spodzie poręczy, po obrysie mebli i po pniach doniczkowych drzewek cytrynowych. Tutaj nie było kamer. Byłem wyżej, niż sięgała większość pozostałych zabudowań Venice. Wszędzie wkoło widziałem same dachy. Na tarasie budynku obok nikogo nie było. Chyba cały dom był pusty. Pewnie na wynajem. Następny taras, ledwie widoczny w mroku nocy, również świecił pustkami.

Było bezpiecznie. Zapewne. Znajdowałem się na widoku, mój plan nie był więc całkowicie pozbawiony wad. Ale to musiało wystarczyć. Ryzyko nie było na tyle duże, żebym choć mógł udawać, że na nie zważam. Ujdzie mi to na sucho przez pięć, siedem czy dwanaście minut.

Zrobiłem zastrzyk, połknąłem tabletkę i czekałem.

Kiedy byłem wilkiem, taras wydawał się mniejszy. Zmysły sprawiały wrażenie rozczłonkowanych. Wciąż pamiętałem młodego mężczyznę o nierównym tętnie i widziałem świat jego oczami, z większej wysokości nad ziemią. Chwilę później zapomniałem o nim. Obszedłem teren dokoła. Byłem uwięziony wysoko nad syczącą ziemią. Liście drzewek cytrynowych mruczały do mnie. Dobiegający gdzieś z bliska zapach jedzenia był gorący i duszny. Wysoko nade mną gwiazda przesmarowała głośno w poprzek nieba.

Oparłem łapy na krawędzi przeszkody odgradzającej mnie od świata. Pod poduszkami zachrząścił piach. Spojrzałem w dół. Było zbyt wysoko, abym dał radę zeskoczyć. Ale rozpościerający się widok był tak nęcący... Warknąłem z lekką złością.

Wszystko wokół wzywało mnie, ale ja byłem uwięziony tu, na górze.

Wróciłem do ludzkiego ciała obok ozdobnej doniczki z drzewkiem cytrynowym. Leżałem na plecach i spoglądałem na niebo między liśćmi uwięzionej rośliny. Ludzkie myśli i wspomnienia stopniowo wskakiwały na swoje miejsca.

Nawet jako wilk pragnąłem więcej, niż miałem.

Oto rzeczy, które nigdy się nie starzeją: pierwsze słowo wypowiedziane do mikrofonu w studiu nagraniowym, robocza wersja piosenki, pierwsze odtworzenie mojego kawałka w radiu.

Oto rzeczy, które się starzeją: ja.

Facet, który potrafił zarywać całe noce albo prawie całe, najwyraźniej pozostał gdzieś w mojej zmarnowanej młodości. Albo może został w Minnesocie. Gdy się obudziłem, słońce stało już wysoko na niebie. Poczłapałem do kuchni w poszukiwaniu czegoś na śniadanie, ale znalazłem tylko torebkę po pączkach pełną znudzonych mrówek. Nie było mowy, żebym mógł pracować w takich warunkach, ruszyłem zatem na pieszą wyprawę łowiecko-zbieracką (Możliwy tekst piosenki? Zapisać w notesie: *zbieranie/łowcy* ciekawsze, niż się człowiek spodziewa).

(Ja zbieram/ty polujesz/oboje unikamy pułapki).

Gdy wróciłem do mieszkania, słońce świeciło jeszcze jaśniej, a w środku czekała na mnie Baby.

Siedziała w jednym z pary białych winylowych krzeseł w ciasnym kącie pokoju dziennego i robiła coś na swoim iPadzie. Gdy otworzyłem drzwi, uniosła wzrok.

– Miałeś pracować.

Zasunąłem za sobą drzwi łokciem.

– Pracowałem.

– Co tam masz?

Spojrzałem na niesione torby. Nie mogłem sobie przypomnieć, co dokładnie kupiłem.

– Rzeczy. Do takich tam. Do pracy.

Przyglądała mi się, jak rozpakowywałem zakupy na stoliku na wprost niej: ciekawie skrzypiący niewielki wiklinowy koszyk (zapewne skrzypiałby jeszcze ciekawiej, gdyby to zrobić przed mikrofonem), świecznik z imitacji kości słoniowej, za dużą na mnie, bardzo używaną hawajską koszulę i niewielki fioletowy posążek Buddy na prezent powitalny dla Jeremy'ego.

– To nie jest *Kawaler do wzięcia* – powiedziała. – Mam za mały budżet, żeby śledzić każdy twój krok. Musisz zatem robić ciekawe rzeczy, kiedy są tu moje kamery. Albo chociaż zadzwonić do mnie, kiedy zamierzasz coś zrobić. A tak przy okazji zrobiłeś mi przykrość, wywalając grajków, których specjalnie dla ciebie wybrałam.

Podszedłem do syntezatora. To był Dave Smith. Może nawet mój Dave Smith. Nie wiedziałem, czy został zlikwidowany, kiedy byłem zaginiony/uznany za martwego/wilkołakiem (Możliwy tekst piosenki?) (zbyt dosłowne) (Inne słowo zamiast wilkołaka?) (*bestia*) (*jednorożec*) (*samobójstwo*) (Zapisać w notesie?) (Tu nie ma nic ciekawego).

Wyciągnąłem notes i zapisałem w nim: „Tu nie ma nic ciekawego”.

– Cole.

– Co? A, nie chciałem gitarzysty, a basista był z zupełnie innej bajki.

Baby dotknęła czegoś na ekranie iPada.

– Gwoli informacji, wybrali go bywalcy forum mojego programu, jeszcze zanim tu w ogóle dotarłeś. Dobrze go znali. To był wyraz ich zaangażowania.

U odbiorców mojej muzyki wolałem inny sposób zaangażowania: kupić album, przychodzić na koncerty, znać teksty piosenek.

Włączyłem syntezator. Zaświeciły się wszystkie lampki kontrolne. Położyłem na chwilę palec na jednym z pokręteł, chciałem tylko przypomnieć sobie, jakie to było uczucie. Minęło tak wiele czasu. Chociaż obiektywnie rzecz biorąc, więcej czasu spędziłem na grze podczas koncertów niż w domu, to właśnie te pierwsze próby w domowym zaciszu stanęły mi teraz przed oczami. Mój pierwszy syntezator, sypialnia, promienie porannego słońca na klawiszach, robione komórką zdjęcia ustawień, kawałki nucone pod nosem z zamkniętymi oczami. Tak jakby nigdy nie było NARKOTIKI.

– Wyciągaj swój telefon i zadzwoń do niego – zażądała Baby. – Powiedz mu, że to był błąd z twojej strony.

Cały czas stojąc do niej plecami, odparłem:

– Nie.

– Nie masz tu nic do gadania.

W środku się wzdrygnąłem, ale zachowałem kamienną twarz i beztroski ton.

– Czy w kwestii nagrania dobrego albumu też nie mam nic do gadania?

Nie odpowiedziała.

– Fanom nie spodobał się pierwszy odcinek? – Doskonale wiedziałem, że im się spodobał. – Nie polubili Jeremy’ego?

– To nie miał być program o ponownym spotkaniu dawnych muzyków NARKOTIKI. Czy Victor zaraz wyjdzie z szafy?

Poczułem, jak ucieka ze mnie cała muzyka.

– Mogę ci w zasadzie zagwarantować, że nic takiego się nie stanie.

Baby milczała przez dłuższą chwilę, nieustannie stukając coś w swoim elektronicznym życiu. Tymczasem włączyłem głośnik i skupiłem się na wydobyciu z klawiszy najgłośniejszego, najtęższego i najwredniejszego akordu, jaki to mieszkanie kiedykolwiek słyszało.

Akord wzbierał i wzbierał na sile, a ja usiłowałem sobie wyobrazić wygląd okładki albumu, liczbę utworów z tyłu opakowania i uczucie towarzyszące wypuszczeniu swojego dzieła w świat, aby wypłynęło na szerokie wody lub zatoneło w mrocznych odmętach. Dotąd zawsze wszystkie żeglowały po listach przebojów, tylko ja coraz bardziej tonąłem. Zastanawiałem się, kim byłbym dla świata, gdyby nie NARKOTIKA.

W końcu Baby zdecydowała się przerwać milczenie (głośno, starając się przekrzyczeć najgłośniejszy, najtęższy i najwredniejszy akord, jaki to mieszkanie kiedykolwiek słyszało):

– Dobra, zrobimy tak. Nie zamierzasz przyjąć z powrotem Chipa?

Zdjąłem palce z klawiszy. Dźwięk powoli przygasał.

– Kim, do cholery, jest Chip? Aha. Nie. Zostaję z Jeremym.

– To zrobimy tak – powtórzyła. – Teraz to należy do ciebie.

Odwrociłem się. W wyciągniętej ręce trzymała telefon.

– Co to jest?

Nie odezwała się ani słowem, dopóki z ociąganiem nie wzięłem od niej oferowanego kawałka plastiku.

– Twój nowy telefon służbowy. Właśnie założyłam ci konto we wszystkich serwisach społecznościowych w sieci. Napisałam, że

będziesz się na wszystkich osobiście kontaktował z fanami. Chcesz decydować o składzie zespołu? To musisz dwa razy ciężiej pracować.

Wpatrywałem się w trzymane urządzenie.

– Zabiłaś mnie.

– Gdybym cię naprawdę zabiła, poczułbyś.

Jęknąłem.

– Nawet nie... – zaczęła Baby, wstając z krzesła. – Nie zachowuj się, jakbym była twoim strażnikiem w więzieniu. Oboje chcemy tego samego: powodzenia tego programu. Wtedy ja będę mogła zrobić kolejny, a ty już do końca życia nie będziesz musiał jeździć w trasy koncertowe. Weź się zatem do roboty i nie zapomnij, że zarezerwowałam ci studio na dzisiejsze popołudnie.

Wziąłem się do pracy.

Ponieważ miała rację.

– Jaki będzie następny posiłek? – zapytał mnie Cole.

– Lunch – odparłam.

Zerknęłam na drzwi do sali wykładowej, aby upewnić się, że pozostają zamknięte, i ruszyłam w stronę damskiej toalety. Wyjście do łazienki było jedynym dopuszczalnym sposobem wykpienia się od zajęć z DAP. Na marginesie, tylko mnie zdawało się to przeszkadzać – wszyscy pozostali w mojej grupie sprawiali wrażenie autentycznie zaciekawionych. Tłumaczyłam to sobie tym, że zwyczajnie nie przeczytali wystarczająco dokładnie podręcznika i dlatego nie zauważyli, jak wiele zbędnej wiedzy usiłuje im się przekazać.

W każdym razie wyświetlający się na ekranie wibrującego telefonu numer Cole'a był wystarczającym powodem skorzystania z opcji łazienkowej. Na korytarzu starałam się oddychać przez usta. Trzeba mieć naprawdę mocny żołądek, żeby zaraz po ukończeniu szkoły średniej z własnej nieprzymuszonej woli pójść do kolejnej. Sam zapach korytarza wyzwalał we mnie mieszankę uczuć, z których każde z osobna byłoby dobrym tematem na oddzielną sesję terapeutyczną.

– Powiedz, że mnie pragniesz – powiedział Cole.

Weszłam do łazienki.

– Mam bardzo krótką przerwę na lunch.

– Zapomniałem, że się kształcisz. Naucz mnie czegoś, czego właśnie cię nauczono.

– Omawiamy teraz uprzejme zwracanie się do pacjentów. Okazuje się, że niezależnie od stopnia zażyłości nie powinnam się do nikogo zwracać „skarbie”.

– Będiesz świetną D-P-A. Znaczą D-A-P. Dobrze mówię? Chociaż D-P-Ę masz oczywiście świetną.

W lustrze odbicie moich ust wygięło się w uśmiechu jednocześnie złośliwym i zadowolonym.

– Lekarką – sprostowałam. – Wybieram się na akademię medyczną. To tutaj to tylko zło konieczne.

Nie było to do końca prawdą. Prawdopodobnie dostałabym się do

przyzwoitej szkoły przygotowującej do studiów medycznych i bez tego, ale chciałam czegoś więcej. Chodzenie do zaledwie przyzwoitej szkoły miało się z celem.

– Przyjedź po mnie – jęknął żałośnie Cole. – Swoim samochodem. W moim wyglądam jak jakiś cienias.

– To nie jest twój samochód – zauważyłam. Cole zachichotał. – Podjadę po ciebie. Ale tym razem to ja wybieram lokal.

Rozłączyłam się. Nie chciało mi się wracać do klasy. Równie mocną niechęć czułam na samą myśl o zajęciach klinicznych za parę dni. Nie chciałam przetaczać staruszków na bok i sprzątać tego, co pod nimi znajdę. Nie chciałam być pouczana przez instruktora, że przy przedstawianiu się pacjentom mam się uśmiechać. Nie chciałam musieć zakładać rękawiczek i znosić tego okropnego uczucia zaraz po ich zdjęciu. Nie chciałam się czuć, jakbym była jedyną osobą na świecie, która nienawidziła innych ludzi.

„Uczysz się tego na zajęciach”.

„Będiesz lekarką”.

„Tak wygląda życie”.

Na tle odrapanych drzwi do kabin moje odbicie w lustrze sprawiało wrażenie surowego i niepasującego do otoczenia. Nie byłam pewna, czy naprawdę tak wyglądałam, czy też był to efekt tego, jak stałam: z wystawionymi na boki łokciami, tak aby nic nie mogło mnie dotknąć. Taką miałam zasadę: nic nie może mnie dotknąć.

Nie wiedziałam, dlaczego ciągle pozwalałam Cole’owi ją łamać.

Godzinę później szliśmy na lunch do mało znanej jadłodajni w L.A.

Nie mogłam do końca zrozumieć, dlaczego ludzie wciąż traktowali znalezienie mało znanego lokalu jak jakieś niesłychane osiągnięcie. Znajomi rodziców zabierali ciebie i twoją matkę do jakiegoś małego baru, w którym serwowano pyszne omlety czy cokolwiek innego, i rzeczeni znajomi puszyli się, jakby to oni właśnie przed chwilą wynaleźli sztukę robienia omletów. Wtedy twoja matka zadawała nieodzowne pytanie: „W jaki cudowny sposób udało wam się znaleźć to miejsce?!”. Znałam odpowiedź: w internecie. Wystarczyło pięć minut, kod pocztowy i dostęp do sieci, aby dołączyć do grona wtajemniczonych

w sekrety mało znanych knajpek.

Wkurzało mnie, kiedy ludzie brali zwykły zdrowy rozsądek za jakieś nadprzyrodzone moce. Jeśli tak by było, byłabym najbardziej nadprzyrodzoną istotą spośród wszystkich mi znanych.

Zabrałam Cole'a w miejsce, które odkryłam dzięki moim nadprzyrodzonym mocom: do niewielkiej cukierni na parterze niepozornego budynku. Jeśli nie wiedziało się, że tu jest, łatwo było ją przeoczyć zza kierownicy samochodu. Od zewnątrz ściany były ciemnofioletowe. Wnętrze za to było jednym z najmiłszych dla oka w całym L.A. W ciasnawej części jadalnianej stoliki rozmieszczono na betonowej podłodze, a pod białymi ścianami stały odświeżone stare drewniane ławki. W powietrzu unosił się aromat kawy i roztopionego masła. Część do składania zamówień była malutka i dość specyficzna: chłodziarka z intrygującymi napojami, tablica z wypisanym kredą menu i lada wystawowa z pysznymi ciastami. Spróbowałam już każdego – od aksamitnych tart cytrusowych po słone ciasto czekoladowe skropione po wierzchu karmelem.

Cukiernia znajdowała się tak daleko od obrzydliwej licealnej sali lekcyjnej, że kiedy zaczynałam swój dzień od wizyty w jednym z tych dwóch miejsc, czułam się, jakby drugie było nierzeczywiste.

Stanęliśmy w kolejce. Co rusz łapałam się na staniu zbyt blisko Cole'a – wystarczająco blisko, aby moja łopatka opierała się o jego klatkę piersiową. Wtedy orientowałam się, że oboje oddychamy w tym samym rytmie.

Nie chciałam wracać. Wolałam zostać tu z nim. Albo zabrać go ze sobą. Czasem miałam już tak serdecznie dość samotności...

Nagle poczułam się dziwnie i nieprzyjemnie łązawo.

Z rozmysłem przesunęłam się o krok w bok. Bez mojego ciała, które go stabilizowało, Cole zaczął się kręcić nerwowo. Najpierw przejrzał napoje wystawione w chłodziarce, potem omiół wzrokiem półki z różnymi produktami, potem znowu spojrzął na napoje i znowu na produkty.

– Tak właściwie to nie przepadam za słodyczami.

Rozprostował dłońią koszulkę. Zdążyłam już się domyślić, że chciał ją kupić tylko z powodu napisu „Pies na ciacha”.

– Nie bądź palantem – powiedziałam.
– No to mi poradź, co kupić. Pomarańczę? Też jest słodka.
– Oj, zamknij się. Zamówię za ciebie. Prawdę mówiąc, to przez ciebie nerwowo przestępuję z nogi na nogę. Wyjdź na zewnątrz i zajmij stolik na chodniku.

– *Da* – odparł i zniknął.

Gdy po złożeniu zamówienia wyszłam z cukierni, siedział przy jednym z maleńkich metalowych stolików stojących w półcieniu i wpatrywał się w dwa telefony, które położył na blacie. Na chodniku były jeszcze dwa stoliki: przy jednym siedziała roześmiana, ale bardzo brzydka kobieta z pięknym, choć wyglądającym na wrednego małym pieskiem, przy drugim zasiadł kamerzysta, któremu pokazałam środkowy palec. Pomachał do mnie, uśmiechając się przyjaźnie.

Postawiłam przed Cole'em jego kawę i usiadłam plecami do obiektywu kamery.

– Co mi zamówiłaś? – zapytał, nie odrywając wzroku od ekranów telefonów.

– Nie powiem. To ma być dla ciebie niespodzianka. Nie pomarańczę. Skąd masz drugi telefon?

Cole ponurym głosem przedstawił mi pomysł Baby.

– Nie jest tak źle – stwierdziłam. – Czyli chce, żebyś rozmawiał ze swoimi fankami?

– Nie chcę z nimi rozmawiać – jęknął. – One ciągle tylko pytają, czy je rozdziewiczę albo czy napiszę jeszcze piosenkę w stylu *Villain*, albo czy zagram koncert w jakiejś zapadłej dziurze, w której mieszkają. Dodałaś cukru?

– Nie. To kawa dla dorosłych. Zrobiłam ją tak, jak to robią dorośli. Poza tym nie musisz odpisywać każdej z osobna. Możesz odpowiadać zbiorczo. Wiesz, pisać, co akurat robisz.

– Co akurat robię! „Właśnie jestem genialny”. „A teraz jestem wspaniały”. To by było dla nich ciężkie do strawienia.

– Och, to już jest dla nich ciężkie do strawienia. Baby wie, że nie biorę udziału w programie, prawda?

Cole uniósł wzrok na kamerzystę.

– Zgodnie z prawem może filmować twoją potylicę, ale nie może

pokazać twojej twarzy. A to... – machnął ręką w stronę ulicy – ...jest zbyt głośne, żeby był w stanie wychwycić cokolwiek z naszej rozmowy. Ale... chcesz wejść do środka?

Rozważyłam tę mroczną przyjemność płynącą z anonimowego oznaczania terenu, z dawania fankom Cole'a do zrozumienia, że on już jest zajęty. Poza tym moja fryzura świetnie wyglądała z tyłu.

– Nie – odparłam. – Pij kawę.

Cole upił kolejny łyk. Wyglądał na zasmuconego. Wysunęłam torebkę z cukrem, którą chowałam za swoim kubkiem. Rzucił się na nią jak głodny na chleb. Gdy był zajęty wsypywaniem zawartości torebki do już i tak idealnej latte, wzięłam ze stołu telefon od Baby. Był dość ładny.

– Tylko spójrz, jak dobrze leży ci w dłoni. – Cole spojrzał krytycznym okiem na trzymany przeze mnie aparat. – Szanuje cię. Mogłabyś być Cole'em St. Clairem, wiesz?

Zaśmiałam się. Nieco okrutniej, niż było absolutnie konieczne.

– Och, nie sądzę. Ta posada jest już zajęta przez kogoś o zdecydowanie zbyt wysokich kwalifikacjach.

– Chodzi mi o to, że mogłabyś być moim głosem w sieci. Spróbuj. Powiedz coś.

Zgromiłam go wzrokiem. W rzeczywistości jednak, chociaż Cole był bardzo złożonym stworzeniem, jego zewnętrzna maska była dość nieskomplikowana. Otworzyłam Twittera i napisałam: „hej hej hej świecie”.

Wysłałam.

Musiałam przyznać, że czułam pewien dreszczyk emocji.

– Co powiedziałem? – zapytał Cole.

Pokazałam mu ekran telefonu.

– Nie stosuję interpunkcji – powiedział. – I używam mnóstwo tych okrągłych dynksów. – Uniósł stulone dłonie po obu stronach twarzy. – Nawiasów.

– Przeczytałeś to w ogóle?

– Tak. Wiem. Właśnie podziwiałem. Pokaż mi jeszcze raz. Tak. To świetny pomysł. Dzięki temu będę miał czas na masę różnych rzeczy.

– Takich jak wylegiwanie się na podłodze czy wyrzucanie z zespołu fajnych ludzi?

– Ej, ja nie krytykuję twojej pracy. A tak w ogóle to po południu wchodzę do studia.

Przyjrzałam się uważnie jego twarzy, usiłując odczytać jego nastawienie, ale był zwrócony w stronę kamery, w związku z czym przybrał wyraz starannie wyreżyserowanego aroganckiego rozluźnienia.

– Też mogłabyś przyjść – rzucił Cole. – Byłabyś moją... jak to się nazywa? Naga osoba. Nie. Muza. Byłabyś moją muzą.

Uniosłam jedną brew.

– Mam zajęcia. Może jeśli odrobisz wszystkie swoje lekcje, wpadnę, żeby wynagrodzić twoje wysiłki.

– Och. Ja też mógłbym ci coś wynagrodzić. Nagrody to moja specjalność.

– Jakież to wspaniałomyślne z twojej strony.

Cole rozsunał swoje palce na kilka centymetrów. Po chwili zmienił zdanie i dodał kolejne dwa centymetry.

Przyszła kelnerka z tacą.

– Oto wasze...

– Óóó – przerwałam jej. – To ma być niespodzianka. Dla niego. Cole, zamknij oczy.

Cole posłuchał. Dziewczyna uśmiechnęła się, postawiła przed nami talerzyki i odeszła. Zauważyłam kątem oka, że zatrzymała się po drugiej stronie drzwi i przyglądała się nam z wyczekiwaniem, nie przestając się przyjaźnie uśmiechać. Dziwnie się czułam jako przyczyna takiego miłego wyrazu twarzy.

– Otwórz usta – rozkazałam Cole'owi.

Zabrałam się do odkrajania moim zdaniem odpowiedniego kęsa tarty truskawkowej z mąki pełnoziarnistej. Zajęło mi to więcej czasu, niż sądziłam.

– Są otwarte – powiedział Cole. – Na wypadek, gdybyś nie zauważyła.

– I niech takie pozostaną. Nie pozwoliłam ci ich zamknąć.

Przez dobrą minutę przyglądałam się, jak Cole się wierci, uśmiechając się półgębkiem. Byłam ciekawa, czy straci cierpliwość. Przesunęłam wzrok od jego zamkniętych oczu powoli w dół, aż po skraj koszulki. Poprawił się na krześle. Powieki mu drgały od nerwowych

ruchów gałek ocznych. Jeśli ktokolwiek chciał kiedyś poddać Cole'a torturom, wystarczyłoby mu przywiązać go do krzesła i nie robić zupełnie nic. Cole błagałby o wyrwanie mu paznokci z palców u stóp, byleby cokolwiek się działo.

– Culpeper – powiedział w końcu Cole. Ton jego głosu przyprawił mnie o silny rumieniec. – Za chwilę otworzę oczy.

– Nie ma mowy – stwierdziłam i włożyłam mu ciasto do ust.

Przez parę chwil przeżuwał kęs, aż w końcu go połknął. Westchnął głęboko.

– Jeszcze nie otwieraj, to nie koniec – ostrzegłam go. – Werdykt?

– Mmm.

– Gotowy na kolejne?

– Czy to będzie czekoladowe?

To była czekoladowo-karmelowa *crostata* posypana solą morską. Najlepsze jedzenie pod słońcem. Jeśli się akurat było w nastroju na jedzenie.

– W głównej mierze.

– No to tylko mały kawałek – zastrzegł.

– Niech ci będzie. Zresztą i tak ledwo mam ochotę się tym z tobą podzielić.

Posłusznie otworzył usta. Położyłam mu na języku mały kawałek karmelowo-morsko-czekoladowej pyszności.

– Oczy cały czas zamknięte – przypomniałam.

Rozkoszował się smakiem czekolady i westchnął jeszcze głębiej.

– Temu – oznajmił – z przyjemnością pozwoliłbym się zabić. Oczy dalej zamknięte?

– Tak. Otwórz usta.

Ponownie kazałam mu czekać, wykorzystując ten czas na studiowanie linii jego kości policzkowych, szczęki i brwi. Miał pewne siebie, olśniewające rysy – tak pasujące do tego miasta pełnego pewnych siebie i olśniewających ludzi. W końcu pochyliłam się nad stołem i pocałowałam go prosto w otwarte usta. Jego wargi wciąż smakowały karmelem. Czułam, jak powiedział „Mmm”. Jego mruczenie wprawiło moje wargi w drżenie. Nagle chwycił mnie za szyję i odwzajemnił pocałunek – szczerze i zdecydowanie.

Serce urosło mi, jakby miało za chwilę pęknąć. Było przyzwyczajone do pompowania lodu i nie radziło sobie zbyt dobrze z krwią.

Przerwałam pocałunek i usiadłam. Cole wytarł serwetką usta z mojej szminki. Oddychałam miarowo, usiłując uspokoić tętno.

– Mam jeszcze to – oznajmiłam i położyłam na stole przed nim koszulkę z napisem „Pies na ciacha”.

Cole westchnął trzeci raz, tak jakby to był jego ulubiony smak. Potarł rękawem koszulki policzek, po czym chwycił widelec i zjadł swoją tartę w dwóch kęsach.

Swoje ciasto jadłam dłużej. Po pierwsze dlatego, że kolejne kęsy przeżuwałam. Po drugie zaś dlatego, że w tym samym czasie zapoznawałam się z jego nowym telefonem. Przeglądałam zainstalowane aplikacje – wszystkie były zarejestrowane na niego.

– Naprawdę chcesz, żebym była tobą w internecie?

Cole posłał mi uśmiech, swój prawdziwy uśmiech.

– Ufam ci.

Zanim dotarłem do studia wraz ze switą kamerzystów, zdążyłem wysłać mejlem pomysły na piosenki do Jeremy'ego i Leyli, a także obmyślić scenariusz nowego odcinka programu. Doszedłem do wniosku, że tak długo, jak będę robił ciekawe rzeczy, Baby nie będzie próbowała rzucać mi kłód pod nogi.

www.sharpt33th.com działało tak: każdy „sezon” trwał sześć tygodni. W tym czasie powstawało najczęściej od sześciu do dziewięciu odcinków, które były udostępniane w różnym czasie. Nie wydawało mi się to zbyt logicznym sposobem robienia programu, ale tak to działało, jeszcze zanim przyjechałem do Kalifornii, i zapewne tak samo będzie działać, gdy mnie już tu nie będzie. Baby zdobyła grupę stałych widzów, którzy zainstalowali specjalną aplikację SharpT33th na różnych urządzeniach. W nagrodę najwierniejsi fani programu mogli oglądać nieregularnie udostępniane odcinki jakiś czas przed resztą zainteresowanych. Zamysł był taki, że jeśli nieszczęsna ofiara Baby zrobiłaby coś potwornego, zostałyby to od razu umieszczone w internecie. Jeśli ktoś akurat miał telefon przy sobie, mógł być pierwszym, który się o tym dowie. Po pierwszej burzy w sieci odcinki były archiwizowane i udostępniane na stronie do obejrzenia przez każdego w dowolnie wybranej chwili. W optymalnych warunkach Baby wypuszczała w świat jedną odsłonę tygodniowo, ale w mojej umowie stało, że mogłem zostać poproszony o nakręcenie nawet dwóch odcinków tygodniowo. Jeśli spełnione były dwa warunki: „odpowiedni materiał i niezbędne zainteresowanie”.

Te dodatkowe odcinki były kręcone zawsze po tym, jak udało jej się swoją ofiarę złamać.

Nie miałem zamiaru dołączyć do grona pokonanych.

Klaustrofobiczne, szare i pozbawione duszy studio nagraniowe wyglądało zupełnie obco. Najwyraźniej jednak Leyla je знаła, bo uścisnęła dłoń dźwiękowca na powitanie i od razu skierowała swoje kroki do lodówki, z której wyciągnęła kombuczę.

– Cześć, stary – zwrócił się do mnie dźwiękowiec. – Jestem Dante.

Jak wisi?

Wymieniłem porozumiewawcze spojrzenie z Jeremym.

– Nieco na lewo – odparłem. – Ile mamy czasu?

Leyla i Dante wyglądali na urażonych przejściem od razu do interesów, ale sprawy miały się tak: w studiach nagraniowych byłem zawsze podenerwowany. Nie chodziło o to, że nie lubiłem w nich przebywać. Problem polegał na tym, że odkąd tylko zacząłem się zajmować muzyką, w każdym studiu musiałem pracować pod presją czasu. Niezależnie od tego, jak sławna stała się NARKOTIKA, gdy przychodziło do nagrania nowego albumu, byliśmy wciskani do studia na określoną z góry liczbę godzin, po czym musieliśmy wracać na trasę. Nigdy nie było dość czasu na nagranie wszystkich kawałków tak, jak chciałem, żeby brzmiały. Nie nagraliśmy nigdy niczego tragicznego, ale kilka razy mało brakowało. Na tyle mało, że już zawsze pamiętałem, jak wysoka była stawka.

Ponadto w tym konkretnym studiu było lodowato. Tak jakby to była komora testowa dla moich szarpanych przez wewnętrznego wilka nerwów.

– Czy chciałbyś, no, zapoznać się ze sprzętem? – zapytał Dante. – Znaczy...

– Chciałbym – wszedłem mu w słowo – postawić swój sprzęt i żeby tamta dwójka zajęła się wpinaniem go do twojego. Ja tymczasem wyszukam na Wikipedii stronę o tym studiu, żeby sprawdzić, kto u ciebie nagrywał i czy w wyniku tej sesji zostaniemy dozgonnymi przyjaciółmi, czy śmiertelnymi wrogami.

Dante spojrział na mnie. Leyla również. Nawet obie kamery tkwiły skierowane w moją stronę. Jeremy położył niesiony futerał, otworzył go i wyciągnął swój bas.

Nikt się nie poruszył.

Jeremy uniósł wzrok i powiedział bardzo miłym, nieco zaskoczonym głosem:

– Oj, nie wiedzieliście? Cole nie znosi rozmawiać o niczym.

Czasem potrafię być dupkiem. Czasem mam wszystko gdzieś.

Wszyscy ruszyli zrobić to, czego od nich oczekiwałem.

– Jeszcze jedno – dodałem. – Czy tu może być trochę cieplej? Nie

czuję swoich cholernych palców.

Jeremy wstał, wyregulował pas na ramieniu, zagrał spokojny riff i zaczął poprawiać strój.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – zauważył.

– Prawie – powiedziałem.

Nie wspomniałem o Victorze, chociaż właśnie o nim w tej chwili myślałem. Spojrzałem na Leylę mocującą się ze swoimi bębniami.

– Którą bierzemy na warsztat? – zapytał Jeremy. Miał na myśli otrzymane ode mnie pliki. – Popróbowaliśmy kilka z nich.

– A którą czujesz?

Jeremy zerknął na kamery, po czym wrócił wzrokiem do mnie i niskim, wyluzowanym głosem zapytał:

– To zależy. Jaki masz patent?

Boże, jak ja uwielbiałem mądrych ludzi.

– Specjalni goście – odparłem, obracając telefon ekranem do niego.

– Aha, hałaśliwie – stwierdził Jeremy. – No to machnijmy trzecią.

Tak to szło?

Zagrał kilka taktów, żeby zrozumiał, o który utwór mu chodzi.

– Słyszałaś to? – zwróciłem się do Leyli, która uniosła na mnie wzrok i skrzywiła się z niechęcią. – Ten kawałek nagrywamy. Rusz głową i się dostosuj.

Miałem nadzieję, że nie ruszy głową za mocno, bo wtedy rozsypałyby się jej spięte cienką gumką dredy i nic by nie widziała.

– Cole? – zapytał David, Derek, Damon, Dante? Jego głos dobiegał zewsząd. Spojrzałem w stronę szyby oddzielającej nas od pokoju mikserskiego i zobaczyłem go krzątającego się przy konsolach i monitorach. – Słyszycie mnie tam?

– *Da.*

– Zaraz dostaniecie słuchawki. Dajcie znać, jak tam z głośnością w nich, i wszystko tu sobie wyregulujemy. Wszystko jest podpięte i gotowe. Masz jakiś roboczy tytuł dla pierwszego utworu?

– *Gasoline Love*⁷.

Dante wpisał tytuł na komputerze.

– Fajny.

– Przewidywalny – zauważyła Leyla zza rozstawionej perkusji.

Zjeżyłem się.

– W przypadku benzyny czy miłości nie można mówić o żadnej przewidywalności, towarzyszeko. Może byś tak wróciła do niezważania na to, co przyniesie jutro?

Leyla wzruszyła ramionami i zagrała krótką wprawkę.

Nie była zła, ale...

„Chcę Victora”.

„Chcę Victora”.

„Chcę Victora”.

Pozwoliłem sobie na tę myśl tylko przez krótką chwilę, po czym otrząsnąłem się i stanąłem przy syntezatorze. Nie mogłem się pozbyć natrętnego złego przeczucia. Wspomniałem usta Isabel na moich wargach wtedy przed cukiernią.

Zabraliśmy się do pracy.

Granie w studiu nagraniowym w niczym nie przypomina występu na żywo. Na scenie wszystko dzieje się naraz. Nie ma żadnych powtórek, rozwiązywania problemów... tylko dziki żywioł. W studiu wszystko przypomina układanie puzzli. Łatwiej jest zacząć od brzegów, ale czasem ciężko jest ustalić, które elementy tak właściwie te brzegi tworzą. Nieraz najtrudniejsza jest decyzja, od której ścieżki należy zacząć nagrywanie, która ścieżka posłuży za szkielet, wokół którego zbudujemy całą piosenkę. Wokal? Ale co zrobić, kiedy zgubi się rytm albo zupełnie skaszani się metrum? No to perkusja. Ale to dawało szkielet tak bezwymiarowy, że równie dobrze można nagrywać bez niczego albo z samym metronomem. No dobrze, to klawisze. W końcu to one nadają brzmienie i tonację. Owszem, będzie je trzeba później nagrać od nowa, ale przynajmniej miało się coś konkretnego.

I tak zazwyczaj wołałem wszystko zacząć i kończyć.

Pracowaliśmy przez godzinę. Z każdą upływającą minutą coraz bardziej nienawidziłem Leylę. Nie chodziło o to, że źle grała. Grała dobrze. Ale Victor był najlepszym muzykiem z naszej trójki. Inne zespoły ciągle próbowały nam go wykraść. „Magiczne dłonie” – mówili. Leyla była po prostu osobą z perkusją.

Jakże głupi byłem, sądząc, że mógłbym tak po prostu wejść do studia z innymi muzykami i po jakimś czasie wyjść z materiałem, który

choćby mgliście przypominałby NARKOTIKĘ. Nie, nie głupi, zarozumiały. Owszem, to ja byłem NARKOTIKĄ, ale Jeremy i Victor też nią byli.

Po godzinie męczarni zamiast „benzynowej miłości” mieliśmy raczej „terpentynową obojętność”.

Gdy na miejsce przybyli wszyscy, których zaprosiłem na gościnny występ, byłem już w dość podłym humorze.

– Zastanawiałem się nad przywiezieniem kawy – powiedział Leon, wchodząc do środka. Zaskoczeni kamerzyści szybko zwrócili na niego obiektywy. Niepotrzebnie, ponieważ Leon nie podpisał zgody na upublicznianie swojego wizerunku. I nie miał zamiaru podpisać. – Ale stwierdziłem, że dzisiejsza młodzież pewnie pije te nowomodne wymysły.

Podał mi napój energetyczny. Czuję zaskakującą radość na jego widok.

– Leonie, kocham cię – wyznałem, odbierając od niego puszkę. – Wyjdź za mnie i sprowadź mnie na właściwą drogę.

– Hm, no cóż – mruknął Leon.

Podał drugą puszkę Jeremy’emu, ale ten pokręcił odmownie głową.

– Witaj z powrotem, stary.

Mój basista przyniósł ze sobą słoik z zieloną herbatą.

Leyla pociągnęła nosem i upiła porządny łyk kombuczy.

– Kto to jest? – zapytała.

– Pewni wyjątkowi goście – odparłem.

– Każdy gość jest wyjątkowy – rzuciła, choć bez szczególnego przekonania.

Za Leonem weszli jego pasażerowie: dwójka policjantów z pierwszego odcinka. W mundurach. Policjantka skończyła służbę już pół godziny temu, ale zgodziła się przyjechać umundurowana, żeby poprawić ogólne wrażenie. Nie byłem głupi. Wiedziałem, że nikt ich nie rozpozna w cywilnych ciuchach.

Miałem nadzieję, że Baby była pod wrażeniem mojego niesamowitego sprytu. Musiała dostrzegać, jakim bezapelacyjnie genialnym posunięciem było sprowadzenie do studia tej pary policjantów. Naprawdę miałem ochotę poprosić Leona o dołączenie do

programu, ale wiedziałem, że zgodziłby się tylko po to, żeby mnie uszczęśliwić, a potem miałby dość bycia rozpoznawanym w spożywcza. Dlatego nie poprosiłem go o to, chociaż wyobrażałem sobie, że byłby wspaniałą postacią drugoplanową. Taki przyjacielski koleś kumplujący się ze wszystkimi wokół.

Ale chciałem, żeby Leon był szczęśliwy. Taki był mój cel. No, jeden z kilku.

Wymieniłem z policjantami uprzejmości – takie tam zwykłe pytania na przywitanie: czy kiedykolwiek zdarzyło im się skakać ze spadochronem albo pogłaskać łysego psa. Potem przeszliśmy do sedna sprawy.

Trzeba było znaleźć dla nich fragmenty utworu, które mogliby wykonać w studiu bez szczególnego wysiłku. Owszem, facet mógł zagrać kiepsko na basie, ale czegoś takiego nie mogłem wrzucić na album. Mogli jednak oboje wybijać rytm. Gryzłoby się to trochę z perkusją, ale prawdę mówiąc, ucieszyłbym się na wszystko, co tylko mogłoby zirytować Leylę.

Gdy pokazywałem im, jak mają tupać i klaskać, okazało się, że policjantka (Darla? Diana?) uczyła się śpiewu operowego. Postanowiłem więc trochę zaszaleć. Dante nie miał pojęcia, jak się używa konsoli mikserskiej – albo może nie wiedział, jak dobrze nas zmiksować – ale to mi zupełnie nie przeszkadzało, ponieważ ktoś o nazwisku do złudzenia przypominającym moje był czarodziejem klawiszy i potrafił zaśpiewać jak mały kto.

Piosenka zaczynała nabierać całkiem przyjemnych kształtów. Nie był to materiał na singiel, ale całość zaczynała brzmieć jak jeden z tych wykręconych kawałków, na których punkcie fani dostawali szału. Jak jakiś kultowy klasyk, który jakimś cudem był puszczany jeszcze długo po tym, kiedy teoretycznie największe hity albumu już dawno się wszystkim przejadły. Po paru godzinach nagrań zacząłem odczuwać lekki optymizm. Nie osiągnąłem wprawdzie celu mojej egzystencji – była nim Isabel – ale był to jeden z kroków do niego. I zaczynał mi się ten krok podobać.

Wtedy padło zasilanie.

W sztucznej ciemności spojrzeliśmy na siebie z Jeremym. Operowa

policjantka zaklęła. Jedno krótkie wulgarne słowo brzmiące jak okrzyk. Ktoś westchnął. Chyba Leon.

– Dante – zwróciłem się do ciemności – powiedz mi, że używałeś automatycznego zapisu.

Dante nie odpowiedział, bo mnie nie słyszał. Bez prądu był tylko gościem za dźwiękoszczelną szklaną ścianą.

Leyla upiła trochę swojej kombuczy – usłyszałem, jak to robi, i wkurzyło mnie to. Jeremy odgarnął włosy za ucho.

Wróciło zasilanie.

Ponieważ słuchawki wciąż nie działały, zerwałem je z głowy i wparowałem do pokoju mikserskiego. Wracające do życia komputery piszczały i szumiały.

– Chcę usłyszeć dobrą wiadomość – oznajmiłem.

Dante spojrzał na mnie. Wokół jego źrenic zachował się tylko wąski pasek białka. Pokręcił głową.

– Cokolwiek? – zapytałem.

– Ścieżka perkusji?

Dopiero po dłuższej chwili dotarła do mnie powaga sytuacji. Wszystkie dziwaczne i niepowtarzalne rzeczy, które zrobiliśmy, przepadły. Owszem, mogliśmy to zrobić jeszcze raz, ale wtedy to będzie brzmiało jak coś, co musiało być robione jeszcze raz. Tak jakby dzisiejszy dzień w ogóle się nie wydarzył. Jakby ktoś właśnie wziął mój czas i go wyrzucił. Jakby napięty termin, który cały czas nad nami wisiał, został przysunięty jeszcze bliżej.

– I nie wpadłeś na to, żeby wszystko na bieżąco zapisywać? – wycodziłem. – Robisz przy sześciocyfrowym projekcie i po nagraniu perkusji nie przyszło ci do łepety: „Powciskam te przyciski na tej fajowskiej maszynie i to też zapiszę?”

– Ja wszystko zapisywałem – odparł z naciskiem Dante. – Nagła utrata zasilania wszystko pochrzaniła. W sensie pliki są uszkodzone. Ten sprzęt nawet nie chce się ponownie uruchomić.

Nie wiedziałem, który komputer pokazał. Za to miałem *pewność*, że to sprawka Baby i że zrobiła to po to, abym zaczął szaleć przed obiektami kamer. Niestety, miałem jeszcze większą *pewność*, że dostanie to, co chciała.

– Pokaż – zażądałem. – Pokaż mi te uszkodzone pliki.

Dante przejrzał kilka pustych ekranów.

– Nie ma, stary. Nie wiem...

– To najbardziej oczywista rzecz, jaką powiedziałeś od samego początku. Ty tu pracujesz? Czy ty w ogóle widziałeś wcześniej cokolwiek z tego sprzętu? Powiedz, jakim cudem zachowała się ścieżka z perkusją, a cała reszta nie.

Jeśli został wtajemniczony w plan, był naprawdę dobrym aktorem, bo wyglądał na autentycznie zaskoczonego. Przejrzał kilka kolejnych ekranów i wymamrotał:

– To jest, znaczy, to ostatni plik, na który zwróciłem uwagę. Nie wiem, naprawdę nie wiem...

Wskazałem ręką T, który stał tuż obok mnie.

– Mam nadzieję, że cieszy cię możliwość pochwalenia się swoją niekompetencją przed całym światem.

Wypadłem wściekły z pokoju mikerskiego i wparowałem z powrotem do sali nagrań, gdzie Jeremy pakował już swój bas, ponieważ dobrze mnie znał, a Leyla wciąż siedziała za bębnami, bo nie знаła mnie ani trochę.

– Moglibyśmy zrobić to jeszcze raz – zasugerował glina od basu.

Operowa policjantka pokręciła głową. Ona wiedziała.

Leon położył mi dłoń na ramieniu i wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Tak chciał los – stwierdziła Leyla.

Nie wyglądała na zaskoczoną, ale ciężko było orzec, czy było tak dlatego, że Baby wtajemniczyła ją w swój plan, czy dlatego, że była upalona. Nie wykluczałem też możliwości, że naprawdę wierzyła, że tak chciał los.

– Wiem, że chcesz mnie sprowokować do wywrócenia twoich bębnów – warknąłem – ale wiedz, że cię przejrzałem.

Jeremy powiedział policjantom, jak bardzo się cieszy z ich obecności i że ich występ został przynajmniej zarejestrowany przez kamery. Upewnił się, że ma numery telefonów obojga, uścisnął dłoń Leona; zamknął drzwi za całą trójką. Był w tym dobry.

Zadzwoiłem do Baby.

– W ten sposób na pewno nie zyskasz mojej przychylności – rzuciłem do słuchawki.

– Co? – zapytała Baby.

– Och, nie udawaj.

– Nie umiem czytać w myślach.

– Wiem, że pragniesz dramaturgii, ale jeszcze raz wykręcisz mi taki numer przy nagrywaniu albumu, to...

Urwałem, bo nie przychodziło mi do głowy żadne właściwe zakończenie zdania. Nie miałem nawet pół grama argumentu. Wróciłem do punktu wyjścia. Sądziłem, że jestem niesamowicie sprytny i zdołam oszukać system, że zdołam nagrać album bez podpisywania cyrografu z jakąś wytwórnią... A koniec końców i tak skończyłem jako marka na sprzedaż.

Wspomniałem troskę, jaką okazywała na samym początku.

Kopnąłem jeden ze stojaków z mikrofonem. Mało satysfakcjonujący dźwięk szybko zginął w tym banalnym, bezpłciowym studiu. To nie było właściwe miejsce do nagrywania albumów. Nadawało się co najwyżej do nagrywania ich reklam.

Co ja sobie w ogóle wyobrażałem?

– To co zrobisz, Cole? Nie lubię grózb, szczególnie bezpodstawnych. Pracuję. Mam rozmowę na drugiej linii. Nie wiem, co się stało, ale z przyjemnością ci pomogę.

Chciałem warknąć: „To oznacza wojnę!”, ale zeszło ze mnie całe powietrze. Nie mogłem uwierzyć, że nagranie przepadło. Zwyczajnie nie mogłem w to uwierzyć. Co za cholerna strata wszystkiego.

– Chcę mojego mustanga – powiedziałem. – Tak możesz pomóc. Sprowadź mojego mustanga.

Rozłączyłem się. Czułem się jak bezzębny pies.

Gdyby był tu teraz Victor, odwróciłbym się do niego i powiedział: „Chodźmy się naćpać”.

Ale nie było go tu. Była za to nagrywająca wszystko kamera. I to nie byłem już ja. To nie byłem już ja. To nie byłem już ja.

Spojrzałem na Jeremy’ego.

– O czym myślisz? – zapytał.

– Chciałbym, żeby Victor wszedł przez te drzwi – odparłem.

Czułem na sobie spojrzenie obiektywu kamery. Baby wygrywała ze mną na wszystkich frontach. Myśli zabuksowały mi w głowie, starając się złapać grunt, znaleźć jakiś sposób na obrócenie tego na moją korzyść, ale bez powodzenia.

– To niemożliwe – zauważył Jeremy. – Musimy pracować z tym, co mamy. – Zawiesił na chwilę głos. – Jaki jest patent, Cole?

Pytanie było absurdalne, bo nasz okręt odpłynął już tak strasznie daleko.

Telefon zawibrował mi w kieszeni, oznajmiając nadejście esemesa. Wiadomość była od Isabel: „mam nadzieje ze nagrywasz coś do czego będę mogła zatańczyć”.

Nagrywałem coś takiego! Ale teraz przepadło. Wyobraziłem sobie, jak brzmiałby ten utwór i jak by do niego tańczyła. Ponieważ była to mieszanka fantazjowania i wspomnień, wiedziałem dokładnie, jakie to byłoby uczucie, gdyby przyciskała swoje biodra do moich. Isabel Culpeper, 10/10.

Chciałem, żeby wynagrodziła mój wysiłek.

Wtedy poczułem się, jakby wiatr przewiał z moich myśli gęstą mgłą. Obróciłem się do trzymającego kamerę T.

– Nagrywałeś wszystko cały czas, tak?

– Ej, no – powiedział zaniepokojony T. – Wiesz, to moja praca.

Ja...

Machnąłem ręką, ucinając dalszy potok słów.

– Chciałem się tylko upewnić, że masz to, czego potrzebuję.

Jedziemy z tym koksem.

Jeremy wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

W pierwszym dniu bycia wirtualnym Cole'em St. Clairem spędziłam mnóstwo czasu w sieci. Nie pisałam dużo w serwisach społecznościowych, ale raczej sprawdzałam, jak Cole wygląda z zewnątrz. Zorientowałam się, że właściwie słyszałam dotąd tylko kilka jego piosenek. Nadrobiłam więc trochę zaległości ze słuchawką w jednym uchu w ciemnej sali lekcyjnej, podczas gdy instruktor DAP wyświetlał nam jakieś filmy. Ostatnie utwory odsłuchałam po drodze do .blush. Nigdy dotąd nie czytałam żadnego wywiadu z Cole'em, otworzyłam więc kilka serwisów i przeglądałam je na telefonie, podczas gdy Sierra upinała na mnie na zapleczu sklepu różne kawałki ubrań. Gdy je ze mnie zdejmowała, obejrzałam kilka fragmentów zakulisowego materiału o NARKOTICE. Kiedy zostałam sama, żeby zamknąć sklep, obejrzałam teledyski zespołów, które Cole wymienił w podziękowaniach na okładce albumu albo o których wspomniał, gdy podczas wywiadu padło pytanie o to, skąd czerpie inspirację.

Dowiedziałam się, że ten drobny gest, na który zwróciłam uwagę w pierwszym odcinku, zazwyczaj oznaczał, że Cole za chwilę zagra coś nowego lub zademonstruje coś wyjątkowego na scenie. Zapamiętałam to. A raczej odnotowałam w głowie, że dziwnym trafem nigdy nie wykonał tego gestu, kiedy był tylko ze mną. Nie był to zatem gest prawdziwego Cole'a, który po prostu wykorzystywał na koncertach. Musiał go wymyślić specjalnie z myślą o publiczności.

Dowiedziałam się też, że na pytanie, czego się boi, zawsze odpowiadał: „Niczego”.

W wywiadzie sprzed dwóch lat zdradził, że większość swoich piosenek wymyślił w samochodzie, pod prysznicem, w kinie lub podczas obmacywania kolejnej przyszej byłej dziewczyny.

Po przeczytaniu tego straciłam ochotę na dalsze zgłębianie jego życia artystycznego i poszukałam informacji o Baby North.

Pod koniec zmiany zadzwoniłam do Cole'a. Kiedy odebrał, usłyszałam w tle przytłumioną muzykę z jego nagraniem wokalem. Brzmienie jego odtwarzanego głosu przyprawiło mnie o dziwne ciarki.

– Skończyłeś lekcje?

– Prawie. Sprawy się trochę skomplikowały. Ale naprawdę chcę dostać tę nagrodę.

– Musisz zrobić wszystko. Możliwości przyznania połowy nagrody nie przewidziano – odparłam. Kliknęłam odsyłacz kierujący do artykułu na temat Baby. Zobaczyłam jej uśmiechniętą twarz, szczerą i przyjazną. Widniejący obok nagłówek życzył jej śmierci. – Ćwiczę się w byciu tobą. Jakiego jednego słowa nigdy byś nie powiedział w wywiadzie?

– Przepraszam – odparł bez namysłu.

Nie musiałam widzieć jego twarzy, aby wiedzieć, że jest strasznie zadowolony z tej odpowiedzi.

– Boże, jesteś niemożliwy. Powiedz, te teksty przychodzą ci ot tak, a może najpierw wizualizujesz sobie w głowie, jak twoja wypowiedź będzie wyglądała w druku?

– Ale to byłaby fajna supermoc. Coś jak dymek w komiksie?

– Czy ty choć raz powiedziałaś coś bez zastanowienia się najpierw, czy wystarczająco dobrze zabrzmiał? – zapytałam.

– Nie wiem, po co miałbym inaczej w ogóle otwierać usta.

– Jasne. Wiesz, ta cała sprawa, kiedy pytają cię w wywiadzie, czego się boisz, a ty zawsze odpowiadasz, że niczego? Za każdym razem podle kłamiesz.

Cole zamilknął. Nie potrafiłam orzec, czy właśnie wyobrażał sobie w dymku nad swoją głową sprytną ripostę, czy też może robił coś innego podczas rozmowy ze mną, albo czy zwyczajnie nie wiedział, co powiedzieć.

Kiedy w końcu się odezwał, mówił zupełnie innym głosem.

– To nie jest tak, że kłamię. To jest megaprzebiegłe. Dlatego jeszcze chodzę po tej planecie. Dziwi mnie, że nie wpadłaś na to sama z tym swoim olbrzymim mózgiem. To zagadka. Łamigłówka, jak choćby to, jak ściągnąć tu mojego mustanga z Phoenix, nawet przez chwilę nie rozmawiając z moimi starymi. To wszystko są zagadki, Isabel. I sądzę, że powinnaś je dla mnie rozwikłać.

Jego głos ponownie brzmiał normalnie. Zbyt normalnie.

– Nie lubię zagadek – oznajmiłam.

– To dlatego, że sama jesteś zagadką. A nie przepadasz za swoim

gatunkiem. To nie szkodzi. Ja pozostałych siebie też nie lubię.

– Nie uwierzyłam mu. Cole wyśmienicie dogadywał się z lustrem.

– Nie masz przypadkiem pracy domowej do odrobienia?

– Hej! To ty do mnie zadzwoniłaś.

– Powiedz mi, co mam powiedzieć światu.

– Powiedz im... – zaczął Cole, ale urwał. – Powiedz im, że przygotowuję dla nich prezent. A mnie powiedz, że do niego zatańczysz.

Gdy późnym wieczorem wróciłem do mieszkania, byłem zbyt zmęczony, żeby się czymkolwiek martwić. To był ten rodzaj zmęczenia przychodzący po dociągnięciu czegoś do końca, po daniu z siebie wszystkiego. W dawnych czasach wielokrotnie szukałem tego uczucia – kosztownymi drinkami, tanią wódką, pigułkami spowalniającymi wszystkie myśli. Ale tak samo, jak haj narkotykowy nigdy nawet się nie zbliżył do euforii towarzyszącej tworzeniu muzyki, sztucznie wywoływane zmęczenie nie było w stanie dorównać temu niezmaconemu spokojowi następującemu po udanym akcie twórczym.

Gdybym mógł ciągle nagrywać nowe albumy, nigdy nie byłbym nieszczęśliwy.

Leżałem na łóżku, założyłem słuchawki i zapętlilem nagrany dzisiaj kawałek. W pierwszym dniu po tchnięciu życia w nowy utwór nie można się nim było znudzić. Wysłałem do Isabel wiadomość: „odrobiłem lekcje”.

Odpisała: „muszę je sprawdzić”.

Koniec końców zgrałem niedoskonałe, mocno przeciętnej jakości nagranie z kamery T i użyłem go jako intra. Następnie zagraliśmy ostrzejszą wersję przeplatana przytłumionym operowym śpiewem. Brzmiało, jakby tak miało być od początku.

Cieszyłem się na myśl o Isabel sprawdzającej efekty mojej pracy. Ale nie potrzebowałem niczyjej opinii, aby wiedzieć, że zdałem egzamin.

Zasnąłem z muzyką wciąż brzmiącą w uszach. Śniło mi się zasypianie z muzyką wciąż brzmiącą w uszach.

Obudził mnie dźwięk otwieranych drzwi.

Isabel...

Ktoś cicho zachichotał.

Nie Isabel.

Nagle tknęła mnie myśl, że przecież zamykałem drzwi. Owszem, byłem zmęczony, ale pamiętałem, jak przekręcałem zamek.

Ze słuchawek nie dobiegały żadne dźwięki. W odtwarzaczu padła

bateria. Uwolniłem jedno ucho i usłyszałem kolejne krótkie parsknięcie. Chichoty podróżowały stadnie. Czułem się, jakby ożywały wspomnienia.

Wilcze uszy wychwyciły odgłos dłoni sunących po ścianie. Nos wyłapał woń perfum i potu. Ktoś włączył światło.

W części dziennej stały trzy dziewczyny nagie od pasa w górę. Zaglądały do sypialni przez pozbawiony pleców regał z IKEA.

Jedna z nich pomysłowo wypisała na swoich piersiach moje imię i nazwisko. Na jednej COLE, na drugiej CLAIR. Małe „st.” umieściła na zbiegu obojczyków.

– Chyba źle trafiłyście – powiedziałem przyjaznym tonem, pozostając w pozycji leżącej.

Odpowiedziała mi kolejna salwa chichotu. Pozostały w moim mieszkaniu. Pozostały półnagie. Ja pozostałem w łóżku.

Za dawnych czasów nie miałbym z tym żadnego problemu. Znudzony, napalony i naćpany zabawiłbym je wszystkie, choć siebie niekoniecznie, po czym straciłbym przytomność na podłodze.

Teraz jednak nie dość, że każdy mój ruch śledziła kamera, to jeszcze chciałem, żeby Isabel Culpeper dalej odbierała moje telefony. Mozolnie i wytrwale pracowałem na swoją nagrodę i nie miałem zamiaru pozwolić tej sytuacji wszystkiego zepsuć.

– Mogę przysiąc, że zamykałem drzwi – powiedziałem, siadając na łóżku.

Jedna z dziewczyn pokazała mi klucz i uśmiechnęła się promiennie.

Och, Baby.

Dziewoja z moim nazwiskiem na widoku poinformowała, że jest dziewczicą.

– Jestem z ciebie dumny – powiedziałem. Uniosłem palec i wybrałem numer Isabel, jednym okiem pilnując moich półnagich gości.

– Złotko, czy masz ze sobą wirtualnego Cole’a?

– Złotko – powtórzyła jak echo Isabel.

– *Da.* Tak. Złotko.

Wstałem. Jakże się cieszyłem, że zasnąłem w ubraniu.

– Owszem, ale właśnie prowadzę. I mogę się założyć, że zaraz za mną jedzie twój kamerzysta. Czy to nie zabawne?

Dziewczęta podeszły parę kroków bliżej. Były zadziwiająco pijane. Każda kamera w mieszkaniu zdążyła uchwycić co najmniej jedną pierś. Tak zupełnie mnie nie pociągały, że czułem się przyjemnie święty. Nie mogłem pojąć, dlaczego nie mogę oderwać wzroku od ubranej Isabel, a jednocześnie z taką łatwością przychodziło mi ignorowanie tej trójki.

– Wszystko w tym dniu jest zabawne – odparłem. – Czy mogłabyś oznajmić światu, że są lepsze sposoby na wsparcie mnie w mojej pracy nad nowym albumem niż nachodzenie mnie w moim domu? Tak swoją drogą, dlaczego prowadzisz samochód? O tej godzinie z pewnością nie ma miejsca, w które chciałabyś pojechać, a w którym nie byłoby mnie.

Zza okna dobiegło rozdrażnione trąbienie. Całą czwórką wyrzeliśmy na zewnątrz. SUV Isabel właśnie hamował w zaułku za domem. Zaraz za nią była furgonetka z Joan i jej kamerą.

Co za nudny zbieg okoliczności.

– Sądzę, że powinniście już sobie pójść – zwróciłem się do dziewczyn naruszających moją przestrzeń osobistą w bardzo średnio świadomy sposób. Zacząłem je zaganiać z powrotem do wyjścia. Zatrzymałem się na chwilę, żeby oderwać jedną od mojego ramienia. – Za chwilę zrobi się niemiło.

Jakby na zawołanie drzwi stanęły otworem. Szczęk klamki idealnie zgrał się z nagłym przyśpieszeniem rytmu mojego serca.

Isabel Culpeper wkroczyła do środka, głośno stukając butami na podłodze. Miała na sobie bluzkę w lamparcie cętki, czarne skórzane spodnie i buty na obcasach zdalnych do dźgania uzurpaterek. Na rękach miała długie, szydełkowe rękawiczki. Na niej wszystko wyglądało świetnie. W naszym świecie nie ma liczby, której można by było użyć do opisanego, ile razy bardziej seksowna była od tych półnagich dziewczyn.

Nie mogłem wprost uwierzyć, że Baby miała czelność zepsuć moment jej wejścia trzema rozebranymi fankami. Poczułem się staro i opadło mnie znużenie. Ile żywotów musiałem mieć za sobą, aby dotrzeć do sytuacji, w której te chichoczące idiotki były jedynie niedogodnością?

Isabel wydeła pomalowane czerwona szminką usta. Fanki spojrzały na nią z odwagą osób zupełnie pijanych. Joan i jej kamera wyjrzały zza framugi.

– Czy posłałaś w świat moją prośbę? – zapytałem Isabel.

Czułem dziwny nerwowy niepokój na myśl, że Isabel mogłaby nie uwierzyć w moją niewinność.

– Owszem – odparła. – Złotko.

Jej wzrok spoczął na moim imieniu podskakującym na jednej z intruzek. Nie byłem świętoszkiem, miałem swoją przeszłość na świadka, ale w tej chwili liczba nagich piersi znajdujących się w tym samym pomieszczeniu co ja sprawiła, że poczułem się mocno nieswojo. Tak jakby ktoś zamordował cały mój wykształcony z tak wielkim trudem cynizm, osierocając dużo bardziej naiwnego szesnastoletniego Cole'a denerwującego się, że dziewczyna, która mu się podobała, nie zgodzi się z nim umówić.

Ten pokój w tej chwili zdawał się bardzo niebezpiecznym miejscem na powrót tamtego Cole'a.

„Proszę, nie gniewaj się. Musisz wiedzieć, że to zostało ukartowane. Proszę, Isabel...”.

Nie byłem pewien, co mógłbym powiedzieć – nie z kamerą Joan obserwującą nas bacznie tuż z za progu mieszkania. Do tego kamery w mieszkaniu obserwowały nas bacznie ze wszystkich pozostałych kierunków.

– Sądzę, że powinniście oddać mi ten klucz – zwróciłem się do dziewczyn. – I nie powinniście przyjmować kluczy od nieznajomych. Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie po drugiej stronie drzwi.

– Ruchy, ruchy – ponagliła je Isabel głosem tak lodowatym, że stojąca nieopodal subtropikalna roślina momentalnie zwiędła.

– Jesteś jego *dziewczyną*? – zapytała nieprzyjemnym głosem intruzka dzierżąca klucz. – Bo naprawdę...

– Nie mów nic, czego obie będziemy potem żałowały – weszła jej w słowo Isabel. – Właściwie to możesz dać go mnie.

Wyciągnęła przed siebie władczo urękawiczoną dłoń. Pijana dziewczyna oddała klucz z niechętnym syknięciem. Dziewica przecisnęła się ostrożnie obok Isabel. Trzecia, zanim wyszła z mieszkania, splunęła jej na buty.

Na chwilę wszystko zamarło. Właścicielka śliny stanęła tuż za Joan z wyzwaniem wyraźnie wypisanym na twarzy.

Isabel roześmiała się paskudnie i pogardliwie. Nagle zrozumiałem z całą wyrazistością, jak się zapewne zachowywała w szkole średniej.

– Och, proszę cię – rzuciła i zatrzasnęła drzwi tuż przed obiektywem kamery Joan.

Zapadła cisza.

Serce waliło mi w piersi. Ledwo do mnie docierało, jak bardzo się denerwuję. A przecież nie zrobiłem nic złego, przecież nie dbałem o opinie innych ludzi, przecież tak długo nic nie czułem.

– Musimy zamienić parę słów w twoim gabinecie – powiedziała, wskazując wyprostowaną ręką łazienkę.

Zachodziłem w głowę, co mogła mieć na myśli.

Zamknąłem za nami drzwi. Isabel już otwierała usta, ale szybko położyłem jej palec na wargach. Joan weszła do mieszkania. I cały czas miała przy sobie kamerę. Mój wilczy słuch wylapywał jej oddech po drugiej stronie drzwi. Chwilę potem dobiegł mnie lekki szelest, kiedy dotknęła mikrofonem drzwi.

Isabel podeszła do umywalki i zdecydowanym, gwałtownym ruchem odkręciła kran. Sięgnąłem do kurków od prysznica i je również przekręciłem do oporu.

Gdy łazienkę wypełnił szum marnowanej wody, przykucnęliśmy przy sedesie, niemal stykając się głowami.

– Boże, ale ładnie pachniesz – powiedziałem przyciszonym głosem, ponieważ ktoś to musiał powiedzieć.

Musiałem też jakoś rozładować swoje nerwy.

– Ty za to pachniesz... – Isabel urwała w pół słowa. – Co tu się tak naprawdę dzieje?

Zupełnie nie takiej reakcji się spodziewałem. Niewiele rzeczy potrafiło zbić Isabel z tropu. Uniosłem dłoń do twarzy i powąchałem.

Wilk.

Wilgotna ziemia i piżmo, noc i instynkt.

Nie wiedziałem, skąd to się wzięło. Po prostu było. Tak jakby kryjące się we mnie zwierzę sączyło się przez pory, wyzwolone moim podenerwowaniem. Część moich myśli krążyła wokół wilczego ciała i tego, że zaledwie minuta spędzona w tym smukłym kształcie momentalnie ukołaby moje roztrzęsione nerwy.

– Isabel...

– To nie jest w porządku – weszła mi w słowo. – Nie podoba mi się to ani trochę.

– To nie *moja* sprawka. Baby...

– Wiem, że to robota Baby!

– No to nie rozumiem.

Nasze spojrzenia się spotkały. W palcach czułem dziwne mrowienie – jakby moje ramiona właśnie wybudzały się z długiego snu. W jakiś sposób byłem jednocześnie niewinny i bez wątpienia w tarapatach. Wciąż nie mogłem wyczytać z jej twarzy, co jej mogło krążyć po głowie. Obficie nałożona kredka do oczu wysysała co subtelniejsze odcienie większości emocji.

– Nigdy nie będzie mi się podobało wchodzenie do pokoju z tobą i trzema półnagimi dziewczynami. Nie chcę czegoś takiego już *nigdy* więcej widzieć.

Problem polegał na tym, że wynikało to po części z mojego stylu bycia, po części z faktu bycia Cole'em St. Clairem, po części z grania w zespole, a po części z udziału w programie telewizyjnym, którego kwintesencją było podglądactwo.

– Kontrolę mam tylko nad sobą.

– Masz?

– Właśnie to powiedziałem.

– Jesteś w stanie zapanować nad *sobą*?

Czy właśnie tego nie zrobiłem?

– Nie ufasz mi? Czy o to chodzi?

Isabel otworzyła usta, ale po chwili na powrót je zamknęła.

Odwróciła się, skrzyżowała ramiona i schowała się skulona w brodziku prysznicza.

– Nie byłam z setką innych, Cole. Nie widziałam setki innych nago. Nie wiem, co...

Pokręciła głową, jak zwykle robić, kiedy się wściekła. Ale ja ją znałem i doskonale wiedziałem, że z zewnątrz wszystkie jej emocje wyglądały na gniew. Nie sprawiało to, że nagle jej zachowanie stawało się sprawiedliwe, bo przecież to nie ja zaprosiłem te dziewczyny do siebie ani też nie znałem Isabel, kiedy sypiałem ze wszystkimi

poprzednimi. Ale kiedy zaczynałem całą tę historię, zdawałem sobie sprawę z bardzo istotnej różnicy między nami: Isabel przez cały okres dorastania bardzo uważała na to, kto jej dotykał. Mnie było wszystko jedno.

– Nie przyjechałem tu dla kogokolwiek innego – powiedziałem. Zabrzmiało to zbyt poważnie na jej obecne możliwości, dodałem więc: – Culpeper. Przyjechałem tu dla ciebie.

Nie spojrzała na mnie. Światło żarówek przenikało przez jej włosy jasne jak lód i padało rozproszone na policzek, brodę, szyję.

Nieodmiennie pragnąłem dostać tę nagrodę, chociaż wiedziałem, że na pewno nie nastąpi to dzisiaj.

– Dla mnie i tego małego programiku.

– To moja praca.

– Chowanie się w łazienkach?

– Robienie muzyki.

– Zniosłabym umawianie się z kimś, kto zajmowałby się robieniem muzyki – stwierdziła Isabel. – Ale nie sądzę, żeby to było twoje główne zajęcie.

Zdawało mi się, że przypominam sobie podobną rozmowę z Leylą. Tamtym razem też mi się nie podobała.

– Nikt nie zajmuje się *tylko* robieniem muzyki. Z tego nie da się wyżyć. Sądziłem, że to będzie lepsze od kontraktu z wytwórnią. Liczyłem na to, że będę miał większą kontrolę nad tym, co robię. Wiesz co? Ja już kiedyś to wszystko mówiłem. Pamiętam, jak moje usta wypowiadały te słowa.

Isabel roześmiała się równie paskudnie i chrapliwie co wcześniej, kiedy tamta dziewczyna splunęła jej na buty. Niemniej jednak poczułem ulgę, bo w jakiś sposób zdawało się to ją łagodzić. Wyjęła z kieszeni wirtualnego Cole'a i zaczęła przeskakiwać między aplikacjami.

– Sądziłeś, że układ z *Baby North* będzie lepszy od kontraktu z wytwórnią? Chociaż wszystkie jej poprzednie gwiazdy skończyły, śliniąc się w drgawkach na podłodze? Nikt z tego nie wychodzi cało.

– Nie jestem taki jak inni.

Isabel przestała przeglądać informacje na telefonie i powiedziała ironicznym, seksownym głosem:

– Dzięki Bogu.

Nasze spojrzenia ponownie się spotkały. Patrzyłem w jej oczy – błękitne jak niebo, podkreślone czarną kredką. Byłem zły, że wciąż czułem resztki krążącego we mnie niepokoju. Nie chciałem, żeby sobie poszła, ale wszystko – przebieg wydarzeń, sposób, w jaki stała, i obecność Joan cały czas usiłującej nas podsłuchać – wskazywało na to, że nie mogła zostać.

Nie chciałem już więcej być sam.

Chciałem powiedzieć: „Isabel, zostań”. Chciałem jej przekazać tylko trzy słowa: „Isabel, kocham cię”.

Nie wymówiłem nic na głos, ale Isabel i tak pokręciła lekko głową, tak jakby nie chciała tego usłyszeć.

Poprzestałem więc na:

– A co z moją nagrodą?

– Ha! – Jej śmiech był gorzki i przepełniony irytacją. – Baby zabrała ci twoją nagrodę. Piersi ci ją zabrały.

– Czy chcesz przynajmniej posłuchać owocu mojego geniuszu?
W sensie tak, jak to powinno brzmieć?

Nie przytaknęła, ale też nie wykonała żadnego ruchu. Zakręciłem więc kurki od prysznic, wytarłem ręcznikiem wyłożone płytkami siedzisko, po czym złożyłem drugi ręcznik i położyłem na twardej powierzchni jako poduszkę. Bezużyteczne wyładowane słuchawki wyładowały w umywalce. Zasiadłem na zaimprovizowanym fotelu, wyciągnąłem odtwarzacz MP3 z tylnej kieszeni spodni i poklepałem zachęcająco dłońią miejsce obok siebie.

– To musi się skończyć – oznajmiła ale weszła pod prysznic i usiadła obok mnie, krzyżując swoje niesamowicie długie nogi.

Boże, była tak piękna, że ledwo mogłem wytrzymać.

– Jak najbardziej – przytaknąłem. – Masz douszne?

Podawała mi swoją torebkę. Przeszukałem wnętrze, aż znalazłem parę słuchawek z nadrukiem w lamparcie cętki. Wetknąłem wtyczkę do odtwarzacza, po czym włożyłem jedną słuchawkę do swojego prawego ucha, a drugą do lewego ucha Isabel. Nachyliłem się w jej stronę, tak że opieraliśmy się teraz o siebie ramionami. Isabel poprawiła słuchawkę w uchu. Upewniłem się na wyświetlaczu, że wszystko jest ustawione jak

należy, po czym włączyłem odtwarzanie.

Przez pierwszą minutę po prostu słuchała. Potem zaczęła poruszać ledwo zauważalnie głową, jakby wspominała taniec. U niej nawet to wyglądało seksownie. Przyglądałem się jej. Miała lekko rozchylone usta i zamknięte oczy; koncentrowała się całkowicie na muzyce. Nie pojmowałem tego. Czuję się, jakbym *ja* potrafił wyglądać atrakcyjnie tylko wtedy, kiedy starałem się tak wyglądać, a ona pociągała mnie równie mocno zarówno wtedy, kiedy starała się to robić, jak i wtedy, kiedy było jej to obojętne.

Odtwarzacz wrócił do początku piosenki. Zapomniałem, że ją zapętlilem.

Isabel otworzyła oczy.

– No i? – zapytałem.

Pocałowała mnie.

Nie było w tym pocałunku żadnej gradacji, postępującego wyznania, pożądania przekazywanego mową ciała. W jednej chwili nie działo się nic, a sekundę później działo się wszystko. Isabel odnalazła ręką moją dłoń, przeciągnęła ją po swoim nagim brzuchu i przycisnęła do żeber. Wyraźnie wyczuwałem krzywiznę jej kości biodrowej tuż nad paskiem. Jej palce prosiły, aby ją rozpakować. Ledwo mogłem złapać oddech, jej usta odbierały mi całe powietrze, jakie tylko zdołałem nabrać do płuc.

Wstałem, płynnie ją podnosząc, tak aby ani przez chwilę nie znalazła się dalej, niż pozwalala na to długość przewodu między słuchawkami. Zresztą i tak nie chciałem przestać czuć dotyku jej ciała przyciśniętego do mojego. Piosenka brzęczała i stukała nierówno w moim prawym i jej lewym uchu, a my całowaliśmy się i całowaliśmy. Ciepło jej języka na moim języku, gładkość jej skóry pod moimi palcami; jej nogi owinięte wokół mnie.

Isabel pociągnęła mnie w stronę drzwi.

– Łóżko.

Nie protestowałem. Odtwarzacz jeszcze raz wrócił na początek piosenki. Po omacku odszukałem dłonią klamkę.

Po drugiej stronie drzwi spojrział na nas obiektyw kamery trzymanej przez Joan.

Zapomniałem o niej. Isabel nawet nie drgnęła, ale na chwilę zamknęła mocno oczy. Ciemne rzęsy spoczęły na policzkach. Kiedy ponownie uniosła powieki, była gotowa spojrzeć w kamerę, z jej twarzy zniknęły wszelkie ślady prawdziwych uczuć.

– Cześć, Joan – powiedziałem. – Zostajesz na długo? Zrobić ci kawy?

Isabel stanęła na ziemi i odsunęła się ode mnie. Joan, która, na marginesie, była pozbawionym humoru snującym się chudzielcem, tylko cofnęła się o parę kroków, żebyśmy mogli wyjść z łazienki.

– Wracam do domu – oznajmiła Isabel.

– Ej – zaprotestowałem. – Nie gadaj głupot.

Ale prawda była taka, że zaskoczenie spowodowane wpadnięciem na zapomnianą Joan wywarło nieco negatywny wpływ na mój ulubiony instrument.

Isabel wyjęła słuchawkę z mojego ucha i wyciągnęła wtyczkę z odtwarzacza. Gdy wróciła do łazienki po torebkę, zgromiłem Joan wzrokiem.

– Wielkie dzięki – wycedziłem.

Joan wyłączyła kamerę.

– Nie ma za co – odparła.

Isabel wróciła. Zdążyła tymczasem poprawić szminkę na ustach. Spróbowałem chwycić jej rękę, kiedy mnie mijała, ale złapałem tylko powietrze. Zatrzymała się jednak przy drzwiach. W kąciku jej ust jakby czaił się lekki uśmiech.

– Chyba powinieneś znaleźć sobie nowe zajęcie.

– Co miałbym robić?

– Muzykę.

W drodze do domu, kiedy dreszcze po Cole'u już ustąpiły, nie mogłam się powstrzymać od ciągłego myślenia o piersiach. Kiedyś przyjrzałam się swoim w lustrze. W niczym nie przypominały tych trzech zestawów, które dopiero co widziałam w mieszkaniu Cole'a, i to nie dlatego, że nie wypisałam na nich jego imienia i nazwiska. Nie chodziło też o wielkość. Chodziło o kształt, rozstawienie, wyważenie między obwisaniem i kołysaniem się a sterczeniem i jędrnością. Chodziło o wielkość, kształt i kolor sutków.

Inne. Ale czy lepsze? Gorsze? Trudno było jednoznacznie odpowiedzieć.

Koniec końców tylko mnie to rozeźliło. Kogo to w sumie obchodziło? Cole ciągle ganiał z nagą klątą. Występ tych dziewczyn bez bluzek też w zasadzie nie był niczym szczególnym. To nasza kultura orzekła arbitralnie, że nasze sutki są czymś sprośnym.

To jednak miało znaczenie i mnie dręczyło. Nie mogłam przestać o nich myśleć. To mnie wkurzało najbardziej: że nie mogłam samej siebie odwieść od ciągłego rozpamiętywania tej sytuacji.

– Isabel, nie sądzisz, że powinnaś powiadamiać innych, że się spóźnisz?

Głos mojej matki dobiegł z pokoju dziennego, gdy tylko postawiłam nogę w przedpokoju Domu Rozpaczy i Tragedii. Wiedziałam, co zobaczę, zanim zdołałam dotrzeć do końca korytarza i minąć drzwi: moją rodzicielkę siedzącą elegancko na sofie z włosami opadającymi łagodnymi falami na ramiona i kieliszkiem wina w dłoni.

Nie myliłam się, chociaż nie przewidziałam, że ujrzę też ciotkę Lauren z drugim kieliszkiem. Pomachała do mnie lekko, powoli obracając głowę. Bardzo zmęczone oczy spojrzały na mnie znad opatrunku przymocowanego na środku twarzy. Niedawno przeszła operację plastyczną nosa i ciągle powtarzała, że nagłe ruchy przyprawiały ją o ból głowy.

– Nie – odparłam, stając przy oparciu sofy. Na ekranie telewizora zniechęcony żołnierz z hełmem na głowie wpatrywał się w dal. Moja

matka zawsze oglądała filmy wojenne, kiedy miała podły nastrój. Pewnie dlatego, że nieumiarkowany rozlew krwi i gorzkie zwycięstwa przypominały jej mojego ojca. – Ponieważ skończyłam już osiemnaście lat.

Moja matka westchnęła, choć bez szczególnego rozczarowania. Doskonale wiedziała, że w tego rodzaju kłótniach radziłam sobie śpiewająco. W zasadzie mogłam przewidzieć resztę wymiany zdań:

Mama: „Ale mieszkasz pod moim dachem”.

Ja: „Chętnie się wyprowadzę”.

Mama: „Musiałabyś sobie najpierw znaleźć pracę...”.

Ja: „Patrz, ptaszek! Poza tym mówiłaś, że powinnam mieć jakichś znajomych”.

Mama:

Ponieważ matka też wiedziała, jak się potoczy dalsza rozmowa, skinęła tylko na mnie trzymanym kieliszkiem.

– Chcesz spróbować?

– Dobrze jest?

– Nie.

Pokręciłam głową.

– Co to za zapach?

Matka spojrzała na Lauren.

– Sofia piecze babeczki cyjamonowe – wyjaśniła ciotka.

Była dziesiąta wieczorem. Stwierdziłam, że nie ma w zasadzie nic złego w pieczeniu o tej porze, ale nie było to też do końca normalne.

– Fajny jest? – zapytała ciotka. – Byłaś z jakimś chłopcem, prawda?

Zamrugałam. Zastanawiałam się już wcześniej, co się stanie, gdy matka i ciotka dowiedzą się, że spotykam się z Cole'em. Nie spodziewałam się jednak, że poruszenie tego tematu przez Lauren sprawi mi taką przykrość. Z jakiegoś powodu czułam się, jakby to go kalało w zupełnie nowy sposób. Jakby pokrywało go proszkiem sterylnych stosunków rodem z Domu Tragedii; miłością w wersji dla dorosłych.

– Ta – odparłam. – Jak cholerny misio.

W telewizji czołg zadygotał, wystrzeliwując pocisk. Kamera szybko przeniosła się na cel – niewielki bunkier, który nagle zmienił się

w deszcz odłamków i strzaskanych marzeń. Moja matka zaczęła cicho płakać. Wyniosłam się do kuchni.

– Sofio, dlaczego pieczesz babeczki cynamonowe o dziesiątej wieczorem?

Spojrzała na mnie. Miała flanelowe spodnie od piżamy w kaczuszki i rozpuszczone włosy. Wyglądała na mniej więcej dwanaście lat. Całą koszulkę pokrywała mąka. Starłam się nie myśleć o piersiach.

– Robię je dla ciebie. Żebyś mogła jedną zabrać jutro ze sobą na zajęcia.

Już otworzyłam usta, żeby powiedzieć coś o węglowodanach, ale zorientowałam się, że to byłoby wredne, więc bez słowa zamknęłam je z powrotem. Może Cole miał na mnie dobry wpływ.

– Aha – stwierdziłam. Nie było to podziękowanie, ale było mu zdecydowanie bliższe niż cokolwiek, co zwykle mówiłam w takiej sytuacji. – Pod koniec tygodnia powinniśmy się wybrać i kupić ci jakieś buty. Zabiorę cię do Erika.

Sofia zamrugła. Oczy jej zalśniły.

– Buty to te rzeczy, które wkładasz na stopy.

– Tylko my dwie? Czy może razem z Cole'em? – Szybko dodała: – Bo nie mam nic przeciwko. Znaczy, żeby z nami poszedł. To mi nie przeszkadza. Nie musimy iść tylko we dwie. Tak czy inaczej dziękuję, że zapytałaś, bo...

– Sofio – nie wytrzymałam – przestań.

– Wyjdiesz za niego? – zapytała.

– *Sofio!* – warknęłam przez zęby. – Trochę się zagalopowałaś. Co jest, kurde! To nie jest jakiś film Disneya. Niczego się nie nauczyłaś na przykładzie naszych starszych?

Sofia odwróciła się z powrotem do blatu i nieco przygarbiona zajęła się mikserem. Otaczała ją chmura cukru pudru.

– Tata dzwonił – wyznała, nie patrząc na mnie.

Aha. To tłumaczyło nieco łzawą atmosferę w Domu Tragedii. Zastanowiłam się, co w takiej sytuacji powiedziałaby istota ludzka.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Sofia się rozplakała. Właśnie dlatego zazwyczaj starałam się

unikać ludzkich odruchów. Pożałowałam, że nie zostałam z Cole'em.

– Tak – powiedziała Sofia. Łzy skapywały jej z nosa. – Dziękuję za troskę.

Nałożyła dużą łyżkę lukru z miski miksera na cynamonową babeczkę i podała mi talerz.

– Na miłość boską – powiedziałam, przyjmując poczęstunek. – Łap drugą i chodź.

– Dokąd?

– Do mojego pokoju. Zadzwonimy do Cole'a.

Tak też zrobiliśmy. Na miejscu przełączyłam go na głośnik i kazałam zaśpiewać jedną z najnowszych piosenek. Kiedy zorientował się, że przysłuchuje się temu Sofia, zaczął zastępować prawdziwy tekst żartobliwą improwizacją. Wkrótce moja kuzynka jednocześnie śmiała się i płakała. Po pewnym czasie musiałam podłączyć telefon do ładowarki, od tego całego śpiewu zaczęła mi bowiem padać bateria. Sofia poszła spać zarazem wesoła i smutna, co było przynajmniej lepsze od samego smutku.

Wyłączyłam tryb głośnomówiący i wgramoliłam się do łóżka. Położyłam głowę na poduszce i przytknęłam telefon do drugiego ucha.

– Jesteśmy już sami. Możesz z powrotem przeklinać.

– Żałuję, że cię tu nie ma – wyznał Cole.

Nie odpowiedziałam od razu. Potem, ponieważ rozmawialiśmy przez telefon i nie widział mojej twarzy, w związku z czym mogłam być dowolnie szczerą, powiedziałam zgodnie z prawdą:

– Ja też.

– Isabel... – zaczął, po czym urwał. Po chwili milczenia dokończył: – Nie rozłączaj się.

– Nie rozłączyłam się.

– Cały czas się nie rozłączaj.

– Wciąż się nie rozłączyłam. – W tle usłyszałam przenikliwy świergot ptaka. – Jesteś poza domem?

– W zaułku na tyłach. Czekam na Leona. O północy kończy ostatni kurs i wybieramy się na jakieś żarcie na patyku, a ja wygram dla niego na molo wypchaną małpę. Takie rzeczy właśnie robię, kiedy zostawiasz mnie samego, Isabel.

– Nie złam Leonowi serca.

Roześmiał się. Jego prawdziwy śmiech brzmiał całkiem zabawnie – nie tak zabawnie jak „ha-ha”, ale dziwnie zabawnie. Był bardziej gardłowy niż dźwięczny.

– Powiedz mi, że się jutro ze mną zobaczysz – powiedział.

– Do zobaczenia jutro.

– Powiedz mi, że się ze mną zobaczysz następnego dnia. I jeszcze następnego. I jeszcze następnego.

Serce zabiło mi konwulsyjnie. Stało się. Wbrew mojej woli, wbrew nagim dziewczynom, woni wilka i wszystkim rzeczom zwiastującym nieszczęście z powrotem zakochałam się w Cole’u.

– Dobranoc, Cole.

– Dobranoc, Culpeper.

Rozłączyłam się i zamknęłam oczy. Wiedziałam, że później, dużo później będę tego pewnie żałowała. Ale teraz nie potrafiłam się bać. W uszach ciągle brzmiały mi jego zabawna improwizacja i prawdziwy śmiech. Nie mogłam odsunąć od siebie wspomnienia dotyku jego dłoni. Próbowałam sobie wyjaśnić, że wszyscy mieszkańcy Domu Rozpaczy i Tragedii prędzej czy później wypłakiwali się w poduszkę, ale wtedy, w tej konkretnej chwili, pozwoliłam sobie wyobrazić, że nie jestem taka jak inni.

Rano obudziłem się i odkryłem, że tak naprawdę ze światem było wszystko w porządku. No, może poza tym, że mój oddech śmierdział jak po jakimś grillu. Ugotowałem jajka i wypłem karton mleka, po czym przez godzinę stałem na tarasie na dachu, usiłując ułożyć tekst, który by opowiadał o tym wszystkim, nie robiąc tego wprost. Zadzwoiła Baby.

– Dlaczego nie odbierasz swojego służbowego telefonu?

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że ma na myśli wirtualnego mnie, którego oczywiście nie miałem przy sobie. Przeciągnąłem się i zamknąłem oczy. Słońce było wysoko w górze i świeciło tylko na mnie.

– Bo używam go tylko, wiesz, do internetu – odparłem. – Nie krzyżuj strumieni, Baby. Dlaczego nie sprowadziłaś mojego mustanga?

– Ha, ha. To był mój śmiech, Cole. Chcę mieć tę dziewczynę w programie.

Nagle zrobiło się jakby trochę mniej słonecznie.

– Mam nadzieję, że mówiąc o tej dziewczynie, masz na myśli mój samochód.

– Ludziom w internecie bardzo się spodobało, że się z kimś spotykasz. Chcą wiedzieć, czy ona jest tą jedyną, Cole. Jest bardzo ładna. Pomyśl tylko, jak by to wpłynęło na oglądalność.

Nie musiałem się nad tym zastanawiać. Wiedziałem doskonale, co świat by z tym zrobił, ponieważ zrobił to z każdą dziewczyną, z jaką tylko mnie ktoś zobaczył. Pomysł publicznych randek poruszał tę samą część mojego umysłu co pomysł rozmawiania z moimi rodzicami czy dawnymi znajomymi z Nowego Jorku. Była to zarazem ta sama część, która zawsze poważnie rozważała wysadzenie się w powietrze, rzucenie się z mostu czy nałykanie się jakichś prochów.

Nie przepadałem za używaniem tej partii mózgu. Do niedawna byłem przekonany, że udało mi się eksmitować ją z czaszki, ale najwyraźniej wciąż tam była.

– Przekonaj ją do wzięcia udziału w programie – powiedziała Baby – a ściągnę dla ciebie mustanga.

Wybuchnąłem śmiechem, zanim zdążyłem się zastanowić nad jej słowami. To była tak oczywista podpucha, że nie było najmniejszego ryzyka, żebym dał się na to złapać.

– Musimy zjeść razem kolację, Cole – oznajmiła Baby. – Sądzę, że tego nam trzeba. Przyrowadź ją. Dziś wieczorem. Zrób miejsce w swoim grafiku.

– Nie mam specjalnej ochoty na kolację – odparłem – po tym, jak wczoraj mój kawałek niemal poszedł się kochać, a wieczorem w mieszkaniu pojawiła się grupka półnagich dziewczyn.

– To brzmi fascynująco. Lubię fascynujące wydarzenia.

– Byłem wystarczająco fascynujący i bez tego.

– Naprawdę? – zapytała zaciekawiona Baby. – A teraz też jesteś fascynujący?

– Tak – skłamałem.

– Świetnie. Nie mogę się doczekać zobaczenia tego. Kolacja dziś wieczorem, nie zapomnij. Aha, odbieraj swój drugi telefon, kiedy na niego dzwonię.

Rozłączyła się. Zadzwoiłem do Isabel.

– Culpeper – zabrzmiał jej głos w słuchawce.

To mi się nigdy nie nudziło. Ja do niej dzwoniłem, a ona odbierała.

– Jestem cały podekscytowany, kiedy odbierasz i to mówisz – powiedziałem. Stałem na skraju tarasu. Przede mną rozpościerał się widok na palmy i tarasy na innych dachach. Wszystkie były puste, byłem zatem sam ze słońcem. – Proszę, powiedz mi, że jesteś naga.

– Jestem w pracy, Cole.

– Nago? Cóż, w końcu to Santa Monica. Masz ze sobą wirtualnego mnie?

– Oczywiście. Właśnie się odezwałeś na Twitterze.

– Byłem zabawny? Czy colebotom się spodobało?

Na taras dwa domy ode mnie, za pustym budynkiem na wynajem, wyszedł mały chłopiec. W dłoni trzymał samolocik i latał nim wysoko, najwyżej jak potrafił sięgnąć.

– Och, proszę cię – zachnęła się Isabel. – Aha, Baby chyba próbowała się dodzwonić do wirtualnego Cole’a.

– Wiem. Wiem wszystko. Czy mogłabyś wykorzystać swoje

umiejętności i znaleźć mi kolebota, który ma dziś jakieś przyjęcie w L.A. albo w okolicy? Albo bierze ślub? Albo się rozwodzi? Urządza cokolwiek, co może wiązać się z muzyką?

Obserwowałem chłopca, który właśnie latał swoim samolocikiem dokoła stołu. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Tak bardzo, jak ja chyba nigdy nie byłem. Gdybym był nim, podlotałbym samolotem na krawędź tarasu i skoczył w dół.

– Przed chwilą mówiłeś, że wiesz wszystko. – Isabel westchnęła głośno. – Co będę z tego miała?

– Mój dozgonny podziw dla twojego bezkonkurencyjnego intelektu.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Aha, Baby chce z nami zjeść kolację.

Wydała dźwięk, którego znaczenia nie potrafiłem odgadnąć. Po chwili powtórzyła:

– Zobaczę, co da się zrobić.

Kiedy się rozłączyła, zauważyłem, że chłopiec podszedł do barierki tarasu i przyglądał się mi z uwagą.

– Hej! – zawołałem do niego. – Jesteśmy bliźniakami.

Nie było to takie dziwaczne, jak zabrzmiało. Obaj byliśmy bez koszulek, mieliśmy bardzo podobne szorty w kolorze khaki, opaleniznę i nieco spłowiałe od słońca brązowe włosy. Nie mogłem ustalić, czy dzieciak ma cztery, dziewięć, czy raczej dwanaście lat. Nie miałem bladego pojęcia o dzieciach. Był zbyt mały na prowadzenie samochodu, ale wystarczająco duży, żeby używać klamek.

– Jesteś podróżnikiem w czasie? – zapytał podejrzliwie.

– Tak – odparłem. Ucieszyło mnie, że też zauważył podobieństwo między nami. W głowie już układałem tekst piosenki. – Ale podróżuję tylko do przodu.

– Jesteś mną?

– Pewnie – przytaknąłem.

Podrapał się samolotem po brzuchu.

– Co mnie czeka w przyszłości?

– Jesteś sławny – odparłem. – I masz mustanga.

Obaj spojrzeliśmy na saturna zaparkowanego na tyłach domu.

Chłopiec zmarszczył brwi i rzucił samolocik w moją stronę. Poleciał, chybcząc się w rozgrzanym powietrzu, aż zniknął gdzieś za palmami i krzywizną dachu domu na wynajem.

– No to teraz narozrabiałeś! – krzyknąłem. – Pewnie go popsuleś.

Chłopiec spojrział na mnie lekceważąco.

– Nie chodzi o lądowanie – zawołał. – Chodzi o latanie.

Zmrużyłem oczy. Czulem przyjemną gęsią skórkę, jakbym się celowo straszył.

– Może ty naprawdę jesteś mną. Istniejesz naprawdę?

Zadzwoił telefon leżący na krześle za moimi plecami. To Isabel oddzwaniała. Wskazałem chłopca wyprostowanym palcem i odwróciłem się, żeby odebrać.

– Znalazłam ci ślub – oznajmiła bez ceregieli.

– Chyba właśnie rozmawiałem z młodszym mną z przeszłości. – Odwróciłem się, ale taras dwa domy ode mnie był już pusty. – Latał samolocikiem.

– Super. Mam nadzieję, że kazałeś mu trzymać się z dala od narkotyków. Chcesz adres, nazwisko czy coś?

Spróbowałem dojrzeć, gdzie wylądował zabawkowy samolot. Tak jakby chciałem go mieć. Postanowiłem spróbować włamać się do pustego domu, jeśli to w ogóle było możliwe.

– Dawaj wszystko. Och, napisz to na Twitterze. To jest coś, co bym powiedział.

– Rozłączam się.

Co powiedziała, to zrobiła.

Zadzwoiłem do T.

– Cole! – powitał mnie radośnie.

– Za chwilę będzie się działo życie – oznajmiłem, rzucając ostatnie spojrzenie w stronę dachu, na którym widziałem młodszego mnie. – Właśnie wkładam koszulę.

Przyjechali z Joan tak szybko, że podejrzewałem ich o czajenie się za rogiem w oczekiwaniu na telefon ode mnie. Razem odbyliśmy odpychającą podróż przez podwórze do części kompleksu zajmowanego przez Leylę. Joan i T szli za mną krok w krok z kamerami na ramionach.

– Hej – powitałem Leylę.

Siedziała na wyspie kuchennej i jadła pokrojone surowe warzywa. Dredy zwisały luźno po bokach podłużnej twarzy. Zamrugła, spojrzała na mnie, potem na kamery. Nie zapukałem, ale w żaden sposób tego nie skomentowała. Staralem się jej nie nienawidzić, żeby nie dać Baby satysfakcji.

– Dzisiaj zrobimy coś magicznego – oznajmiłem.

Leyla zjadła kawałek czegoś zielonego. Przeżuła to. Gdy powoli przełykała, wszyscy się postarzeliliśmy.

– Co miałeś przed chwilą na myśli?

– Wspaniałe rzeczy. Gdzie twój sprzęt?

Patrzyła na mnie bez słowa. Nie potrafiłem ocenić, czy była naćpana, głupia, czy też zwyczajnie mnie nienawidziła. W sumie żadna z tych trzech rzeczy nie wykluczała pozostałych.

– Twoje bębny? Do tego? – Udałem, że gram na perkusji. – Zbierz je. I załaduj do saturna. Wyrusz ze mną w przyszłość.

Włożyła do ust kolejny kawałek warzywa. Chwilę przeżuwała.

– Odkąd zaczęliśmy tę rozmowę – dodałem – na świecie urodziło się dwieście dzieci. A co my osiągnęliśmy? Ty zjadłaś to coś.

Przełknęła.

– Nie śpieszyłeś się, żeby tu przyjść, aż do teraz. Czas jest ciągły, Cole. Nie przyśpiesza ani nie zwalnia. Nie daj się omamić zachciankom. Zadowolenie jest stałą.

Powoli nakreśliła w powietrzu prostą linię czymś, co chyba było kawałkiem cukinii.

– Jasne – stwierdziłem. – Dobra. Ale teraz mamy harmonogram. Bębny. Saturn. Ty i ja, mała. Zabierz ze sobą swój ogródek. Możesz go zjeść po drodze. Masz taczkę czy coś? Wrzucę to do niej, podczas gdy ty będziesz pakowała swój sprzęt.

Nie poruszyła się.

– Co będę grała?

– Muzykę.

– Jaki rodzaj muzyki?

– Mój.

– Coś, co znam?

– Jest coś takiego jak jam session i znaczy tyle, że grasz muzykę

z innymi ludźmi, nawet jeśli nigdy wcześniej jej nie słyszałaś. Jeśli mi teraz powiesz, że nie masz pojęcia, jak to się robi, to możesz odłożyć tę marchewkę, bo cię zwalniam.

Leyla zjadła marchewkę.

– Muzyka to coś, z czym się rodzisz, stary – powiedziała. – A ty nie musisz być cały czas takim dupkiem. Pójdę po bębny.

Kiedy przyjechałem po Jeremy'ego, był na próbie zespołu z ludźmi niebędącymi mną.

To nie było tak, że miałem Jeremy'emu za złe znalezienie sobie nowej kapeli, kiedy ja byłem zaginiony/martwy/ i tym podobne. Byłem pewny, że na jego miejscu zrobiłbym to samo. No dobra, *założyłbym* nową kapelę, a nie *dołączył* do istniejącej, ponieważ ogólnie nie lubiłem sportów zespołowych; chyba że sam wymyśliłem sport i zespół. Ale nie chowałem do niego urazy z powodu tego, że znalazł sobie jakichś ludzi do wspólnego grania. W końcu to właśnie robimy. To jest w naszej krwi. Muzyka.

Nie zmieniało to jednak tego, że nie podobała mi się konieczność dzielenia się nim z innymi. Zwłaszcza że chciałem dla niego czegoś lepszego niż to: dość nudny zespół grający w dość nudnym garażu przy dość nudnym domu w dość nudnej części L.A. Słyszałem efekty ich starań, kiedy parkowałem saturna przy wyszczerbionym krawężniku. Byli zdecydowanie jedynie porządnym zespołem od coverów, z pozbawionym wyobraźni gitarzystą, perkusistą, który nauczył się wszystkiego, co umiał, w salonach bilardowych, i wokalistą o imieniu Chase. Albo Chad.

Ale basista był pierwsza klasa.

Wysiadłem z samochodu i zrobiłem krok nad węzem ogrodowym przecinającym betonowy podjazd. Wąż był podłączony do apatycznego zraszacza podlewającego niewielkie poletko zbrązowiałej trawy.

Pomyślałem, że ten zraszacz bardzo przypominał Jeremy'ego. Woda nie mogła pomóc zwiędłej trawie bardziej niż Jeremy tej kapeli. Co za marnotrawstwo.

Gdy się zbliżyłem do garażu, muzyka ustała. Słyszałem już tylko cza-cza-cza zraszacza. Półmrok panujący wewnątrz przypominał mi, jak bardzo tęsknię za swoim mustangiem. Z kolei zapach przypominał, jak

bardzo tęsknię za Victorem. Nasze garażowe próby były dziełami sztuki.

– Przyjechałem po Jeremy'ego – oznajmiłem. – Jeremy'ego Shutta. Na wypadek, gdyby było tu dwóch Jeremych.

Ponieważ istoty ludzkie stojące w garażu tylko się na mnie gapiły bez słowa, wyjaśniłem im kilka oczywistych faktów: 1) próbę kapeli można przełożyć, podczas gdy ze ślubem jest trudniej, a także 2) żadna ilość czasu poświęconego na ćwiczenia nie uczyni ich na tyle interesującymi, żeby ktoś zechciał ich wydać, w związku z czym 3) tak naprawdę oszczędzałem im kupę czasu.

Wokalista, który z bliska jeszcze bardziej wyglądał na Chada albo Chase'a, nie wydawał się wdzięczny za moje spostrzeżenia. Perkusista i gitarzysta tylko mi niemrawo pomachali. Okazało się, że znam ich obu, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć ich imion. Pałkarz grał kiedyś w zespole o nazwie ChristCheese, który odniósł większy sukces, niż można by się spodziewać. Z kolei gitarzysta grał w Pursuit Ten, dopóki ich perkusista nie przedawkował w wannie gdzieś w Oklahomie, co było bardzo przygnębiającą historią, jakkolwiek by na rzecz spojrzeć.

– Podsumowując – zwróciłem się do wokalisty – w ogólnym rozrachunku to, czy Jeremy pojedzie teraz ze mną, dla was będzie bez różnicy.

Koleś wyraźnie starał się zachowywać przykładowie pod czujnym okiem kamer, ale w jego głosie było słychać pewne napięcie.

– Nie możesz tak po prostu zniknąć, a potem wrócić i oczekiwać, że wszystkie twoje zabawki będą tam, gdzie je zostawiłeś.

– Nie bądź taki – odparłem. – Nie zepsuję Jeremy'ego. Jest na to zdecydowanie zbyt cenny. Dostaniesz go z powrotem i będziecie mogli znowu kroczyć tą wspaniałą oklepaną drogą prowadzącą do występów na studniówkach. Wszyscy musimy się dzielić z innymi.

– Nie zgrywaj teraz jakiegoś, kurde, ważniaka – rzucił wokalista. – Nie możesz robić się na łaskawego, jednocześnie dissując moją muzykę.

– Dissując! – parsknąłem. – Jeśli chcesz usłyszeć porządny diss, mogę sklecić dla ciebie parę słów. Ale nie, przyjacielu. Wyłącznie nakreślałem ci należyłą perspektywę. Ty robisz *tamto, tam*. A ja robię *to, z nimi*.

Wskazałem gestem T i Joan. Nawet w lekko psującej efekt

obecności saturna wydawało mi się dość oczywiste, że Cole > Chase.

Perkusista ChristCheese i były gitarzysta Pursuit Ten spojrzeli na Chada/Chase'a, wczekując jego kolejnego ruchu.

– Taa, dobrze wiem, co robisz. Wiem o tym całym programie. Myślisz, że jesteś taki zajebisty, na podstawie tego, kim byłeś. Ale nikogo nie obchodzi, że kiedyś byłeś wielki, koleś. Twoje single są takie stare, że nucą je pod nosem już tylko babcie. Teraz jesteś sławny tylko dlatego, że jesteś skończonym frajerem.

– A także z powodu tych trzech albumów z wielokrotną platyną – wtrąciłem bardzo spokojnym głosem. – Bądźmy dokładni.

– Ech, weź przestań! Nie udawaj, że nie wiesz, dlaczego ludzie oglądają ten program. Wiesz, że mam rację – drwił wokalista. – Inaczej miałbyś podpisany kontrakt z wytwórnią, a nie z Baby North. Kurde, człowieku. Nawet nie próbuj udawać, że chodzi o muzykę.

Jego słowa wbiły się klinem w moje serce. Kiedyś, dawno temu, to ja decydowałem o muzycznych rytmach lata. Kiedyś moja twarz zdobiła okładki kolorowych czasopism. Kiedyś wszyscy ci kolesie grający sobie w garażu robiliby po gaciach z radości, mogąc ze mną osobiście pogadać. A co robiłem teraz?

„Trzeba tylko dotrzeć do końca programu. Nagrać album. Odjechać w stronę zachodzącego słońca z Isabel”. Ale to nie sprawiało wrażenia właściwej drogi. Ani prawdziwej.

– Nie powinniście ćwiczyć covera The Eagles czy czegoś takiego? – zapytałem.

Pałkarz ChristCheese uderzył w talerz. Były gitarzysta Pursuit Ten spojrział na niego ostro, jakby ostrzegając, żeby nie pogarszał sytuacji. Miałem trochę nadzieję, że sytuacja jednak się pogorszy. Chciałem coś uderzyć. Albo żeby ktoś uderzył mnie.

– Nie mam zamiaru znosić, jak mnie tak obrażasz – wycedził wokalista.

– Właśnie to robisz. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę lecieć, bo czeka na mnie prawdziwa robota. Jeremy, jak brzmi werdykt?

Obróciłem się twarzą do przyjaciela. To nie było wyzwanie, ale jedynie zwykłe pytanie. Pogrywanie z Jeremym byłoby bezcelowe. Czy ktokolwiek pogrywałby z Gandhim? Nie.

– Jeremy, jeśli pójdziesz z tym palantem – wciął się wokalista – nie pokazuj się tu już więcej.

– Chad – powiedział łagodnie Jeremy.

Wiedziałem.

– Mówię poważnie – warknął wokalista.

Chad. *Wiedziałem.*

– Nie każ Lassie wybierać, Chad – wtrąciłem się.

– Ty to się lepiej zamknij. Jeremy, wybieraj.

Całe lata temu chodziłem z siostrą Victora, Angie. Nasz związek wkraczał już w dość poważną fazę. Rozstanie po mojej pierwszej trasie było paskudne i nieprzyjemne. I w całości spowodowane tym, że między koncertami przelatywałem wszystko, co zdjęło przy mnie koszulkę. Wtedy po raz pierwszy naprawdę zrozumiałem, że zatraciłem swoją duszę. A w braku duszy piękne było to, że człowiek nie potrafił w zasadzie żałować, że jej już nie ma. Chociaż dopiero co wróciliśmy z *tournee*, już mieliśmy zarezerwowany czas w studiu nagraniowym na kolejny album. Angie chciała, żeby Victor oszedł. Ja chciałem, żeby Victor ze swoimi magicznymi dłońmi zabrał się ze mną i nigdy więcej już nie wracał do Phoenix w stanie Nowy Jork.

Zmusiłem go do wybierania między nami dwojgiem.

Nie myślałem, że go to zabije.

W ogóle wtedy nie myślałem.

Grudki ziemi wciąż padały na pysk wilka. Gdzieś grób Victora był nieustannie zasypywany.

Mój dzień szybko zbliżał się do totalnej katastrofy.

– Jeremy – powtórzył Chad. – Jak będzie?

Jeremy odgarnął kosmyk włosów za ucho. Westchnął. Spoglądał to na swój bas, to na mój samochód.

– Zostań tu – rzuciłem.

Dopóki tego nie wymówiłem na głos, nawet nie podejrzewałem, że to zrobię. Nawet po tym, jak słowa padły, nie mogłem w to uwierzyć. To nie brzmiało jak coś, co mógłbym powiedzieć.

Wszyscy obecni spojrzeli na mnie.

Brnąłem dalej.

– Nie mam zamiaru ci wszystkiego rozwalać, Jeremy. Jeśli ten

fagas nie przyjmie cię potem z powrotem tylko dlatego, że cię dzisiaj potrzebuję, coś wykombinuję na własną rękę. Wpadnę po ciebie przy następnej okazji. Nie ma problemu.

Czułem się tak szlachetnie i zarazem tak okropnie. Nawet jeśli tak należało postępować, nie podobało mi się to. Musiałem sobie zapamiętać, żeby już nigdy czegoś takiego nie zrobić.

Jeremy pokiwał głową. Przez chwilę nic nie mówił. Chad również milczał. Chyba nie rozumiał, co się właśnie stało.

Cole St. Clair nie zachował się jak dupek – to się właśnie stało.

Nadal czułem się z tym okropnie. Jak pierwszego dnia w L.A., kiedy Isabel mnie odrzuciła i kiedy zrozumiałem, że choć strasznie chcę zostać wilkiem, nie mogę już tego zrobić. Nie, nie tak – *nie chcę* już tego zrobić.

Zapewniłem sobie, że później będę się czuł świetnie. Szlachetnie.

Potem Jeremy się odezwał swoim rozciąglonym, szczerym głosem, z silnym południowym akcentem:

– Wybacz, Chad, ale chyba pojedę z Cole'em. Mogę wrócić, jeśli mnie poprosisz, ale musiałbym najpierw solidnie przemyśleć ten szantaż emocjonalny, który dzisiaj zastosowałeś. Wiesz dobrze, że nie lubię tak pracować. Daj mi chwilę, Cole. Muszę założyć sandały.

Wybrał mnie. Nie kazałem mu tego robić, ale i tak wybrał mnie. Świadomość tego była niemal gorsza od czucia się gównianie. Serio, różnica między tymi dwoma odczuciami była tak niewielka, że ciężko było ją dostrzec. Nagłe przejście od deprechy do radości.

– Ty draniu – wycedził Chad. Nie było jasne, czy ma na myśli mnie, czy Jeremy'ego. Dlatego po chwili doprecyzował: – Ty beztalencie, ty. Ty fajansiarzu z boysbandu.

Przytknąłem dwa palce do czoła w niemym salucie.

Jeremy podszedł do mnie ze spakowanym basem. Wymieniliśmy długi uścisk dłoni, który nieco złagodził moją bezgraniczną, bolesną radość. Dość niedbałym ruchem wsunąłem stopę pod wąż ogrodowy i przeciągnąłem zraszacz. Sztuczny deszcz wtargnął do wnętrza garażu. Teraz gitarzysta i perkusista zaczęli zachowywać się głośno.

Chad znał naprawdę dużo przekleństw.

Odwrociłem się w stronę Jeremy'ego i razem ruszyliśmy w stronę

saturna, przy którym czekała na nas Leyla. T wszystko filmował. Wyobraziłem sobie wspaniale wykadrowane ujęcie z przemoczonymi muzykami w tle odgrywającymi rolę wybuchającego samochodu z kina akcji.

– Zachowałeś się bardzo rozsądnie – zauważył Jeremy. Po chwili dodał z pewnością siebie: – Zadzwoń do mnie.

Koło mojej głowy przeleciała pałeczka perkusyjna. Wylądowała na betonie ze stukiem.

Jeremy schylił się, żeby ją podnieść.

– Ale do ciebie pewnie nie.

Po nakręceniu odcinka, ale jeszcze zanim Isabel skończyła pracę, posiedziałem trochę z Jeremym w jego starym, poobijanym pikapie zaparkowanym na środku parkingu przy plaży. Zostaliśmy sami. Leylę odesłałem z saturnem, ponieważ nie chciałem widzieć żadnego z nich więcej na oczy.

Słyszeliśmy jedynie warkot przejeżdżających samochodów, dudniące basy z czyjegoś magnetofonu, szum fal i plaskanie dłoni o piłkę do siatkówki. Leżałem na pace na suchym pofałdowanym brezencie. Jeremy siedział na kole zapasowym i patrzył to na mnie, to na ocean. Nad nami promienie słońca przebijały smugi kondensacyjne i piekły pęknięcia w asfalcie pod nami. Wciąż czułem krążącą w żyłach adrenalinę sceniczną i miałem wielką ochotę na piwo. Jeremy podał mi niesłodzoną mrożoną herbatę.

– Nie chcę tych twoich diabelskich wywarów – odparłem, ale wziąłem od niego słoik i postawiłem sobie przy głowie.

Przez kilka długich przyjacielskich minut wspólnie nie robiliśmy zupełnie nic. Jeremy odchylił głowę i patrzył w niebo, wyglądając jak jakiś zasuszony Australijczyk smażący się w pełnym słońcu. Zamknąłem oczy i pozwoliłem żarowi przypiekać moje powieki. Spędzając tak czas z Jeremym, łatwo mogłem udawać, że ostatnie trzy lata mojego życia się nie wydarzyły, że mogłem zacząć od nowa bez wszystkich moich grzechów. Tylko że wtedy nie spotkałbym Isabel i nie byłbym teraz w Kalifornii. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek była w ogóle prostsza droga do tego miejsca i czasu. Może nawet przez chwilę po niej kroczyłem, ale wszystko zepsułem. Może gdybym został na prostej wąskiej ścieżce, spotkałbym Isabel na którymś koncercie.

Nie, nie spotkałbym, przecież nie lubiła koncertów. Ja zresztą też nie.

Wróciłem myślami do trzech półnagich dziewczyn z wczorajszej nocy i pomyślałem, że nigdy nie mogłyby być Isabel, a Isabel nigdy nie mogłaby być nimi.

Musiałem otworzyć oczy, bo moje myśli, zamiast się uspokoić,

nabierały coraz większego rozpędu. Uniosłem więc powieki i powiedziałem:

– Teraz wszystkie dziewczyny wyglądają staro. Kiedy to się zaczęło? Gdy na nie patrzę, widzę tylko to, jak będą wyglądały, kiedy stuknie im czterdziestka. To jest najgorsza supermoc pod słońcem.

– Naprawdę? – zapytał Jeremy w zamyśleniu. – Ja zawsze widzę ludzi jako dzieci. To się zaczęło jakoś tak jeszcze w gimnazjum. Nie ma znaczenia, jak się zachowują ani ile mają naprawdę lat, zwyczajnie nie potrafię sobie ich *nie* wyobrazić jako dzieci.

– Okropieństwo. Jak możesz kazać komuś spieprzać, jeśli wyobrażasz go sobie jako przedszkolaka?

– No właśnie – stwierdził Jeremy.

– Powiedz mi: dlaczego Leyla jest taka nieznośna?

– Wiesz, że nie lubię osądzać ludzi.

– Wszyscy robimy rzeczy, których nie lubimy.

Oderwał kawałek gumy z opony i pstryknął go na mnie.

– Ona do nas nie pasuje. Pod względem stylu.

– Muzycznego czy etycznego?

– Wolałbym uniknąć krzywoprzysięstwa.

– Czy ty w ogóle wiesz, co to jest krzywoprzysięstwo? – Sam nie byłem do końca pewny. Moja baza wiedzy była bardzo wąsko wyspecjalizowana. – Chcę ją wywalić z zespołu. Naprawdę. Ale jaką mamy alternatywę?

Pożałowałem tego stwierdzenia od razu po wymówieniu ostatniego słowa. Bo alternatywa nie żyła, a my nie chcieliśmy o tym rozmawiać.

„Nie mów nic, Jeremy. Nie wymawiaj jego imienia”.

„Więc jesteś gotowy? Robimy to?”.

„Co...?”.

„NARKOTIKA”.

Nie dałem Jeremy’emu dość czasu na odpowiedź.

– Nie byłbyś tu ze mną, gdyby nie chodziło o muzykę, prawda? To znaczy nie robiłbyś ze mną tego wszystkiego, gdyby tak naprawdę chodziło o mnie marszczącego kapucyna na wizji jak jakiś smętny fagas, co nie?

– Chodzi o to, co powiedział Chad?

– Jaki Chad? – zapytałem, udając niepamięć. – A, on. Nie. Tak tylko myślałem, bo... może. Prawdopodobnie. Jestem teraz na ścieżce samooceny. A to jest jedno z odgałęzień.

Jeremy się zamyślił. Zastanawiał się tak długo, że słońce przesunęło się nieco nad naszymi głowami. Jakaś rodzina minęła pikapa w drodze na plażę. Jeden z ojców szedł w mokrym kombinezonie z deską surfingową pod pachą. Drugi miał na sobie najdziwaczniejsze na świecie spodni do pływania. Dzieci truchtały za nimi, wydając radosne ultradźwiękowe okrzyki i dając sobie nawzajem kuksańce.

– Jeremy – ponagliłem go, bo nie mogłem już znieść przedłużającego się milczenia.

– W tym, co dziś zrobiliśmy, nie chodziło o muzykę – odparł. – W żadnym patencie nie chodziło o muzykę. W patencie chodzi o show. O występ. To jest zwyczajnie kolejny występ. O muzykę chodziło w studiu.

– Czy mogę robić muzykę bez patentu? To znaczy: i mimo wszystko cokolwiek sprzedać?

– Chyba zbyt lubisz patenty, żeby to było możliwe.

– Hej!

– Nie mówię, że to źle – wyjaśnił Jeremy. – Jesteś w tym dobry. Ale czasem podejrzewam, że zapomniałeś, jak przestać to robić. Czy nie sądzisz, że powinieneś na trochę zniknąć z miasta?

– To pytanie czy sugestia?

– Tylko na trochę, żeby sobie poukładać rzeczy w głowie.

Obróciłem głowę, żeby na niego spojrzeć. Moja czaszka zachręściła przez brezent o podłogę paki pikapa. Uczucie było całkiem przyjemne. Pokręciłem głową kilka razy. Nie dlatego, że nie zgadzałem się z Jeremym, ale dlatego, że chciałem przez chwilę poczuć ten chrzęst w głowie.

– Dlaczego uważasz, że nie mam już wszystkiego poukładanego w myślach? Czuję się doskonale w tym stanie.

Jeremy upił trochę niesłodzonej mrożonej herbaty.

– Chip nie żyje – powiedział.

– Kim, do cholery, jest Chip?

– Chip Mac.

– Stary, czy ty w ogóle używasz słów? Czy też komunikujesz się ze mną za pomocą cmoknięć i gwizdów?

– Chip. Mac – powtórzył Jeremy powoli. – Gitarzystą, którego zatrudniła dla ciebie Baby.

– Nie wiedziałem, że się tak nazywa. Jak umarł?

– Przedawkował.

Z początku nie rozumiałem, o co konkretnie mu chodzi. Potem zdołałem wyciągnąć wnioski, ale błędne.

– To w żadnym razie nie była moja wina.

– Zgadza się – przytaknął Jeremy. – Nie była. Dopiero co wyszedł z odwyku. Był też w szpitalu. Znałeś tego basistę?

– Jakiś dzieciak.

– Zwinięty za dilerkę w zeszłym roku – wyjaśnił Jeremy. – Popytałem trochę.

Myśl o tym, że Jeremy uznał za stosowne zasięgnąć języka dla mojego dobra, była całkiem budująca.

– No i co z tego? Sądzisz, że Baby chciała mi sprezentować skrzydłowych?

Mruknął potakująco. Właściwie mnie to nie dziwiło. Owszem, czułem się nieco dziwnie, myśląc o martwym gitarzyście, który parę dni temu był jeszcze całkiem żywy i wściekły na mnie, a także o tym, co mogłoby pójść inaczej, gdybym nie odesłał ich z kwitkiem tamtego wieczoru. Nic dziwnego, że Baby tak się wkurzyła, że pogoniłem Chipa. Był doskonałym materiałem na katastrofę na wizji.

– A gdybym ich wtedy nie wywalił? Miałem szczęście.

– Szczęście – parsknął łagodnie Jeremy. – Nie ma czegoś takiego jak szczęście.

– Co zatem?

– Twoje stopy zabierają cię tam, gdzie musisz się znaleźć.

Zastanowiłem się nad jego słowami.

– Moje stopy zabrały mnie w kilka mało przyjemnych miejsc.

– Nie, to był twój wacek, a twoje stopy tylko się za nim wlekły.

Zaśmiałem się. Nad nami przeleciało stadko pelikanów – niezgrabnych, ale pięknych. Ptaki przypomniały mi, że miałem zadzwonić do Leona i namówić go na przejażdżkę diabelskim młynem.

W myślach pojawiło się nieproszone słowo: *dom*. Czy to właśnie do tego wszystko zmierzało? Czy tego pragnąłem?

– Nie chcę cię oddawać Chadowi – oznajmiłem.

Jeremy milczał bardzo długo, nawet jak na siebie. W końcu się odezwał:

– Cole, nie mogę pojechać z tobą w trasę.

Ponownie mnie zabolalo, tak jak poprzednio, kiedy mi nie zaufał. Nie dbałem o to, czy reszta świata mi ufała, Baby, cała Ameryka i wszyscy inni. Ale Jeremy... Isabel...

– Zmieniłem się.

– Wiem – odparł, wyciągając kluczyki. – Ale niektórych rzeczy nie możesz zmienić.

Na zajęciach klinicznych tego dnia uczyli nas kodów, czyli szpitalnego odpowiednika skrótów stenograficznych na różne przykre rzeczy. W całej Kalifornii obowiązuje w zasadzie jeden standardowy system.

Kod czerwony: pożar.

Kod pomarańczowy: rozlanie/wyciek niebezpiecznej substancji.

Kod żółty: alarm bombowy.

Kod niebieski: czyjeś serce przestało bić.

Kilka spośród co bardziej szczebioczących idiotek w mojej grupie było niemal sparaliżowanych strachem na samą myśl o ogłoszeniu jakiegoś kodu podczas naszej wizyty w szpitalu. Ja po części miałam nadzieję, że coś takiego się stanie. Z nudów wychodziłam z siebie. Wyciek niebezpiecznej substancji brzmiał ciekawie. Zresztą w tych wszystkich kodach najważniejsze było nie poddać się panice, a ja radziłam sobie doskonale z nieodczuwaniem żadnych emocji. Trzeba było zgromadzić jak najwięcej informacji i na ich podstawie podjąć stosowne działania.

Baby była właściwie takim właśnie kodem. Nie mogłam tylko zdecydować, czy była raczej kodem szarym: agresywna osoba, czy kodem srebrnym: uzbrojony napastnik/zakładnicy. Tak czy inaczej, na pewno nic nie szkodziło dowiedzieć się więcej na jej temat. Dlatego zgodziłam się na kolację w jej towarzystwie. Pod warunkiem, że to ja wybierałam lokal. Chciałam, żeby to się odbyło na moim terenie, nie jej.

Odebrałam Cole'a i udaliśmy się do Koreatown – miejsca, którego wiele potworzyc Sierry się bało, ponieważ były głupiutkimi mimozami wierzącymi we wszystko, co usłyszały od mamy. Moja matka również mówiła mi, żebym nie zapuszczała się sama jedna do Koreatown, ale ona nigdy tam nie była, to skąd mogła wiedzieć, jak tam jest?

W wiadomościach podawali stek kłamstw. Poza tym żarcie było pyszne.

W Koreatown każdy chciał coś dostać i nikt nie udawał, że tak nie jest. Dzielnica nie mogła się pochwalić szczególnym urokiem, ale dla mnie była zadowalająco miejska. Szerokie, pozbawione drzew ulice,

każdy budynek niemieszkalny gościł klub ze striptizem, a każdy dom pozbawiony klubu ze striptizem był betonowy. Większość ścian pokrywało graffiti, ale nie były to przyjazne obrazy z Venice, o nie. Same znaki gangów i porządne technicznie murale o paskudnej tematyce. Jednym z moich ulubionych był ten przedstawiający wilki zabijające swoją zdobycz. Nie było jednak krwi, tylko motyle. To była dla mnie kwintesencja Koreatown. Dzielnica brutalnie wdarła się w sam środek przyjaznej estetyki L.A., ale atakując to miasto, jedynie wpisała się w jego estetykę. Taka właśnie była głodna magia Los Angeles. Sprzeciwiała się wszystkim przybyszom i obracała ich w jeszcze więcej siebie.

Zaparkowałam SUV-a, machnęłam kartą kredytową przed parkomatem i ruszyliśmy z buta w stronę restauracji. Po drodze minęliśmy stojącą po drugiej stronie ulicy grupkę przystojnych Latynosów, którzy zaczęli na nasz widok gwizdać drwiąco. Sądziłam, że ich zachowanie jest skierowane do mnie, ale w pewnej chwili jeden z nich pokazał Cole'owi środkowy palec i wrzasnął na całą ulicę: „NARKOTIKA!”, żeby nikt nie miał wątpliwości, o kogo chodzi.

Cole, spięty i nerwowy po czymś, co się wydarzyło wcześniej podczas kręcenia kolejnego odcinka programu, obejrzał się na Latynosów przez ramię. Przez chwilę obawiałam się, że zrobi coś, co się skończy dla niego nożem w brzuchu, ale on tylko pokazał im znak pokoju i przestał na nich zwracać uwagę, chociaż goniły nas niewybredne okrzyki. Olał ich. Po prostu ich olał.

Restauracja Yuzu była japońską knajpką wynajmującą lokal w apokaliptycznie wyglądającym centrum handlowym na skraju dzielnicy: cztery na w pół opuszczone, słabo oświetlone poziomy połączone wiekowymi schodami ruchomymi. Wszystkie sklepy, które *jeszcze* działały, miały szyldy z napisami po koreańsku.

Lubiłam tu przychodzić, bo mieli dobre jedzenie, a poza tym lokal sprawiał wrażenie takiego, którego nie da się znaleźć w internecie. Trzeba było zrobić coś realnego. Trzeba było naprawdę i szczerze w całej rozciągłości zlewać opinie innych.

Wjechaliśmy ruchomymi schodami na górę. Cole wsunął dłoń pod skraj mojej koronkowej bluzki i dotykał palcami mojej skóry.

Odwdzięczyłam się tym samym. Pod koszulką obwieszczającą wszem wobec, że jest dumny z bycia Kanadyjczykiem, jego plecy były gładkie i chłodne. Był jednak jakiś rozkojarzony. Obserwował świat spomiędzy przymrużonych powiek, strzelając wzrokiem to na mijane sklepy, to na mnie. Spojrzałam w bok i dostrzegłam drgający na jego szczęce mięsień.

– O co chodzi? – zapytałam. – Wyrzucić to z siebie.

– Chyba tu kiedyś byłem – odparł.

– Chyba? Jak dla mnie ciężko to miejsce zapamiętać.

– Mogłem nie być w nastroju do zapamiętywania rzeczywistości.

Nie podobała mi się myśl, że Cole mógł tu przychodzić podczas trasy w poszukiwaniu pańienek do zaliczenia, nie powiedziałam więc już nic więcej. W milczeniu jechaliśmy schodami, potem dwoma krokami przeszliśmy na kolejne i również w milczeniu wjechaliśmy na następny poziom. Zaprowadziłam go przed Yuzu. Cole wskazał wiszącą przed wejściem tablicę oznajmującą: „Zastrzegamy sobie prawo do odmowy obsługi lub wstępu dowolnej osobie”.

W środku zostaliśmy poprowadzeni wzdłuż przejrzystego parawanu do zaskakująco intymnego stolika. Przyszliśmy wcześniej, ponieważ ja zawsze byłam punktualna albo przed czasem. Baby jeszcze nie było. Wślizgnęłam się na siedzenie w słabo oświetlonej łoży, a Cole usiadł naprzeciwko mnie. Oparł się o stół łokciami i nachylił mocno, naruszając moją przestrzeń osobistą, przekrzywiając papierową lampkę i rozrzucając menu.

– Wyrzucić to z siebie – powiedział.

Uniosłam dłoń. Co niby miałam powiedzieć?

Stojący przy stoliku kelner odchrząknął. Patrzył bardzo nieprzyjawnym wzrokiem na Cole'a.

– Podać coś do picia? – zapytał.

– Wodę – odparł Cole. – I coca... colę. I jeszcze więcej wody.

Spojrzałam na kelnera.

– Poproszę wodę. I niech mu pan nie przynosi coca-coli.

– Hej! – zaprotestował Cole, ale kelner chyba się ze mną zgadzał, że chłopak nie potrzebował już więcej cukru czy kofeiny w swoim krwiobiegu, bo skinął lekko głową w moim kierunku i oddalił się.

– Och, hej – syknął do mnie Cole, ponownie nachylając się w moją

stronę i znowu uderzając głową lampkę. – Zabawę czas zacząć. Jeszcze się tak mówi? Ponieważ. Zabawę. Czas. Zacząć.

– Cześć, dzieciaki – powiedziała Baby. Stała przy naszym stoliku z uśmiechem równie szerokim i okraszonym dołeczkami w policzkach co zwykle. Wciąż sobie wyobrażałam, że powinna złowrogo nadciągać i wyglądać jak główny szwarczarakter z filmu, a ona ciągle... tego nie robiła. – Gdzie mam usiąść?

Cole zerwał się na równe nogi i wsunął się na kanapę obok mnie, zderzając się ze mną ramieniem, po czym wskazał zwolnione miejsce.

– Proszę – powiedział. – Bierz wszystko, co należało do mnie.

Usiadła. Wciąż miała na twarzy ten prywatny, rozbawiony uśmiech. Tak jakby życie ją śmieszyło.

– Jeszcze nigdy tu nie byłam – przyznała.

– Zorganizujemy dla ciebie menu. Przewodnik po jedzeniu w tym lokalu. Opis wszystkiego...

Cole stracił zainteresowanie własnym zdaniem. Zaczął nerwowo stukać palcami o blat. Położyłam rękę na jego dłoni i przycisnęłam ją do stołu.

Baby nie była wypełniona niespokojną energią jak Cole, ale ciągle zerkala na boki w sposób sugerujący, że monitoruje całą restaurację. Głównie ludzi. Jej wzrok przykuwały drobne interakcje, jeden z kucharzy podnoszący rękę i kiwający na innego, chłopiec dostarczający zamówienia telefoniczne, unoszący brwi i patrzący znacząco na kelnerkę; moja dłoń spoczywająca na ręce Cole'a.

Zastanawiałam się, czy wszystkich postrzegała jako graczy.

Noga Cole'a podrygiwała nerwowo pod stołem. Przycisnęłam do niej swoje udo, uspokoiła się.

Do naszego stolika podeszła ładnie ubrana młoda kobieta z czerwonym pasemkiem na brzegu prostych czarnych włosów. Przyjrzała się nam uważnie.

– Och, jeszcze się nie zdecydowaliśmy – powiedziałam.

Rozdęła nozdrza.

– Nie przyszedłam po wasze zamówienie. Masaki kazała mi sprawdzić, czy wszystko przy tym stoliku jest w porządku.

Coś w jej tonie mnie ubodło i gdyby to nie była moja ulubiona

restauracja z sushi i gdyby nie było tu Baby, dałabym jej coś o wiele lepszego do sprawdzenia. Zamiast tego powiedziałam tylko:

– Tak, wszystko jest w porządku, dziękujemy – odparłam.

Nie zdołałam całkowicie uniknąć lodu w słowie „dziękujemy”, ale większość udało mi się roztopić.

Dziewczyna zacisnęła wargi, po czym odwróciła się i odeszła.

– Dziwne – rzucił Cole.

– Ciekawe – poprawiła go Baby. – Co tu jest dobrego?

Odwróciłam menu w swoją stronę. Na okładce widniało blade i niezachęcające zdjęcie kalifornijskiego *maki*.

– Wszystkie *sashimi*, jakie robią – powiedziałam.

Cole przesuwiał palcem po kolejnych pozycjach jak dziecko dopiero uczące się czytać.

– Jadłeś już kiedyś sushi? – zapytała go Baby.

Pokręcił głową i zwrócił się do mnie:

– Musisz mi pokazać, jak używa się tych, no, ołówek. – Wyjął pałeczki z papierowej osłonki i podszedł nimi do mnie po blacie stołu. Zwalczyłam chęć wyrwania mu ich.

– Dobra robota z dzisiejszym odcinkiem – rzuciła Baby. – Przynajmniej z większością.

Palce Cole’a całkiem się uspokoiły.

– Po drodze na występ skończyło się nam paliwo.

– Co za niefortunny zbieg okoliczności – stwierdziła Baby.

– Wiem, że miałem trzy czwarte baku – powiedział Cole.

Dziwnie było go obserwować, kiedy wyzbywał się całego scenicznego zachowania i humoru.

Jednak Baby nie wyglądała, jakby było jej przykro. Postukała palcem w coś w swoim menu i powiedziała:

– Wyszła z tego wspaniała telewizja.

– Równie wspaniały był nasz koncert na tym ślubie – odciął się Cole.

– Nie. To była przyzwoita telewizja. Żeby zrobić dobrą telewizję, wszystko trzeba podkręcić na maksa.

– Na przykład zatrudnić kilka dziewczyn, żeby wdarły się do jego mieszkania i zaczęły rozbierać? – zapytałam lodowato.

Baby przybrała wyraz szczerego zdumienia.

– Ja ich nie zatrudniłam!

– Och, przestań – parsknął Cole. – Naprawdę, daruj sobie udawanie.

– Jak sądzisz, Cole, dlaczego chciałam w programie właśnie ciebie?

Zmierzył ją wzrokiem. Siedziała z arogancko uniesioną brodą. Wciąż przyciśnięta do mojego uda noga zaczęła znowu drgać, ale był to zaledwie cień energicznego podskakiwania, na jakie miał najwyraźniej ochotę.

Odpowiedziałam za niego:

– Bo sądzisz, że zdołasz go zniszczyć na oczach widzów. Żeby zrobić dobrą telewizję.

Otworzyła szeroko oczy.

– Chyba w to nie wierzysz, Cole?

Tylko wpatrywał się w nią bez słowa.

– Zniszczyłaś wszystkich poprzednich – zauważyłam. Wiedziałam, że zranię w ten sposób uczucia Cole'a, ale mimo to ciągnęłam: – Wybrałaś Cole'a, ponieważ twoim zdaniem jest łatwą ofiarą.

Grymas zdumienia nawet na chwilę nie opuścił twarzy Baby.

– Wybrałam Cole'a, bo jest dobrym aktorem. Bo wie, jak manipulować tłumem. Cholera, nie rozumiesz? On *był* w opłakanym stanie. Ale spójrz teraz na niego. Znowu jest ładny. A ładny chłopak daje dobrą telewizję.

Przypomniałam sobie, co Cole powiedział, kiedy po raz pierwszy zobaczył przygotowaną dla niego przez Baby listę rzeczy do zrobienia. „Ona chce, żebym *wyglądał*, jakbym nawalił”.

– Czy naprawdę sądziłaś, że wszyscy ci ludzie w moich programach stoczyli się i powariowali? – zapytała Baby. – Że to była *moja* sprawka? Nikt nie jest taki dobry. Nie, oni wszyscy wiedzieli, czego pragnie świat.

– Wszyscy udawali?

Baby spojrzała na mnie w sposób, za który ją jeszcze bardziej znienawidziłam. Tak jakby nie mogła uwierzyć, jaka jestem niewinna. Oczywiście wiedziałam, że nic w reality show nie dzieje się naprawdę.

– Wszyscy *grali* – sprostowała Baby. – Dali widzom to, czego ci chcieli.

– A świat woli, kiedy upadamy – wtrącił Cole bezbarwnym głosem.

Baby wzruszyła lekko ramieniem, tak jakby było to coś, czego nie można zmienić.

– Ale nie chodzi o prawdziwe zniszczenie komuś życia. Wiecie, co sprawia, że program telewizyjny jest kiepski? Ktoś leżący bez przytomności na podłodze i śliniący się na wykładzinę. Wymiotujące gwiazdy rocka. Koleś zbyt pijany, aby móc dotrzeć do studia. Gdybym dostała prawdziwą katastrofę, straciłabym widownię. Widzieliście kiedyś osobę uzależnioną? Gówniana etyka pracy.

Obrót spraw na tej kolacji stał w tak silnej opozycji wobec tego, czego się spodziewałam, że nie byłam w stanie tego pojąć. Z jednej strony to, co mówiła, miało oczywiście sens. Ale z drugiej strony wczoraj w nocy w mieszkaniu Cole'a widziałam trzy półnagie dziewczyny.

– Nie wierzę ci – powiedziałam. – Dlaczego zatem użyłaś tych dziewczyn z cyckami na wierzchu? Z jakiego innego powodu, niż żeby wystawić go na pokusę?

– Na pokusę? – zapytała Baby. – Spójrz tylko na to... – Wskazała gestem naszą dwójkę. Nie miałam pewności, o co jej chodziło. Może o fizyczną bliskość. – Na pokusę? Zauważyłam te dziewczyny płaczące się w okolicy domu i zwyczajnie pchnęłam je we właściwym kierunku. Uznałam, że Cole ma wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby zrobić z tego dobrą scenę. Nie przerabiam swoich programów, żeby wyreżyserować jakiś dramat. Ja tylko... wygładzam krawędzie. Wrzucam ludzi w konkretne sytuacje i filmuję to, co z tego wyniknie.

– Ale ja sam kreuję różne sytuacje – wtrącił Cole.

– Niewystarczająco ciekawe – stwierdziła Baby. – Dlatego dorzucam różne zmienne, kiedy uznam to za stosowne. Czy próbowałam cię podpuścić? Znalazłeś w łazience narkotyki gotowe do dania w żyłę? Piwo w lodówce? Czy zrobiłam cokolwiek, żebyś się wykoleił?

Cole zmarszczył brwi.

– Muzycy – zauważył. – Ci, których wywaliłem. Jeden nie żyje.

Chuck.

Przez twarz Baby przemknął na krótko cień jakiegoś nieodgadnionego uczucia.

– Chip.

– Tak, cóż, Jeremy mi powiedział, że nie żyje. A ten drugi dzieciak brał dragi. To mi wygląda na nieco... ustawione.

Nie powiedział mi o tym wcześniej. Zastanawiałam się, czy to dlatego, że nie wiedział jeszcze, co zrobić z tą wiedzą, czy też raczej nie chciał, abym się dowiedziała.

– Oni rzeczywiście mieli poważne problemy ze sobą – przyznała Baby. – Problem polega na tym, że nie da się przewidzieć, kiedy nastąpi kryzys, ale można to próbować oszacować. Założyłam, że podczas któregoś występu Chipowi urwie się film i wyląduje w szpitalu. A także, że prędzej czy później pokłóciłbyś się z Dennisem i wyrzaskiwał, że już nie bierzesz. Może któryś z was przyłożyłby drugiemu. Nie mam nic przeciwko zatrudnianiu wykolejeńców jako elementów scenografii.

– Czy to znaczy, że Leyla też ma jakieś trupy w szafie? – dopytywał się Cole.

Baby się roześmiała.

– Nie. Ją miałeś tylko znienawidzić.

– To ci się udało.

– Odrobiłam pracę domową. Isabel, wciąż wyglądasz na nieszczęśliwą.

Nie byłam nieszczęśliwa, tylko podejrzliwa. Wcześniejsze katastrofy wyglądały na całkowite i bezapelacyjne. Były niezmiernie przekonujące. Czy to znaczyło, że byłam taka sama jak reszta Amerykanów oglądających telewizję? Gotowa uwierzyć, że jak ktoś raz nawalił, nigdy już nie wyjdzie na prostą? A może chodziło o to, że byłam bardzo skłonna uwierzyć, że to Cole nie wyszedł na prostą?

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś wrogiem.

– Isabel – powiedziała Baby – nie robię tego, żeby potem ktoś mnie pozwał do sądu. Jeśli coś sprawia, że moje gwiazdy się wypalają, to jest to coś, co one same sobie robią. Jak mówiłam: ja tylko wrzucam ludzi w konkretne sytuacje. Co z tym zrobią, zależy już tylko od nich. Jeśli gdzieś jest jakiś wróg, to wewnątrz nich samych.

Nie powinno mnie to dziwić. Wszystko w Los Angeles było przykrywką dla czegoś innego. Brzydca przebierali się za ładnych. A teraz okazywało się, że ładni udawali brzydkich. Ciekawe, czy na tym świecie znalazłaby się choć jedna rzecz, która byłaby tym, na co wygląda.

– Czyli chcesz, żebym się bardziej starał – podsumował Cole. – Chcesz mieć show. Show Cole’a St. Claira.

– I wiem, że ty wiesz, jak to zrobić – stwierdziła Baby. – Jak już mówiłam: odrobiłam pracę domową.

– Czy musi być przygnębiający? – zapytał.

Jeśli się go znało, można było zauważyć, że w jego głosie pobrzmiwała tęsknota.

– Ma być dobry. Tylko na tym mi zależy. Aha...

Przy naszym stoliku stanęła inna młoda kobieta. Wyglądała, jeśli to w ogóle było możliwe, nieco mniej przyjaźnie od poprzedniczki.

W niewłaściwy dla kelnerki sposób zapytała:

– Czego chcesz?

Przysunęłam menu do siebie.

– Poproszę...

Potrząsnęła przecząco głową. Patrzyła prosto na Cole’a.

– Czego *on* tu chce?

Cole patrzył na nią zdezorientowany.

– Ona zamówi za mnie.

Kelnerka spojrzała na mnie, a potem znowu na niego.

– Przyszedłeś tu na jedzenie?

Twarz Cole’a się wypogodziła.

– Aaa, tak, teraz rozumiem. Tak. *Jedzenie*. To jej ulubiona restauracja. Podobają mi się te okrągłe na zdjęciu.

Zakreślił palcem nijakie zdjęcie kalifornijskiego sushi na okładce menu. Baby bardzo uważnie obserwowała całą scenę.

Nastawienie kelnerki ociepliło się o kilka stopni, po czym dziewczyna odwróciła się na pięcie i zniknęła.

Obróciłam się do Cole’a.

– Byłeś tu już kiedyś?

Cole sprawiał wrażenie nieco oszołomionego.

– Kiedy powiedziałem, że chyba już kiedyś byłem w tym miejscu, nie miałem na myśli konkretnie *tego* miejsca. W sensie tej knajpy. Znaczący, może i byłem. Musieli mnie rozpoznać. Może myśleli, że będzie... jak kiedyś.

Jak kiedyś. Czy to miało znaczyć, że gdy w przeszłości przychodził do jakiejś jadłodajni, ludzie zapamiętywali go jako kolesia, który zamawiał kokainę w ramach przystawki? Zrobiło mi się niedobrze. Nawet nie mogłam za to winić nikogo poza samą sobą. Doskonale wiedziałam, jaki Cole był, zanim go poznałam.

Za to Baby cały czas miała przyklejony do twarzy ten sam uśmiech. W sumie czemu miałyby się nie uśmiechać – Cole właśnie dowodził swojej przeszłości.

Wrócił kelner, który wskazał nam stół. Za jego plecami stanęła dziewczyna z farbowanymi włosami.

– Jesteś Cole St. Clair? – zapytał kelner.

Cole ledwie zauważalnie skinął głową. Wcześniejsze zagubienie zniknęło bez śladu. Teraz był już pewny siebie, arogancki – z powrotem założył swoją publiczną maskę. Cały jakby urósł, przestał się mieścić na swoim siedzeniu. Przeobraził całą restaurację w tło dla swojej osobowości. To właśnie dawał reszcie świata.

– Powiedzieliśmy ci wtedy, żebyś już tu więcej nie wracał.

Cole przekrzywił głowę.

– Wracał?

– Powiedzieliśmy, że nie jesteś już tu mile widziany. Ani ty, ani ten twój kumpel. Wszystko zepsuliście. Do dziś pamiętam twoją twarz.

Przez twarz Cole'a przemknęło nagłe olśnienie, a wraz z nim coś bolesnego i pustego. Szybko się jednak opanował; tak szybko, że tylko ja zauważyłam tę chwilową zmianę.

– Och, tamto. Słuchaj, to było dawno temu. Dzisiaj nic takiego się nie zdarzy. Jestem już czysty. Chcę tylko zjeść tu kolację w miłej atmosferze z moją dziewczyną.

Miałam ochotę go zabić za to, z jaką swobodą rzucił to słowo w takich okolicznościach. Z moją *dziewczyną*!

Wyraz twarzy kelnera nie uległ zmianie.

– Plotki mówią co innego niż czysty.

Teraz Cole zaczynał tracić swój dobry humor.

– A co mówią plotki, przyjacielu?

– Że z *China white* przerzuciłeś się na coś mocniejszego – rzuciła dziewczyna z czerwonym pasemkiem.

Baby nie przestawała się uśmiechać. Świat kochał przegranych.

– Przyszedłem tu – powiedział Cole, zmuszając się do mówienia spokojnym głosem – zjeść pieprzone sushi.

– Wynoś się – zażądał kelner. Zrobił krok do tyłu, abyśmy mogli wyjść z łoży. – Nie jesteś tu mile widziany.

– Cóż, przyjacielu – rzucił Cole strasznie wylewnie. – To mi wygląda na raczej gówniany sposób prowadzenia interesu. Czy zawsze robisz wywiad środowiskowy na temat swoich gości, zanim usiądą przy stoliku? Czy to jest restauracja dla świętych? Tylko dla zakonnic? Może dla Buddy? Dla pomniejszych aniołów, które się zabłąkają do Koreatown? W jaki cudny sposób wychodzicie na swoje, jeśli przeganiacie wszystkich grzeszników?

Teraz zdołał skupić na sobie niepodzielną uwagę wszystkich kucharzy i kelnerów. Wszyscy patrzyli na naszą dwójkę. Wiedziałam, że niezależnie od wszystkiego odtąd już po wsze czasy będę dla nich tylko „dziewczyną Cole’a St. Claira”. Nie było mowy, żeby to się mogło dobrze skończyć.

Już nigdy nie będę mogła przyjść tu na *sashimi*.

– Większość grzeszników nie tkwi w pamięci tak jak ty – powiedział chłodno kelner. – Wynocha.

– Coś ty zrobił, Cole? – warknęłam.

Baby przyglądała się nam, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego, jakby oglądała mecz tenisa.

– To było dawno temu – powtórzył.

– Nie dość dawno – wtrącił kelner.

Czułam się skrajnie upokorzona, tak jakbym to *ja* narozrabiała.

– Po prostu wspaniale. Chodźmy stąd.

Dzikie płomienie zapłonęły w oczach Cole’a, ale opanował się, wyszedł z łoży i ostentacyjnie rzucił serwetkę na blat stołu.

– Plotki to broń obosieczna – rzucił pod adresem kelnera.

Jeden z kucharzy stojących za ladą przekręcił nieco swój nóż, tylko

trochę, żebyśmy zauważyli odbijające się od niego światło.

– Och, widzę ciebie. Cały się trzęsę ze strachu – powiedział Cole. – Nie wyskakuj z kapci. Już wychodzimy.

Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz najadłam się takiego wstydu. Jedną z dobrych stron tego, że nic cię nie obchodzi. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć.

Spędziłam w Yuzu wiele godzin, odrabiając lekcje przy sushi. Lubiłam siedzieć samotnie w miejscu, w którym nikt mnie nie znał, w którym nikt nie wiedział, jaki jest normalny wyraz mojej twarzy. Teraz w zaledwie kilka minut popołudnia przesiedziane tutaj z terażniejszości stały się przeszłością.

Gdy znaleźliśmy się ponownie na oświetlonym trupio bladymi neonami korytarzu apokaliptycznego centrum handlowego, Cole zwrócił się do Baby opanowanym głosem:

– Rewanż innego dnia. Straciłem apetyt.

– Jesteś pewien? – zapytała Baby. Zaczęliśmy zjeżdżać ruchomymi schodami w dół. – Teraz byłby świetny czas na nakręcenie czegoś naprawdę dobrego.

– Jestem pewien – odparł Cole. – Wymyślę coś lepszego.

– Wymyśl zatem. Mam najwspanialszą możliwą niespodziankę na twoje urodziny, ale musisz na nią zasłużyć.

Rozstaliśmy się z nią na chodniku. Biel betonowych płytek aż raziła w oczy po półmroku panującym w budynku. Szliśmy w milczeniu. Odezwałam się do niego dopiero, gdy wsiedliśmy do mojego SUV-a.

– O co tam poszło? – zapytałam ostro. – Czym podpadłeś tamtym ludziom?

Cole pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Jak to: nie wiesz? Widziałam twój wyraz twarzy. Dobrze wiesz, o co im chodziło.

– Isabel, *nie pamiętam*.

– Nie kłam! – wybuchnęłam gniewem. – Przecież widziałam twoją reakcję! Coś ty im zrobił?

– Razem z Victorem...

Cole ścisnął palcami nasadę nosa, żeby zaraz potem strząsnąć dłoń,

tak jakby chciał wyrzucić z głowy wspomnienie. Widziałam już wcześniej, jak wygląda, kiedy jest zdenerwowany. Teraz aż się miotał pod własną skórą.

Minęłam światła i przejechałam obok budynku mieszkalnego z dachem stylizowanym na pagodę.

– Mam nadzieję, że właśnie starasz się wymyślić sposób wytłumaczenia mi, dlaczego nie mogę już nigdy więcej pokazać się w mojej ulubionej restauracji.

– Jezu, Isabel, daj mi chwilę.

– I jeszcze jedno – warknęłam. Teraz wściekłość należycie we mnie wzbierała. – Z moją *dziewczyną*?!

– Co, za to też mam przepraszać? Jest pewnie jakiś formularz, który powinienem wypełnić, zanim użyję tego słowa, tak? Jezu. Też wymyśliła...

Też wymyśliła. Może on miał już wcześniej liczne związki, ale ja spędziłam dużo czasu, celowo nie będąc niczyją dziewczyną. A teraz nawet nie wiedziałam, czy powiedział to tylko po to, żeby uspokoić podejrzliwą kelnerkę, czy dlatego, że naprawdę uważał mnie za swoją dziewczynę. Ba! Nawet nie wiedziałam, czy chcę nią być. Nie miałam pojęcia, czy to ma znaczenie, że twój chłopak nie jest popaprańcem, jeśli cały świat go i tak za takiego uważał.

Cole oparł czoło o boczną szybę i uniósł wzrok na bezchmurne niebo.

– Próbuję – powiedział po dłuższym milczeniu. – Ciągłe próbuję, ale to dla nikogo nie ma znaczenia. Zawsze już będę tylko nim.

– Kim?

– Cole'em St. Clairem.

Na pierwszy rzut oka zdawało się to głupim stwierdzeniem, ale ja wiedziałam doskonale, o co mu chodzi. Doskonale wiedziałam, jak to jest, kiedy najbardziej się boisz tego, że pozostaniesz sobą.

Oto, co wiedziałem: jeśli wróciłbym teraz do mieszkania sam, udałbym się do łazienki i wsunął igłę pod skórę. Mimo że to nie były narkotyki – chociaż było to dużo *czystsze* od narkotyków – przypomniałoby mi osobę, którą byłem jeszcze nie tak dawno temu. Tę, która pojechała do Koreatown się zabawić i zdemolowała knajpę podającą sushi, kiedy zaczęło się robić nudno. Nie zniósłbym odrazy do samego siebie, jaką czułem wtedy.

Dlatego błagałem Isabel, żeby zabrała mnie do siebie, nawet jeśli tylko na parę chwil.

I najwyraźniej poznała mnie już na tyle, że się zgodziła, chociaż wciąż była na mnie wściekła.

Jej matka mieszkała w jednym z tych domów, które byłyby dużo fajniejsze, gdyby te stojące po obu stronach nie były fajne w dokładnie ten sam sposób. Zupełnie nie przypominało to moim zdaniem Kalifornii. Przypominało typowe amerykańskie osiedle zamieszkałe przez wyższą klasę średnią. Isabel wrzuciła wsteczny i wjechała swoim olbrzymim SUV-em na podjazd. Zrobiła to tak płynnie i pewnie, że uderzenie zderzakiem w kwietnik po prawej musiało być celowe. Gdy wysiadła na zalany promieniami wieczornego słońca beton, wykrzywiła wargi w grymasie lekceważenia. Tak, to było celowe. Prowadziła wojnę podjazdową: ona kontra przedmieścia. Jeszcze się nie zorientowała, że jedynym sposobem na postawienie na swoim jest wycofanie się na z góry upatrzone pozycje. Albo może wiedziała o tym, ale miała zablokowaną drogę odwrotu. Postanowiła więc walczyć do końca.

Od samego patrzenia na okolicę ogarniało mnie zmęczenie. Identyczne domy przypomniały mi o rodzicach mieszkających na takim samym osiedlu w Phoenix w stanie Nowy Jork.

Weszliśmy do środka, gdzie unosił się zapach odświeżacza powietrza. Wystrój wnętrza był bezgranicznie ładny i uleciał mi z pamięci w chwili, gdy tylko odwróciłem wzrok. Isabel zupełnie nie pasowała do tego miejsca – była tu czymś egzotycznym. Wydęła swoje rajskie usta pomalowane na kolor gumy balonowej. Gdzieś z wnętrza

domu dobiegł głos jej matki:

– Isabel?

Ostrzegła mnie, że jej matka będzie w domu, ale powiedziała, że się tym zajmie.

Jednak chwilę później zabrzmiał niski grzmot – męski głos.

Isabel zmrużyła oczy. W tej samej chwili na wyłożonym wykładziną półpiętrze nad nami pojawiła się Sofia. Nie pasowała do tego miejsca tak samo jak Isabel – senne oczy spoglądały na nas z twarzy żywcem przeniesionej z czarno-białego niemego filmu, łącznie z okalającymi ją lokami i słowami wypisanymi fikuśną czcionką na dole ekranu. Zacisnęła bladą dłoń na barierce schodów i powiedziała bezgłośnie dwa słowa. W filmie pojawiłyby się na dole ekranu: „Twój tata!”.

Tom Culpeper.

Ostatni raz widziałem go nad trupem Victora, dwa tysiące kilometrów stąd i milion lat temu. Culpeper nie wiedział, że był to człowiek, chłopak w skórze wilka. On zwyczajnie starał się zabijać stworzenia o ostrych zębach. W związku z tym śmierć Victora nie była tak naprawdę jego winą, tylko moją. Zawsze moją.

Powinienem był wrócić do mieszkania.

– Isabel? To ty, prawda? Sofio, czy to Isabel?

Obie dziewczyny spojrzały na mnie. Sofia cicho zbiegła drobnymi krokami po schodach i wyciągnęła rękę w moją stronę, jakby chciała mnie dotknąć. Po chwili jednak zmieniła zdanie i w rezultacie zatoczyła dłonią w powietrzu małe kółko. Podpis na ekranie: „Chodźcie za mną!”. Isabel przytknęła palec do ust – „Ćśś (buziaki, mała/buziaki/podążaj za moim oddechem)” – i weszła do jednego z pokoiów.

Sofia poprowadziła mnie korytarzem, a następnie przez zadbaną, ładną, zupełnie niezapadającą w pamięć kuchnię do otwartych drzwi na patio. Usłyszałem lodowaty głos Isabel:

– Och, jak cudownie. Całe moje DNA znowu razem.

Sofia prowadziła mnie dalej; przeszła dwoma krokami przez niewielki taras i zatrzymała się dopiero w przytulonym do niego malutkim drewnianym domku do zabaw. Konstrukcja należała do gatunku tych z zieloną plastikową zjeżdżalnią i ze ścianką do

wspinaczki. Zazwyczaj w komplecie było też gniazdo os w środku. Wnętrze miało jakieś półtora na półtora metra. Jedynym światłem było to dobiegające z ganku. Sofia wpełzła w najbardziej oddalony kąt, podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi ramionami. Ja usiadłem w przeciwległym kącie. Zorientowałem się, że wciąż słyszę Culpeperów, a gdy przeszli do kuchni, w której było otwarte okno, nie miałem już żadnych problemów z rozróżnianiem słów. Niewielkie okienko domku z zielonymi okiennicami pozwalało nam nawet obserwować całe zajście – byliśmy dla nich z Sofią niewidzialni, a oni z naszego punktu widzenia wyglądali jak film na jasnym ekranie telewizyjnym.

– Widzę, że odebrałaś pranie z punktu – zauważyła Isabel niezmiennie chłodnym głosem.

Nalała sobie trochę wody do szklanki. Do ojca nie odezwała się ani słowem.

Jej matka wygładziła dłonią nieskazitelnie białe spodnie silnie kontrastujące z czarną bluzką z głębokim dekoltem. Należała do tej kategorii kobiet, które były *składane*, ale nie *konstruowane*. Zwykle stojące obok siebie matka i córka wyglądały jak zdjęcia z serii przed – po, ale w tym przypadku obie kobiety wprawiały zawsze całe pomieszczenie w zachwyt nad doskonałością stojącej za ich wyglądem genetyki.

– Twój ojciec pyta, czy zechciałybyśmy spędzić z nim weekend – oznajmiła matka Isabel.

Sofia skuliła się jeszcze bardziej. Znad kolan widać było tylko parę olbrzymich oczu wpatrujących się w scenę rozgrywającą się w kuchni. W przyćmionym świetle lekko lśniły, tak jakby płakała, chociaż nie było widać ani jednej łzy. Spróbowałem odgadnąć jej wiek. Piętnaście lat? Szesnaście? Wydawała się młodsza. Wciąż miała to tajemnicze coś, które tkwiło we wszystkich dzieciach, co sprawiało, że człowiek miał raczej ochotę się nią zaopiekować niż się z nią umówić.

– Tutaj? – zapytała w kuchni Isabel. – Czy w San Diego?

– W domu – odparł Tom Culpeper. Opierał się ze skrzyżowanymi ramionami o framugę drzwi, wyglądając bardzo prawniczo. – Oczywiście.

Isabel uśmiechnęła się nieprzyjemnie, unosząc szklankę do ust.

– Oczywiście.

– Chciałabym być taka jak Isabel – wyszeptała Sofia.

Skupiłem uwagę z powrotem na wnętrzu domku do zabaw.

– Dlaczego?

– Zawsze wie, co powiedzieć – wyjaśniła rozbijając szczerze. –

Kiedy moi rodzice się kłócili, tylko beczałam i wyglądałam jak idiotka. Isabel nigdy się nie denerwuje.

Z tym ostatnim stwierdzeniem bym polemizował. Powiedziałbym raczej, że Isabel była wiecznie zła.

– Nie ma nic złego w beczeniu – stwierdziłem, po czym dodałem nieszczerze: – Ja notorycznie beczę.

Sofia uniosła brwi i uśmiechnęła się do mnie zza kolan. Widziałem tylko jeden kącik ust – uniesiony nieśmiało i z pewnym niedowierzaniem. Ale spodobało się jej to, co powiedziałem. Wyciągnąłem swój notesik i zapisałem tekst o buziakach, póki go jeszcze pamiętałem.

– Twój rodzice się rozwiedli? – zapytałem.

Kiwnęła głową.

– Twój ojciec też był prawnikiem kutasem?

Pokręciła głową. Jej lśniąca oczy zaśmiały nieco mocniej.

– Nie był kutasem.

Nawet tego ostatniego słowa nie potrafiła wymówić z nienawiścią. Powiedziała to bardzo ostrożnie, jakby mówiła o części ciała i nie chciała, żeby ją ktokolwiek usłyszał.

Z kuchni dobiegł głos Isabel, wciąż przepelniony chłodem:

– Dwie godziny spędzone w samochodzie nie dają ci żadnego prawa do dysponowania moim czasem. Mam plany. Jeśli jednak chcecie z matką spędzić weekend wypełniony zabawami dorosłych i dmuchanymi akcesoriami pływackimi, nie mam nic przeciwko. Droga wolna. Jesteście dorośli.

– Skończenie osiemnastu lat nie daje ci prawa odzywania się do mnie w ten sposób, Isabel – powiedział Tom. Zamknąłem oczy i pomyślałem o różnych sposobach, w jakie chciałbym zrobić mu krzywdę, zaczynając od najprostszych i stopniowo dążąc do tych najokrutniejszych: pięściami, słowami, uśmiechem. – Do swojej matki

też się tak zwracasz?

– Tak – odparła Isabel.

Otworzyłem oczy i zapytałem Sofię:

– Jak długo twoi rodzice są rozwiedzeni?

Sofia wzruszyła ramionami i potarła palcem ścianę domku. Mimo półmroku dostrzegłem, że dotykała słów „Sofia tu była” napisanych literami z licznymi zakrętasami. Sprawiała wrażenie smutnej w sposób, który nie zachęcał do żadnego działania, dlatego właśnie poczułem silną chęć zrobienia czegoś. Przeszukałem kieszenie bojówek, aż natrafiłem palcami na marker. Wydobyłem go, nachyliłem się, napisałem obok jej napisu „Cole tu był” i podpisałem się. Mój podpis wychodził mi naprawdę dobrze.

Wyszczерzyłem zęby, tworząc w ciemności mały półksiężyc bieli.

W domu Teresa podniosła głos, więc oboje z Sofią przysunęliśmy się z powrotem do okna, wracając do podsłuchiwania. Nie udało mi się wychwycić końca jej zdania, ale wypowiedź Toma była doskonale słyszalna.

– Oboje doskonale wiemy, że miłość jest dla dzieci – stwierdził. – My jesteśmy dorośli. Dla dorosłych ważna jest kompatybilność.

– Kompatybilność jest ważna dla mojego telefonu i mojego samochodu – odparła Teresa. – Z tym że one się doskonale dogadują. Mój samochód nigdy nie sprawia, że telefon czuje się parszywie.

– Cóż – wtrąciła Isabel niegłośnie, okrutnie i potępiająco. – To ja was tutaj zostawię. Mam parę rzeczy do zrobienia. Na przykład wywiercenie sobie dziury w skroni. Trzymajcie się.

Tom przestał się wpatrywać wściekle w żonę i przeniósł wzrok na córkę.

– Jechałem dwie godziny, żeby cię zobaczyć.

Ponieważ Isabel stała do nas tyłem, nie widziałem jej twarzy. Widziałem za to założone za plecami ręce. Tak uporczywie szczypała się lewą dłonią w prawe przedramię, że skóra w tym miejscu była już cała czerwona. Jednak gdy się odezwała, głos miała nadal lodowaty.

– No to mnie zobaczyłeś – rzuciła i wyszła z kuchni.

Tom oblizał zęby i zwrócił się do żony:

– Widzę, Tereso, że twoje metody wychowawcze przyniosły

wspaniałe rezultaty.

Nie istniał wszechświat, w którym moglibyśmy się z Tomem zaprzyjaźnić. Sofia nachyliła się nad swoim telefonem i szybko wstukiwała treść wiadomości. Zerknąłem w jej stronę, ale dojrzałem tylko imię Isabel na górze ekranu.

Chwilę później Isabel wyłoniła się zza załomu budynku i wcisnęła do ciasnego domku. Musiałem przysunąć się bardzo blisko Sofii, żeby się zmieściła. Jej twarz wyglądała jak wykuta z lodu. Oczy skierowała na deskę, na której się podpisałem, ale wzrok miała nieobecny.

– Proszę.

Podąłem jej marker, ale nie wzięła go ode mnie.

– Chcę zapomnieć, że tu kiedykolwiek byłam – powiedziała.

– Mogę pójść do domu i przynieść trochę ciastek, jeśli chcesz – zaoferowała się Sofia.

– Sofio! Nie chcę, żebyś mi przynosiła cokolwiek do jedzenia!

Jej kuzynka w jakiś sposób zdołała się skulić, ale wciąż zajmowała tyle samo miejsca. Isabel zamknęła oczy i zacisnęła mocno usta.

Siedziałem ściśnięty przez dwie zdruzgotane dziewczyny, bez swojego samochodu w pobliżu, żeby móc pojechać gdzie indziej. A nawet gdyby był tu gdzieś zaparkowany, to przecież był to saturn. Kiedy Sofia wspomniała o ciastkach, naprawdę nabrałem na nie ochoty. Choćby dlatego, że nasza kolacja została odwołana przez podejrzliwych japońskich kucharzy. Ale w tej chwili Teresa i Tom Culpeperowie wrzeszczeli na siebie w kuchni i nikt, absolutnie nikt nie mógłby tam teraz wejść, nie ryzykując ofiar śmiertelnych.

– Ja bym chętnie zjadł jakieś ciastko – zwróciłem się do Sofii – ale jestem na diecie. Wiesz, kamery dodają dobre dziesięć kilo. A życie nie miałoby większego sensu, gdybym nie mógł wyglądać przystojnie w telewizji.

Isabel parsknęła. Sofia pociągnęła nosem i coś wymamrotała.

– Słucham? – zapytałem.

– Krzywizna soczewki – powiedziała nieco głośniejszym głosem i ponownie pociągnęła nosem. – Dlatego dodają dziesięć kilo. Każda... – Znowu pociągnięcie nosem. – Każda soczewka jest w zasadzie rybnym okiem, wszystko więc, co jest na środku kadru, wygląda na większe niż

w rzeczywistości. Nos, brzuch i inne takie. A całe oświetlenie, lampy błyskowe i... – Kolejne pociągnięcie nosem. – I wszystko inne eliminuje cienie i krawędzie, no i wtedy wygląda się na jeszcze grubszego.

– Cóż – stwierdziłem. – Warto wiedzieć.

Kłótnia w kuchni biła kolejne rekordy. (Teresa właśnie popisowo wyrzeszczała: „Czy prawnik nie jest przypadkiem synonimem sprzedanej kurwy?”, Tom odkrzyknął: „Jeśli masz na myśli kobiety, które pracują całą noc, to chyba właściwym określeniem jest lekarka”).

Wydobyłem telefon z kieszeni.

– Chcecie obejrzeć odcinek, który dzisiaj nakręciliśmy?

– O czym jest? – zapytała Sofia.

– To niespodzianka. Mógłbym ci powiedzieć, ale wtedy musiałbym cię wyretuszować z osnowy świata.

Isabel otworzyła oczy. Przeskoczyłem kilka okien na telefonie i otworzyłem w przeglądarce stronę programu. Dziewczyny nachyliły się nad ekranem rozświetlającym otaczającą nas ciemność. Zerknąłem w stronę kuchni, aby upewnić się, że nie widać nas za bardzo od strony domu. Starsi Culpeperowie nie zwracali jednak uwagi na swoje otoczenie.

Odcinek zaczynał się od mojej kłótni z Leylą, po czym szybko przechodził do mojej kłótni z Chadem o Jeremy’ego.

– Co za dupek – rzuciła Sofia.

– Czy on nie wie, że Jeremy poślubił najpierw ciebie? – zapytała pustym głosem Isabel.

Wiedziałem, że swoje słowa kieruje do Sofii, żeby sprawić wrażenie osoby zainteresowanej oglądaniem programu i żeby zasłużyć na wybaczenie za wcześniejszą złośliwość. Zadziałało, ponieważ Sofia bardzo chciała jej wybaczyć.

Gdy zdobyłem Jeremy’ego, całą trójką ruszyliśmy pod adres, który dostałem od Isabel: do Echo Park, gdzie odbywał się ślub wielkiego miłośnika NARKOTIKI. No dobrze, to Isabel powiedziała, że był moim wielkim miłośnikiem. Mnóstwo zależało od jej umiejętności udawania mnie w internecie i należytego wyszukiwania informacji. Ponieważ jeśli okazałoby się, że był to ślub kogoś zupełnie obojętnego albo zaledwie lubiącego sobie czasem posłuchać moich kawałków, czekała nas

katastrofa. Mieliśmy dobry czas, ale wtedy w saturnie w tajemniczy sposób skończyło się paliwo. Musieliśmy udać się na piechotę do najbliższej stacji, której pracownik zupełnym przypadkiem od razu mnie rozpoznał.

Zatrzymałem film.

– Tutaj się dowiaduję, czy Isabel naprawdę wszystko wiedziała.

– Dlaczego? – spytała Sofia.

– Bo to ona wyszukała ten ślub.

Olbrzymie oczy Sofii powędrowały ku jej kuzynce.

– Dobrze się więc złożyło, że wszystko wiem – rzuciła Isabel.

Istotnie tak było. Dotarliśmy w końcu do Echo Park, gdzie okazało się, że zagorzałymi fanami NARKOTIKI byli zarówno pan młody, jak i panna młoda, która olśniewająco i w większości w kadrze zemdląła, kiedy zobaczyła mnie i Jeremy'ego wysiadających z samochodu. Ku przerażeniu rodziców obojga zaręczonych akompaniowaliśmy im, gdy kroczyli w stronę księdza. Leyla nawet nie grała specjalnie źle. To naprawdę była dobra telewizja.

Sofia westchnęła z zadowoleniem.

– To było takie romantyczne. Czy na żywo też było takie romantyczne?

– Pewnie – przytaknąłem.

Isabel przeglądała na wirtualnym mnie komentarze pod filmem. Było ich zatrzęsienie. Zbyt wiele, żeby wszystkie przeczytać, nawet jeśli się chciało. Isabel zmrużyła oczy, czytając najnowszy. Był to cały akapit tekstu wypełniony uwielbieniem dla NARKOTIKI i ślubów, zakończony pytaniem, czy kiedyś napiszę jeszcze piosenkę w stylu *Villain*.

Gdy skończyliśmy czytać, pojawił się jeszcze jeden komentarz. Numer 1362 był krótki:

cole st claira najlepiej pamiętam twarzą na scenie

Isabel wydeła usta. Nie spojrzała na mnie. Czuję się uwięziony między tym komentarzem a scysjami w japońskiej restauracji i wcześniej z Chadem. Tak jakby moja przeszłość była coraz bliżej, zamiast się oddalać.

Sofia wciąż była oczarowana zakończeniem obejrzanego przed chwilą odcinka.

– Isabel, a czy ty byś chciała mieć na swoim ślubie rockową kapelę? – zapytała.

– Nie mam zamiaru brać ślubu – odparła Isabel, wyłączając ekran służbowego telefonu i chowając go do kieszeni. Nie patrzyła na mnie, ani na dom, ani na nic szczególnie. – Nie wierzę w szczęśliwe zakończenia.

Później w pustym mieszkaniu tylko to pamiętałem wyraźnie. Przerwana kolacja z Baby była mglistą mieszanką upokorzenia i gniewu. Rozmowa z Chadem – plamą wątpliwości. Uśmiechy gości weselnych zupełnie uleciały mi z pamięci.

Zapamiętałem tylko tę jedną osobę, z którą chciałem być, mówiącą, że nie wierzy w szczęśliwe zakończenia.

Kiedy późną nocą czy wczesnym rankiem wsiadłem do saturna, w radiu właśnie leciał *Villain*. Mój głos krzyczał na mnie, gdy jechałem na wstecznym zaułkiem:

Czy nie takiego mnie zawsze chciałaś?

Z przeceny, późną nocą, bankrutującego.

Jestem o wiele tańszy.

Ulice były opustoszałe i w ten niepokojący sposób dziwaczne. Nawet bary były pozamykane. Brak ludzi i słońca w pewnym sensie tylko podkreślał brak trawy i roślin przy chodniku. Całe to miejsce wyrzeźbiono z betonu. Mój dobiegający z głośników głos wciąż był zgorzkniały. Nie wyłączyłem jednak radia.

Nie udawaj, że mnie lubisz

Parking przy plaży był zupełnie pusty. Gdy otworzyłem drzwi, zaatakowało mnie zimne powietrze.

Że chodzi tylko o mnie

Zimno było dobre. Dzięki temu potrwa to dłużej.

Będę tylko wspomnieniem z szalonej młodości

Wziąłem swoje rzeczy i ruszyłem boszo po piasku w stronę oceanu. Rozebrałem się. W okolicy nie było nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć, poza czarnym, bezgwiezdny niebem i jeszcze czarniejszymi zarysami palm rosnących na skraju parkingu. Wbiłem igłę w skórę.

Boże, ale z ciebie kanalia, kanalia

Oczywiście ktoś mógł mnie przydybać. Zobaczyć skaczącego przez fale w ciele wilka. Albo zauważyć za te dziewięć, piętnaście czy dwadzieścia dwie minuty, kiedy z powrotem zmienię się w nagiego człowieka. Albo możliwe, całkiem możliwe, że zobaczy samą przemianę.

Ale tak się nie stanie. Statystycznie prawdopodobieństwo było bardzo małe.

Poza tym ryzyko to zdecydowanie zbyt mało, żeby mnie powstrzymać. Przykucnąłem po ciemniejszej stronie samochodu i przyglądałem się swoim żyłom, aż te zaczęły wyć, a mięśnie – drzeć pod skórą. Gdyby tylko udało się tracić świadomość przed nadejściem bólu, tego rozdzierającego bólu przemiany, byłaby to doskonała ucieczka. Najczystszy narkotyk, najbardziej rozsądny odpoczynek dla myśli.

Czasem zapominałem, co ze mną zrobiły narkotyki. Ale było tak, jak powiedziała Baby. Teraz byłem ładny.

Kanalia, kanalia, kanalia

Aż w końcu, nareszcie, byłem wilkiem. Piasek na moich łapach – chłodny, wilgotny i nieskończony. Na nocnej plaży nie było barw, za którymi można byłoby tęsknić. Tylko dźwięki, zapachy i wiatr świszczący mi w uszach, gdy biegłem. Każda myśl była obrazem.

Przykucnąłem w lodowatej wodzie. W zasięgu wzroku nie było nikogo, plaża wciąż była pusta. Uszło mi to na sucho, co w jakiś sposób sprawiło, że poczułem się jeszcze gorzej. Byłem jedyną osobą znającą prawdę o mnie, ale to wystarczało. Wszyscy inni już dawno się domyślili.

Zawsze byłem nim, zawsze byłem Cole'em St. Clairem.

W uszach wciąż słyszałem głos Isabel, gdy mówiła: „Nie wierzę

w szczęśliwe zakończenia”.

Internet: *Hej, Cole St. Clair, czy to prawda, że cię wyrzucili z Yuzu?*

Wirtualny Cole: *za bycie odlotowym*

Internet: *Mój kumpel mówi, że za dawanie sobie w żyłę u nich w kiblu.*

Wirtualny Cole: *znajdź sobie nowych kumpli*

Internet: *LOLOL uwielbiam cię kolo*

Wirtualny Cole: *a kto mnie nie uwielbia*

Internet: *Czy kiedykolwiek nagrasz jeszcze piosenkę w stylu Villain?*

Internet: *Kim jest ta dziewczyna, którą widzieliśmy w ostatnim odcinku?*

Wirtualny Cole: *superseksownym obcym*

Internet: *splaw ją! lovciam cię, cole!*

Wirtualny Cole: *superseksowna obca zniszczyła planetę*

Wirtualny Cole: *tak naprawdę to ratuję cały świat (nie, serio)*

Wirtualny Cole: *podziękujcie mi*

Internet: *nie musiałyby wiedzieć haha lol*

Internet: *Zobaczymy kiedyś jeszcze Victora? NARKOTIKA rządziła!*

Wirtualny Cole:

Internet: *Świetnie widzieć jak ty i Jeremy znowu gracie razem! Co z Victorem?*

Wirtualny Cole:

Internet: *OK dawajcie Victora już!!!!!!*

Wirtualny Cole: *wywołacie u leyli załamanie wegańskie*

Internet: *hahaha ale nie no serio NARKOTIKA 4EVER*

Internet: *Co chcesz na urodziny?*

Wirtualny Cole: *być wiecznie młodym*

Cole wysłał mi esemesa:

„Tak właściwie to chcę ciebie”.

Zadzwoiła Baby.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Gotowy na niespodziankę?

Stałem w pustym domu na wynajem, do którego włamałem się zaraz po śniadaniu. Przez śniadanie rozumiem banana włożonego w bułkę do hot dogów, a przez włamanie się – odkrycie, że jedne z przesuwanych drzwi z tyłu są otwarte. Nie byłem szczególnie podekscytowany tym, że dziś wypadały moje urodziny, chociaż nie potrafiłem ustalić, dlaczego właściwie tak się czułem.

– Spodoba mi się?

– Bardzo się nad nią napracowałam.

– Jakaś odpowiedź?

– Przyjemnej przejażdżki – stwierdziła enigmatycznie Baby. – Ale lepiej włóż najpierw jakieś spodnie. Mam nadzieję, że komponowałeś.

Pierwsza niespodzianka podjechała pod moje drzwi o dziesiątej rano. No dobrze, niedokładnie pod moje drzwi. Zatrzymała się w uliczce za domem i robiła naprawdę duży hałas. Wyszedłem na taras na dachu, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Na dole stało lśniące błękitne lamborghini. Kierowca co chwilę wył silnikiem. Przez krótką chwilę pomyślałem sobie: „To się dopiero nazywa prezent”. Wkrótce jednak zorientowałem się, że właściwy prezent siedział za kierownicą w postaci niskiej, cudownej Latynoski w białych okularach pilotkach. Wyglądała na bogatszą i bardziej sławną ode mnie, bo tak właśnie było. Serce mimowolnie zabiło mi mocniej.

„Och, Baby, ty chytra cholero” – pomyślałem.

– Magdalene – zawołałem z dachu. – Jak miło, że wpadłaś.

Kiedy spotkałem ją po raz pierwszy, została dopiero co odkryta w jakimś małym miasteczku w Arkansas, Georgii czy Karolinie Południowej. Córka jakiegoś mechanika, która lubiła jeździć kradzionymi samochodami i śpiewać w centrach handlowych. Dopiero co skończyła szkołę średnią, wydała swoją pierwszą epkę i szukała rozgłosu.

Nagrała z nami *Spacebar*, po czym poszliśmy każde w swoją stronę. To znaczy ja dalej przysparzałem NARKOTICE sławy w kilku różnych krajach, aby na koniec stracić przytomność z twarzą w kałuży własnej śliny. Ona zaś nagrała album, który trafił do pierwszej piątki najlepiej sprzedających się w minionym dziesięcioleciu longplayów z muzyką taneczną, wyszła za aktora, rozwiodła się z nim, wyszła za kolejnego aktora, z nim też się rozwiodła, a potem ożeniła się z aktorką i z nią też się rozwiodła. Tymczasem straciła prawo jazdy za współorganizowanie nielegalnych wyścigów, później ponownie zdała egzamin i odzyskała uprawnienia. Grała również w jednym z filmów z serii *Clutch* – jedynym, który cokolwiek zarobił. Wciąż gdzieś mam plakat, który mi przysłała. Napisała na nim niebieskim metalicznym markerem:

„Zamknij się (i prowadź), Cole”.

Według mojej wiedzy miała największą kolekcję jasnoblękitnych samochodów wyścigowych w całej Ameryce Północnej. Była też najmilszą pijaczką, jaką w życiu spotkałem. Dawno temu, w bardzo niebezpiecznych czasach, byłem w niej zakochany na zabój. Byłem w zasadzie pewny, że Baby wiedziała o jednym i o drugim. Zastanawiałem się, co miała nadzieję osiągnąć tym odcinkiem.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Cole St. Clair! –
Magdalene ponownie zawyła silnikiem lambo. Powiał wiatr i rozwiął jej czarne włosy. Sposób, w jaki poruszały się poszczególne pasma, sugerował, że nad skonstruowaniem jej fryzury pracował cały zespół specjalistów. – Wsiadaj do samochodu, zanim mi się paliwo skończy!

Wychyliłem się, opierając się o barierkę, i podziwiałem błękit jej fury. Obok niej stała furgonetka T. Każda sekunda tej sceny była rejestrowana. Dodatkowo w błyszczącą bluzkę bez rękawów Magdalene był wpięty mały taktowny mikrofon.

– Dokąd jedziemy? – zawołałem.

– Baby mi powiedziała, że mamy nagrać jakąś piosenkę?

– Och, tak powiedziała?

– Nagrywam tylko u siebie. Mam nadzieję, że masz coś, w czym mój głos będzie dobrze brzmiał.

– Moja perkusistka nie zmieści się w twoim samochodzie.

– Może pojechać tym – odparła Magdalene.

Pogarda spłynęła z jej głosu i rozlała się w kałuże wokół opon saturna.

Wizja Leyli zmuszonej ponownie prowadzić saturna zadziałała na mnie niezmiernie motywująco. Odepchnąłem się od barierki. Kierując się w stronę schodów, wysłałem Isabel esemesa: „Wirtualny ja może mocno ożyć. Dzieje się odcinek”.

Isabel odpisała: „internet nigdy nie śpi”.

Napisałem: „mogłabyś wpaść”.

Isabel: „cholerne zajęcia do późna”.

Zasugerowałem: „powiedz im że są moje urodziny”.

Już na to nie odpowiedziała, ale też nie spodziewałem się odpowiedzi. Zadzwoiłem do Jeremy’ego.

– Wysyłam po ciebie wóz. Dzieje się odcinek.

– Jaki jest patent? – zapytał Jeremy.

– Nie mam bladego pojęcia.

Magdalene zawiozła mnie do swojego studia w Long Beach. Ciężko to było nazwać studiem. Właściwie nie wiedziałem, jak to określić. Był to magazyn w pobliżu lotniska, z betonową posadzką i olbrzymimi wrotami dla półciężarówek. Można w nim było zmieścić cały kwartał budynków z Venice. Połowę wypełniały jasnobłękitne samochody wyścigowe. Większości marek nie rozpoznawałem. Płaskie wozy z wielkimi silnikami i spojlerami przypominającymi narzędzia tortur. Beton między nimi był poznaczony sporymi łukami śladów opon. Były też smugi sugerujące sunięcie bokiem.

Druga połowa magazynu była studiem nagraniowym. Było to największe i najlepiej wyposażone studio, jakie kiedykolwiek widziałem, a byłem w wielu całkiem sporych i dobrze wyposażonych. Były tu oddzielne, wyizolowane salki dla wokalistów, perkusistów, był fortepian – prawdziwy hipsterski fortepian, cała wystawa syntezatorów, długi rząd gitar i basów, stojaki z wiolonczelami – wszystko gotowe do wykorzystania. Ściany pokryto wykładziną akustyczną, a z sufitów zwisało zatrzęsienie mikrofonów na prowadnicach. Przez chwilę

zdawało mi się, że wśród konsoli mikserskich wyczuwam jakby sugestię wilka, ale po chwili wrażenie minęło, może to byłem tylko ja. Na ścianie nade mną wisiały olbrzymie lśniące trójwymiarowe usta z kółkiem w jednej z warg. Były większe od dowolnego z zaparkowanych samochodów i czerwone jak krew pompowana przez moje serce.

Wszystko było przesadnie zbytkowne, nawet jak na przesadnie zbytkowne studio. Obróciłem się do Magdalene. Już piła coś z maciupieńkiego kieliszka.

Szybka porada: napoje podawane w maciupieńkich kieliszkach trzepią mocniej od tych w większym szkłe.

Uśmiechnęła się do mnie. Był to uśmiech, który widział już dziesięć tysięcy kamer. Dwie z tych dziesięciu tysięcy zostały już na niej wytresowane.

– Nalać ci czegoś? Pewnie mam coś, co cię zainteresuje.

– Nie piję – odmówiłem.

– Słuszny wybór. – Magdalene się roześmiała. Jej śmiech był nieco chrapliwy, taki jak mój po długiej serii koncertów. – Świat potrzebuje więcej księży.

Zastanowiłem się przez chwilę, czy Baby liczyła na naszą kłótnię. Zignorowałem ten docinek.

– No proszę, ale ty tu masz tych zabawek – powiedziałem.

Najbardziej zwariowane było to, że całe to miejsce było najwyraźniej betonową manifestacją jej wyobraźni. Sama była tak pełna przesady – ogromna fryzura, ogromne oczy, obcisła błyszcząca bluzka bez rękawów, skomplikowany piercing pępka, pasek szerszy od mojej dłoni, spodnie dzwony i do tego glany – że pasowała tu doskonale.

– Zaczekaj, aż zjawią się chłopcy – odparła. – Zagraj mi coś.

Wskazała gestem fortepian: koncertowy Steinway. Bo fortepiany kameralne są dla pozerów.

Gdy ktoś proponuje ci grę na prawdziwym koncertowym Steinwayu, zwłaszcza jeśli jest jasnoblękitny – tak jak ten – masz tylko jedno wyjście.

Usiadłem na stołku.

Nie zawsze byłem gwiazdą rocka. To nie o lekcje gry na syntezatorze prosiłem rodziców.

Zagrałem fragment jednej z kompozycji Bacha. Celowo grałem powoli, przesadnie podniosłe i miękko, jak jakiś upiorny klaun czy żart dotyczący Bacha. Fortepian był wspaniale nastrojony. Właściwie to grał sam.

– No weź, Cole – zamruczała Magdalene, opierając się o instrument. Wskazała oczami kamery. – Jesteśmy tu całkiem sami. Nie powiesz mi, że masz tremę.

Posłałem jej uśmiech – standard Cole’a St. Claira – i wydobyłem ze strun kolejny strzęp niechlujnego Bacha, szybko, ale z wprawą, po czym przeszedłem do akordów *Spacebar*.

Magdalene wyszczerzyła zęby w dzikim uśmiechu, momentalnie rozpoznając utwór. Oderwała kieliszek od ust i gdy dotarłem do refrenu, zaśpiewała:

– Dalej, dalej, dalej!

Przy każdym kolejnym „Dalej” wchodziła głosem wyżej. Ech, ależ ona miała potężny głos. Odkąd nagraliśmy ten kawałek, tylko się poprawiła. Wystukiwała rytm na brzegu fortepianu, a ja potykałem się i leciałem na łeb, na szyję przez refren *Spacebar*, starając się na bieżąco przekładać akordy syntezatorowe na fortepian. Ostatni raz grałem na czymś nieelektronicznym jakiś milion lat temu.

Ale i tak wyszło chwytnie.

Ktokolwiek napisał tę piosenkę, dobrze wiedział, co robi.

Moje odbicie w wypolerowanym otwartym wieku fortepianu uśmiechnęło się do mnie przebiegle.

Magdalene nie przestawała śpiewać.

I, ach – jak wspaniale było znów grać. Usłyszeć, jak ktoś inny bawi się twoją melodią, odrzucić z powrotem małą improwizację, wracać znowu i znowu do tych samych huczących czterech akordów, które przez dwa wspaniałe tygodnie cała Ameryka podśpiewywała w kółko, bez przerwy, aż do momentu, w którym melodia nie opuszczała ich nawet we śnie.

Wtedy sprzedaliśmy prawa do utworu na potrzeby reklamy samochodów i zajęliśmy się czym innym.

Magdalene wykrzyczała ostatnie nuty na najwyższym skraju skali swojego głosu, a ja w tej samej chwili uderzyłem w najniższe basy

Steinwaya. Gdy ucichła ostatnia brzęcząca nuta, Latynoska nalała sobie kolejnego drinka.

Zastanawiałem się, czy miała być katastrofą przy linii bocznej.

Rozległo się powolne klaskanie. Jeremy i Leyla w końcu dojechali, a razem z nimi „chłopcy” – dźwiękowcy Magdalene. Klaskał najstarszy z techników. Jego asystent nagrywał nas swoim telefonem.

– Mogę to wrzucić na sieć? – zapytał.

– Czemu nie? – odparła niemiłym, aroganckim głosem. – I tak napisał coś lepszego na później. – Odwróciła się twarzą do mnie. Wciąż byłem nieco rozbity od rzucania się na brzegi melodii. Położyła mi na policzku swoją drobną dłoń. – Och, Cole. Zdążyłam już zapomnieć, jak brzmi talent.

Mogłabym powiedzieć, że nigdy dotąd nie opuściłam żadnych zajęć z DAP i że robiłam wyjątek dla Cole'a, ale skłamałabym. Zawsze uważałam konieczność uczęszczania na lekcje za dyskusyjną. Liczyły się tylko stopnie. Odkąd rozpoczęłam naukę w szkole średniej, nieustannie niebezpiecznie balansowałam na tej cienkiej linii oddzielającej opanowanie całego materiału od wpadnięcia w tarapaty z powodu zbyt niskiej frekwencji.

Mimo to dotąd tylko raz zdarzyło mi się opuścić zajęcia z DAP – w dzień urodzin mojego nieżyjącego brata Jacka, chociaż wtedy niespecjalnie w ogóle o tym myślałam. Uznałam tylko, że siedzenie w obcym liceum przez jeszcze sześć godzin przyprawi mnie o gwałtowne mdłości.

Tym razem znowu wagarowałam z powodu urodzin, tylko że teraz były to urodziny Cole'a. Nie chciałam mu jednak sprawiać niespodzianki od razu, postanowiłam więc dać mu dość czasu na pracę nad albumem. Skończyłam z pięknym kawałkiem dnia, ale bez niczego, czym mogłabym go wypełnić. Zwykle takie długie okresy bezczynności wzbudzały we mnie niepokój i nienawiść do całej planety, ale dziś ciągnące się godziny miały na mnie wprost kojący wpływ. Stwierdziłam, że odbiorę Sofię z jej lekcji gry na erhu i zmuszę do kupienia sobie jakichś seksownych butów, a dopiero później pojedę do Long Beach i Cole'a.

Nie potrafiłam nazwać tego dziwnego czegoś, które czułam w środku. Czy to był dobry nastrój? Wyglądało na to, że mogło tak rzeczywiście być.

Kiedy jednak ruszyłam w dół schodów Domu Tragedii z kluczami do więzienia podzwaniającymi wesoło w rytm melodii ucieczki, zobaczyłam ojca stojącego w przedpokoju. Wyglądał schludnie i groźnie, jak nie do końca schowany nóż w szarym garniturze.

Zawahałam się. To był mój błąd. Mój rodziciel został wyhodowany i wytresowany, żeby dostrzegać słabość. Jego wzrok momentalnie na mnie spoczął.

Ojciec: „Isabel”.

Isabel: „Ojcze”.

Ojciec: „Nie mów do mnie tym tonem”.

Isabel: „Tak brzmi mój głos”.

Ojciec: „Dobrze wiesz, o czym mówię”.

Rozważyłam możliwość powrotu do pokoju i dania drapaką oknem. Fizycznie było to wykonalne. Ale z praktycznego punktu widzenia na pewno pobrudziłabym spódniczkę. Chciałam wyglądać doskonale dla Cole’a. Miałam nadzieję, że ta rozmowa nie potrwa zbyt długo.

Ojciec wpatrywał się we mnie z dołu. Miał rozbiegane oczy, jak zwykle przy okazji pracy nad ważną sprawą.

Ojciec: „Musimy z tobą pomówić”.

Isabel: „Właśnie wychodzę”.

Ojciec: „To nie jest opcjonalne”.

Isabel: „Polecam splądrowanie słownika w poszukiwaniu znaczenia słowa „opcjonalne” w czasie, gdy ja będę wychodziła”.

Ojciec: „Isabel... Proszę cię, po prostu... Proszę, po prostu zejdź do nas. To ważne”.

Do jego głosu zakradła się dziwna nuta. Zeszłam po schodach.

Poczułam wewnątrz siebie nieprzyjemne drżenie; tak jak wtedy, kiedy dowiedziałam się o Jacku.

Poszłam za nim do kuchni. Był dzień, wszystkie światła były więc wyłączone, a słońce było na tyle wysoko, że jego promienie nie docierały do okien. Pomieszczenie zdawało się z tego powodu chłodne i wrogie. Matka już tu była: stała ze skrzyżowanymi ramionami, oparta o blat kuchenny. Ubrała się w pogardę. Nie wyglądała w niej najlepiej, ale lepiej niż cała we łzach.

Mój dobry nastrój nagle stał się gatunkiem zagrożonym.

Zachodziłam w głowę, co mogło przywołać taki wyraz na ich twarzy.

Miałam pewne podejrzenie. Po prostu wolałam, aby to...

– Zdecydowaliśmy się wziąć rozwód – zakomunikowała matka.

No i proszę.

Po wszystkich sugestiach, prośbach i groźbach w końcu się

zdecydowali.

– To oczywiste – rzuciłam.

– Isabel – zganiała mnie matka.

Ojciec uniósł gwałtownie wzrok. Nie słyszał, co powiedziałam, bo był zajęty podrzynaniem na blacie wyspy gardła mojemu dobremu nastrojowi. Na szczęście granit został wybrany z powodu łatwości, z jaką wyciera się z niego krew, sok pomarańczowy i rozczarowania.

Zastanowiłam się, jak to zmieni moje życie. Nie byłam pewna, czy na pewno będzie gorzej. Albo lepiej. Albo w ogóle inaczej. Skupiłam się na tym, że w tej sytuacji, gdy pójdę do college'u, będę musiała odwiedzać dwa różne domy, jeśli zechcę zobaczyć oboje rodziców. Wpadło mi też do głowy, że gdyby Jack jakoś magicznie wrócił, nie poznałby własnej rodziny, bo się rozpadła. Pomyślałam również o tym, jak statystycznie bezcelowa jest miłość i jak mało zaskakujące było to wszystko, gdy spojrzeć na to szerzej.

– Płaczesz? – zapytała matka.

– Nie – odparłam. – Dlaczego miałabym płakać?

– Lauren powiedziała, że Sofia bardzo płakała, kiedy dowiedziała się o niej i Paolo.

Oboje z ojcem spojrzeliśmy na nią.

– Kiedy? – zapytałam, ale jak tylko skończyłam mówić, zrozumiałam, że było to bezsensowne pytanie.

Rozwód to nie ślub czy impreza urodzinowa. Nie ustalało się daty i nie kupowało kwiatów. Wspomniałam zdjęcia, które zdobiły całą ścianę na wprost drzwi wejściowych w naszym domu w Minnesocie. Ze ślubu, z wesela, z miesiąca miodowego. Mój materiał genetyczny był dość atrakcyjny i na każdym zdjęciu wyglądali na naprawdę czarującą parę. Chciałabym móc powiedzieć, że nawet na najwcześniejszych zdjęciach można było dostrzec ziarna niezgody, ale to byłoby kłamstwo. To były piękne, niepozowane fotografie dwójki pięknych młodych zakochanych w sobie ludzi. Kochali się, zanim wzięli ślub, w jego trakcie, a także po nim, kiedy urodzili im się mały Jack i mała Isabel.

Ale teraz już nie.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytał mnie ojciec.

– Przecież właśnie o tym rozmawiamy.

Matka posłała swojemu jeszcze mężowi spojrzenie sugerujące, że to powinno być dla niego oczywiste.

– Co z Bożym Narodzeniem? – To było głupie pytanie. Pytanie małego dziecka. Byłam zła na siebie, że je zadałam. – Nieważne. Już sobie na to odpowiedziałam.

– Och, kochanie – westchnęła matka – nie wiem. Do tego czasu zostało jeszcze wiele miesięcy.

Czy ja na pewno powiedziałam „Nieważne” na głos? Po krótkim zastanowieniu nabrałam pewności, że pamiętam wypowiedzianie tego słowa.

Rozważyłam, czy powinnam odzyskać zwłoki mojego dobrego humoru, aby zapewnić im należyty pochówek, czy też lepiej było zwyczajnie zostawić je w Domu Tragedii.

Matka nie miała na palcu obrączki ślubnej. Dopiero to zauważyłam. Ojciec też nie miał swojej. Miałam ochotę wybuchnąć śmiechem. Naprawdę paskudnym, lodowatym śmiechem. Zamiast tego tylko cicho parsknęłam. Moja twarz musiała *coś* zrobić.

– Czego byś od nas potrzebowała? – zapytała matka tonem, jakim kazała jej to zrobić jej terapeutka, doktor Marchewkonosa.

Skrupulatnie zaplanowany rozwód.

– Waszego materiału genetycznego – odparłam. Poczułam lekkie mrowienie na skórze. – Ale to już mam. Więc dzięki. Gratulacje z okazji nadchodzącego rozstania. No, z oficjalnego ogłoszenia go. Wychodzę.

– To jest nie do przyjęcia – zaoponował ojciec.

Miał rację, ale nie pozostało już w zasadzie nic innego, jak to po prostu przyjąć.

– Isabel... – zaczęła matka, ale mnie już tam nie było.

Tego dnia akustyczna wersja *Spacebar* trafiła do sieci, a my pracowaliśmy nad *Air Kisses*⁸, które postanowiłem spróbować nagrać tego dnia. Tekst musiałem przerabiać na bieżąco – z kobietą na wokal całąś brzmiała lepiej, ale niektóre fragmenty pisałem z myślą o sobie, a nie chciałem słyszeć Magdalene śpiewającej o Isabel, nawet jeśli tylko ja wiedziałem, co się kryje za słowami. Gdy dźwiękowcy poszli na lunch, zasiadłem ze słuchawkami na uszach przy korgu i zacząłem komponować nowy łącznik do wrzucenia w środek utworu. Nagrywałem, kasowałem i nagrywałem ponownie pulsujący syntezatorowy rytm mojego serca. Leyli kazałem nagrywać, kasować, nagrywać ponownie, jeszcze raz kasować i nagrywać zupełnie od nowa partię perkusyjną. I robiła to – bez narzekań i bez polotu. Przez pierwsze kilka godzin Jeremy obserwował nas w milczeniu, aż w końcu, w godzinie numer cztery, zagrał na basie riff, od którego zaniemówiliśmy. Potem Magdalene dumnie wkroczyła do swojej kabiny, pogładziła czule mikrofon i wykrzyzczała linię wokalną, od której oszaleliśmy.

Była bardzo pijana.

Dwa lata temu ja też bym był.

„Jaki jest patent, Baby?”

Później, kiedy dwóch chłopców Magdalene pracowało nad miksem refrenu, ona otworzyła jedne z olbrzymich wrót, abyśmy wszyscy nie zeszli wskutek zatrucia tlenkiem węgla, i zabraliśmy się do kręcenia kółek jej pięknymi samochodami – najpierw w magazynie, a potem na ogrodzonym metalową siatką parkingu.

W jakiś sposób, podczas gdy my pracowaliśmy, słońce najpierw wspięło się wysoko na niebo, a potem opadło nisko nad horyzont. Cały dzień wsiąkł w mikrofon. Kurz wzbijał się w powietrze wielkimi duszącymi chmurami, barwiony przez zachodzące słońce na pomarańczowo i fioletowo. Okoliczne magazyny i jasnoblękitne samochody sprawiały, że wszystko wyglądało pięknie, industrialnie i apokaliptycznie.

Może to był jedyny cel tego odcinka. Godny pozazdroszczenia wspaniały przepych, dobra muzyka i ładni ludzie.

Kiedy wsiadłem do samochodu numer cztery lub pięć – był to nissan GT-R albo coś innego podobnego, też płaskiego i opływowego jak usta – Magdalene wpakowała się na fotel pasażera.

– Pojedź do końca drogi i z powrotem. Przekonaj się, co potrafi! – krzyknęła, wskazując idealnie prostą drogę biegnącą przed jej magazynem. – Chłopaki, wrócimy za jakieś dwie minutki! – Obróciła się do mnie. – Gaz do dechy, mały.

Nie wiedziałem, w czym właściwie siedzę, ale nie był to saturn i to było cudowne.

Ruszyłem gwałtownie w stronę wyjazdu z parkingu. Zanim wypadliśmy z piskiem opon na długą, prostą drogę prowadzącą w stronę lotniska, Magdalene zerwała swój mikrofon i wyrzuciła go przez okno. W lusterku wstecznym obserwowałem, jak urządzenie upada na żwir i znika z oczu.

– Wandalizm – zauważyłem nieco nerwowo. – Baby nie będzie zadowolona.

Kiedy wskazówka prędkościomierza wychylała się coraz bardziej, a magazyn znikał w świeżej chmurze pyłu, Magdalene zwróciła się do mnie lekko bełkotliwym, seksownym głosem:

– Podoba ci się twoja klatka?

Silnik ryczał. Zerknąłem na lusterko i dostrzegłem kamerzystów, którzy wyszli na drogę i kręcili naszą krótką ucieczkę.

– Jaka klatka?

– Ta, po której cały czas krążysz, a cały świat cię obserwuje. Mam coś dla ciebie – dodała. – Kiedy tylko im znikniemy.

Zmieniłem bieg. Co ja, do diabła, wiedziałem o prowadzeniu samochodu? I co to w ogóle był za wóz? Jechaliśmy już jakieś osiem tysięcy kilometrów na godzinę, a byliśmy chyba dopiero na trzecim biegu. I bardzo szybko kończyła nam się droga.

– Jeśli mówisz o substancjach, moja droga, to ja jestem czysty.

Droga kończyła się wielkim parkingiem. Zanim zdołałem wcisnąć hamulec, Magdalene pochyliła się i zaciągnęła ręczny. W mgnieniu oka samochód się obrócił. Przez krótką chwilę wewnątrz panował stan

nieważkości. Życie i śmierć, jednocześnie zatrzymywanie się i ruszanie. Samochód sunął bokiem, zupełnie nie reagując na ruchy kierownicą. Na szczęście nie było niczego, w co moglibyśmy uderzyć.

Chaos bez konsekwencji.

Magdalene zwolniła hamulec ręczny. Samochód drgnął gwałtownie i zakończył obrót. Stanęliśmy przodem w stronę, z której przyjechaliśmy. Drobinki kurzu przetaczały się stadami koło nas.

– Jestem najwspanialsza – zauważyła Magdalene. – Cole, ty nigdy nie byłeś czysty.

– Nie biorę – powiedziałem, gdy przez przednią szybę znowu można było coś zobaczyć. – Doceniłabyś to.

– Jesteś uzależniony – stwierdziła. – Byłbyś uzależniony, gdyby nikt nie wymyślił żadnego narkotyku. Pamiętam, jak wyglądałeś, zanim zacząłeś brać. Nic się nie zmieniłeś.

Silnik samochodu był strasznie głośny nawet na luzie.

– Mówię poważnie.

– Wtedy też mówiłeś poważnie. Może i świat uważa, że kochałeś heroinę, ale ja wiem, od czego naprawdę jesteś uzależniony.

Spojrzałem na nią. Ona spojrzała na mnie. Chciałem, żeby wymieniła muzykę, ale nie to miała na myśli. Oboje wyszliśmy z tego samego punktu: para ambitnych nastolatków, które nie wiedziały, co ze sobą począć, kiedy ze świata nagle usunięto sufit.

– Widziałeś te duże czarno-białe małpy w zoo? – zapytała. – Siedzą cały dzień i drapią się po tyłkach, hu-hu-hu, dopóki nie pojawią się zwiedzający. Wtedy łapią zabawki porzucane po klatce i zaczynają nimi rzucać, wygłupiać się. Robią to dla beki. Robią to, bo ludzie na nie patrzą. Nie chodzi nawet o zabawki. Chodzi o widownię.

Chodziło jej o *patent*. Uśmiechnęła się, bystra i piękna – taka, jaką ją zobaczyłem, kiedy pojawiła się pierwszego dnia w studiu, w czasie, zanim wszystko poszło w diabły.

Magdalene otworzyła dłoń. Trzymała kilka tabletek ekstazy.

– Kto o tobie myśli? Ja.

Nienawidziłem się za to, jak bardzo chciałem wziąć od niej te tabletki. Serce mi waliło tak mocno, jakbym już to zrobił.

Jednak jeszcze większą odrazę budziło we mnie to, jak mocno

Magdalene wierzyła w tę starą wersję mnie. Była tak pewna, że już się stoczyłem. Nikt na całym świecie nie chciał, abym odkrył siebie na nowo. Ani jedna osoba.

– Baby ci to dała? – zapytałem.

Prychnęła lekceważąco. Za dźwiękiem podążył silnie nasycony alkoholem oddech. Była taka słodka i miła, kiedy się upijała.

– Och, Magdalene, Magdalene. Co ci powiedziała, kiedy cię poprosiła o wystąpienie w programie?

Magdalene uśmiechnęła się do mnie, kładąc mi wolną dłoń na twarzy. Ten uśmiech był szczery, inny niż ten wystudiowany uśmiech dla kamer, którym mnie obdarzyła wcześniej. Jej obłędnie piękne usta rozchyliły się lekko i odsłoniły wąską szparę między jedynekami. Nagle przypomniałem sobie słowa Jeremy'ego, że dla niego wszyscy wyglądali jak dzieci. Nagle zobaczyłem Magdalene jako małą dziewczynkę, jaką musiała być, zanim odkryto jej talent. To była najsmutniejsza rzecz, jaką byłem sobie w stanie wyobrazić. Nie mogłem pojąć, w jaki sposób Jeremy to znosił.

– Powiedziała mi, żebym była sobą.

Zamknąłem jej dłoń na tabletkach. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

„Jaki jest patent na dziś, Cole?”. Tylko ja miałem prawo mówić mi, jak mam być Cole'em St. Clairem.

– Taa – powiedziałem. – Tak... Mnie też.

Gdy furgonetka z kamerzystami zbliżyła się do nas, wrzuciłem bieg i popędziłem z piskiem opon z powrotem w stronę magazynu.

Nie byłam w nastroju na wybieranie seksownych butów. Nie byłam nawet w nastroju na gapienie się na sławnych ludzi i dochodzenie, co właściwie sprawiało, że wyglądają na sławnych. Byłam w nastroju na zajęcia laboratoryjne. Kiedy chodziłam w szkole na rozszerzone zajęcia z biologii, odkryłam, że nie ma lepszego sposobu na zajęcia bardziej aktywnych partii mojego mózgu niż krojenie, wyciąganie i przyglądanie się. Biologia była przynajmniej nieubłaganie logiczna. Nie można było zmienić zasad. Można było tylko działać w ich ramach.

Ale to nie była biologia. Znajdowałyśmy się w centrum Sunset Plaza, które w pewnym sensie stanowiło przeciwieństwo biologii. Przeczyło logice. Słynęło z odwiedzających je tłumów celebrytów, chociaż poza tym nie wyróżniało się niczym szczególnym. Wnętrze Erik's również specjalnie się nie prezentowało. Na wystrój wąskiego sklepu składały się cienka wydeptana wykładzina, przezroczysty plastik i matowe świetlówki, które w żadnym razie nie mogły zastąpić światła słonecznego odciętego przez żółtą markizę nad wejściem. W .blush. było dużo ładniej, przynajmniej moim zdaniem.

Ale paradoksalnie to właśnie podniszczone wnętrze sklepu wskazywało, że Erik's jest naprawdę czymś. Jeśli sklep potrafił przetrwać w tym mieście, nie zapierając tchu w piersiach samym swoim wyglądem, to musiał oferować coś naprawdę dobrego. W czasie gdy ten zwyczajny sklep wciąż trwał – sędziwy i sprytny – nowiutkie, cudownie sterylne witryny po obu jego stronach ciągle się zmieniały, kiedy kolejni ładni najemcy konali pożarci przez Los Angeles.

– Sofio – krzyknęłam, zabierając ją sprzed maski rozpędzonego cadillaca escalade. – Patrz przed siebie.

Sofia spojrzała przelotnie na mnie, ale większość jej uwagi pochłaniały pozostałe osoby podążające Sunset Strip.

– Widziałaś tamtą kobietę? – zapytała. – To chyba była Christina...
– Pewnie tak – weszłam jej w słowo. – Gwiazdy filmowe. To tutejsze widoki. Ale jeśli nie jesteś jedną z nich, nie polecam wchodzenia pod jadące samochody. Nie zatrzymają się.

Sofia dalej rozglądała się z wybałuszonymi oczami, nie puszczałam więc jej ramienia i poprowadziłam ją niczym pies przewodnik z parkingu na drugą stronę ulicy, gdzie widniał szyld Erik's. Dopiero gdy znalazłyśmy się w mrocznym wnętrzu sklepu, puściłam ją na żywioł. W czasie kiedy Sofia powoli sunęła wzdłuż stojaków z butami, wyciągnęłam wirtualnego Cole'a, żeby sprawdzić, jak świat reagował na akustyczną wersję *Spacebar*.

Cóż. Dobrze reagował.

Właściwie wszyscy szaleli, piszczeli, hejtowali, krzyczeli i klaskali z zachwytem. Nagranie udostępniały coraz to kolejne blogi muzyczne. Fragmenty były podkładane pod animowane gify przedstawiające dawnego Cole'a wyrzucającego różne rzeczy z okna hotelu. Na dole migał napis: COLE ST. CLAIR WRÓCIŁ.

Obie komory i oba przedsionki mojego serca opustoszały.

Zaktualizowałam wirtualnego Cole'a, odpowiadając i „odudostępniając”, co trzeba, ale myślami bez przerwy wracałam do Minnesoty. Do Cole'a czołgającego się korytarzem domu, którego nie mogłam zapomnieć. Był chłopakiem, potem wilkiem, a potem znowu chłopakiem. Błagał mnie, abym pomogła mu umrzeć. Umrzeć albo zostać już na stałe wilkiem.

W myślach ruszyłam w głąb korytarza, minęłam Cole'a i zanurzyłam się w kolejne wspomnienie związane z tym domem. Mój brat Jack konający w sypialni za ostatnimi drzwiami. Skulony na łóżku, rozpalony gorączką, zdecydowany zostać już na stałe człowiekiem – albo umrzeć, próbując. Wszystko śmierdziało wilkiem i śmiercią. Może między jednym a drugim nie było żadnej różnicy.

COLE ST. CLAIR WRÓCIŁ. Czy wilk też?

Spostrzegłam, że już jakiś czas podążam w ślad za Sofią ze spojrzeniem wbitym w telefon. Uniosłam wzrok na kuzynkę, która właśnie wpatrywała się w paskowe sandały, których nigdy by nie założyła. Przyglądała im się bardzo długo. Zrozumiałam, że ona tak naprawdę ich nie widzi.

– Sofio – zagadnęłam. – Czekasz, aż się do ciebie odezwą?

Potała policzek, spojrzała na mnie, zamrugowała ciemnymi rzęsami i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Jestem tylko rozkojarzona. Tata przyjeżdża nas odwiedzić!

Momentalnie pomyślałam o wcześniejszej rozmowie z rodzicami w kuchni. Nie pamiętałam jej zbyt dobrze. Najbardziej zapadła mi w pamięć nagła zmiana w głosie ojca, gdy mówił, że musimy porozmawiać. Nabrałam ochoty na pozrzucanie butów z półek. Osoby twierdzące, że rzucanie przedmiotami w złości nie pomaga, nigdy nie rzucały przedmiotami w złości.

– Ale będzie fajnie – rzuciłam.

Sofia już zaczęła kiwać głową, kiedy zrozumiała, że to była z mojej strony ironia.

– Mama powiedziała, że może z nami pójdzie – oznajmiła żarliwie. Jej twarz promieniała.

Nie mogłam znieść bijącej od niej nadziei.

– Och, przestań! Sofio, oni nie wrócą do siebie!

Wyglądała, jakbym ją uderzyła. Policzki jej poczerwieniały, jak gdyby naprawdę tak się stało.

– Wcale nie powiedziałam, że tak będzie! – zaprotestowała.

– Twoja twarz to powiedziała. Nie tak działa prawdziwy świat. Jak się można było spodziewać, jej oczy zaśniły groźbą łez.

– Nie o to chodzi. My tylko spędzimy razem dzień.

– Czyżby? I w ogóle nie kołacze ci się w głowie myśl, że może z powrotem się zejdą?

Sofia energicznie pokręciła głową. Otarła oczy wierzchem dłoni. Dalej wyglądały dobrze, ale na ręce miała teraz kreskę czarnej maskary.

– Ja tylko chcę znowu spędzić z nim trochę czasu – upierała się. – Nie chodzi o nic innego.

– Cóż, super. Jestem pewna, że wcale nie będzie niezręcznie.

Wbiła wzrok we własne stopy. Nigdy się nie broniła.

Doprowadzało mnie to do szału. Gdyby jakkolwiek się odcięła, nie czułabym się tak podle. Ale ona tylko wygładziła ręką spódniczkę, przygładziła włosy, a na koniec objęła jedną dłoń drugą, tak jakby ją pocieszała i tuliła do snu.

– Nie jestem w dobrym nastroju – oznajmiłam.

– To nie szkodzi – powiedziała do swoich butów.

– A właśnie że szkodzi. Każ mi się zamknąć.

Łza skapnęła na jedną ze stóp.

– Nie chcę. I tak zawsze mówisz prawdę.

Zapomniała wspomnieć o drugiej stronie tej monety: że czasem prawda nie była najlepszą rzeczą do wrzucenia w rozmowę. Teraz, kilka minut po rozpoczęciu tej wymiany zdań, wiedziałam, że właściwą reakcją na stwierdzenie: „Tata przyjeżdża nas odwiedzić!”, było: „Bomba! Dokąd się wybieracie?”. Ale ten statek już spadł poza krawędź świata.

– Jasne – rzuciłam. – Tak. Masz zamiar kupić jakieś buty?

– Nie potrzebuję butów.

Ugryzłam się w język, żeby nie zapytać jej, dlaczego w takim razie tu ze mną przyszła. Zrobiła to, bo ją o to poprosiłam.

– Chodźmy, zanim zrobią się korki – zaproponowałam. – Muszę się jeszcze dostać na Long Beach.

Miałam problemy z przypomnieniem sobie swojego nastroju z poranka. Na jeszcze większe problemy natrafiłam, gdy usiłowałam sobie wyobrazić jakąkolwiek urodzinową niespodziankę, która zdołała mi wynagrodzić ponurą minę Sofii. Tę, którą sama wywołałam.

Otwierając drzwi frontowe, nieomal wpadłam na Christinę. Gdy już mnie sklęła i dodała „Patrz, gdzie leziesz”, zorientowałam się, że to jednak nie była Christina, tylko jedna z dziesiątków wymiennych sławnych młodych kobiet bywających w tym sklepie. Kobiet wyglądających cudownie i szczupło na ekranie, a na żywo składających się z wystających łokci, dużych stóp i olbrzymich ciemnych okularów.

– Bo się przejmę – odparowałam i wyszłam na niemiłosiernie słoneczny chodnik.

Podążająca za mną Sofia nie potrafiła spojrzeć fałszywej Christinie w oczy. Przyciskała dłoń do talii. Widziałam po niej, że czuje się gruba, ponieważ miała dwa procent tłuszczu, podczas gdy fałszywa Christina była całkowicie odtłuszczona. Wyraźnie się też smuciła tym, że jej kuzynka była wredną suką. Ale mimo wszystko wciąż była lekko podekscytowana na myśl o wizycie ojca.

Nienawidziłam tego miasta.

Siedziałem w kabinie nagraniowej ze słuchawkami na uszach i z nogami opartymi na stojaku ustawionym przed obrotowym krzesłem i słuchałem efektów naszej pracy. W ostatniej chwili dodałem swój wokal do refrenu.

Brzmiało to dobrze. Cały kawałek brzmiał dobrze. I to nie tak zwyczajnie dobrze, ale *dobrze*.

Chociaż wszystko zajęło nam długie godziny i powinienem być wykończony, czułem się, jakbym dopiero co wstał z łóżka. Serce waliło mi w opętańczym tempie. Mózg działał na najwyższych obrotach. Tak samo było z resztą ciała.

Czasem po skończeniu prac nad nowym utworem przychodziła taka chwila, kiedy miałem pewność, że piosenka podbije cały świat. Czy to była kwestia subiektywizmu? Wiedzieć, że właśnie nagrało się coś, co będzie brzmiało dobrze puszczane z głośników zawieszonych nad torem wrotkowym? A może to był jakiś teleskopowy szósty zmysł, który przemieszczał się tylko wzdłuż kabli głośnikowych?

Wyjąłem telefon i zadzwoniłem do Sama. Nie odebrał, nagrałem więc wiadomość na pocztce głosowej – samą piosenkę. Zadzwoniłem do Grace i zrobiłem to samo.

Nie czułem się ani trochę bardziej kompletny niż wcześniej. Zadzwoniłem do Isabel, chociaż wiedziałem, że była na zajęciach. Nie spodziewałem się, że odbierze, ale odebrała.

– Właśnie zrobiłem coś wspaniałego – oznajmiłem jej. Pragnąłem jej tam ze mną, w ten surowy, nagły, nieskończony sposób, taki jak piosenka w mojej głowie. – Przyjedź i pław się w mojej chwale.

– Jestem na zajęciach – odpowiedziała cicho. – Streść mi to.

Zdjąłem zupełnie słuchawki, ale nie wyłączyłem odtwarzania. Pulsujące rytmicznie basy wprawiały moje udo w drgania. Czułem się, jakby nastąpił właśnie koniec świata. Albo jakbym był świadkiem jego stworzenia. Coś wybuchało. Potrzebowałem aniołów przy moim boku. Nie było dobrze, jeśli człowiek zostawał w takim stanie sam ze sobą.

– Właśnie to zrobiłem.

– Użyj swoich słów.

Moje słowa brzmiały: „pragnę cię teraz muszę cię pocałować chcę mieć cię tutaj chcę po prostu cię mieć”, ale spróbowałem to przetłumaczyć.

– Nagrałem właśnie pierwszy prawdziwy utwór od swojej śmierci i to będzie przebój we wszystkich dyskotekach w kraju, a nie jest to nawet najlepsza piosenka, jaką kiedykolwiek napisałem, do tego ktoś mi płaci za pójście do studia i nagranie pozostałych, a ja nie mogę się doczekać, po prostu nie mogę się doczekać, chcę to zrobić dzisiaj i chcę, żebyś tu była, ponieważ głupio byłoby robić to samemu.

Nie wiedziałem, ile z tych słów wymówiłem na głos albo czy w ogóle użyłem właśnie tych. Moje myśli potykały się o siebie z powodu nagłego skoku adrenaliny, natłoku uczuć i muzyki, muzyki, muzyki! A usta nie nadążały za nimi.

– Jesteś na haju? – zapytała podejrzliwie Isabel.

Roześmiałem się. Byłem na haju, ale nie tak, jak podejrzewała.

– Udało mi się. Isabel, nagrałem coś naprawdę wielkiego!

– Super. Ja już... Cholera. Muszę kończyć. Tylko pamiętaj – urwała. Wydawało mi się, że słyszę trąbienie, ale to były pewnie tylko jakieś odgłosy z sali lekcyjnej. Próbowałem się przekonać, jakie miałem szczęście, że w ogóle odebrała. – Kiedy pacjent jest odmiennego wyznania niż ty, nie jest to dobra okazja, aby zająć się nawracaniem go, nawet jeśli jest na łożu śmierci.

– Czy teraz jestem DAP?

– Tak – odparła Isabel i się rozłączyła.

Ze słuchawek wciąż leżących na moich nogach dobiegły pierwsze takty odtwarzanego od nowa utworu. Czulem się, jakbym nacisnął pedał gazu, ale nie miał dokąd jechać. W górę, w górę, w górę.

Magdalene otworzyła gwałtownie drzwi. Wyszczrzyła zęby w dzikim uśmiechu.

– Teraz świętujemy.

Droga do Cole'a ciągnęła się w nieskończoność. Najpierw był wypadek, potem trafiłam na jakąś paradę czy demonstrację, następnie utknęłam w korku, aby na koniec natknąć się na kolejny wypadek. Sznur samochodów toczył się autostradą w żółwym tempie. Z trzech kwadransów zrobiło się półtorej godziny, które później jeszcze urosło do dwóch godzin. Niebo kolejno poróżwiało, poczerwieniało i pociemniało.

Mój humor zmienił się ze złego w gorszy, a potem w najgorszy.

Wmawiałam sobie, że wszystko to będzie warte zdziwienia na jego twarzy, kiedy pojawię się w studiu. Zakładając, że jeszcze w nim będzie, kiedy tam w końcu dotrę.

Zgłosiłam radio najbardziej, jak mogłam wytrzymać, starając się powodzią dźwięków zatopić powtarzającą się w nieskończoność scenę z rodzicami w kuchni. Wszystkie słowa odpłynęły, pozostawiając samą gestykulację. Przypominało to serial telewizyjny z wyłączonym dźwiękiem. Tytuł odcinka: *Culpeperowie się rozwodzą*.

Nie wiedziałam, dlaczego mnie to obchodziło. Przecież ojciec nawet już z nami nie mieszkał. Lada dzień miałam pójść do college'u. Rodzice się wzajemnie nienawidzili, rozwód zaś był tym, co nienawidzący się dorośli robili. To nie zmieniało nic poza formalnym potwierdzeniem faktów.

Niemniej jednak nie potrafiłam się przekonać, żeby mnie to nie obchodziło.

Skoncentrowałam się na dojechaniu do studia Magdalene. Nie było trudno znaleźć adres w internecie, ale nie byłam pewna, czego mam się spodziewać. Na zdjęciach wyglądało na stary magazyn. Stary magazyn na odludziu.

Kiedy w końcu dojechałam, wyglądał na dyskotekę.

Parking był zastawiony samochodami. Całe dziesiątki poustawiane jeden obok drugiego, część bokiem, tak że zastawiały innych. Między samochodami kłębiło się mrowie śmiejących się i pijących ludzi.

Impreza.

Nie powinno mnie to dziwić, ale jednak dziwiło.

Niespecjalnie byłam w nastroju na imprezę.

Przez krótką samolubną chwilę rozważałam zawrócenie i pojechanie do domu. Cole nie byłby rozczarowany, bo nie wiedział, że chciałam przyjechać.

Wtedy jednak pomyślałam o tym, co mnie czekało w domu.

Powinnam była pójść na zajęcia.

Zamknęłam na chwilę oczy, po czym je otworzyłam i sprawdziłam w lusterku wstecznym makijaż. Spróbowałam sobie wyobrazić to, co znajdę po drugiej stronie masywnych wrót. Wielką imprezę pełną dobrze bawiących się ludzi i Cole'a użalającego się nad sobą w kabinie nagraniowej, smutnego i samotnego w środku tłumu. Zawsze lubił postrzegać siebie jako samotnego, niezależnie od tego, jak bardzo przeczyły temu okoliczności.

Naprzód pchała mnie tylko myśl o tym, jak bardzo się ucieszy na mój widok. Wsiadłam z samochodu.

Wnętrze wielkiego magazynu kipiało. Z zawieszonych pod sufitem głośników huczała muzyka. Podłoga była lepka od rozlanego alkoholu. Tańczył na niej z milion ludzi. Było tam mnóstwo dziewczyn. Powietrze jechało piwem. A nad tym wszystkim wisiały olbrzymie czerwone usta.

Wtedy go dostrzegłam.

Cole St. Clair siedział na sofie niesionej przez czterech facetów, a obok niego siedziała dziewczyna – sławna, piękna, ze zmysłowo złocistym ramieniem zarzuconym na jego szyję. Kamery gapiły się na nich z uwielbieniem.

Pierwsze poczuły to moje trzewia. Nie mogłam się poruszyć.

Starłam się spojrzeć na sytuację uczciwie. Wmawiałam sobie, że to nie jest tak, że obściskuje się z kimś innym. Że przez telefon tylko mówił tak, jakby był na haju, że nie mogłam mieć co do tego pewności. Że tylko mi się wydawało, że wcześniej wyczułam od niego wilka. Przecież odkąd tu przyjechał, nie widziałam, żeby choć raz się zmienił.

Wmawiałam sobie, że on naprawdę może być czysty, że mnie nie zdradzał i że nie był Cole'em St. Clairem z NARKOTIKI.

Ale nie mogłam oderwać oczu od niego siedzącego na tej kanapie z tą niesamowicie piękną dziewczyną. Bo właśnie cholernie mi

przypominał Cole'a St. Claira z NARKOTIKI.

Poczucie upokorzenia i gniew zagotowały się we mnie.

Nie wiedział, że tu jestem.

Wyjdę stąd.

Wyjdę stąd.

Wyjdę stąd. Gdy tylko zdołam odwrócić wzrok.

Cole spostrzegł mnie w chwili, kiedy zdołałam oderwać stopy od podłogi i obrócić się, szukając w torebce po omacku kluczyków do samochodu. Zdażyłam zauważyć, że mnie zobaczył, i wtedy rozumiałam, że zwlekałam zbyt długo. Bo teraz wszystko się...

– Isabel! Hej! *Hej!*

Szłam dalej. Wrota magazynu zdawały się oddalone o kilometry. Widziałam je, ale wcale się do nich nie zbliżałam. Nie obróciłam się. Szłam dalej. Ludzie schodzili mi z drogi.

– Isabel!

Na zewnątrz, w mroku nocy, zassałam kilkakrotnie puste powietrze, starając się wypełnić wydrążoną jamę we mnie.

– Hej!

Cole złapał moją rękę i zatrzymał mnie. Z bliska dobrze wyczuwałam alkohol i marychę. I wilka. Wilka, wilka, *wilka*. Cały nim cuchnął.

Nigdy nie wyszłam z tego domu w Minnesocie.

Odwróciłam się.

– Puść. Mnie.

Na skąpanym w mroku parkingu jego oczy były jasne i lśniące, ale nie sposób było nie zauważyć, że były też mocno podkrążone. Był zmęczony, ale rozbudzony. Na haju i w apatii. Wzlatywał i się wypalał. Zmieniał ludzi w przedmioty i odrzucał je.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał.

– To pytanie nie jest w najmniejszym stopniu odpowiednie do tej sytuacji – odparłam.

Odnosiłam wrażenie, że muszę przekrzyczeć muzykę, ale tak naprawdę tylko czułam jej wibrację przez stopy.

– W jakiej sytuacji? Masz zamiar mnie oświecić?

Dźgnęłam powietrze między nami wyprostowanym palcem.

– Ty! Sytuacja to ty!

Cole zwęził oczy.

– Czyli sytuacja jest *odlotowa*?

Przemysłowy reflektor z siatką ochronną zamontowany na zewnętrznej ścianie magazynu drgał i trzął się w rytm muzyki. Za każdym razem, kiedy wspomniałam jego z tą dziewczyną na kanapie, za każdym razem, kiedy robiłam wdech i czułam smród piwa, coś we mnie zachowywało się tak samo. Nie wiedziałam, skąd wzięłam przekonanie, że temu podołam.

– Wiesz co? Po prostu... Ja nawet nie...

Wyrwałam ramię z jego uścisku i ruszyłam w stronę samochodu. Zaparkowałam na skraju parkingu. Kiedy tu przyjechałam, odległość nie wydawała się taka duża jak teraz.

– Aha, to teraz przestępstwem jest istnieć – stwierdził Cole. – To wiele wyjaśnia.

Oburzenie przebrało miarkę.

– Zadzwoń, jak wytrzeźwiejesz – krzyknęłam. – Albo wiesz co? Nie dzwoń.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Na tyle długa, że zdążyłam wyłączyć alarm i otworzyć drzwi.

– Kiedy wytrzeźwieję? – odezwał się w końcu. – Ale ja *jestem* trzeźwy.

To stwierdzenie było tak niedorzeczne, że odwróciłam się do niego.

– Daj spokój, Cole. Nie obrażaj mnie. Nie jestem idiotką.

Jego twarz przybrała wyraz kogoś niesłusznie prześladowanego. Rozłożył szeroko ręce.

– Nic nie piłem.

– Czuć od ciebie alkohol!

Nie dało się dorastać w moim domu i nie znać smrodu piwa, wina i innych mocniejszych trunków. Nie wiedzieć, jaka przesada wkrada się do zachowania pijaków, jaką karykaturą siebie samych się stają: cisi, jeśli byli małomówni, gwałtowni, jeśli byli nerwowi.

– W środku podają piwo – wyjaśnił Cole. – Na kanapie było piwo. We mnie piwa nie ma.

– Jasne. A ta dziewczyna?
– Jaka znowu dziewczyna?
– Ta, którą miałeś na sobie? Teraz sobie przypominasz?
– Magdalene – rzucił lekceważąco. – Łatwo się upija. To nic takiego.

Nic takiego! Może dla niego. Może dla niego nie liczyło się, jeśli dziewczyna nie była naga. Ale dla mnie, która nigdy nie była niczyją *dziewczyną*... Miałam tego dość. Przyjechałam tu, żeby zrobić mu tę głupią niespodziankę urodzinową, byłam zmęczona, żałowałam, że tu przyjechałam i to wszystko widziałam... Lepiej by się stało, gdyby nigdy się nie zjawił w .blush. Nie miałam już na to wszystko siły. Chciałam wrócić do dawnej siebie, której nic nie obchodziło. Tęskniłam do tamtej Isabel. Wszystko mnie bolało.

– A wilk?

Nie odpowiedział od razu. Na krótką chwilę jego oczy zdradziły odpowiedź, przyznanie się do winy. Boże, to było ponad moje siły. Widziałam to od początku, a dotąd tylko udawałam przed samą sobą.

– Jesteś więc z powrotem po prostu Cole'em, co? Cole St. Clair wrócił!

– Co? Ej, nie, to nie tak.

– Zdecydowanie tak to właśnie wygląda.

– Wyglądać na coś i być czymś to dwie różne rzeczy.

W przeciwnym razie nie mielibyśmy na to dwóch oddzielnych słów. Precyzja, Culpeper. Sądziłem, że ją lubisz. Gdybyś tu była, zamiast ciągle powtarzać, że nie weźmiesz udziału w programie o Cole'u St. Clairze, widziałabyś, co się tu dziś naprawdę wydarzyło. Nie byłabyś tylko częścią widowni, nie kupiłabyś tego, co ci chcą sprzedać.

– Nawet nie próbuj wywołać u mnie poczucia winy z powodu niebycia pionkiem w twoim życiu.

– Jeśli dręczy cię poczucie winy, to dlatego, że ty je w sobie wywołałaś, nie ja. Nigdy cię nie prosiłem, żebyś dołączyła do programu.

– Nie prosileś! Nie musiałeś. To jest jak ogromna chmura podążająca wszędzie za mną!

– Czyli co, teraz jesteś na mnie zła z powodu rzeczy, których nigdy nie powiedziałem? Za samą *myśl*, że chciałbym spędzać z tobą więcej

czasu?

Oczy mnie piekły, tak jakby cisnęły się do nich łzy, chociaż nie czułam nic, co zazwyczaj towarzyszy łzom.

– Tak! Ciągłe chcesz ode mnie więcej. Mają mi nie przeszkadzać nagie dziewczyny w twoim mieszkaniu. Mam być tobą w internecie. Mam być zadowolona z tego, że śmierdzisz jak cholerny wilk. Więcej, Isabel, więcej! Cóż, nie mam już nic więcej! Daję ci wszystko, co mogę ci dać, bez ryzykowania całkowitego... A ty odstawiasz coś takiego?

Cole zaśmiał się w bardzo mało zabawny sposób.

– Coś takiego? *Coś takiego?* Ja nawet nie wiem, czym to „coś takiego” miałoby być. Oddychanie! Życie! Bycie mną! Ależ cudowny stał się ten dzień! – Wykonał ten swój drobny gest sceniczny oznaczający, że za chwilę zaprezentuje coś nowego. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Cole! Wszystkiego najlepszego.

– Jestem tutaj, prawda?

– I mówisz mi, że nawaliłem!

Tego było już zbyt wiele.

– Bo nawaliłeś!

Staął tuż koło mnie. Był wyraźnie rozzłoszczony, ale miałam to gdzieś. Wilk, wilk, wilk.

– Jestem. Trzeźwy.

Czy on myślał, że nic nie czuję?

– Daruj sobie.

– Daruj sobie? – powtórzył jak echo. – A może byś mi tak uwierzyła na słowo?

– Niby dlaczego miałabym to zrobić?

– Może dlatego, że mi ufasz?

– Ufać tobie? Czy ktokolwiek podjąłby aż takie ryzyko?

Mogłabym się zdobyć na wiele szalonych rzeczy, ale możesz być pewny, Cole, że to nigdy nie będzie jedną z nich.

Odszedł, tak po prostu. Wciąż był obecny ciałem, ale jego oczy były puste. Cole St. Clair opuścił budynek. Bardzo przydatna sztuczka na imprezy i najbardziej podstępne uprzedmiotowienie ze wszystkich możliwych: wziął osobę, która była nim, i ją wyrzucił. Normalnie pewnie opadłoby mnie poczucie winy, ale widziałam, co widziałam. Nic

z tego nie wymyśliłam. Czułam zapach wilka, zapach piwa, pamiętałam rękę tej dziewczyny owiniętą zaborczo wokół jego szyi.

Nie będę czuła się źle.

Nie czułam się źle.

– Nie dzwoń do mnie – powiedziałam. – Przestań mi to robić. Nie jestem twoją... Przestań mi to robić.

Wsiadłam do samochodu.

Nie obejrzałam się, aby sprawdzić, czy nadal stoi na parkingu.

Byłem trzeźwy. Powiedziałem prawdę, ale ona nie miała znaczenia. Koniec końców Isabel uwierzyła w tę samą historię co wszyscy inni.

Czy to miało znaczenie, że człowiek się zmienił, jeśli nikt w tę zmianę nie wierzył?

Gdy Isabel odjechała, ruszyłem w drogę powrotną przez imprezę. Byłem otumaniony. Wiedziałem, że coś powiedziałem Jeremy'emu. Wiedziałem, że uśmiechnąłem się, kiedy jakiś koleś opowiedział mi dowcip. Wiedziałem, że podpisałem czyjś kapelusz. Po prostu nie pamiętałem szczegółów niczego, co robiłem. Wszystkie utonęły w szumie wypełniającym mi uszy.

Przedzierałem się przez tłum, aż w końcu znalazłem Magdalene obściskującą się i całującą z jednym ze swoich „chłopców” na kanapie pod wielkimi ustami.

– Żegnaj, maskotko – zwróciłem się do niej i posłałem uśmiech będący trupem reanimowanym dla niej na krótką chwilę. – Ja się zmywam.

Magdalene odepchnęła chłopaka.

– Jest jeszcze wcześniej! Chyba jest jeszcze wcześniej? Nie idź.

– Muszę. No chodź tutaj, uściskaj mnie jak siostra brata.

Z trudem wstała, mocno się chwiejąc.

– To strasznie nudne, że jesteś trzeźwy! Zostań.

Zarzuciła mi ramiona na szyję w sposób, na jaki bym nie pozwolił swojej siostrze, gdybym tylko ją miał. Odsunąłem jej palce ze swoich ust. Musiałem stąd wyjść, zanim poczuję/zrobię coś głupiego. Musiałem się stąd zabrać, zadzwonić do Isabel, przestać się złościć i nie myśleć o tych licznych znanych mi sposobach na odciążenie własnej uwagi od tego uczucia...

– Ale zaczekaj, zaczekaj – zaproponowała Magdalene. – Przecież dziś są twoje urodziny.

– Pamiętam o tym.

– Musisz zostać, żeby zobaczyć swój prezent.

Spojrzałem nad jej głową. T stał z kamerą, nie mogąc ukryć uśmiechu zadowolenia. Joan zresztą tak samo. Zorientowałem się, że ktoś przyciszył muzykę. Rozmawiający przyciszonymi, podekscytowanymi głosami imprezowicze utworzyli nierówny szpaler prowadzący do jednych z wrót magazynu. Stalowe drzwi zostały całkowicie otwarte. Za nimi widziałem nocne niebo i tysiąc rozgoryczonych gwiazd.

Jeremy stał przy wrotach. On jeden nie szczyrzył zębów w uśmiechu, tylko przyglądał się wszystkiemu czujnie.

– Spodoba mi się? – zapytałem.

Magdalene poprowadziła mnie szpalerem w stronę wrot. T szedł przed nami tyłem, żeby jego kamera cały czas widziała moją twarz. Joan podążała za nami.

Wyszliśmy na zewnątrz i stanęliśmy na ciemnym parkingu. Trzy potężne reflektory oświetliły mój prezent.

To był mój mustang. Czarny, lśniący, fantazyjnie pomalowany i nowiutki – no, już nie taki nowiutki. Był zupełnie nowy, kiedy go kupiłem w nagrodę dla samego siebie za pierwszą platynę, zanim się dowiedziałem, że na trasę koncertową nie można zabrać ani mustanga, ani swojej duszy. Nie był więc już nowy, ale wciąż był nieskalany. Wiedziałem, że to jest naprawdę mój mustang ściągnięty z Phoenix, a nie podobny wzięty z wypożyczalni, ponieważ na lusterku wstecznym wisiał medalik św. Krzysztofa, tak jak go tam zostawiłem.

W tym silnym świetle samochód wyglądał na nadtopiony. Czarne niebo odbijało się w czarnym lakierze, sprawiając wrażenie, jakby nie było w tym miejscu nic oprócz próżni.

Drzwi się otworzyły.

Moja matka wysiadła od strony pasażera.

Mój ojciec wysiadł od strony kierowcy.

T obszedł mnie, aby dobrze zarejestrować wyraz mojej twarzy.

Odbijał się w niej samochód, który odbijał nocne niebo, który był wycinkiem wszechświata, który zawierał w sobie nieskończoną nicość.

Z moim ojcem nie było nic nie tak poza tym, że jego twarz przypominała moją. Z moją matką też nie było nic nie tak poza tym, że miała na sobie dopasowany dwuczęściowy kostium. Nie było też nic nie

tak z faktem, że oboje na mnie patrzyli, poza tym, że czułem się, jakby przedmieścia przeprowadziły się do mojego serca.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – wykrzyczał zebrany za mną tłum.

Jeremy stał obok samochodu z opuszczonymi ramionami, nie spuszczać ze mnie wzroku. On jeden wiedział, że to nie był prezent.

Spojrzałem na swoich rodziców. Oni spojrzeli na mnie. Patrzyli na mnie bardzo intensywnie.

Pozwoliłem im myśleć, że nie żyję.

Nie zadzwoniłem do nich, kiedy świat odkrył, że tak się jednak nie stało.

Nic a nic się nie zmienili, może poza tym, że wyglądali na bardziej przykurzonych i starszych. Ojciec zawsze wyglądał na chorowitego, teraz sprawiał wrażenie, jakby miał raka. Rozpoznałem kurtkę, którą miał na sobie. Poznawałem też buty na nogach matki. Nie było z nimi nic nie tak poza niezmienną stałością ich żyć, poza tym zaklętym kręgiem spożywcza-biuro-sobota-pranie pościeli-niedziela-nabożeństwo-wtorek-ratatuja-wieczór-czwartek-kościół-spotkanie-splukać-czynności powtórzyć.

Nie było z nimi nic nie tak poza tym, że trzy lata temu uznałem, że prędzej umrę, niż stanę się taki jak oni.

Byli naprawdę sympatycznymi ludźmi.

Przejechali dla mnie cały kraj.

Nie mogłem się poruszyć, obawiając się, że mój najdrobniejszy ruch może wywołać emocjonalną reakcję z ich strony i wzajemne obściskiwanie.

– Teraz dopiero będzie show! – oznajmiła wszem wobec głośno i radośnie Magdalene.

Oznaczało to, że stałem już zbyt długo, mój wyraz twarzy zdradzał zbyt wiele i cholera wie, jak długo nie miałem na sobie na użytek kamer maski Cole’a St. Claira.

Nie miałem jednak pojęcia, co on by w tej sytuacji zrobił. Jak Cole St. Clair by się zachował po niespodziewanym spotkaniu tych dwojga ludzi. Stworzyłem go między innymi dlatego, że nie potrafił z nimi koegzystować. Był całkowitym przeciwieństwem – wszystkim, czym oni

nie byli. Był alternatywą dla wpakowania sobie kulki w skroń.

Ta przemiana nie była okrutna, dopóki trzymałem się z dala od domu.

A teraz to.

Nie musiałem się martwić o łzawe powitanie. Oboje z lekką bojaźnią zerkali na kamery.

To, w końcu to przypomniało mi, co trzeba zrobić. W końcu to wciąż był program Baby. Jeśli chcieli ujrzeć prawdziwego mnie, zadzwoniliby z uprzedzeniem.

Wyrwałem do przodu i ująłem matkę za łokieć. Drobną jak u ptaka kość okrytą rękawem rozpinanego swetra.

– Witaj w telewizji! Nie wstydź się! Zróbmy to, co zazwyczaj robią matka z synem, dobrze?

Uścisnąłem ją na pokaz, niedbale, w stylu Cole'a St. Claira, po czym tanecznym ruchem wyswobodziłem się z jej ramion i podszedłem do ojca. Wpatrywał się we mnie, gdy okrążałem samochód niczym atakujący niedźwiedź. Jego jednak nie obejmowałem. Poprzestałem na uścisku dłoni. Potrząsałem jego prawicą, jak to zwykli robić mężczyźni, a on tylko patrzył na mnie z rozdziawionymi ustami. Dołożyłem drugą dłoń, aby zmienić uścisk w przyjacielski, kończąc cały pokaz przybiciem piątki i stuknięciem się pięściami.

– Co za wspaniałe spotkanie – oznajmiłem im obojgu i imprezowiczom, którzy wciąż przyglądali się tej scenie. Odrzuciłem bezwładną dłoń ojca. – Co za zdumiewające wyczucie czasu. Dopiero co nagrałem tu prawdziwe arcydzieło. Chyba się oboje zgodzicie, że kiedy się tego posłucha tak głośno, że aż uszy zaczynają krwawić, człowiek nie ma innego wyboru, jak zacząć poruszać biodrami.

Zatańczyłem krótko na pokaz. Przypadkiem napotkałem spojrzenie Jeremy'ego, ale szybko odwróciłem wzrok – nie mogłem znieść wyrazu jego oczu.

– Nie spodziewałam się tego – stwierdziła moja matka i ni to się zaśmiała, ni to zakaszła.

Ojciec dotknął swojego jabłka Adama. Dr hab. St. Clair – dwa razy więcej interpunkcji i pięć razy lepsze wykształcenie niż w przypadku jego pierworodnego. Profesorska wersja mnie.

– Sądziłem, że zjemy kolację w jakimś miłym lokalu...

Dla mnie miła kolacja to siedzenie na masce samochodu i pałaszowanie hot doga z sosem chili. Jemu chodziło o jakąś sieciówkę. Nie mogłem tego znieść.

– Zamiast tego – oznajmiłem – znaleźliście się w Long Beach na jednej z najwspanialszych imprez tego wieczoru. – Sięgnąłem po rękę Magdalene i włożyłem ją w dłoń ojca. Następnie przyciągnąłem lekko matkę do drugiego boku dziewczyny i również włożyłem jej dłoń w rękę Latynoski. Rozczapierzyłem palce, udając, że maluję obraz.

– Czy teraz – zapytałem teatralnym tonem – widzicie już tę krainę czarów? Teraz wejdziecie do środka na harce i swawole. Oto życie! Oto Kalifornia! Oto jak żyje druga połowa kraju! Idźcie! Idźcie! Kamery! Bądźcie świadkami ich frajdy!

Moi rodzice spoglądali na magazyn, wypatrując obiecanej świetlanej przyszłości.

I gdy tak stali z dłońmi w rękach Magdalene, wskoczyłem do mustanga. Silnik wciąż pracował. Ledwo zdążyli obrócić głowy.

Wyrwałem z parkingu, zamykając drzwi kierowcy już po drodze. Pozostawiłem wszystko za sobą w kłębiącej się chmurze kurzu. Wszystko zniknęło: noc, gwiazdy i piosenka, którą powołałem do istnienia.

Jechałem.

Biłem się w myślach między kontynuowaniem jazdy a chęcią zatrzymania się.

Nie wiedziałem, na czym wyszedłbym gorzej.

Po pewnym czasie nie mogłem się już skoncentrować na drodze, w związku z czym wróciłem do mieszkania. Obawiałem się trochę, że zastanę tam kamerzystów, ale uliczka na tyłach budynku była ciemna, podobnie jak podwórze.

Wszedłem po schodach do mieszkania i zamknąłem za sobą drzwi na klucz. Palce u dłoni zaczynały mi marznąć. Cały byłem roztrzęsiony.

Nie było trudno wyobrazić sobie wyrazu twarzy moich rodziców. Najpewniej uznali, że ich nienawidzę.

To nie była prawda. Po prostu nie chciałem ich już nigdy więcej widzieć. To nie było to samo.

Telefon zabzyczał, oznajmiając nadejście wiadomości. Stałem w maleńkim, ciemnym pokoju dziennym i przeczytałem ją.

Jeremy: ?

Chciałem zobaczyć wiadomość od Isabel, ale żadnej nie było.

Powiedziałem jej prawdę. Udało mi się uciec od swojej przeszłości i dokąd mnie to zawiodło?

W to samo miejsce, z którego zacząłem.

„Ufać tobie?”

Zupełnie nie wiedziałem, jak sobie ze wszystkim poradzić – z rodzicami i bez Isabel.

Nie rozumiałem, *dlaczego* muszę sobie ze wszystkim radzić – z rodzicami i bez Isabel.

Czułem na sobie spojrzenie kamer rozmieszczonych po całym pokoju, wszedłem więc do łazienki i zamknąłem za sobą drzwi. Zacisnąłem dłonie w pięści. Po chwili rozluźniłem je i zamknąłem drzwi na klucz. Ktoś zabrał z umywalki rozłożoną na części kamerę z sypialni. Ciężko było dbać o coś takiego.

Coś było ze mną nie w porządku.

Ludzkie ciało nie chce doznać krzywdy. Jesteśmy zaprogramowani, żeby się wzdrygać na widok krwi. Ból jest doskonale zaplanowanym procesem chemicznym, mającym na celu przekonanie nas, żebyśmy chcieli utrzymać nasze ciała przy życiu. Różne badania wykazały, że ludzie urodzeni z wrodzoną analgezią – brakiem możliwości odczuwania bólu – odgryzają sobie czubki języków, wydrapują sobie oczy i łamią sobie kości. Nasze funkcjonowanie jest wynikiem cudownego zlepku mechanizmów kontrolnych pozostających w chwiejnej równowadze.

Ludzkie ciało nie chce doznać krzywdy.

Ze mną było coś nie w porządku, ponieważ czasem było mi wszystko jedno. Ponieważ czasem chciałem sobie zrobić krzywdę.

Boimy się śmierci. Boimy się pustki. Gorączkowo staramy się utrzymać puls.

Ja byłem pustką.

Czego się boisz? Niczego.

„Nie robisz tego nie robisz tego nie robisz tego”.

Ale mój wzrok już skakał po łazience w poszukiwaniu wyjścia.

„Ufać tobie?”

Miałem nie żyć. Zapewne. To dlatego zostałem tak skonstruowany. Biologia uformowała mnie, spojrzała na swoje dzieło i zaczęła zachodzić w głowę, co sobie, do cholery, myślała, wstawiła więc psychiczny mechanizm awaryjny.

W razie niebezpieczeństwa pociągnij za sznurek.

Siedziałem w kucki pod ścianą, oddychając w dłonie. Kiedyś Victor powiedział mi, że nigdy nie rozważał możliwości samobójstwa, nawet przez chwilę, nawet w najgorszych chwilach. „Dostaliśmy tylko to jedno życie” – skwitował.

Nawet kiedy byłem szczęśliwy, czułem się, jakbym nieustannie szukał w życiu krawędzi. Szwów.

Urodziłem się po to, żeby umrzeć.

Przyjrzałem się sznurkowi od żaluzji.

„To zbyt wiele to za dużo nie z takiego powodu musisz przestać”.

Wróciłem myślami do radości towarzyszącej dzisiejszym nagraniom. Spróbowałem przyciągnąć to uczucie z powrotem do siebie,

ale to było akademickie ćwiczenie. Wszystkie chemiczne przełączniki w moim ciele tkwiły w pozycji „uciekaj uciekaj uciekaj”, a szczęście nie było w ogóle możliwe.

Zasłoniłem uszy dłońmi, tak jakby były słuchawkami, i w myślach odsłuchałem swoją nową piosenkę – coś, co jeszcze rano nie istniało.

Wyraz twarzy moich rodziców.

Wstałem.

Musiałem... przestać czuć. Tylko na kilka minut.

I tak tylko tyle zostanie mi dane.

Wilk.

Czysty, niezłomny, doskonały. Też taki byłem i oto, gdzie skończyliśmy.

Poszedłem do sypialni po rzeczy potrzebne do wywołania przemiany. Nie zwykłej, ale dzikiej, wyjącej – takiej, która by mnie złamała. Nie wszystkie moje eksperymenty z wilkiem zaprowadziły mnie w nieskomplikowane miejsca. Ale teraz nie chciałem w takie trafić. Niewielka logiczna część moich myśli sądziła, że staranny proces pomoże. Przypomni mi o wszystkich powodach, dla których warto zostać człowiekiem. Da mi szansę uspokojenia się. Przypomni o tych wszystkich innych poznanych dotąd sposobach na pozbycie się tego uczucia.

Ale uczucie zdawało się tym karmić. Chociaż działałem powoli i metodycznie, czas napierał na mnie i obmywał mnie, przeszłość i przyszłość zlane razem. Bez najmniejszego wysiłku przywołałem wspomnienie robienia tego lub czegoś podobnego, już nieskończenie wiele razy.

Wilk.

Mój ludzki umysł pomknął do Minnesoty, do Sama, który tak bardzo nienawidził wilka. Słyszałem jego głos oznajmiający, że robiąc to, wyskrobuję wszystko, czym jestem. Że marnuję wszystko, co jest we mnie dobrego. Prawiący, jak podłe było odrzucanie tego wszystkiego. Victor zginął jako wilk, tęskniąc do bycia człowiekiem. A ja oddawałem swoje człowieczeństwo za darmo.

To sobie mówiłem i to sobie powtórzyłem i tym razem.

Ale to była zarejestrowana z wyprzedzeniem sesja. Doskonale

wiedziałem, jaki będzie finał.

Chociaż byłem w łazience sam, czułem się, jakby w pomieszczeniu był jeszcze ktoś inny czy też może raczej coś innego. Mroczna obecność unosząca się w kącie, ulatująca w stronę sufitu. Dokarmiająca ciemność wewnątrz mnie albo karmiąca się nią. Wszyscy używaliśmy się nawzajem i byliśmy używani.

Odkręciłem wodę w prysznicu i usiadłem na skraju deski sedesowej ze strzykawką w jednej ręce i telefonem w drugiej. Wybrałem numer Isabel. Gdyby odebrała, nie wiedziałbym, co powiedzieć.

Wiedziałem, że i tak nie odbierze.

„Ufać tobie?”

Poczekalem na zgłoszenie się poczty głosowej. Przez kilka minut przyglądałem się galonom wody znikającym w kratce odpływowej. Pomyślałem o otaczającej miasto pustyni, po czym wbiłem sobie igłę w żyłę.

Ból przypomniiał mi, że specyfik działał.

Oparłem czoło o ścianę i czekałem, aż doznam przemiany lub zginę. Było mi w zasadzie obojętne, która ewentualność przypadnie mi w udziale. Chociaż nie: nie było mi to obojętne. Miałem nadzieję na obie rzeczy jednocześnie.

Wstrzyknięta mieszanka przedarła się wraz z krwią do mózgu. Na miejscu poczęła drapać, okładać i kasać podwzgórze, wykrzykując wciąż i wciąż jedno i to samo słowo:

Wilk.

Wilk.

Wilk.

Ból odebrał mi wszystkie myśli. W głowie szalał chemiczny pożar, który powoli dogasał. Upadłem na podłogę, dygocząc, pocąc się i zwijając się z mdłości. Wszelkie myśli spłonęły doszczętnie.

A wtedy...

Świat był światłem. Świecącym nade mną i odbijającym się w nieustannie wirującej, ale nigdy niepowiększającej się kałuży. Świat był dźwiękiem. Szumem wody rozbryzgującej się o ziemię, miękkim i nieprzerwanym. Zapachem: kwaśnym i owocowym, słodkim i zgniłym.

Wilk.

Jechałam.

Biłam się w myślach między niezatrzymaniem się aż do końca życia a pojechaniem do Cole'a.

Nie wiedziałam, na czym wyszłabym gorzej.

Po pewnym czasie zorientowałam się, że jestem daleko na zachód od L.A., aż za Malibu. Nieoświetlona droga wiła się między skalistym brzegiem i wzburzonym oceanem a stromymi, porośniętymi krzakami zboczami gór. Nie było tu żadnych palm, ludzi ani domów. Skręciłam w pierwszy lepszy kanion. Czułam się, jakbym wjeżdżała prosto w czarne nocne niebo albo w czarny nocny ocean. Nie miałam zielonego pojęcia, która jest godzina. Byłam na końcu świata.

Koniec końców zatrzymałam się na jednym z parkingów z tarasem widokowym. Daleko w dole załamujące się fale tworzyły nierówną białą linię biegnącą równoległe do brzegu. Wszystko inne było ciemnością.

Wysiadłam z samochodu. Powietrze było lodowate. Od zimna trzęsły mi się nogi i ręce. Objęłam się ramionami i przez dłuższą chwilę tylko stałam, cała dygocząc i zastanawiając się, czy szok emocjonalny może wystąpić u kogoś, kto nie odczuwa żadnych emocji.

Zapewne nadszedł czas przyznania przed samą sobą, że jednak je odczuwam. A one mnie teraz zdradziły.

Obeszłam samochód i otworzyłam bagażnik. Wyjęłam klucz do kół i zatrzasnęłam klapę. Przywołałam wspomnienie tego parszywego ucisku w brzuchu, który poczułam na widok Cole'a w objęciach tej dziewczyny. Gdy się nad tym zastanowiłam, uznałam, że to samo uczucie, które zakradło się do moich myśli, gdy rano w głosie ojca pojawiła się dziwna nuta. Kiedy zrozumiałam, że chce mi powiedzieć coś, czego ja nie chciałam usłyszeć.

Spojrzałam na księżycowo białą karoserię SUV-a. Poprawiłam chwyt na kluczu.

I z całych sił zaczęłam okładać nim samochód.

Pierwsze wgniecenie nie było zbyt satysfakcjonujące. Nie było nic zaskakującego w uzyskaniu wgniecenia w karoserii po uderzeniu w nią

kluczem do kół. To właśnie się działo, kiedy uderzyło się czymś metalowym w coś innego metalowego.

Ale drugie uderzenie... Drugi cios podniósł mi poziom adrenaliny. Zaskoczył mnie. Zanim to się stało, nie wiedziałam, że w ogóle zamachnę się drugi raz. I trzeci, i czwarty. Wtedy zrozumiałam, że nie przestanę okładać samochodu. Uderzałam w drzwi, w maskę, połamałam ten wielki plastikowy zderzak.

Z głowy uleciały mi wszystkie myśli poza przypomnieniem, że jutro wóz musi być na chodzie. Nie rozbiłam więc szyb ani świateł, ani niczego innego niezbędnego do jazdy. Nie chciałam go zepsuć.

Chciałam, żeby był brzydki.

Główka klucza przebiła się przez biały lakier aż do surowego metalu. Pod całym blichtrzem bebechy samochodu były nudne i praktyczne.

Kiedy już dłoń zaczęła mi się pocić od zaciskania na kluczu, dotarło do mnie, jak bardzo się zmachałam.

Czułam się pusta. Tak jakby nic mnie nie obchodziło.

Co oznaczało, że mogę już wracać do domu.

– Panie St. Clair?

Nie otworzyłem oczu, ale wiedziałem, gdzie jestem. No dobrze, rozpoznawałem rodzaj miejsca, w którym się znajdowałem. Zimny ucisk płytek ceramicznych na skórze i ostrą woń wybielacza milimetry od mojego nosa. Twardość podłogi pod kością biodrową. Leżałem na podłodze łazienki. W uszach mi szumiało.

– Cole? Mogę wejść?

Trochę dłużej zajęło mi ustalenie, w której konkretnie łazience się znajduję. Musiałem stopniowo zawężyć pole poszukiwań. Ziemia. Ameryka Północna. Stany Zjednoczone. Kalifornia. Los Angeles. Venice. Mieszkanie. Piekło.

– Cole? – W głosie zabrzmiało jakby wahanie. – Wchodzę.

Przez szum w uszach przebiło się szarpanie za klamkę. Rozchyliłem z trudem powieki. Czynność pochłonęła wiele procesów myślowych i zdawała się nieistotna. Drzwi wciąż były zamknięte. Zastanowiłem się, czy sobie przypadkiem nie wyobraziłem tego głosu. A może wyobraziłem sobie też własne ciało. Jakkolwiek złożonym problemem było otwarcie oczu, próba poruszenia jakiegokolwiek innej części ciała okazała się niewykonalna. Największa suchość panowała w moich ustach, tak jakby twarz wpełzła do nich i wyłożyła całe wnętrze.

Drzwi zadrżały. Byłem zbyt martwy, aby drgnąć.

Znowu drgnęły.

Nagle stanęły otworem i zatrzymały się na moich nogach. Przed moją twarzą stanęły dwa czarne męskie buty. Towarzyszył im zapach kawy. Nie były nowe, ale za to bardzo czyste.

Drzwi się zamknęły. Buty pozostały po tej samej ich stronie co ja.

Zamknąłem oczy. Usłyszałem jakiś szelest, po czym czyjeś palce zacisnęły mi się na nadgarstku, czyjaś dłoń przysunęła się do moich ust, ktoś uderzył coś stojącego nieopodal. Dłoń. Sprawdziała oddech. Czulem wodę kolońską.

Leon odetchnął z ulgą.

Chwilę później szum ustał. To nie był problem z moimi uszami. To był odkręcony prysznic. Buty Leona plaskały po mokrej podłodze.

– Możesz usiąść? – zapytał. Nie czekając na moją odpowiedź, dodał: – Spróbujmy.

Owinięto mnie ręcznikiem, po czym moje pachy szarpnięto w górę i zostałem bezceremonialnie oraz boleśnie zaciągnięty w kąt przy umywalce i posadzony pod ścianą.

Zamknąłem z powrotem oczy.

W niewyraźnym tle usłyszałem, jak Leon się porusza, odkręca kran umywalki i przestępuje z nogi na nogę. Po chwili przytknął do moich ust kubek i delikatnie go przechylił. Uprzejmie zaczekał, kiedy prychnąłem i zakrztusiłem się płynem, zamiast go połknąć, po czym napoił mnie jeszcze raz. Od razu poczułem się bardziej żywy.

– Co to jest? – zapytałem. – Co mi dajesz?

– To woda – odparł Leon. – Leżałeś w niej, ale jej nie piłeś.

– Jak się tu dostałeś? – Mój głos brzmiał tak, jak papier wygląda. – Czy jesteś prawdziwy?

– Nie odbierałeś telefonu i pomyślałem, że możesz być w tarapatach... Widziałem odcinek.

– Już go udostępnił?

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Dwa dni temu.

Powietrze uleciało mi z płuc. Dość mocno śmierdziało.

– Oj.

Leon przyniósł z sąsiedniego pomieszczenia styropianowy kubek z kawą. Podał mi go i przyglądał mi się uważnie, pilnując, abym go nie upuścił. Sącyłem gorący napój, podczas gdy on wziął kolejny ręcznik, rzucił go na podłogę i przesuwając nogą to w jedną, to w drugą stronę, żeby zetrzeć chociaż trochę wody i krwi.

– Słodka – stwierdziłem. To nawet nie była kawa. To był syrop cukrowy z esencją kawową. – Tak jak lubię.

Leon wzruszył ramionami.

– Ta dzisiejsza młodzież – mruknął.

Nagle obraz mi się wyostrzył – albo jego stwierdzenie przypomniało mi napój energetyczny, który przyniósł do studia, albo

mój organizm został pobudzony do życia wodą w suchych ustach lub cukrem w kawie. Leon był ubrany do pracy: schludny garnitur, czyste czarne buty. Wpadające przez okno promienie porannego słońca oświetlały jego nieskazitelną sylwetkę, a on wciąż wycierał podłogę ręcznikiem.

Uszy zapiekły mnie ze wstydu.

– Przestań – powiedziałem. – Nie rób tego. Ja się tym zajmę. Boże. Leon zdjął nogę z ręcznika i wsunął dłonie do kieszeni spodni.

– To jest obrzydliwe. – Sam nie miałem pewności, czy mam na myśli podłogę, siebie, czy Leona patrzącego na mnie w tym stanie. – To nie jest... To nie jest oblicze, które chciałem ci ukazać, przyjacielu. To nie jest ta wspaniała przyszłość, którą dla nas zaplanowałem.

Wzruszył ramionami, nie wyjmując dłoni z kieszeni.

– Nie wszystko idzie zawsze zgodnie z planem.

– U mnie zawsze.

– Zatem musiałeś to zaplanować – powiedział łagodnym głosem.

Przełknąłem resztkę kawy. Kłuło mnie w żołądku i w sercu.

– Straciłem całą wiarygodność. Teraz nigdy cię nie przekonam do rzucenia roboty.

W oczach Leona zatańczył uśmiech, chociaż jego usta ani drgnęły.

– Taki miałeś plan?

– Taki miałem plan. Radość i szczęście dla ciebie, Leonie, w tym słonecznym raj.

Wyjął telefon z kieszeni i zrobił krok nad brudnym ręcznikiem.

Przykucnął przy mnie i sięgnął po pusty kubek. Wymienił go na swój telefon.

– Co mam robić? – zapytałem.

– Patrzeć.

Spojrzałem na ekran. Widniała na nim galeria zdjęć. Na samej górze było moje zdjęcie, beztroskiego i radosnego, z rogami ze zgiętych palców na czole. Było też zdjęcie z cmentarza, z przechylnymi palmami na tle gorejącego nieba. Dalej zdjęcie nas obu na diabelskim młynie w Santa Monica, zrobione tej nocy, kiedy ruszyliśmy na miasto po tym, jak Isabel wyszła z mojego mieszkania.

Tych zdjęć się spodziewałem. Nie spodziewałem się pozostałych.

Były tam zdjęcia surferów biegnących plażą w stronę fal. Ludzi tłoczących się przed klubami. Wykręconej donicy w kształcie wielbłąda z wyrastającymi z niej palmami. Czerwonego jak ogień nieba nad panoramą L.A. Neonu wskazującego drogę do pokoju figli. Pawia wyglądającego zza rogu ściany. Biegnącego chodnikiem mężczyzny w niebieskiej bieliźnie. Gwiazdy Davida Bowiego na hollywoodzkiej Alei Sław. Pagody w Koreatown. Sympatycznego graffiti z obłymi literami na boku starej furgonetki. Twarzy Leona odbijającej się w szybie jego samochodu, uśmiechniętej, chociaż dobrze było widać, że był sam.

Zrobił to, co mu poradziłem. Został turystą we własnym mieście.

– Nie chodziło o moją pracę. Chodziło o mnie. – Zamilkł na chwilę, po czym zapytał: – Dlaczego uciekłeś przed rodzicami?

Zamknąłem oczy. Obraz ich dwójki stojącej przed mustangiem wciąż niewyobrażalnie bolał.

– Bo nie mogę na nich patrzeć. – Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, której nie zdecydował się wypełnić. – Myślałem, że skończę tak jak oni, kiedy jeszcze mieszkałem w Nowym Jorku. Sądziłem, że tak wyglądało dorosłe życie. Ja tak nie mogę.

– Nie mogłeś.

Otworzyłem oczy.

– Hę?

– Nie mogłeś, a nie: nie możesz. Bo nie jesteś taki jak oni, prawda? Teraz już nie boisz się zostania takim jak oni.

Wciąż trochę się tego bałem. Nie chodziło też do końca o zostanie takim jak oni, a raczej o zostanie Cole'em, którym byłem, kiedy mieszkałem z nimi pod jednym dachem. Cole'em, który był tak zmęczony światem. Tym mną, który doszedł do wniosku, że nie ma sensu tkwić tutaj, gdzie „tutaj” oznaczało „życie”.

Zaburczało mi w brzuchu tak głośno, że obaj to usłyszeliśmy.

– Zdycham z głodu – oznajmiłem.

– Powinieneś zjeść śniadanie z rodzicami.

– Nie umiem z nimi rozmawiać.

Wziął ode mnie swój telefon i wstał.

– Rozmawiaj z nimi tak, jak rozmawiasz ze mną. Chociaż może

włóż najpierw jakieś spodnie.

Poszłam do .blush. Wykonałam swoje obowiązki. Sprzedałam całe zatrzęsienie legginsów. Sierra przypomniała mi o planowanej imprezie.

Poszłam na wykład. Potem odbębniłam zajęcia kliniczne. Przetoczyłam wiele starszych osób na drugi bok i wyczyściłam wiele poplamionych łóżek.

Wróciłam do domu. Moja matka zarezerwowała w warsztacie termin na naprawę mojego SUV-a. Ciotka dała mi bukiet wizytówek terapeutów. Ale ja chodziłam na terapię już wiele lat. Łatwo było gadać. Chciałam, żeby obie nawrzeszczały na mnie za to, co zrobiłam z samochodem. Ojciec by tak zrobił. Ale go nie było.

I już nigdy go nie będzie.

Cole wysłał mi esemesa: „Rozmowa?”.

Odpisałam: „Nie”.

Wysłał kolejną wiadomość: „Seks?”.

Odpisałam: „Nie”.

Nie dawał za wygraną: „Cokolwiek?”.

Nie odpowiedziałam. On też już więcej nie napisał.

Spłukać, czynności powtórzyć. Robota. Zajęcia. Dom. Robota. Zajęcia. Dom.

Nie wysyłałam żadnych wiadomości do Cole’a, ale regularnie aktualizowałam wirtualną jego wersję. Oddanie mu tego telefonu wymagałoby spotkania się z nim, a wątpiłam, czybym to przeżyła. Nie byłam też na tyle podła, żeby wykręcić mu świński numer i wziąć jego internetową tożsamość jako zakładnika. Zresztą tylko aktualizowanie wirtualnego Cole’a przypominało mi, że życie choć przez chwilę wyglądało inaczej.

Tuż przed wyruszeniem do baru zadzwoniłem do Grace. Tak naprawdę chciałem się dodzwonić do Sama, ale Grace odebrała jego telefon.

- To koniec – powiedziałem. – Idę na śniadanie ze swoimi starymi.
- Miałam tej nocy koszmary na twój temat.
- Biegałem po L.A. i gryzłem ludzi? Bo to już było.
- Nie – odparła. – Wróciłeś do domu.

Dopiero teraz zauważyłem, że moja zaprzyjaźniona okoliczna ekipa kamerzystów siedziała na krawężniku zaraz za rogiem. To oznaczało, że moi rodzice już byli na miejscu.

Niezależnie od tego, co twierdził Leon, nie miałem pewności, czy dam sobie radę. W moim sercu panowało całkowite zachmurzenie.

Grace mówiła. Mówiła nieprzerwanie. Na koniec dodała:

- I naprawdę nie ma co się nad tym rozwodzić.
- Przydałaby mi się jakaś rada.
- Cole, ja ci właśnie dałam radę.
- Powtórz. W wersji skróconej. Tylko abstrakt.
- Sam kazał mi właśnie ci powiedzieć, że najważniejsze jest nie robić tego, co im zrobiłeś w ostatnim odcinku.
- Nic takiego się nie stanie – odparłem – bo wątpię, żeby drugi raz zostawili kluczyki w stacyjce. Życz mi szczęścia.

Życzyła, ale nie czułem się specjalnie szczęśliwy. Wszedłem do baru.

Bez trudu ich dostrzegłem. Siedzieli przy jednym z czerwonych winylowych stolików. Wyglądali jak jakaś dziwna okładka albumu – doskonale dobrana para starszych ludzi doskonale niepasujących do jasnozielonej ściany służącej im za tło. Wybrałem właśnie ten bar, sądziłem bowiem, że będzie bardziej w ich stylu, ale było całkiem możliwe, że moi rodzice nie pasowali do niczego, co można było znaleźć w tym mieście.

Zauważyli mnie. Nie pomachali. Nie miałem im tego za złe. Zasłużyłem na to.

Stałem przy stoliku.

– Witajcie, radośni rodzice – przywitałem ich. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Matka musnęła policzek serwetką. – Mogę się do was dosiąść?

Ojciec kiwnął głową.

Kamerzyści usadowili się po drugiej stronie przejścia. Rodzice zmierzili ich wzrokiem, po czym jak na komendę jednocześnie przesunęli menu w moją stronę.

– Jeszcze nie zamawialiśmy – oznajmił ojciec.

– Co tu mają dobrego? – zapytała matka.

Było to dużo lepsze pytanie od dowolnego innego, jakie obawiałem się od niej usłyszeć, typu: „Gdzie się podziewałeś?” albo: „Dlaczego nie dzwoniłeś?” czy: „Gdzie jest Victor?” lub: „Wrócisz z nami do domu?”.

Problem polegał na tym, że chciałem odpowiedzieć w stylu: „Nie jestem pewien, jakimi specjalnościami może nas uraczyć ten zacny lokal, ale mniemam, że ten przesympatyczny osobnik przybliży nam ofertę!”, po czym obrócić się na pięcie i teatralnie pochwycić przechodzącego pomocnika kelnera. Niestety, coś w sposobie, w jaki rozpoczęli rozmowę, coś w rolach moich rodziców zdawało się blokować tę możliwość. Zostałem zmuszony do bycia ich synem. Do bycia tym drugim mną. Niedysiejszym mną.

– Jeszcze nigdy tu nie byłem – przyznałem.

Łagodnie. Bez ikry. Nie poznawałem własnego głosu. Mieli na sobie te same ubrania, w których widziałem ich poprzednio, ale może cała ich garderoba wyglądała tak samo. Wystarczyłoby teraz posadzić mojego starszego brata obok mnie i rodzina St. Clairów byłaby z powrotem taka, jaką była kiedyś. Nie wiedziałem, po co tu w ogóle przyszedłem. Nie dam sobie rady z tą sytuacją.

– Widzieliśmy, gdzie się zatrzymałeś – zagaiła matka. – Okolica wygląda na miłą.

Venice Beach było rajem na ziemi, dokładnym odwzorowaniem kształtu i barwy mojej duszy, ale nie było jak im tego wytłumaczyć. Nie w słowach, które by zrozumieli. Pytaliby, jak ludzie sobie radzą bez garaży i dlaczego chodniki są takie zaniedbane.

Rodzice przejrzeni menu. Przesunąłem solniczkę i pieprzniczkę, po

czym posortowałem paczki cukru i słodzika według kolorów.

– Przy tym tylko napisali, że jest w koszulce – zwrócił się do żony przyciszonym głosem ojciec. – Myślisz, że mógłbym to zamówić z jajkiem sadzonym?

Boże, nawet ich zapach był taki jak zawsze. Ten sam proszek do prania.

Gdyby tylko przychodziło mi do głowy cokolwiek do powiedzenia w ich języku, może miałbym szansę to przetrwać.

Przy naszym stoliku stanęła kelnerka.

– Gotowi złożyć zamówienie?

Miała cienkie kości, zupełnie jak moja matka, i około pięćdziesiątki na karku. Była ubrana jak kelnerka z barów z lat pięćdziesiątych, miała nawet odpowiedni fartuszek. W dłoniach trzymała mały notes i ołówek. Jej oczy sprawiały wrażenie zmęczonych wszystkim wkoło.

– Co macie najlepszego? – zapytałem. – I to nie zwyczajnie najlepszego. Najlepsiejszego. Chodzi mi o coś, co sprawia, że każdego ranka zakładasz ten fartuszek i myślisz sobie: „Dlatego właśnie przyszedłam dziś do pracy, żeby podawać to danie klientom, którzy jeszcze go nie jedli, i, och, co za pamiętny będzie to dzień dla tych niewtajemniczonych nowicjuszy”. To właśnie chciałbym zamówić. Cokolwiek to jest.

Patrzyła na mnie bez słowa i intensywnie mrugała. Robiła to tak długo, że odebrałem jej notes i ołówek, po czym napisałem na kartce z naszym zamówieniem „NIESAMOWITE COŚ” i oddałem jej oba przedmioty.

– Ufam ci – dodałem.

Zamruła jeszcze kilka razy.

– A twoi rodzice?

– Oni też ci ufają. Zaczekaj.

Ponownie odebrałem jej notes i dopisałem: „ALE BEZ CZEKOLADY”. W okienku na całkowitą wartość zamówienia wpisałem pięćdziesiąt pięć dolarów.

Jeszcze raz oddałem jej notes i ołówek.

Rodzice gapili się na mnie. Kelnerka też się na mnie gapiła.

Odwdzięczyłem jej się tym samym. Nie miałem nic lepszego do powiedzenia, wykonałem więc uśmiech Cole'a St. Claira.

Wyszczrzyła się gwałtownie, tak jakby jej usta działały wbrew jej woli.

– Dobra – powiedziała zupełnie innym głosem, niż mówiła wcześniej. – *Dobra*, młody człowieku. Sam się o to prosiłeś.

Gdy szła w stronę lady, odwróciłem się z powrotem do rodziców.

Czułem się dziwnie. Nie miałem pewności, czy kelnerka była czarodziejska, czy też może rada Grace uczyniła cuda albo czy jakoś w końcu połączyłem logicznie Leona, kelnerkę, rodziców i wszystkich innych ludzi świata.

Przez tę chwilę, kiedy składałem zamówienie, moi rodzice ulegli przeistoczeniu. Nagle zamiast nich ujrzałem dwójkę ludzi zbliżających się do sześćdziesiątki, turystów w tym błyszczącym, dziwnym miejscu, zmęczonych snem w nieznanym im pokoju hotelowym, niemogących się doczekać powrotu do codziennej rutyny. Ich oczy były znużone w ten sam sposób co oczy kelnerki. Życie nie potoczyło się zgodnie z planem, ale jakoś przez nie przebrnęli.

Nie było w nich nic strasznego. Nie mieli nade mną żadnej szczególnej władzy. Nie bardziej niż ktokolwiek inny.

Oni nigdy nie byli problemem. Byłem nim zawsze ja.

To olśnienie było niczym słowo, którego musiałem się uczyć na nowo za każdym razem, kiedy je słyszałem. Nigdy jakoś się nie zakorzeniło w moich myślach.

Byli tylko zwykłymi ludźmi.

– Jak wam minęła podróż? – zapytałem.

Zachowywali się tak, jakby cały tydzień czekali, aż zadam to jedno pytanie. Historia podróży niemal się z nich wylewała. Była długa i niesamowicie nudna, do tego całkowicie pominęli wszystkie informacje, które ja bym zawarł w mojej opowieści, za to opowiedzieli o wszystkim, co ja bym pominął. W środku ich słowotoku kelnerka przyniosła nam mrożoną herbatę z marakują, przed matką postawiła talerz wymyślnych naleśników, przed ojcem omlet z kawałkami awokado, a mnie wręczyła gofra z wymalowanym na nim bitą śmietaną uśmiechem Cole'a St. Claira.

W naszym wspólnym posiłku nie było nic przełomowego. Nie rozmawialiśmy o ani jednej istotnej rzeczy. Ale nie było też nic okropnego, chyba że liczyć nudę. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Gdy skończymy jeść, każde z nas pójdzie w swoją stronę – ja w jedną, moi rodzice w drugą, a kelnerka w trzecią.

Kiedyś to miało ogromne znaczenie. Próby niestania się własnym ojcem zdawały się tak wyczerpujące. Ale teraz, gdy siedziałem w tym barze, wyrośnięcie na jego kopię wydawało mi się niemożliwe. Tyle czasu zmarnowałem na te zmagania. Raz za razem odkrywałem, że potworem, z którym tak długo walczyłem, jestem ja sam.

Gdy skończyliśmy jeść, zapłaciłem za wszystko przy kasie.

– Smakowało? – zapytała kelnerka.

– Było niesamowite. Doskonały wybór. Jutro powinnaś włączyć tym notesem z pewnością tytana intelektu.

Ukryła uśmiech za dłonią. Pragnąłem jej podziękować za ponure olśnienie, że tak właściwie to ja jestem moim najgorszym wrogiem, ale nie przychodził mi do głowy żaden dobry sposób, żeby jej to powiedzieć. Posłałem więc tylko kolejny uśmiech Cole'a St. Claira i wróciłem do stolika.

– Było miło – oznajmiła moja matka. – Bardzo uroczy lokal znalazłeś.

Nie mieli zamiaru zapytać, czy aby nie usiłowałem się przedwczoraj zabić. Nie mieli zamiaru zapytać o Victora. Nie mieli zamiaru zapytać o nic nieprzyjemnego. Nie wiedziałem tylko, dlaczego mnie to dziwiło. Nigdy dotąd nie pytali o takie sprawy.

Ojciec złożył serwetkę w dwanaście figur geometrycznych.

– Lepiej wezwijmy taksówkę, jeśli chcemy być odpowiednio wcześniej na lotnisku. Cole, wiesz może, czy tutaj przyjeżdżają taksówki?

– Och – rzuciłem, wyjmując kluczyki do mustanga. – Mogę was zawieźć. Wygląda na to, że mam sportowy samochód.

Rozdział trzydziesty dziewiąty
Isabel

Cole: „przetrwiałem rodziców twoja kolej na napisanie do mnie”.

Ja:

Cole: „to jest mój numer na wypadek gdybyś zapomniała”.

Ja:

Cole: „proszę”.

Ja:

Cole: „isabel proszę”.

Ja:

Cole:

Gdy przez kilka dni z rzędu nie zdołałem zrobić nic ciekawszego od założenia rano spodni, Baby zadzwoniła do mnie.

– Czas minął, Cole. Co robisz dzisiaj?

Byłem zbyt wyprany z entuzjazmu, aby silić się na kreatywność. Otworzyłem swój notesik na stronie z jej listą.

– Dużą imprezę.

– Super.

Tak. Super. Duża impreza. Spoko. Mogę ją urządzić, gdy tylko posprzątam trochę tego bajzlu w łazience, który narobiłem dwa dni temu po przemianie. Musiałbym rozpuścić wieści wirtualnym mną. Bardzo usilnie starałem się nie pisać do Isabel, dopóki ona nie napisze do mnie, ale nie mogłem już dłużej czekać.

„Czy możesz zrobić tak, żeby jakiś colebot wygrał imprezę z nami dzisiaj”.

Zmieniałem tekst wiadomości dziesięć razy, zanim ją wysłałem. Nie było to najlepsze, na co mnie było stać, ale nie mogłem wyjść ani na zgorzkniałego, ani na zdesperowanego. Wszelkie znaki interpunkcyjne zdawały się popychać wiadomość w stronę jednego albo drugiego, tak więc koniec końców wysłałem ją ze starym dobrym brakiem ortografii w roli wyrazu obojętności.

Isabel odpisała w mgnieniu oka: „Daj mi 30 minut”.

Kropka na końcu wiadomości sugerowała, że nie powinienem sobie myśleć, że nie jest na mnie wciąż obrażona. Dwadzieścia dziewięć minut później przesłała mi imię, nazwisko i adres zwycięzcy.

Ach, młodzieńcza miłość.

Siedem minut później skończyłem sprzątać łazienkę. Po kolejnych dziewięciu minutach T przyjechał z kamerami. Po następnym kwadransie Jeremy pojawił się swoim pikapem.

Kiedy ma się zespół, pierwsze czterysta tysięcy lat kariery spędza się na własnoręcznym targaniu wszędzie swoich gratów. Głośników, statywów, konsoli mikserskiej, mikrofonów, przetworników, kabli zasilania, przewodów mikrofonowych, przewodów głośnikowych,

instrumentów, słowem: wszystkiego. Zapomnisz czegoś – masz przerąbane. Zepsujesz coś – masz przerąbane. Masz za krótką przedłużkę? Przerąbane.

Ale kiedy już zdobędziesz sławę...

Pakujesz swoje graty do późnego modelu mustanga i na podstarzałego pikapa, mając nadzieję, że niczego nie zapomniłeś.

Z pewnością żyłem w ziszczonym śnie.

– Mógłbym pomóc coś nosić – rzucił przepraszająco T, poprawiając kamerę na ramieniu – ale mam, no wiesz.

– Urządzenie rejestrujące – stwierdziłem, kładąc syntezator na kolanach Leyli. Nie powinna narzekać, przecież była pogodzona ze wszystkim, co przychodziło przez osnowę losu, doli czy czegoś tam. Ja miałem inne zdanie. Dola była kiepska w łóżku i już zdążyłem o niej zapomnieć. – Ta. Luz. Filmuj mnie z tej strony. Z tej strony. To moja sławna strona.

Potem pojechaliśmy z Jeremym do West Adams.

Wszystkie domy w tej dzielnicy wyglądały na stare, na rówieśników budynków w sąsiedztwie mojego domu w Phoenix w stanie Nowy Jork. Ale zabudowania West Adams sprawiały wrażenie egzotycznych ze względu na różowe i jasnozielone tynki, dachy pokryte dachówką i kotwiczące je w krajobrazie filigranowe metalowe barierki. Zastanawiałem się, jak innym byłbym teraz człowiekiem, gdybym wychowywał się w jednym z tych domów.

Gdy dojechaliśmy do domu Shayli, fanki z Los Angeles, która wygrała (okazało się, że Isabel poprosiła o wymienienie płyt, na których podziękowaniom na okładce towarzyszyło zdjęcie mojej potylicy), ta z ekscytacji przekroczyła już barierę dźwięku.

Na miejscu było już z dwieście osób. Wirtualny Cole miał dość imponujący zasięg.

Ponieważ zebrani fani obstawili swoimi samochodami wszystkie okoliczne krawężniki, musieliśmy wyładować cały sprzęt na podjeździe, a potem ustalić, które z nas jedzie szukać miejsca parkingowego i wraca na piechotę.

To też było znajome.

– Ojacieojacieojacie! – wykrzyknęła Shayla. – Mogę cię objąć?

Pozwoliłem jej. Drżała na całym ciele. Kiedy uwolniła mnie ze swoich objęć, uśmiechnąłem się do niej. Na jej twarzy powoli wykwitł radosny grymas, który następnie rósł i rósł.

Były chwile, kiedy uśmiech potrafił wiele zmienić.

To była jedna z takich chwil. Potrzebowałem uśmiechu, nawet bardzo, a jej był bombowy. Nie seksowny, ale taki jakby pełny niewartościującego entuzjazmu.

Mój mózg się stopniowo wyłączał, a przynajmniej ta bardziej złożona część. Z kolei partie mniej złożone, te odpowiedzialne za występy na scenie, zaczynały rozruch. Ciężko to wyjaśnić. Nie chodziło o nerwy. To było coś innego.

Za moimi plecami tłum zafalował i zamruczał z niecierpliwością. Karmił mnie, wygładzając kanty moich kolczastych, nieuporządkowanych myśli. Jakoś zupełnie zapomniałem o tym uczuciu, o tym aspekcie koncertów. Zapomniałem o tym szalonym wymazywaniu wszelkich emocji. Tutaj nie było miejsca na nic innego poza Cole'em St. Clairem – piosenkarzem, artystą, stuprocentowo oddanym.

Byłem światu za to wdzięczny. Nie chciałem obcować z własnymi myślami. Nie teraz.

Isabel...

Jeremy pojawił się przy moim łokciu. Długie włosy zatknął za uszy, niebieskie okulary przeciwsłoneczne zsunął zaś na sam czubek nosa. Wyglądał tak, jak mógłby wyglądać John Lennon, gdyby był blondynem i urodził się tuż pod Syracuse w stanie Nowy Jork.

– Cole. Jaki masz patent?

– Muzykę – odparłem.

W zasadzie tylko o tym w tej chwili myślałem. Ci wszyscy ludzie chcieli usłyszeć, jak gramy, a ja chciałem dla nich grać.

– Tylko tyle?

– Głośną.

Jeremy podrapał się po rzadkiej brodzie. Włoski miał tak jasne, że trudno było stwierdzić, czy w ogóle miał zarost.

– Oldskulowo.

Powiodłem spojrzeniem po wyczekujących fanach.

– Cała ta sytuacja jest dość oldskulowa.

No to zagraliśmy muzykę.

Pod wieloma względami taka spontaniczna impreza u kogoś na trawniku wymaga więcej zachodu niż normalny koncert. Na oficjalnym występie masz scenę, oświetlenie, masz *patent* i w ten sposób połowa budowania nastroju jest już zrobiona za ciebie. Wtedy wszyscy widzą, że to jest show, zanim w ogóle podejdziesz się do mikrofonu. Ale na takiej imprezie jest się tylko grupką dzieciaków na czyimś trawniku, a jedyna różnica między tobą a widownią jest taka, że trzymasz bas albo mikrofon. O każdy kawałek występu trzeba walczyć. Wyrzeźbić go w normalności i chaosie. Trzeba śpiewać głośniej, skakać wyżej i zachowywać się bardziej zwariowanie od kogokolwiek z otaczających cię ludzi.

To była pierwsza lekcja: trzeba wyglądać, jakby się miało tu być.

Sława podąża za oczekiwaniem sławy.

Druga lekcja: nigdy nie należy się śpieszyć z rozpoczęciem.

Jeremy stopniowo budował nam tempo, wprowadzając nas do utworu. Bas prowadził wszystkich w muzykę, nie oglądając się przez ramię, żeby się upewnić, czy wszyscy za nim idą. Leyla – niech ją diabli, chciałem Victora, chciałem Victora, chciałem Victora – dołączyła do niego, ta-ta-ta-ta-ta-ta, a ja puściłem wodze, puściłem wodze, puściłem wodze.

Napięcie rosło, i rosło, i rosło. Aż w pewnej chwili wykonałem lekki ruch dłonią, aby przyciągnąć uwagę wszystkich zebranych, po czym nacisnąłem z całej siły jeden klawisz:

BUM!

Tłum oszalał. Wtedy przyciągnąłem mikrofon bliżej ust i zaśpiewałem pierwsze słowo...

Na początku była ciemność, a potem nastąpił odlot.

Nie, czekaj, od nowa.

Na początku były przedmieścia i nieróżniące się jeden od drugiego dni upchnięte jeden na drugim. Potem stałem się ja i anioły upadły.

Nie, wróć, jeszcze raz.

Na początku byłem ja na scenie w szkole średniej, z Jeremym i Victorem. I czułem się, jakbym nigdy przed tą jedną chwilą tak naprawdę nie wiedział, do czego zostałem stworzony. Nie chodziło

o jednego słuchacza, dwoje, dwadzieścioro, pięćdziesięcioro. Nie istniała ich magiczna liczba. Chodziło o jedno: o mnie. O nich. O perkusję płynnie wychodzącą z mojego akordu i biegnącą pod górę stromym łącznikiem. O odchyłone do tyłu głowy. O pociągnięcia, pchnięcia i szarpnięcia basu. O wszystko to, co się wrzucało do równania, żeby uzyskać elektryczność przepływającą między nami a widownią. Czasem trzeba było tysiąca osób. Czasem wystarczyły dwie.

Tego letniego popołudnia w West Adams nuciłem i wywrzaskiwałem słowa, a widownia wyła i odkrzykiwała je w moją stronę. Bas Jeremy'ego niestrudzenie wchodził na kolejne oktawy. W tle Leyla grzmiała na bębnach z twarzą perliście zroszoną potem.

Byliśmy żywi, odrodzeni.

Ludzie ciągle się schodzili. Wabił ich hałas robiony przez nas i hałas robiony przez resztę. Bliżej i bliżej. Więcej i więcej.

To dlatego robiłem to kiedyś, to dlatego robiłem to nadal teraz, to dlatego nie mogłem przestać.

Nagle w sam środek tej doskonałości wdarł się chrobot losowego akordu gitarowego. Gitara? Gitara.

„Chyba sobie jaja ze mnie robicie?”

Z tłumu wyłoniło się jakieś blade młode stworzenie z gitarą. Podskakiwało obok bębnów Leyli, katując swój instrument, jakby świat miał się zaraz skończyć. Sto procent entuzjazmu, zero złośliwości.

Na prawdziwym koncercie mieliśmy ochronę i koleś odpowiedzialnych za scenę, którzy zajmowali się takimi sprawami. Naszym zadaniem jako zespołu było tylko granie dalej, podczas gdy oni usuwali czynnik zakłócający.

Tutaj byliśmy tylko my.

Zostawiłem Jeremy'ego szarpiącego struny basu i Leylę podtrzymującą rytm. Z mikrofonem w jednej dłoni drugą starałem się chwycić ramiona intruza i przerwać jego gitarowanie. W końcu zdołałem go złapać i siłą odprowadzić z powrotem do tłumu. Objąłem go ramieniem, aby przysunąć mikrofon do swoich ust.

– Bierzcie go! – zawołałem wesoło. – Jest jednym z was!

Puściłem gitarzystę. Najbliżej stojący momentalnie pochwycili go jak jakieś zombi. Porwali go, a on uśmiechał się błogo z oczami

zwróconymi do nieba. Stałem teraz twarzą w twarz z widownią. My i oni, przy czym ci oni byli tuż przede mną.

Wtedy dostrzegłem twarz z przeszłości.

To było niemożliwe: oczy Victora, brwi Victora. Czułem się, jakby moje bebechy spadały z wielkiej wysokości.

To nie był Victor. To była jego siostra Angie.

Nawet nie zdołałem zacząć roztrząsać, co to mogło znaczyć, kiedy mnie uderzyła.

Nie był to jakiś specjalnie silny cios, ale za to dobrze wymierzony – poczułem, jak zęby przecinają wargę. Usta zaczęło mi wypełniać ciepło. Adrenalina pośpieszyła, aby zadbać o moje potrzeby. Wilk przeciągnął się i zwinął pod skórą.

Angie wyrwała mi mikrofon i użyła go jak młotka. *To już* poczułem. Trafiła mnie boleśnie w kość policzkową, a potem, gdy się instynktownie zasłoniłem ręką, walnęła mnie w potylicę.

Umiejętności? To nie umiejętności krzywdzą ludzi. Robi to brak litości.

Poza tym zasługiwałem na to lanie. Zasługiwałem na wszystko, co miała dla mnie w zanadrzu.

„Zabiłem go, zabiłem go, zabiłem go”.

– Ty dupku! – krzyknęła Angie i nie myliła się, nawet gdyby wyrzucić z równania Victora.

Jeszcze raz uderzyła mnie mikrofonem.

T podszedł do nas, ale nie po to, żeby mi pomóc. Żeby filmować.

Angie rzuciła się na mnie całym swoim ciężarem. Nie była szczególnie masywna, ale miała po swojej stronie sprawiedliwość i fizykę. Polecieliśmy oboje prosto między bębny Leyli. Nade mną było błękitne niebo, okap dachu domu Shayli, co najmniej dwie kamery, a teraz też kozia bródka zasłaniająca wszystko inne...

Wciąż pachniała tym samym szamponem, którego używała, kiedy z nią chodziłem, kiedy jeszcze Victor żył, a ja nie nienawidziłem siebie tak bardzo jak w tej chwili – nawet w najmroczniejszych i najohydniejszych dziurach, w które wpełzałem podczas tras koncertowych.

– Angie – powiedział Jeremy zdecydowanym głosem, jakiego

nigdy wcześniej u niego nie słyszałem. – Angie, uspokój się.

Przed chwilą przeleciałem przez perkusję i czułem w plecach bolesne klucie, jakbym został przecięty na pół jednym z talerzy. W ustach miałem krew. Powinna była bić mnie mocniej, ponieważ wciąż wszystko czułem.

Nie mogłem przestać widzieć twarzy Victora odbitej w rysach jego siostry. To, co zrobiłem im obojgu, nigdy się nie zagoi.

– Angie – powtórzył Jeremy gdzieś poza moim polem widzenia. – Zastanów się nad tym, co robisz. Jesteś w telewizji. Twoje zachowanie zostanie uwiecznione. To nie jest właściwy sposób.

Leyla nachyliła się nade mną, chwyciła mnie za rękę i pomogła wstać. Nie powiedziała: „Oto przyszłość wzrastająca z ziaren, które zasiałeś w przeszłości”. Zapytała:

– Stary, nic ci nie jest?

Stałem na środku równego trawnika Shayli i nagle nie było żadnej sceny. Była tylko zbieranina pijanych ludzi stojących przed starym domem. Moja była dziewczyna wyglądała na zupełnie rozbitą, z zakrwawionym mikrofonem w zwisającej bezwładnie ręce. Zupełnie zniszczyłem mój skrawek trawy, nieustannie podskakując podczas występu. Spojrzałem na zrytą ziemię, na Angie, w końcu na Shaylę. Wciąż czułem ciepło na twarzy. Na podstawie tego oraz sposobu, w jaki gospodyni na mnie patrzyła, dedukowałem, że cholernie krwawię. Przestałem jednak już cokolwiek czuć.

– Przepraszam za trawnik – zwróciłem się do niej. – Kolejnej kapeli powiedz, żeby rozłożyli dywan czy inne cholerstwo.

Złożyła razem dłonie.

– Nie trzeba może dzwonić po gliny?

Angie patrzyła na mnie bez słowa, z rezygnacją. Mikrofon wciąż zwisał w jej dłoni.

– Zniszczyłeś go.

Po tych słowach wypuściła mikrofon i zniknęła w tłumie.

Było dość oczywiste, że to kończyło nasz występ, ale zebranie wszystkich gratów i próby upchnięcia ich z powrotem w mustangu i na pikapie sprawiały w tej chwili wrażenie problemu przerastającego moje siły. Samo znalezienie mustanga jawiło się jako monumentalne zadanie.

Jest fala, która niesie człowieka na koncert, ale kiedy już wyrzuci cię na brzeg występu, nie przychodzi podobna, która by cię zabrała z powrotem. Zwłaszcza kiedy kolana ci się trzęsą i czujesz się, jakby ruszały ci się wszystkie zęby. Kiedy widzisz tylko swojego martwego perkusistę i wszystkie dziewczyny, z którymi się przespałeś, za co się później nienawidziłeś, kiedy odzyskiwałeś rano przytomność.

Shayla wciąż nawijała coś o glinach, ale ja nie wiedziałem, co dobrego mogłoby przynieść ich ściągnięcie, chyba że przyprowadziliby tu mój samochód. Słyszałem bicie serca w czole albo może w skroniach. Jeremy cały czas mówił, łagodnie i powoli, Leyla odpowiadała mu jak echo.

Powinienem wymyślić jakiś sposób na zgrabne zakończenie tego odcinka, ale uznałem, że zmontują cios Angie i zrobią z niego *clou* programu.

Tkwiał z kamerą skierowaną prosto na mnie. Powiedziałem do obiektywu:

– Cięcie.

Tylko na tyle było mnie stać. Wzgórza i doliny. Moje myśli zwinęły się w kulkę w cieniu gór, na które się wspiałem i z których szczytów runąłem w przepaść.

Jeremy ujął mnie pod ramię.

– Cole, chodź, stary. – Spojrzał na T. – Dość już nagrałeś. Wyłącz ją.

Jeremy prowadził swojego starego pikapa, a ja siedziałem na siedzeniu pasażera z głową opartą o boczną szybę. Nie rozmawialiśmy. Poza tym i tak byłem zachrypnięty.

Mieszkał w Hollywood Hills. Chociaż formalnie nie było to daleko od miasta, człowiek miał wrażenie wjeżdżania do innego stanu. Wąskie uliczki wiły się po stromych zboczach wzgórz usiane skrzynkami pocztowymi, jukami, drzewkami pomarańczowymi, zakurzonymi pikapami i BMW. Wzdłuż asfaltu stały zaniedbane domy z lat dwudziestych, każdy inny – stuletni mieszkańcy starszego Los Angeles.

Każda kolejna ulica była węższa i bardziej stroma, każdy kolejny zakręt – ciaśniejszy, aż w końcu dojechaliśmy do domu, który Jeremy dzielił ze swoją dziewczyną. Ściany jasnozielonego przysadzistego budynku pokrywały kratki ogrodowe. Obok rósł eukaliptus sprawiający wrażenie, jakby stanowił jedną całość z domem, co wydawało się właściwe w przypadku Jeremy'ego. Pod metalową wiatą stał niedbale zaparkowany, zakurzony i bardzo zaniedbany mustang, kilka dekad starszy od mojego.

Jeremy zatrzymał się na ulicy.

– Chyba powinieneś zostawić swój telefon służbowy w samochodzie.

Spojrzałem na niego, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Po chwili dotarło do mnie, o czym mówił.

– Isabel go ma.

Jeremy zmarszczył brwi. W myślach katalogował moją aktywność w internecie z ostatnich kilku tygodni.

– No tak – stwierdził. Zaciągnął hamulec ręczny i wrzucił bieg. – Cóż, zostaw wszystko inne, co ma związek z programem.

Weszliśmy po nierównych betonowych schodach. Mnie zajęło to więcej czasu niż jemu. Wnętrze domu wyglądało dokładnie tak, jak bym się spodziewał po Jeremym: skromnie, przestronnie i bardzo oszczędnie. Zaprowadził mnie do wąskiej podłużnej kuchni pełnej brzydkiego wyposażenia pamiętającego lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku.

Oparłem się o futrynę drzwi i oddałem użalaniu nad sobą, podczas gdy on pracowicie przetrząsał zawartość szuflad, aż znalazł czystą ścierkę do naczyń.

– Nie ruszaj się – zakomenderował.

Położyłem twarz bokiem na blacie kuchennym, a on zajął się oczyszczaniem skóry. Wkrótce ściereka była cała pokryta ziemią i innym syfem.

– Jezu Chryste! Jeremy! Cole? St. Clair?

W ten sposób dowiedziałem się, że Jeremy mieszkał z dziewczyną, która grała na ukulele w kapeli występującej dwa lata temu przed nami jako *support*. Stała w drzwiach wejściowych do kuchni w staniku i szortach. Zapewne niektóre przedstawicielki płci pięknej czułyby się nieswojo, gdyby w takim stroju niespodziewanie odkryły w domu gości, ale sposób, w jaki stała, wyraźnie wskazywał, że nie jest jedną z nich. Ostatni raz widziałem ją w Portland, kiedy graliśmy koncert charytatywny wspierający zbiórkę pieniędzy dla sierot.

– Cześć, Star – wymamrotałem.

Star spojrzała na Jeremy'ego.

– Ty go tak urządziłeś?

Jeremy obmacywał mi delikatnie czoło.

– Czy mamy w domu apteczkę?

Star dołączyła do niego i nachyliła się nade mną. Pachniała paczulą – słodko i sennie. Przed oczami miałem jej nagie nogi obok nagich nóg Jeremy'ego. Stali obok siebie z taką swobodą, tak niewymuszenie, że nagle poczułem się niesamowicie podle, wspominając wszystkie moje wybory życiowe. Chciałem... chciałem... Musiałem się uderzyć w głowę mocniej, niż początkowo sądziłem.

Chciałem Isabel, ale ona była tak bardzo poza moim zasięgiem.

Star dotknęła ostrożnie moich włosów.

– Może powinien pojechać do szpitala, Germ?

Zamknąłem oczy. Wolałbym zdechnąć na tym blacie.

– Potrzebuje spokoju i ciszy – odparł Jeremy. – Mamy za sobą ciężki dzień.

Odsunęli się ode mnie i przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie przez chwilę cicho rozmawiali. Ich głosy przypominały mi ten

dom: usatkwowane, skromne i znajome. Bardzo często używali słowa „on”, musieli więc rozmawiać o mnie, ale nie dbałem o to. Ludzie ciągle o mnie rozmawiali.

– Muszę do łazienki – oznajmiłem Jeremy’emu.

Oboje jednocześnie wskazali zakręt korytarza.

Zamknąłem za sobą drzwi, włączyłem światło i wentylator, po czym oparłem się o umywalkę osadzoną na postumencie i bujałem się to w przód, to w tył. Nie było żadnego lustra, przed oczami miałem więc cały czas twarz Angie i twarz Victora. W uszach brzmiały mi wszystkie rozmowy, jakie kiedykolwiek odbyłem z nim na temat narkotyków, wilków czy samobójstwa. Wyjąłem z kieszeni spodni strzykawkę, rozebrałem się, zwinąłem w kulkę na podłodze koło umywalki i wbiłem igłę w żyłę.

Nie było mnie przez pięć minut. Nie dość długo, żeby osiągnąć cokolwiek poza pozbyciem się najsilniejszych drgawek i może lekkim podleczeniem tego guza na czole. Nic nie zepsułem, drzwi były wciąż zamknięte, a Jeremy nie dobijał się od zewnątrz, nie zachowywałem się zatem głośno.

Ubrałem się, spuściłem wodę w sedesie, żeby myśleli, że z niego korzystałem, i na koniec umyłem ręce.

Czułem się lepiej. Albo może inaczej. Dokonałem tymczasowego restartu.

Jeremy stał wyczekująco w kuchni. Kiedy do niego dołączyłem, westchnął i powiedział:

– Poszła kupić ci jakąś maść z antybiotykiem i koreańskie żarcie z grilla. Wciąż nie jesteś wegetarianinem, prawda? Tak, tak myślałem.

Podał mi szklankę wody, czystą ścierkę i torebkę mrożonej zielonej fasolki do przyłożenia do głowy, po czym zajął się wędrowaniem po swoim domu i przyglądaniem się brakowi mebli i dóbr materialnych oraz zatrzęsieniu bambusowych mat i roślin doniczkowych. Zapewne byłoby to nie do zniesienia, gdyby nie wyglądająca na bardzo wygodną sofa, pomarańczowe popiersie Beethovena i stare drewniane głośniki, które przytargał ze sobą na pierwszy odcinek programu.

– Podoba mi się tu – stwierdziłem, ponieważ ze sposobu, w jaki zdjął buty i chodził boso po całym domu, z dumą wprost promieniującą

z niego, wywnioskowałem, że chciałby coś takiego ode mnie usłyszeć.

– Mnie też – odparł.

– Jesteś ze Star.

– Owszem.

– Zrobiła się z niej niezła laska. Jak długo to już trwa?

– Dwa lata.

– Rany.

– Długo cię nie było, Cole.

Odłożyłem mrożonkę do zlewu i wyszedłem na zewnątrz, żeby poczekać na Star na świeżym powietrzu. Staliśmy przy ścianie porośniętej pnącymi czerwonymi różami, a Jeremy opowiadał mi, jak to kupił ten dom za swoją ostatnią zaliczkę za trasę NARKOTIKI i dał pieniądze Star, żeby płaciła rachunki i ogarniała wszystkie opłaty, podczas gdy on grywał tu i ówdzie, aż pewnego dnia zakomunikowała mu, że potrzebują więcej kasy, żeby być nad kreską.

– Zabiera ci wszystkie pieniądze? – zapytałem.

Koło mojej głowy przeleciał koliber.

Jeremy spojrzał na mnie.

– *Daję* je jej.

Ogólnie sytuacja przedstawiała się następująco: nie było mnie blisko dwa lata, a jak już wróciłem, Jeremy dorósł, kupił sobie dom, stał się szczęśliwym człowiekiem – nie, wróc, zawsze był szczęśliwy, teraz był szczęśliwy i z kimś – ja zaś byłem z powrotem starym sobą.

Twarz mi pulsowała z bólu albo może było to serce. Miałem już tak serdecznie dość samotności, chociaż ja zawsze byłem sam, nawet gdy wokół mnie byli inni ludzie. Miałem też dość bycia osaczonym, chociaż właściwie zawsze byłem osaczony, nawet gdy byłem sam. Tyle się ciągle mówiło, jak to wszyscy chcą być cholernie wyjątkowi. Ja miałem powyżej uszu bycia jednym w swoim rodzaju.

– Nie sądzę, żebym dał radę – stwierdziłem.

Jeremy nie zapytał: „Co?”. Potarł tylko brzeg karoserii zakurzonego, sponiewieranego mustanga w miejscu oświetlonym przez wieczorne słońce. Ten sam koliber znowu przemknął koło mojej głowy. Zatrzymał się przy różach, ale to nie ich szukał.

– Nie sądzę, żebym dał radę wrócić na trasę. Chybabym temu nie

podolał.

Nie zareagował od razu. Wdrapał się na maskę samochodu i usiadł na niej po turecku. Podeszwy jego nagich stóp były bardzo brudne.

W zamyśleniu skubał konopną opaskę na kostce jednej z nóg.

– Naprawdę rozmawiamy o trasie koncertowej? – zapytał.

– O czym innym mielibyśmy rozmawiać?

– Czy to naprawdę powrotowi do koncertowania nie podołasz? Czy może chodzi o bycie sobą?

Spojrzałem na trawę rosnącą na skraju malutkiego, wypralonego słońcem podwórka. Ziemię i żwir znaczyły ślady opon. Star zabrała pikapa razem z moim telefonem. Chociaż zapewne wcale nie zabrała. Jeremy zapewne dał jej kluczyki.

– Cole, chyba musimy o tym pogadać.

– Nie chcesz wiedzieć, Jeremy. Naprawdę nie chcesz.

– W zasadzie to chyba już wiem.

Spojrzałem wzdłuż skąpanej w wieczornym półmroku uliczki. Na samiuteńkim jej końcu mały chłopiec jeździł na bladoniebieskim rowerze.

Cała okolica sprawiała wrażenie niesamowicie bezpiecznej. W jakiś sposób bardziej przypominała Kalifornię niż resztę L.A. Bardziej przypominała samą krainę. Tak jakby wyblakłe od słońca otynkowane i drewniane domy były powoli wypychane wraz z zakurzonymi samochodami z suchej ziemi przez kolejne pokolenia trzęsień ziemi. Nie chodziło o to, że ta dzielnica podobała mi się bardziej niż reszta miasta. Sprawiała jednak wrażenie miejsca wymagającego dużo mniej zachodu, aby wciąż wyglądać tak samo. Miejsca, które nie zwróciłoby na człowieka większej uwagi, gdyby zrobił sobie dzień wolnego albo się zestarzał. Miejsca, w którym może nawet robiło się w nocy ciemno.

– Wiesz, dlaczego to wydaje się takie parszywe? – przerwał ciszę Jeremy. – Bo brniesz w to sam. Bo zamykasz się w łazience. Nie chodzi o to samo w sobie. Chodzi o to, że trzymasz to w tajemnicy. Że robisz to tylko wtedy, kiedy jesteś zły.

Zamarłem. Patrzyłem nieruchomo na chłopca kręcącego nierówne kółka na końcu krótkiego podjazdu jego domu. Czułem się, jakby świat

został zgnieciony wokół mnie w kulkę niczym kartka papieru. Nawet gdybym zdołał wykombinować, jak rozprostować kartkę z powrotem, już zawsze byłaby pomarszczona.

– Są inne sposoby na bycie nieszczęśliwym, Cole. Są lepsze sposoby na radzenie sobie z życiem niż wyciąganie wtyczki z mózgu.

– Próbowałem – oznajmiłem głosem bardziej chropawym, niż się spodziewałem.

– Nie, byłeś szczęśliwy. Nie musiałeś próbować aż do teraz.

Nie odpowiedziałem mu na to. Nie było najmniejszego sensu w spieraniu się z nim. Znał mnie równie dobrze co ja sam. Grał bas moich myśli na trzech albumach.

– Victor nie żyje – powiedziałem.

– Wiem. Domyśliłem się.

– To moja wina. Wszystko. To ja go w to wciągnąłem.

– Victor sam się w to wciągnął – zaprotestował Jeremy. – Wszyscy byliśmy dziećmi z Nowego Jorku. Ja nie wchodziłem za tobą w królicze nory. Victor poszedłby i bez ciebie.

Nie wierzyłem w to. Byłem bardzo przekonujący.

– Jak ty to robisz? – zapytałem.

– Po prostu żyję, Cole. Nie uciekam od świata we własnej głowie. Zajmuję się głównymi rzeczami, kiedy tylko się pojawiają, i nie przestaję, aż nie znikną. Kiedy starasz się o nich nie myśleć, żyją wiecznie.

Zamknąłem oczy. Wciąż słyszałem chłopca jeżdżącego na rowerze przy wylocie ulicy. Jego obecność skierowała moje myśli ku chłopakowi z dachu – temu, który rozbił swój samolot, bo nie chodziło o lądowanie, ale o latanie.

– Zawsze sądziłem, że to ty skończysz pod ziemią – podjął Jeremy.

– Ciągłe oczekiwałem, że któregoś dnia obudzi mnie w nocy telefon. Albo że pójde cię zgarnąć z twojego pokoju przed koncertem i okaże się, że przyszedłem za późno. Albo...

Urwał. Kiedy obróciłem się i spojrzałem na niego, wciąż siedzącego po turecku na masce mustanga, oczy mu lśniły. Zamrugał i dwie łzy spłynęły mu po twarzy, szybkie i błyszczące jak rtęć.

Czułem się chyba najgorzej i jednocześnie najlepiej w całym życiu.

I zupełnie nie wiedziałem, co mam powiedzieć: „Przepraszam? Nie chciałem skrzywdzić nikogo poza sobą?”.

– Nikt mi nie powiedział, że będzie tak ciężko – stwierdziłem.

– Dlaczego dla ciebie zawsze jest ciężiej?

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem, czy naprawdę moje życie było cięższe, czy też byłem zwyczajnie wadliwym modelem. Wytarłem nos w rękę i wskazałem mustanga.

– To jest coś.

– No – przytaknął Jeremy zupełnie innym głosem. – Dostałem go razem z domem. Dostaliśmy razem z nim też zgniatarkę do śmieci, ale Star ją popsuła.

Obaj westchnęliśmy.

– O, jedzie – zakomunikował Jeremy.

Rzeczywiście jego pikap pojawił się u stóp wzgórza. Samochód zatrzymał się obok małego chłopca na rowerze. Dzieciak podszedł do otwartego okna po stronie kierowcy. Z kabiny wyłoniła się długa brązowa ręka z bransoletkami podzwaniającymi na nadgarstku. Przez szybę widziałem włosy zwisające luźno po obu stronach twarzy dziewczyny. Chłopiec przechylił się na swoim mocno już zużytym rowerze i rozmawiał z nią. Jego włosy były koszmarnie potargane. Nagle zostałem pożarty przez tęsknotę za przeszłością, której nie miałem.

Chciałem tylko być szczęśliwy. Chciałem tylko *coś* zrobić.

– Musisz to odrzucić – powiedział Jeremy. – W przeciwnym razie zawsze będzie się na ciebie czaić. Musisz z tego zrezygnować, ale na serio, bo inaczej stanie się to twoim jedynym rozwiązaniem, kiedy cokolwiek pójdzie ci w życiu nie tak.

Pikap zatrzymał się koło nas. Star zaciągnęła ręczny i przechyliła się nad siedzeniem pasażera, żeby mi się przyjrzeć. Wyszczrzyła zęby w niewymuszonym uśmiechu.

– Wybrałeś życie, kiedy mnie nie było?

– Pewnie – przytaknąłem.

– Ale na serio? – zapytał Jeremy.

Spojrzenie mu w twarz bolało, ale w pewnym sensie to był przyjemny ból.

– Tak.

Tego wieczoru pojechałam z powiekami o barwie wstrząśniętego lodu i ustami w kolorze podłogi w rzeźni do położonego wśród kanionów domu Sierry.

Nadszedł czas poimprezować.

Miałam na sobie sukienkę z białego winylu albo skóry – nie potrafiłam odróżnić jednego od drugiego. Czy ktokolwiek potrafiłby stwierdzić różnicę? Zresztą jeśli ktokolwiek zacząłby w to wnikać, znaczyłoby to tylko tyle, że źle ją noszę. Na stopy wsunęłam białe sandały na olbrzymich koturnach. Jedynym kolorem w mojej kreacji były wargi rodem z horroru. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie ostrzegałam.

Kiedyś się zastanawiałam, na czym tak właściwie polega imprezowanie. Kiedy miałam jedenaście, może dwanaście lat. We wszystkich filmach ludzie zawsze sprawiali wrażenie strasznie chętnych do chodzenia na imprezy. We wszystkich serialach dziewczyny zastanawiały się, czy zostaną zaproszone na tę czy tamtą imprezę, i rozmawiały ze sobą, tak jakby istniały imprezy różnej jakości. Nie miałam pojęcia, co je ciągnęło w te miejsca, ale starały się tam dostać tak rozpaczliwie, że musiało to być coś fajnego.

Teraz miałam za sobą naprawdę wiele imprez. Okazało się, że zabawy pokazywane w telewizji nie były przekłamaniem. Zawierały większość elementów występujących na prawdziwych przyjęciach: alkohol, całowanie, obmacywanie, muzykę brzmiącą lepiej na twoich głośnikach w domu. Czasem może jakieś narkotyki, gry alkoholowe, zabawy w basenie czy dowcipne przekomarzanki. To ostatnie chyba należałoby wrzucić do jednego worka z grami alkoholowymi albo z obmacywaniem.

Może zawsze byłam zbyt trzeźwa, żeby się dobrze bawić?

Dom Sierry znajdował się w Hollywood Hills, wysoko położonej ekskluzywnej dzielnicy, z której roztaczał się widok na światła innych, nieco mniej ekskluzywnych dzielnic. Była to w zasadzie ogromna posiadłość otoczona białym murem z kutą bramą wjazdową, taki jakby

płaskowyż gładkiego betonu i okien. Gustownie ukryte reflektory poprowadziły mnie z taksówki na podwórze. Ponieważ to był dom Sierry i impreza Sierry, z głośników leciał senny shoegaze⁹. Coś jakby skrzyżowanie rozlanej szklanki wody z elektronicznym biczowaniem w spowolnionym tempie. Wszędzie dokoła było już mnóstwo ludzi. Boże, jakże ja ich wszystkich nienawidziłam.

Weszłam sztywno do wnętrza budynku. Z powodu nieregularnego rytmu muzyki i otaczających mnie ze wszystkich stron ludzi miałam wrażenie, jakby ziemia się pode mną ruszała. Niektórzy mogli się za mną oglądać. Nie potrafiłam tego ocenić. Bycie mną oznaczało, że każdą napotkaną osobę obdarzałam co najwyżej przelotnym pogardliwym spojrzeniem.

Kłopot z imprezami polegał częściowo na tym, że nie miałam pojęcia, jaki jest cel tego wszystkiego, w związku z czym zawsze przegapiałam moment, w którym towarzystwo zaczynało się rozchodzić. Rozglądałam się w poszukiwaniu Sierry. Przynajmniej jeśli mnie tu zobaczy, dostanę plus za zjawienie się.

Minęłam duży basen wypełniony pluskającymi się nimfami i oświetlony zmieniającymi kolor lampami. Różowy, fioletowy, zielony. Jakiś chłopak zanurzony po pas w wodzie chwycił mnie mokrą dłonią za kostkę.

– Wskakuj – zaproponował.

Opuściłam na niego wzrok. Oczy miał podkreślone błyszczącą kredką. Ciekawe, jakiej marki była to kredka, skoro nie zmyła jej woda w basenie. Mokra dłoń zaciśnięta na mojej nodze przypominała mi Cole'a, który zrobił coś bardzo podobnego wiele, wiele miesięcy temu.

– Nie lubię się moczyć – odparłam bardzo chłodno.

Spodziewałam się dalszego namawiania, ale chłopak tylko się speszył i zniknął pod wodą wraz z wszelkim szacunkiem, jaki mogłam dla niego mieć.

Na środku basenu jakaś dziewczyna unosiła się na plecach, zataczając leniwe kółka. Podążał za nią, równie leniwie, jakiś facet, co chwilę całując ją w dłoń. Zadałam sobie w głowie pytanie, czy istniał kiedykolwiek świat, w którym mogłabym stać się taka jak oni. Czy patrzyłam właśnie na osobę, którą mogłabym zostać, gdybym nigdy nie

opuściła Kalifornii? Gdyby mój brat nie umarł? Gdybyśmy nie wyprowadzili się z dala od Cole'a? Gdyby moi rodzice nigdy się nie rozeszli?

Kiedy minęłam basen i wyszłam na otaczający dom pozornie nieskończony balkon wyłożony terakotą, ktoś ze świecą pałeczką owiniętą wokół szyi zaproponował mi drinka. W kieliszku były dwie wymieszane ciecze we fluorescencyjnych kolorach – coś, co zarazem chciałam sobie wlać do ust i czego natura nie chciała widzieć w moim układzie pokarmowym.

Pokręciłam głową. Kiedyś mój brat Jack powiedział, że alkohol zmienia cię w kogoś innego, a ja zdecydowanie tego nie chciałam. Co, jeśli ten ktoś inny był jeszcze gorszy, niż ja już byłam? Innym razem moja przyjaciółka Mackenzie stwierdziła, że dzięki alkoholowi jest się tylko bardziej sobą.

Świat tego nie potrzebował.

Szłam przed siebie, przesuwając palcami po metalowej barierce okalającej balkon. Światła w domu były pogaszone, wszyscy mieli na sobie luminescencyjne pałeczki, lampki choinkowe i różne inne świecące rzeczy. Nie chciałam wchodzić do środka, ale bez wątpienia właśnie tam znajdowała się Sierra. Była taka dziecinna. Wszystko w tym miejscu, naprawdę wszystko, przypominało urzeczywistnione marzenie dziecka.

Ale tak naprawdę była to tylko grupa dorosłych przebierańców i mnóstwo bezsensownego blichtru.

Po prostu nienawidziłam...

Dlaczego nie mogłam nasiąknąć tym blichтром?

Czyjeś dłonie na mojej ręce. Sierra. Znalazła mnie mimo wszystko. Wyglądała jak jakiś obcy – ze świecącymi w ciemności rzęsami i fosforyzującymi piegami na nosie i policzkach. We włosy wplotła światłowody. Nie była kobietą – była instalacją. Wszystkie jej przyjaciółki również świeciły w ciemności. Szefowa ścisnęła mnie za rękę.

– Skarbie! Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Znajdź sobie jakiegoś drinka, jakiegoś chłopaka, jakieś marzenie, wszystko jest cudowne!

W jej źrenicach skrzyły się dwa małe odbicia różowo--zielonych

neonów. Cmoknęła powietrze obok mojego policzka.

W odpowiedzi rozchyliłam lekko wargi i zamrugałam powoli, zatrzymując na chwilę rzęsy na skórze. Wcześniej ćwiczyłam to w lustrze wiele razy. Można było to zrobić dużo wolniej, niż się sądziło, co czyniło ten grymas jeszcze bardziej cynicznym.

Sierra była zachwycona. Przedstawiła mnie przyjaciółkom, pociągnęła za materiał mojej sukienki, kładąc mi rękę wprost na piersi, po czym odrzuciła głowę do tyłu, żebyśmy mogły wszystkie zobaczyć, jaką to ona ma długą szyję.

– Chodź, potrzebujesz tego... – powiedziała i wyciągnęła skądś fluorescencyjną kredkę do makijażu. – Zamknij.

Zamknęłam oczy. Poczułam pociągnięcie na powiekach, na wargach.

– Otwórz. – Sierra szczyrzyła zęby w uśmiechu. – Teraz jesteś jedną z nas.

To nigdy nie będzie prawdą.

– Idź – zakomenderowała Sierra, machając ręką. – Baw się. A potem wróć do mnie opowiedzieć o wszystkich wspaniałych miejscach, które odwiedziłaś!

– Jasne. Właśnie szłam się bawić. Pa, pa.

Co prawda nie zostałam odprawiona, ale tak się czułam. Sierra naprawdę była przekonana, że odfrunę radośnie z twarzą świecąca w ciemności i pośpieszę poznawać jej przyjaciół. To była impreza dla dzieci, a one miały to do siebie, że uwielbiały inne dzieci.

Może nawet nie wiedziałam, jak to się robi.

Przeszłam przez zupełnie ciemny salon (blada sofa została muśnięta tu i ówdzie fluorescencyjną farbką) do zupełnie ciemnej kuchni (ze świecącymi plamami na blacie) i dalej do zupełnie ciemnego czegoś innego (nic nie świeciło poza szklanym stolikiem kawowym niedoskonale odbijającym moją twarz). Muzyka dobiegała zewsząd. Powietrze pachniało pomarańczami, preclami i neonowym różem.

Wędrując powoli od jednej rozmowy ludzi, którzy właśnie się spotkali, do drugiej, rozmyślałam o tym, że L.A. było miejscem, w którym trudno być samemu. Co prawda wszędzie na świecie trudno być samemu, ale to miasto rozkoszowało się kontaktami, uławiało je na

każdym kroku. Uwidaczniało, jak bardzo ktoś nie potrafił nawiązywać kontaktów, jeśli nie wychodziło mu to nawet tu. To było miejsce, w którym uśmiechało się do nieznajomych, chodziło z nimi za rękę, całowało się z nimi, a jeśli człowiek tego nie robił, to dlatego, że w ogóle do nikogo się nie uśmiechał, z nikim nie chodził za rękę i z nikim się nie całował. Kwestia bycia nieznajomym była nieistotna.

Jak długo już tu byłam?

– Isabel!

To był Mark, mąż Sierry. Stał razem z kilkoma facetami wyglądającymi podobnie jak on – przyjemnymi dla oka, nieszkodliwymi, opalonymi i radosnymi. Mogłam się im przyjrzeć, bo stali tuż przy przeszklonej ścianie. Za nimi grunt opadał powoli w stronę kłębiącego się niespokojnie L.A.

– Nie świecicie w ciemności – zauważyłam.

– Świecimy przykładem – odparł Mark. Jego koledzy się roześmiali. Ja nie. – Chcesz coś do picia?

– Coś, co się nie świeci? Czy w tym domu istnieje zwykła woda?

– Woda! – wtrącił się jeden z jego znajomych. Miał nienagannie przystrzyżoną kocią bródkę. – Tutaj? To nie jest koszerne.

– Sądzę, że to pewnie jest jedyna koszerne rzecz na całej imprezie – odparłam z irytacją. – Czy ty wiesz w ogóle cokolwiek o żydowskich zwyczajach?

– Jestem obrzezany – odparł. – To jest żydowski zwyczaj, nie? Oj, moment, Jezu, jesteś Żydówką?

Spojrzałam na niego. Wykonałam przeciwiczone powolne mrugnięcie. Rozchyliłam wargi. Przyglądał mi się.

– Wydawało mi się, że miałaś mi przynieść szklankę wody.

Ruszył na poszukiwania. Mark zaśmiał się z podziwem.

– Ładnie go zrobiłaś.

Zmrużyłam lekko oczy, dając w ten sposób do zrozumienia, że przyjąłm jego uwagę do wiadomości. Doprawdy, sekret tkwił w tym, aby się prawie w ogóle nie odzywać, a kiedy już się otwierało usta, powiedzieć coś okropnego. Wtedy wszyscy robili to, czego chciałam.

Mark pośpiesznie wypełnił ciszę.

– Właśnie rozmawialiśmy z Grubbem, wiesz, o tym gościu, który

wylądował myśliwcem z odłamanym skrzydłem. Ono, wiesz, tego, wzięło i odpadło, a on i tak wylądował.

– Czy to nie najbardziej wykręcona rzecz, jaką słyszałaś? – powiedział Grubb głosem powolnym jak rzeka lawy.

– Wykręcone – stwierdziłam.

Mark dotknął swojej szyi, potem brody, chociaż patrzył na moją szyję i moją brodę.

– Gdzie się podział Lars z twoim picciem? Zdecydowanie się nie śpieszy.

– Dla mnie to bez różnicy. I tak bym nie zaufała niczemu nalanemu przez kogoś innego. – Cały czas patrzyłam Markowi prosto w oczy. Nie chciałam z nim flirtować, nie pragnęłam go, ale chciałam się przekonać, co potrafię zrobić. – Mogłyby być w tym świetliki.

Mark przesunął zębami po dolnej wardze, tak jakby myślał o wodzie, chociaż moim zdaniem raczej wyobrażał sobie teraz coś zupełnie innego. Serce zabiło mi trochę mocniej. Droczyłam się z nim, ale co to mogło zaszkodzić? Chciałam się tylko dowiedzieć. Chciałam się przekonać, czy jeśli zapragnęłabym mieć kogoś innego, zdołałabym go zdobyć. I ile by mnie to kosztowało wysiłku. Czy wystarczyło po prostu być, nic nie mówić i pozwalać im snuć wyobrażenia na temat tego, kim się naprawdę było?

– Dobra, chodźmy razem poszukać ci tej wody – zaproponował Mark. – Możesz mnie pilnować, jak będę nalewał. Żadnych świetlików.

Dłonie zaczęły mi się nagle pocić. To nie było zwykle droczenie się. Już nie. To było na serio.

Zastanawiałam się, jak Cole się czuł, kiedy na trasie przespał się z przygodną dziewczyną. Czy to było właśnie to? Gra. Pogoń. Kopniak w ego, ciepło w dołku, świadomość, że moje usta chcą być całowane i że pragnęłam, aby ktoś rozpiął moją sukienkę i zobaczył, jak dobrze wyglądałam w samym staniku.

Mogłam mu powiedzieć, że sama pójdę po picie. Mogłam zaczekać, aż Lars wróci, chociaż nie było najmniejszej szansy, żeby przyniósł coś bez alkoholu. Byłam tego pewna, bo znałam facetów, chociaż nie znałam tego konkretnego.

Po prostu chciałam, żeby coś się stało. Chciałam przestać snuć się

samotnie między imprezowiczami w oczekiwaniu na... Nawet nie wiedziałam na co. Aż będę wiedziała, że już skończyłam? Aż będę wiedziała, że sobie poimprezowałam – czas przeszły dokonany?

– Chodźmy – zgodziłam się.

– Stary, zaraz wracam – rzucił do Grubba Mark.

Zaraz wracam. Zaraz wracam. Ponieważ tak naprawdę nic się nie działo.

Ruszyłam za Markiem. Ku mojemu zdziwieniu naprawdę zaprowadził mnie do baru, gdzie nalał mi szklankę wody. Podał mi ją, nie odrywając spojrzenia od moich oczu. Czekał. Serce wyrywało mi się z piersi. Chciałam osiągnąć coś, cokolwiek, nawet jeśli oznaczało to całowanie się z Markiem.

– Gdzie ja to mam teraz wypić? – zapytałam.

Markowi nie trzeba było nic więcej.

– Chodź, pokażę ci coś – odparł.

Coś okazało się okrągłym betonowym obserwatorium na końcu jednego z długich balkonów. Wewnątrz urządzono niewielką sypialnię z zakrzywionym, robionym na zamówienie lustrem po jednej stronie i szykownym czerwonym materacem na niskim łóżku po drugiej. Za oświetlenie służyły okna dachowe, przez które sączył się blask reflektorów. Mark zamknął drzwi za nami, po czym odebrał mi szklankę i odstawił na niski stolik.

Następnie jego dłonie zacisnęły się na mojej opiętej winylem albo skórą talii, a jego usta odszukały moje.

Sukienka była raczej winylowa. Nie było mowy, żebym za te pieniądze, jakie za nią dałam, dostała prawdziwą skórę. Z drugiej strony kupowałam w sklepie z używanymi ciuchami. Zatem mogło to być coś drogiego, co się komuś zwyczajnie znudziło.

Wciąż się całowaliśmy. Napierał na mnie równie gwałtownie i zachłannie co wcześniej Cole. Nie miało znaczenia, że Mark tak właściwie mnie nie znał. I tak dopadł moich ust, jakby należały do limitowanej edycji, jakby właśnie miały wyjść z mody, kupujcie, póki są. Było coś zarazem wyzwalającego i przygnębiającego w wiedzy, że miłość zdawała się nie mieć nic wspólnego z pożądaniem.

Zsunął dłonie na moje biodra i przyciągnął mnie do siebie, mocno,

a mnie to nie przeszkadzało. A więc tak czuł się ktoś traktowany jak przedmiot. Tak wyglądało uprzedmiotowienie. Gdyby był kimś bezimiennym, co by to zmieniało? Gdyby nie miał twarzy? Gdyby był tylko swoimi dłońmi lub łędźwiami przyciśniętymi do moich...

Oderwał się ode mnie tylko na chwilę.

– Nic nie mów – ostrzegłam go.

Zaśmiał się cicho.

– Nie, serio. Zamknij się.

Zamknął się.

W całowaniu się z tym osobnikiem nie było nic nieprzyjemnego pod względem fizycznym. Nawet przeciwnie, gdyby spojrzeć na rzecz bez emocji. Moje wargi ustąpiły pod jego naporem. Przyłgnęłam brzuchem do jego sześciopaku. Wodził prowokująco palcami wzdłuż suwaka z przodu sukienki. Nabrałam gwałtownie powietrza, gdy pocałował skraj mojej piersi. Czułam się jak ktoś inny. Z zewnątrz, uznałam, tworzyliśmy zapewne bardzo ładną parę. Sytuacja sprawiała wrażenie bardzo dorosłej chwili, typowej dla L.A. Dwójka ładnych ludzi całująca się w obserwatorium zbudowanym z myślą o badaniu ludzi, obmacująca się przy łóżku przeznaczonym do rzeczy innych niż sen. Wiedziałam, że mnie rozbierze, jeśli mu tylko pozwolę, i nie widziałam żadnych przeciwwskazań. To pewnie nie będzie czymś nagannym, nawet jeśli nie było niczym chwalebny. Jakkolwiek by na to spojrzeć, byłaby to elegancka i wyrazista historia.

Jego koszula została wyciągnięta ze spodni. Drżał z podniecenia, ale nie był w żaden sposób nachalny. To nie było nic złego. Nie miałam nic przeciwko.

Materiał mojej sukienki zmarszczył się nierówno pod jego prawą dłoń. Z pewnością winyl by się tak nie zachowywał. Nie miałam zielonego pojęcia. Nie dawało mi to spokoju, będę to musiała wyszukać w sieci.

Rozpiął suwak sukienki aż do pępka.

No cóż, zatem to się zdarzy. Czekałam na nadejście uczucia bycia roznegliżowaną.

Mark się odchylił.

– Boże – powiedział – ale ty jesteś piękna.

Jego głos brzmiał tak samo jak każdego wieczoru, kiedy wchodził na zaplecze zając się robotą papierkową. Identycznie jak wtedy, kiedy mnie zapytał, czy znam Cole'a. Innymi słowy, brzmiał dokładnie jak głos Marka, ponieważ to *był* Mark. Jaki w ogóle był sens takiego stwierdzenia? Zapewne nie zrozumiał, o co w tym wszystkim chodziło.

– Mówiłam ci, żebyś się zamknął.

Zaśmiał się.

A ja nie. Odepchnęłam jego dłoń i zasunęłam z powrotem suwak.

– To by było tyle.

– Co? Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

Spodziewałam się protestów, ale on tylko przeczesał palcami włosy. Na ustach miał rozmazaną neonową smugę. Ze mnie. Z moich warg. Po dłuższej chwili rzucił:

– Cóż, do kitu.

Byłam bliska powiedzenia: „Czekaj, tylko żartowałam, kontynuujmy”. Bo teraz zostawałam z przykrym smakiem w ustach i niejasnym uczuciem nienawiści do niego, do siebie czy też do wszystkiego wokół.

– To i tak pewnie był kiepski pomysł – powiedział Mark. – Nie jestem dość pijany.

Im dłużej mówił i im więcej czasu upływało od jego ostatniego dotyku, tym bardziej do mnie docierało sedno tej całej sytuacji: prawie przespałam się z mężem szefowej. Całowałam się z nim na imprezie. Byłam jedną z takich.

– Powinieneś już iść. – Mój głos dochodził jeszcze ze świata żywych, chociaż ledwie. – Sierra cię szuka.

Kiedy na mnie spojrział, przez chwilę na jego twarzy malowała się konsternacja, by po chwili ustąpić czemuś na kształt litości. Zaśmiał się, ale nie z rozbawieniem. Śmiał się ze mnie albo z siebie. Poczułam się naiwna i głupia.

– Nie. Nie szuka.

Wbiłam w niego wzrok, błękitne oczy zimne niczym sama śmierć spoglądające przez otwory sztywnej maski, i czekałam, aż niepewność z powrotem zakradnie się do jego spojrzenia. Gdy osiągnęłam

zamierzony efekt, powiedziałam:

– Muszę poprawić szminkę.

Wyszedł, zanim zdążyłam sięgnąć po torebkę. Drzwi ledwie skrzypnęły. Stałam przed lustrem i przyglądałam się moim fluorescencyjnym ustom. Wytarłam je, starannie nałożyłam z powrotem moją blad różową pomadkę, poprawiłam włosy wokół twarzy i poprawiłam suwak sukienki. Po wszystkich zabiegach wyglądałam tak samo jak w chwili wysiadania z taksówki.

Wyjęłam z torebki telefon. Poprawiłam jeszcze kredką oczy, uważając, aby nie rozmazać neonowego błękitu nałożonego przez Sierę.

Oddechnęłam głęboko.

Wybrałam numer Cole'a.

– Jesteś trzeźwy? – zapytałam.

– Ej, no wiesz. O to pyta...

– Cole. Jesteś?

Chwila milczenia w celu okazania irytacji.

– Tak.

Spokojnie, bez drżenia w głosie, choć kosztowało mnie to mnóstwo wysiłku, poprosiłam:

– Przyjedź po mnie.

Kiedy dojechałem na miejsce, musiałem zaparkować spory kawałek w dół ulicy. Potem, kiedy już dotarłem na imprezę, trochę potrwało, zanim znalazłem Isabel. Wszystkie światła w domu były pogażone, za to porozstawiano masę lamp UV, w wyniku czego dziewczyny świeciły w ciemności. Poza murami budynku było mnóstwo brokatu i tańca eksperymentalnego, bo to był właśnie ten rodzaj ludzi. Zostałem rozpoznany, bo to był właśnie ten rodzaj imprezy, ale nikogo to nie obchodziło, bo to był właśnie ten rodzaj imprezy. Od płynącej z głośników muzyki wzbierała we mnie ochota przyłożenia jakiemuś hipisowi.

Isabel stała przy basenie razem z grupką ludzi wymachujących rękami z entuzjazmem i gracją osób mocno wstawionych. Przybrała wystudiowaną pozę. Jedno ramię opuszczone, broda zadarta. Oczy podkreśliła grubą czarną kredką, na której ktoś maznął czymś fluorescencyjnym i niebieskim, pod kolor jej tęczówek. Usta były niczym ze szkła: nieruchome i misternie wyrzeźbione. Miała na sobie białą skórzaną sukienkę, dzięki której wyglądała na tysiąc razy bardziej wyrefinowaną od większości istot ludzkich. Otoczona tym całym blichtrzem, w panujących wokół hałasie i głupkowatości, w świecie zamieszkiwanym przeze mnie z całą moją niezdarnością i hałaśliwością – była piękna.

Faceci w jej grupce gapili się na nią z bojaźliwym zachwytem. Spoglądali na jej obecną maskę i widzieli zapierającą dech w piersiach królową lodu. Coś wymagającego roztopienia.

Ja widziałem tylko to, jak bardzo była smutna.

Gdy się zbliżyłem, zacząłem rozróżniać poszczególne głosy. Wszyscy poza nią byli głośni i rozhisteryzowani. Ona zaś mówiła przyciszonym, znudzonym i obojętnym głosem.

Stałem za nią. Pozostali zobaczyli mnie, zanim ona zdążyła się zorientować.

– Hej, księżniczko – powiedziałem wystarczająco głośno, żeby wszyscy mnie usłyszeli. – Świat dzwonił. Chce cię z powrotem.

Odwróciła się do mnie i wyraz jej twarzy przez krótką chwilę, kiedy mnie zobaczyła... zabił mnie na miejscu. Nie dlatego, że był okrutny, wręcz przeciwnie. Przez ułamek ułamka sekundy ujrzałem w jej rysach czystą ulgę. Błyskawicznie jednak przybrała z powrotem swoją maskę. Ale nie mogła mi już odebrać tego, co zdążyłem uchwycić.

– Ale jak to, już idziesz? – zapytała jedna z jej towarzyszek.

Była błękitnooką blondynką, tak jak Isabel, ale nieco od niej starszą i o kilka stopni cieplejszą.

Dłoń Isabel znalazła się między jej nogą a moją. Bez ceregieli splotłem swoje palce z jej palcami.

– Tak, tak. Jestem w wielkiej potrzebie. Nie mówcie nikomu.

Posłałem uśmiech mówiący o tym, w jak wielkiej potrzebie się znajduję. Dziewczyna uniosła wysoko brwi.

– Do zobaczenia w czwartek – rzuciła Isabel.

Jakże łatwo przychodziło jej ukryć swoją udrękę na widoku. Chyba nigdy dotąd nie widziałem jej tak roztrzęsionej. Mogła też powiedzieć coś jeszcze. Nie zarejestrowałem. Prowadziłem ją na zewnątrz, z dala od tego wszystkiego, przez ludzi, przez bramę, w dół ulicy, do mustanga. Opuściliśmy strefę neonów i wkroczyliśmy w strefę mroku, ale nie puszczałem jej dłoni.

Dotarliśmy do samochodu.

– Chcę prowadzić – oznajmiła.

Nie chciałem dawać jej kluczyków. Bez słowa włożyłem je do jej dłoni.

Jechała zbyt szybko i hamowała zbyt późno, ale jedno można było z całą pewnością powiedzieć o Isabel Culpeper – zawsze potrafiła wziąć się w garść, zanim przekroczyła krawędź otchłani.

– Czyja to była impreza? – zapytałem.

Isabel zacisnęła usta. Nie odrywała wzroku od drogi.

– Mojej szefowej.

Ruszyła ze świateł z piskiem opon. Przeczynałem, że wkrótce zginiemy. Cały czas czułem podniecenie.

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiem.

Ciszę rozdzierał jedynie warkot silnika. Nigdy dotąd nie sądziłem,

że kiedykolwiek będę jechał samochodem bez włączonego radia. Czułem się, jakby właśnie nastąpił koniec świata.

– Dlaczego ja tak nie potrafię? – zapytała nagle ze złością.

Wzięła ostry zakręt, paląc gumę. Całkiem możliwe, że ta nocna przejażdżka skończy się zamknięciem wozu na parkingu policyjnym, ale uznałem, że powiedzenie jej tego teraz byłoby kiepskim pomysłem.

– Czego nie potrafisz?

– Zwyczajnie zapomnieć o wszystkim. Po prostu gdzieś pójść, nawalić się i udawać, że nie istnieją żadne problemy ani żadne konsekwencje. Wiem, dlaczego. Bo problemy i konsekwencje wciąż istnieją. I się ciągną, i ciągną... i... imprezowanie nie sprawia, że znikają. Czuję się, jakbym ja jedna na całym świecie była zdrowa na umyśle. Nie pojmuję, dlaczego wszystko wokół jedzie na głupocie.

Z każdym kolejnym zdaniem nie mówiła głośniej, lecz bardziej bezbarwnie.

– Ty to potrafisz. Widziałam cię pijanego. I wiem, że znowu byłeś wilkiem. Czuć to od ciebie. Nie jestem głupia.

Długo nie odpowiadałem. Wiedziałem, że ją to tylko bardziej rozwściecza, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Zbyt bolał mnie jej brak zaufania, a także to, że koniec końców nie okazałem się go godny.

Byłem trzeźwy, ale byłem też wilkiem, a to z dwojga złego była ta gorsza opcja.

Isabel prowadziła ze wzrokiem sztywno wbitym w drogę przed nami. Wzięła kolejny zakręt z piskiem opon.

– *Bój się*. Dlaczego ty się nigdy nie boisz?

– Czego chciałabyś, żebyśmy się bał?

Opony zostawiły za nami długie, nierówne czarne smugi, kiedy Isabel nagle zahamowała na czerwonym świetle na pustym skrzyżowaniu.

– Śmierci. Porażki. Czegokolwiek.

„Boję się, że nie odbierzesz telefonu”.

– Dokąd zmierzamy, Isabel? – zapytałem.

W zasadzie miałem na myśli naszą przejażdżkę, ale także jakby coś więcej.

– Nie wiem.

– Chcesz wracać do domu?

Nie odpowiedziała. A to znaczyło „nie”. To dobrze. Nie chciałem jej odwozić do jej domu.

– Chcesz pojechać do mnie?

– Nie chcę paradować przed kamerami.

Temu przynajmniej umiałem zaradzić.

Cole nie do końca zabrał mnie do siebie. Polecił mi zaparkować za jego domem, ale kiedy wysiedliśmy, poprowadził mnie w przeciwną stronę, do sąsiedniej bramy.

– Dom jest pusty – poinformował mnie. – Jest do wynajęcia. Niedawno sprawdzałem.

W środku było ciemno w sposób, w jaki nie było ciemno w domu Sierry. W sposób mroczny i niedoskonały, pokrzepiający swoją realnością. Meble były przykładem sfatygowanej elegancji. Nieliczne, przyjemne dla oka i niedrogie w sposób typowy dla wyposażenia domu przeznaczonego na wynajem.

Cole oprowadził mnie, otwierając mijane drzwi, ale prawie nie zaglądając do kryjących się za nimi pomieszczeń.

– Sypialnia. Kuchnia. Wiatrołap. Ubikacja. Schody na taras na dachu. Sypialnia. Korytarz na boczny ogródek.

Na koniec zaprowadził mnie przez niewielki aneks wypoczynkowy do przesuwanych drzwi ukrytych za bambusowym parawanem. Napał na nie ramieniem i pchał, aż ustąpiły. Po drugiej stronie było coś, czego bym się tu nigdy nie spodziewała: miniaturowy ogrodowy świat. Nie do końca rozumiałam ideę tego pomieszczenia, dopóki nie przekroczyłam progu i nie rozejrzałam się. Na samym środku stała biała sofa. Jakieś trzy metry dalej znajdowały się kolejne przesuwane drzwi prowadzące do reszty domu. Między jednym wejściem a drugim w tym niewielkim pokoju po ścianach pełzły, wspinały się i rozwijały tropikalne liście wszelkich kształtów i rozmiarów. Jedno drzewko było obsypane pomarańczami, drugie – cytrynami. Wokół pni niewielkich palm tłoczyły się gęste paprocie. Niemrawo, dopiero przy drugim rzucie oka ujawniały swoją obecność tajemnicze kwiaty przypominające egzotyczne ptaki. Powietrze pachniało rzeczami rosnącymi i rzeczami pięknymi – rzeczami, które ludzie upychali w butelkach i którymi później nacierali skórę za uszami.

Cole wplótł palce w moje włosy i pociągnął lekko, aż skierowałam wzrok prosto w górę. Zobaczyłam to, co mi chciał pokazać: sufit,

wysoko nad nami, spiczasty i wykonany w całości ze szkła. To była szklarnia. Nie, jakie było właściwe słowo? Oranżeria.

Rośliny pokrywające ściany i noc wspólnie wyeliminowały wszelkie odgłosy ulic i okolicznych imprez. Byliśmy w środku niczego. Z powrotem w Minnesocie. Nie, jeszcze dalej, w o wiele dziwniejszym miejscu. Gdzieś, gdzie jeszcze nie powstała ludzka stopa.

Cole podszedł do kanapy i rzucił się na nią, tak jakby zobaczył już cały świat i zdążył się nim znudzić. Po chwili westchnął tak głęboko, że bardziej to zobaczyłam, niż usłyszałam – uniesienie klatki piersiowej i potem nagłe opadnięcie.

Postawiłam torebkę obok kanapy i usiadłam na drugim końcu mebla. Zarzuciłam nogi na kolana Cole'a, oparłam się wygodnie o oparcie i także westchnęłam. Cole położył ręce na moich łydkach i zamrugał, wpatrując się w przeciwległą ścianę. W wyrazie jego twarzy było coś wyświechtanego.

Siedzieliśmy tak przez kilka szarozielonych minut. Liście palm i paproci ledwo się poruszały. Obok mojej głowy połyskujący kwiat o trąbkowym kształcie zwisał niczym wyczekujący milczący dzwonek. Żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Cole wciąż patrzył na ścianę, a ja patrzyłam na niego i na rosnące za nim drzewko pomarańczowe.

Przesunął dłoń, muskając palcami kostkę mojej stopy.

Nabrałam gwałtownie powietrza.

Wodził czubkami palców po mojej skórze, prawie mnie łaskocząc. Przesuwał je wokół wystającej kostki, wzdłuż brzegu sandała. Dłonie rzeźbiarza.

Spojrzałam na niego. Odwzajemnił spojrzenie.

Ostrożnie rozpiął pasek buta. Pierwszy uderzył o podłogę obcas. Przesunął dłonią wzdłuż stopy i dalej, aż na łydkę. W ślad za jego palcami pojawiała się gęsia skórka.

Wypuściłam powietrze z płuc.

Drugi sandał dołączył do pierwszego. Dłonie powędrowały w górę nogi. Urzekł mnie sposób, w jaki mnie dotykał. Tak jakby jego dłonie uważały mnie za piękną. Tak jakbym była czymś ślicznym. Tak jakby możliwość wodzenia palcami po moim ciele była niebywałym przywilejem.

Nie poruszałam się. Nie wiedział, że ledwie kilka godzin temu, na imprezie, pozwoliłam komuś innemu mnie dotykać i że ja dotykałam tego kogoś.

Ale...

Cole nachylił się, aby sięgnąć moich ust. Ten pocałunek... Jego wargi były wygłodniałe, spragnione. Ale jego dłonie nie ruszały się z moich pleców i mojego biodra, jego dotyk wciąż był niemym krzykiem: „Kocham cię”.

Jakże byłam głupia, gdy sądziłam, że dostrzegłabym różnicę między tym pocałunkiem a pocałunkiem Marka. Jakże śmieszna była próba sprowadzenia Cole'a do jego zamętu i hałaśliwości. Jakże kretyńskie było tak się na niego wściekać, żeby w myślach wymazać inne jego cechy, nie mniej prawdziwe. Czym byłam ja, gdyby zdrapać ze mnie doszczętnie życzliwość?

Kredką do oczu w białej sukience.

Odarci ze wszystkich naszych grzechów byliśmy tacy malutcy.

Kiedy oplotłam ramionami jego szyję, płakałam.

Wychodziłam na kompletną idiotkę. Taka doskonała chwila, taki doskonały pocałunek, a ja płakałam. Tak wiele rzeczy było we mnie do kitu. Byłam tak niesłychanie popaprana, że nie potrafiłam płakać, kiedy wszystko szło nie tak, i nie umiałam powstrzymać się od łez, kiedy wszystko było w porządku.

Nasze usta były słone. Cole nie przerwał pocałunku, nawet na chwilę, tylko przesunął ręce w górę moich pleców i przyciągnął mnie mocniej do siebie. Po pewnym czasie przycisnął czoło do mojego, a ja położyłam dłonie na jego twarzy i tkwiliśmy tak nieruchomo, oddychając nawzajem swoimi oddechami. Było w tym tak wiele *nas* i tak mało *jego* i *mnie*. Nas, nas, nas. Przeciwieństwem samotności było właśnie to.

– Jesteś jedyną dobrą decyzją, jaką podjąłem w całym swoim życiu – powiedział.

– Przepraszam, że jestem takim wrakiem.

Znów mnie pocałował. W usta, w szyję, pod uchem.

Zawahał się. Po chwili odchylił się i poprosił:

– Powiedz mi, że to coś dla ciebie znaczy.

Dziwna to była prośba. Wydawało mi się, że powinno być raczej na odwrót. To przecież on był koncertującą po kraju gwiazdą rocka zaliczającą niezliczone dziewczyny w niezliczone noce. To on miał ten nonszalancki uśmiech i niewymuszony śmiech.

Ale nie taka była prawda. Nie do końca. Nie teraz. Teraz prawdą było to, że to ja miałam serce z metalu. To ja zawsze odchodziłam.

Łza skapnęła mi z brody na nogę. Była szara od kredki do oczu.

– Nie pozwól mi cię zostawić – powiedziałam.

A potem, w naszym tajemnym skrawku Los Angeles, całowaliśmy się i wyslizgnęliśmy z ubrań. Jego dłonie wielbiły moje ciało, mój język badał wnętrze jego ust. A na końcu byliśmy my, my, my.

Rozdział czterdziesty piąty
Cole

To miejsce, to miejsce. Sucha Venice, wymyślony Eden, świecący newage'owy hipsterski pałac, do którego ludzie przybywali, aby wierzyć w los, przeznaczenie, karmę i wszystkie inne rzeczy, które są prawdziwe tylko tutaj i tylko jeśli sam sprawisz, że staną się prawdziwe.

Kiedyś byłem martwy w Los Angeles.

Otworzyłam oczy i nie wiedziałam, gdzie jestem. Potem, kiedy się już zupełnie rozbudziłam, nagle sobie przypomniałam, ale nie potrafiłam tego ogarnąć. W głowie miałam mętlik obrazów i bodźców. Moje nagie nogi leżące na kołdrze, świecący niczym latarnia księżyc za popękaną szybą okienną, pajęczy cień rzucany na ścianę przez dzban ususzonej gipsówki. Pokryta meszkiem broda Cole'a na moim mostku, jego bok – opalony, gładki i nieskończony, jego pępek, jego biodra, jego nogi, jedna z jego stóp skrzyżowana z moją, jedna z jego dłoni niedbale spoczywająca na mojej szyi, druga – zwinięta na delikatnej skórze pod biustem.

Mój mózg rejestrował kolejne obrazy i w końcu zdołał połączyć je w myśli i wspomnienia. Nareszcie zrozumiałam sytuację: byłam tak bardzo, niemiłosiernie naga.

Leżeliśmy w jednej z sypialni w domu na wynajem. Pijani sobą nawzajem, istniejący w zlanym potem miejscu poza logiką. Wtoczyliśmy się tu wczorajszego wieczora i zasnęliśmy na kołdrze. Teraz była jakaś nieprzyzwoicie wczesna godzina przed świtem i...

Co ja wyprawiałam? Kim była ta druga osoba? Co ja sobie myślałam?

Wyswobodziłam się z Cole'a i odszukałam ubrania na podłodze. Sięgnęłam nad nimi po telefon wystający z kieszeni kurtki. Druga rano. Moja matka jest jeszcze w pracy, nie powinna się martwić. Ale oczywiście Sofia czekała i wypatrywała mnie bezsennymi sowimi oczami, niepokojąc się o mnie. Miałam cztery nieodebrane połączenia od niej.

– Ej – odezwał się Cole. Wyglądał młodo, nieskomplikowanie i rozespanie. Uniósł minimalnie dłoń i wyciągnął palce w moją stronę. – Ej – powtórzył sennym głosem.

Nagle cała skamieniałam, bojąc się, że zaraz wymówi imię, które nie będzie moim. Wiedziałam w ten surowy, szczery sposób, że gdyby z jego ust padło w tej chwili imię jakiejś innej dziewczyny, pękłoby mi serce.

– Isabel – powiedział. – Co ty robisz?

Nie wiedziałam. Poczułam, jak nogi pode mną dygoczą. Zaczęłam się ubierać.

– Muszę wracać – oznajmiłam.

Mój głos sprawiał wrażenie o wiele bardziej rozbudzonego. W świetle wpadającym od ulicy wyraźnie widziałam toaletkę, lustro i szklaną rzeźbę w kącie. Wyglądało na to, że w tym mieście nie było miejsca, w którym kiedykolwiek byłoby zupełnie ciemno. Nagle poczułam żrącą tęsknotę za prawdziwą nocą, doskonałą czernią, która ukryłaby mnie bez śladu.

– Nie – odparł zwyczajnie. Tym razem uniósł całą rękę i wyciągnął ją w moją stronę. – Zostań.

– Nie mogę. Ludzie na mnie... Nikt nie wie, gdzie jestem. Muszę wracać.

– Poradzą sobie bez ciebie do rana. Chodź tu. Wracaj spać.

– Nie mam zamiaru spać. Muszę...

Nie mogłam sobie poradzić z założeniem z powrotem sukienki. Żadna jej część nie zachowywała się tak, jak powinna. Była cała wywrócona na lewą stronę, a moje palce gmerały przy niej niezdarnie.

Cole uniósł się na łokciu, aby obserwować moje gniewne zmagania z garderobą. W końcu szarpnęłam suwak i zapięłam go – nierówno. Ech, kto to zauważy o tej porze? Nikt. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie włożyłam kluczyki do samochodu. Może były wciąż w oranżerii? Nie było ich ani na stoliku nocnym, ani w mojej torebce, ani na podłodze, ani... Nie, nie, nie, przecież przyjechałam wozem Cole'a.

Potrzebowałam taksówki, będę musiała po jakąś zadzwonić. Nie mogłam sobie nawet przypomnieć...

– Isabel. – Głos Cole'a dobiegł wprost zza moich pleców. Ujął mnie za łokcie i obrócił do siebie. Stawiłam opór, cała sztywniejąc. Nie mogłam mu spojrzeć w oczy. – Jeśli musisz wracać, odwiozę cię. Chyba oszalałaś.

– Puść mnie, proszę – zażądałam.

Była to najwredniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek komuś powiedziałam, a do tego nawet nie chciałam tego, o co prosiłam.

Puścił. Spodziewałam się, że jego twarz nie będzie miała żadnego

wyrazu, że prawdziwy Cole uciekł gdzieś, gdzie nie mogłam go dręczyć, ale on wciąż tam był.

– Nie rób mi tego.

Z jakiegoś powodu nacisk położył na słowo „mi”. Tak jakby nie oczekiwał, że będę w stanie powstrzymać się od robienia „tego”, cokolwiek to było, ale może przynajmniej mogłabym przestać wymierzać to w niego.

Chciałam, żeby ręce przestały mi się trząść. Chciałam, żeby mój mózg odzyskał kontrolę nad ciałem.

– Muszę wracać – powtórzyłam. – Wychodzę. Nie rób z tego powodu sceny.

Nawet nie rejestrowałam tego, co mówiłam. Wiedziałam tylko tyle, że miałam zamiar teraz wyjść. Miałam wszystko pod kontrolą. Zadzwoń po taksówkę. Dojdę na piechotę do Abbot Kinney i wsiądę do niej.

Cole odezwał się zdławionym głosem:

– W porządku, Isabel. Po prostu... Łapię. Ty o wszystkim decydujesz. Zadzwoń do mnie, kiedy uznasz za stosowne, w porządku? To, czego ja chcę, jest bez znaczenia. Nie ma znaczenia, jak bardzo cię... Łapię. Nieważne. Będę grał według twoich zasad.

Nie odpowiedziałam. Już byłam na zewnątrz.

Rozdział czterdziesty siódmy
Cole

włącz światło
który wygląda dziś dobrze
Może ja
Może nie
czy pasuję do twoich butów
twoich włosów
twojej twarzy
Może ja
Może nie
z powrotem na wieszak
rociągnięty lecz nie znoszony
jestem tym używanym

Napisałem album.

Nie miałem nic lepszego do roboty.

Niebo nad L.A. zasnuło się chmurami i smogiem. Bez jaskrawego słońca i nasyconych kolorów wszystko wyglądało inaczej. Domy wydawały się bardziej płaskie, pęknięcia w asfalcie – głębsze, a palmy – suchsze. Nie miałem wrażenia, jakby L.A., które tak uwielbiałem, zniknęło, ale raczej jakby się schowało, zasnęło lub zostało przewrócone i leżało teraz w rowie i czekało, aż je znajdę.

Miałem dość czekania. Tworzenia. Robienia. Chciałem jakiegoś zakończenia, zwieńczenia, poczucia, że gdzieś dotarłem, coś osiągnąłem.

Chciałem, żeby Isabel do mnie zadzwoniła i powiedziała, że się myliła, że mnie pragnęła, że mnie kochała.

Zadzwoiłem do Leona.

– Towarzyszu. Czy masz ochotę na lunch z kimś sławnym?

– Miałbym, ale nie mogę – odparł uprzejmie. – Mam kursy aż do północy.

Północ będzie za tysiąc lat. L.A. mogło do tego czasu umrzeć.

– No to jutro. Hot dogi chili. Zaznacz sobie w kalendarzu. Tym razem ja prowadzę.

Wsiadłem do mustanga i ruszyłem. Nie miałem konkretnego celu, samochód zawiózł mnie do Santa Monica. Wiedziałem, że jest tu Isabel, ale on nie wiedział, że ona nie chce mnie widzieć. Wjechałem na wielki wielopoziomowy parking i siedziałem za kierownicą przy wyłączonym silniku. Nie wiedziałem, czego chcę. Pragnąłem wystrzelić w górę. Dotknąłem skóry w miejscu, w które wstrzyknąłbym wilka. Niemal go czułem. Zastanowiłem się, czy zdołałbym wywołać przemianę bez strzykawki lub zmiany temperatury, tak jak wtedy, kiedy cuchnąłem wilkiem w noc półnagich dziewczyn.

Powiedziałem Jeremy'emu, że daję sobie z tym spokój.

Dałem sobie z tym spokój. Naprawdę. Po prostu trwanie przy tym postanowieniu okazało się trudniejsze, niż się spodziewałem. Chociaż nie. Właściwie nie. Dobrze wiedziałem, że będzie ciężko.

Odstawianie nigdy nie jest łatwe.

Isabel była ledwie kilka przecznic ode mnie. Miałem już dość zerkania na telefon, czy przypadkiem nie przyszła jakaś wiadomość.

W samochodzie zaczynało być duszno. Otworzyłem drzwi i dalej siedziałem na parkingu zalanym przyćmionym błękitnym światłem. Dotknąłem skóry na przegubie i w zgięciu łokcia, myślałem o tym, żeby zniknąć.

Ktoś zawołał mnie po imieniu.

– Cole? Cole?

Obejrzałem się. Przy samochodzie stał niski chłopak z dużym nosem i lekko przetłuszczonymi kasztanowymi lokami. Wyglądał na mniej więcej mojego rówieśnika. Na jego twarzy gościł dobrze mi znany wyraz religijnego uniesienia sprawiający, że skóra jakby lekko świeciła.

Spotkanie z fanem.

Upewniłem się, że mam na sobie twarz Cole'a St. Claira. Nie miałem długopisu, żeby dać mu autograf, ale może on miał coś do pisania.

– Hej – powitałem go, niechętnie gramoląc się z samochodu. Zamknąłem drzwi. – Jak leci?

W lekkim oszołomieniu i zadziwieniu powtórzył bezgłośnie „Jak leci”.

– Ja, eee, tak jakby jestem, znaczy, nie wiem, co powiedzieć. Sorki, ja, eee, to krępujące, po prostu jesteś, ja...

– W porządku, spoko – wtrąciłem uspokajająco. – Nie śpiesz się.

– Nie jestem jakimś natrętem, słowo, zupełnie nie jestem.

To nie był najlepszy sposób rozpoczynania rozmowy, ale słyszałem to już wcześniej. Czekałem bez słowa.

– Widziałem, jak tu wjeżdżasz, oglądałem program, jestem wielkim fanem NARKOTIKI. Mam, tego, wszystkie twoje albumy, po dwa każdego, i ciągle je kupuję, żeby zarażać twoją muzyką, wiesz, wszystkich znajomych.

W jego słowach nie było zupełnie nic złego, ale z jakiegoś powodu poczułem w gardle lekki ścisk na dźwięk nazwy zespołu. Coś jakby atak klaustrofobii. Odbyłem już taką rozmowę, czy też bardzo podobną, podczas trasy koncertowej. Miałem wrażenie *déjà vu* i oderwania od

rzeczywistości. Tak jakbym wyśnił ostatnie dwa lata i teraz się budził z powrotem w moim starym życiu.

– Czadowo – pochwaliłem go. – Zawsze fajnie jest spotkać fana.

– Zaczekaj – dodał szybko. – Zaczekaj, chciałem ci powiedzieć coś jeszcze. Bo widzisz, kiedy zniknąłeś...

Nadstawiłem uważniej uszu.

– ...kiedy zniknąłeś, ja także miałem ciężki okres. – Podciągnął rękawy. W zniekształconych cieniach rzucanych przez błękitnawe światło wpadające przez klatkę schodową dostrzegłem koszmarną płataninę blizn. Ślady po igłach i sznycach. Ale stare. Stare blizny. – Ale kiedy usłyszałem w radiu, że jesteś na odwyku, pomyślałem sobie, że ja też dam radę. I dałem. Normalnie udało mi się dzięki tobie. Bo jeśli ty mogłeś wrócić z tego, powstać z martwych, to ja też. Odmieniłeś moje życie. Ta piosenka, którą graliście, *ja włożę trumnę do grobu/nie musisz mnie grzebać*, wiem, że jest, jest o odradzaniu się...

Coffinbone nie było utworem o odradzaniu, lecz o pragnieniu śmierci. Wszystkie moje teksty w tamtych czasach mówiły o poszukiwaniu końca. Poczulem bolesny ucisk w piersi.

– Kiedy się dowiedziałem, że jesteś w mieście, że znowu nagrywasz, zrozumiałem, że nadszedł odpowiedni czas. I kiedy zobaczyłem cię tutaj, wiedziałem, że to mój, że to moja szansa na podziękowanie ci. I pokazanie ci, wybaczyć, jest wciąż trochę świeży.

Chłopak obrócił się do mnie bokiem i podciągnął koszulkę. Skóra na jego plecach była czerwona i rozzłoszczona podrażnieniem wokół wykonanego niedawno tatuażu. Pochyłe litery oznajmiały wszem wobec: *ja włożę trumnę do grobu/nie musisz mnie grzebać*. Niżej była data. Data jego wyjścia z odwyku, rozpoczęcia go czy czegoś tam. Zapewne chciał, żebym zapytał. Nie zrobiłem tego.

Nie było w tym wszystkim nic złego, poza tym, że wziął fragment tekstu o wyglądaniu śmierci w każdej sekundzie każdego dnia i wytatuował go sobie, bo go nie rozumiał. W tym również w sumie nie było nic złego, ponieważ te słowa znaczyły to, co on chciał, żeby znaczyły.

Ale ja wiedziałem, co znaczyły w chwili ich pisania i śpiewania, i utrwalenie tego w postaci tatuażu, naznaczenie sobie ciała moim

pragnieniem śmierci przyprawiało mnie o mdłości. Mój żołądek nie uspokoił się nawet, kiedy opuścił koszulkę.

– To niesamowite, człowieku – zapewniłem go. – Cieszę się razem z tobą. Przybij... Przybij pięczę.

Zadrżał, otarł lewe oko, po czym najdelikatniej, jak to było możliwe, przyłożył dłoń w zwiniętą pięść do mojej. Wyglądał, jakby się miał zaraz przewrócić.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, jak wielką jesteś dla mnie inspiracją. Nie chcę ci przeszkadzać w czymkolwiek, co miałeś... nieważne. O rany! To najlepszy dzień mojego życia.

Pomachałem mu niemrawo i odwróciłem się do niego plecami. Ruszyłem schodami w dół. Zgrzytanie metalowych stopni pod moimi stopami niosło się echem daleko za mną. Nogi się pode mną uginały, a serce nagle gwałtownie przyśpieszyło.

Zrobił wszystko tak, jak należy. Nie zatrzymywał mnie. Nie poprosił o autograf na twarzy albo na kutasie. Powiedział tylko, co miał do powiedzenia, i ruszył swoją drogą. Dokonał samooczyszczenia i niesłusznie przypisał mi odpowiedzialność za swoją wygraną walkę z nałogiem.

Moje wyjście na prostą było jednak tak kruche. Co się dzieje, kiedy swoją terapię opierasz na udanym wyleczeniu kogoś innego, ale ten ktoś inny okazuje się dalej chory? Zateśniłem za beztróskim optymizmem swoich pierwszych dni. Za moją niewzruszoną pewnością siebie.

Gdy dotarłem do .blush., skórę miałem już wilgotną od potu. Serce tłukło jak oszalałe. Racjonalne myśli podpowiadały, że to stan lękowy. Całe ciało dosłownie wyło. Każdy kawałek skóry wysyłał do mózgu tysiąc komunikatów na sekundę. „Biegnij. Walcz. Uciekaj, gdzie pieprz rośnie”.

Nie było czego się bać. Nie było nic, co by uzasadniało mój niepokój. Ale kiedy przerzucałem w myślach widok tego tatuażu niczym łopata wrzucająca ziemię do otwartego grobu, lęk ścisnął mi żołądek. Miałem wrażenie, że temperatura nagle poleciała na łeb, na szyję.

„Tu nie jest zimno” – powtarzałem sobie. Nawet mimo zachmurzenia nie było chłodno. Spojrzałem na ulicę i wyobraziłem sobie oślepiająco jasne słońce odbijające się od lusterek samochodów, białe

światło skrzące się na ścianach budynków. Ale mój mózg wył, że jest zimno. Od fałszywego chłodu całe ramiona pokryły mi się gęsią skórką.

Od początku wiedziałem, że im częściej będę się starał wymusić przemianę, tym bardziej będzie rosło ryzyko spontanicznego przeistoczenia. Grałem na tej loterii już od wielu tygodni.

„Nie”.

Zadzwoiłem do Isabel. Palce mi się trzęsły już na tyle, że miałem problemy z trafianiem we właściwe przyciski.

Jej głos był kolejnym chłodnym akcentem w tym niesamowicie jasnym dniu.

– Culpep...

– Czy sklep jest pusty?

– Cole, to nie jest...

– Czy jest pusty?

Musiała odpowiedzieć twierdząco, byłem bowiem już na miejscu, moja twarz odbijała się w czarnym jak lód zwierciadle drzwi, a moja dłoń spoczywała na uchwycie. Czuję, że powinienem włożyć głowę między kolana, oddychać z cholerną papierową torbą przytkniętą do ust, zamknąć się w pokoju daleko od chmur i od świata. Musiałem zniknąć z ulicy.

– Tak. Hej, o co cho...

– Przepraszam – powiedziałem i rozłączyłem się.

Wrzuciłem telefon, portfel i kluczyki do stojącej przy drzwiach doniczki z jakąś rośliną.

„To się nie dzieje naprawdę”.

Ale się działo.

W chwili, gdy pchnąłem drzwi do .blush., w chwili, gdy zimne powietrze z klimatyzatora uderzyło w moją i tak już chłodną skórę, było po wszystkim.

Isabel stała między stołami założonymi ubraniami i wpatrywała się we mnie.

Jej twarz miała dość dziwny wyraz, tak jakbym miał kłopoty ze zrozumieniem jej rysów.

Poczułem ssanie w żołądku. Skóra stała się szorstka. Oddech był coraz szybszy. Nie mogłem jej powiedzieć, co się działo. Ale też nie

musiałem tego robić.

Zamknęła oczy, tylko na krótką chwilę. Otworzyła je i powiedziała:

– Nie. Cole, nie mogę...

Ale ja już byłem wilkiem.

Tak po prostu – stało się.

W obliczu katastrofy należało postępować następująco: ustalić, co jest podstawą problemu. Znaleźć rozwiązanie. Odsunąć od siebie wszystko, co rozprasza uwagę.

Katastrofa była następująca: Cole St. Clair był wilkiem w samym środku Santa Monica, uwięzionym w moim miejscu pracy, które właśnie przygotowywałam do prywatnego pokazu zaplanowanego przez Sierrę na ten wieczór. Taka sytuacja byłaby wystarczająco zła w dowolnych innych okolicznościach, ale teraz miałam żywego wilka w środku sklepu oświetlonego setką świec.

„Ustalić, co jest podstawą problemu”.

Cole St. Clair.

„Znaleźć rozwiązanie”.

To wystarczyło, żebym zechciała się poddać.

Oto był, on sam, z krwi i kości – wszystko, czego się bałam. Nie był to żaden potwór. Nie chodziło o Cole’a.

Chodziło o wszystkie wilki, które zostały w Minnesocie.

O wszystkie bolesne, przesycone smutkiem i żalem wspomnienia galopujące właśnie przez moje myśli. O wszystkie łzy, których nie uрониłam od przeprowadzki.

Wilk nie poruszył się. Jego uszy powoli obróciły się w moją stronę, a potem z powrotem do tyłu, nasłuchując odgłosów ruchu ulicznego. Przepiękna sierść była zjeżona w pierwotnym podejrzeniu. Tak jak poprzednio, co właśnie sobie przypomniałam, ślepie były wciąż oczami Cole’a: jasnozielonymi i bystrymi, ale jednocześnie odartymi ze wszystkiego, co czyniło Cole’a sobą, wypełnionymi obecnie instynktem i obrazami.

Wilk sprężył się do ucieczki, ale nie miał dokąd biec.

Nie powinnam była wpuszczać go z powrotem do mojego życia.

W dziełach Sierry najwspanialsze było to, że zwierzę doskonale wpasowywało się w otoczenie – przynajmniej dopóki pozostawało w bezruchu. Wyglądał na wypchanego i postawionego tu z rozmysłem.

Widziałam w swoim życiu wiele wypchanych zwierząt. Dzięki, tato.

To wspomnienie zmusiło moje zwoje mózgowe do pracy.

„Myśl, Isabel”.

Przeanalizowałam sytuację: wilk, stosy ubrań, świece.

„Ustalić, co jest podstawą problemu”.

Świece nie były jeszcze problemem. Wejście Sierry nie było jeszcze problemem. To były na razie jedynie możliwości.

Problemem był wilk. Gdy się tylko nad tym zastanowiłam, odpowiedź stała się oczywista. Wiedziałam dość o biologii przemian, żeby mieć świadomość, że przy takiej pogodzie jego ciało domyślnie przybierało postać ludzką. Wilkołaki w Minnesocie zmieniały się w wilki na zimę, ale w tym sklepie panowała tylko tymczasowa zima. Nie miałam pojęcia, dlaczego klimatyzacja sprawiła, że zmienił się właśnie teraz, ale efekt widziałam właśnie przed sobą.

„Znaleźć rozwiązanie”.

Zerknęłam na przeciwległą ścianę, na której wisiał termostat.

Ciepło.

Spojrzałam na wiszący wysoko na ścianie zegar. Za piętnaście minut zjawi się tu Sierra, aby zacząć chłodzić szampana. Serce waliło mi jak młotem.

„Niech cię cholera, Cole, niech cię diabli wezmą...”.

Zrobiłam krok. Tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

Wilk szarpnął głową i uważnie śledził mój ruch. W jego zachowaniu nie było nic otwarcie agresywnego, ale z drugiej strony cała jego postawa komunikowała niebezpieczeństwo. Potężne mięśnie barków napięły się pod futrem. Łapy wyprężyły się i dosłyszałam cichy, ledwo słyszalny odgłos pazurów drapiących beton. Wilk uniósł w milczeniu fagle i przez chwilę błysnął biały jak śmierć kiel.

Ostrzeżenie.

Jako wilk Cole mnie nie znał. Nie będzie się starał rozmyślnie rozerwać mi gardło, ale jeśli uzna, że stanowią dla niego zagrożenie, nic go przed tym nie powstrzyma.

Oderwałam od niego wzrok. Wpatrywanie się zostałoby odczytane jako wyzwanie. Zrobiłam kolejny krok. I jeszcze jeden. Nie zbliżałam się do niego. Nie stanowiłam zagrożenia.

Wilk odwrócił się szybkim węzowym ruchem, zostawił odcisk nosa na szybie drzwi i zwrócił się ponownie w stronę wnętrza sklepu. Przypadł do ziemi, rozejrzał się czujnie i ruszył między stoły i stojaki z ubraniami.

Byle tylko nie szedł w moją stronę... Dotarłam do termostatu. Przełączyłam klimatyzację na ogrzewanie i podkręciłam temperaturę do oporu.

W drugiej części sklepu wilk dostrzegł nagle swoje odbicie w jednym z dekoracyjnych luster opartych o ściany. Zaskoczony odskoczył do tyłu.

Jedna z tylnych łap uderzyła w stojący nieopodal stolik. Na samym szczycie kilkupoziomowej ekspozycji burych bluzek z rękawami z trawy morskiej stały trzy wysokie świece.

Zobaczyłam w lustrze, jak się chwieją.

Wstrzymałam oddech.

Świece się przewróciły.

Przez krótką chwilę, gdy jedna z nich zgasła przy upadku, pomyślałam, że wszystko będzie w porządku. Ale wtedy wyładowały pozostałe dwie. Jedna stoczyła się na podłogę i przygasła z sykiem. Ostatnia uderzyła w bluzkę. Wysuszona trawa morska łatwo zajęła się płomieniem.

„Niech cię cholera weźmie, Sierra...”.

Odbicie coraz wyższego ognia przykuło uwagę wilka. Przywarł płasko do ziemi i szybko odpełzł, ale nie miał dokąd uciekać. Próbował zgrywać odważnego i agresywnego, ale otaczający go świat był ciasny, nieznany i płomienny, a groźne warczenie nie wystarczało, żeby wydostać się z tej pułapki.

W sklepie zaczynało się robić naprawdę gorąco. „No szybciej, Cole. Szybciej”.

Płonąca ekspozycja zaczęła wytwarzać nierówne kłęby dymu. Za dwie sekundy odezwie się alarm pożarowy.

Teraz wystarczyło, że zaczekam, aż przyjadą strażacy i wezwą gliniarzy, którzy zastrzelą wilka.

„Ustalić, co jest podstawą problemu”.

Zaryzykowałam. Zerwałam z wieszaka na ścianie kurtkę

z wegańskiej sztucznej skóry i rzuciłam się w stronę płonącej ekspozycji. Zaczęłam uderzać kurtką o bluzki, aby zdusić płomień. Nie wiedziałam, z czego robili wegańską sztuczną skórę, ale zaczęła się topić.

Gdy tłukłam ogień raz za razem, wilk uciekł ode mnie z powrotem w stronę drzwi wejściowych. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Upewniał się, że nie stanowię dla niego zagrożenia. Albo może patrzył na ogień i upewniał się, że to on nie stanowi zagrożenia. W każdym razie nie zauważył na czas frontowej wystawy. Gnał prosto na nią. Część była oświetlona niskimi grubymi świeczkami, które nie groziły przewróceniem się. Ale on w nie wpadł z całym impetem. Poczułam swąd palonego futra.

Pod sufitem rozległ się sygnał alarmu pożarowego: głośny, czysty i nieprzerwany.

Wilk stracił panowanie nad sobą.

Wspiął się na stolik na wprost siebie, rozrzucając świece na wszystkie strony. Kolejne rzeczy zajmowały się ogniem. Stoły zarzucone koszulkami, stojaki z legginsami, stos ubrań Cole'a. Nawet rośliny Sierry dały za wygraną. Najpierw część wysuszonych liści zwinęła się w rurki, a potem te najbardziej suche zapłonęły głodnym płomieniem. Tak jakby cały sklep był uzbrojoną bombą.

Rzuciłam się w stronę kontuaru z tyłu sklepu i porwałam swoją butelkę z wodą. Rozlałam trochę na brzegu najbliższej ekspozycji. Niesamowicie bezużytecznie działanie. Zaplecze – czy tam było coś większego? Kiedy dojedzie straż pożarna? Czy ja właśnie wypuściłam wilka na ulicę?

Nie mogłam skupić myśli. Alarm pożarowy wrzeszczał na mnie, żebym uciekała.

Cole wcisnął się w kąt z uszami przyciśniętymi płasko do czaszki i cały się trząsł.

– W jaki cudowny sposób nie jest dla ciebie jeszcze dość gorąco? – warknęłam.

Ale było już dość gorąco. Dygotał targany dreszczami przemiany. Łapy zmieniły się w palce, które zacisnęły się na ścianie i drapnęły o beton. Przechylił trzęsący się łeb i nagle to był Cole, chłopak, potwór.

Nagi i ludzki, skulony w kącie.

Przeszył mnie ból. Na jego widok – śmierzącego wilkiem, obserwującego sklep obracający się w ruinę – poczułam niesamowicie silne klucie w sercu.

Źrenice miał bardzo rozszerzone. Odbijały się w nich tańczące płomienie.

– Boże – wydusił z siebie.

Ogień nie zbliżał się do mnie z powodu betonowej posadzki i betonowych ścian. Łatwopalne było tylko to, co Sierra zrobiła, i to, co ja wyhodowałam.

W oddali zabrzmiały syreny. Straż pożarna. Policja. Kamery. Dowód.

– Nie mogą cię tu znaleźć – powiedziałam z taką złością, o jaką się nie podejrzewałam, chociaż nie do końca jeszcze wiedziałam, na co się tak wściekałam. W pośpiechu zrzuciłam buty ze stóp i ściągnęłam legginsy spod długiej tuniki. Rzuciłam mu obie rzeczy. – Załóż to. Uciekaj. Wyjdź tyłem.

Frontową witrynę wypełniła nagle ciemna czerwień wozu strażackiego.

– Ale...

Stan, w jakim znajdował się sklep, przyprawił mnie o mdłości. Za pięć minut zjawi się tu Sierra. Nic w tej sytuacji nie sprawiało wrażenia rzeczywistego. Albo inaczej: to było rzeczywiste, nierzeczywiste było wszystko inne dotąd.

– Wynoś się z mojego życia! – wrzasnęłam.

Cole potrząsnął głową, tak jakby to *on* był na mnie zły, po czym wciągnął na siebie moje ulubione legginsy. Drzwi frontowe otworzyły się i stanął w nich strażak w pełnym rynsztunku.

– Jest tu pani sama? – zawołał ratownik.

Zerknęłam w kąt. Cole zniknął.

Kiedy coś zajmuje się ogniem, można powiedzieć, że poszło z dymem albo że spaliło się na popiół. Uleciało w górę albo osypało się na ziemię. Wszędzie.

Wszystko było zniszczone.

– Ta – odparłam.

Oto, czego ci nie mówią o byciu wilkołakiem.

Nie mówią ci, że będziesz musiał uciekać z płonącego budynku ubrany w parę przyciasnych legginsów w tęczowe czaszki, aby nie zostać głównym oskarżonym w sprawie o podpalenie. Nie mówią ci, że kiedy dobiegniesz do samochodu, przypomnisz sobie, że wrzuciłeś kluczyki do doniczki przed budynkiem, który właśnie podpaliłeś, i że będziesz musiał wrócić na miejsce przestępstwa z całą dyskrecją, na jaką tylko może się zdobyć dojrzały w trzech czwartych mężczyzna ubrany w bardzo błyszczące legginsy, zanim twoje rzeczy zostaną znalezione przez kogoś innego, kto mógłby je sklasyfikować jako dowody rzeczowe.

Nie mówią ci, że kiedy z wdziękiem i godnością przyklękiesz, żeby sięgnąć kluczyków, w lśniących legginsach pójdzie szew od kostki aż po to, czym cię Bóg obdarzył.

Zapewne powiedzieliby ci, że paradowanie nago w miejscu publicznym jest karalne. Jeślibyś o to zapytał.

Ale nie mówią ci, jak wyczerpujące jest uciekanie przed glinami, kiedy dopiero co byłeś przedstawicielem dwóch różnych gatunków w krótkim czasie i musiałeś biec do samochodu i z powrotem.

Nie mówią ci, że jakiś długowłose koleś będzie próbował dać ci swój numer, kiedy będziesz uciekać, podskakując i kłapiąc butami, w stronę parkingu jak najbardziej pokrętną drogą, aby tylko nie doprowadzić niebieskich do swojego mustanga, w przypadku którego już żałowałeś, że nie spłonął w poprzednim wywołanym przez ciebie pożarze.

Nie mówią ci, jak wiele osób będzie robiło zdjęcia nagiego w trzech czwartych Cole'a St. Claira biegającego po Santa Monica.

Nie mówią ci, jak bardzo nagrzewają się na słońcu fotele pokryte czarną skórą i jak bardzo bolesne jest odkrycie tego faktu, kiedy nie ma się na sobie nic albo prawie nic.

Nie mówią ci, że chociaż nie będziesz pamiętał ani jednej rzeczy z czasu bycia wilkiem, wyraz twarzy twojej obecnie już byłej

dziewczyny tuż przed twoją przemianą i tuż po powrocie do ludzkiej skóry zapamiętasz do końca życia.

Nie mówią ci absolutnie niczego. Nie, to nieprawda.

Mówią ci: „Chodź, zostań wilkiem. Od dłuższego czasu szukałeś czegoś, a to, chłopcze, jest właśnie to coś”.

F ♪ Live: *Dzisiaj mamy na linii młodego Cole'a St. Claira, byłego frontmana NARKOTIKI. Gościliśmy go już na antenie pięć tygodni temu, tuż po tym, jak podpisał kontrakt z Baby North z sharpt33th.com. Czy słyszysz liczne stłumione okrzyki? Nie bójcie się, przeżył, a przynajmniej na to wygląda. Praktycznie kończysz już nagrywać album, prawda?*

Cole St. Clair: *Da.*

F ♪ Live: *Jak byś ocenił ten czas w skali od jednego do dziesięciu?*

Cole St. Clair: *Jakoś tak między F a hydrą.*

F ♪ Live: *Takiej właśnie matematyki spodziewam się po gwiazdach rocka. Zanim weszliśmy na antenę, powiedziałeś mi, że został ci już tylko ostatni utwór do nagrania. Co potem?*

Cole St. Clair: *Ty mi powiedz.*

F ♪ Live: *Ależ twój głos brzmi, jakbyś był zmęczony życiem! Jak ci się spodobało L.A.? Zostaniesz z nami?*

Cole St. Clair: *Kocham Los Angeles, ale popsulem tu różne rzeczy. Nie sądzę, żeby to mogło się udać.*

F ♪ Live: *Popsuleś o wiele mniej rzeczy, niż większość z nas się po tobie spodziewała.*

Cole St. Clair: *Cóż mogę powiedzieć, zmieniłem się. To co, posłuchamy teraz tego fragmentu?*

F ♪ Live: *Wy ze Wschodniego Wybrzeża ciągle się gdzieś śpieszycie.*

Cole St. Clair: *Chyba nie jestem prawdziwym mieszkańcem Wschodniego Wybrzeża. Jestem... jak to się mówi? Obecnie bezpaństwowcem.*

F ♪ Live: *L.A. wciąż cię pragnie, chłopcze.*

Cole St. Clair: *Martin, gdyby to tylko była prawda.*

Wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała oddać Cole'owi wirtualnego Cole'a. Wiedziałam też właśnie z niego oraz z radia i z kalendarza, że prawie już skończył z nagrywaniem albumu, a co za tym idzie – z programem. A co jeszcze dalej za tym idzie – z Los Angeles.

A jeszcze, jeszcze dalej – ze mną.

Z tym że nie było to prawdą. To ja pierwsza z nim skończyłam.

Może powinnam po prostu zostawić telefon przy furtce na podwórzu przed jego mieszkaniem? To by oznaczało koniec, naprawdę i ostatecznie. Żadnych niedokończonych spraw.

Jedynym problemem w tym wszystkim było to, jak bardzo mi go brakowało.

Tęsknota nie opuszczała mnie ani na chwilę. Nawet na moment nie łagodniała. Cały czas wmawiałam sobie, że jeśli tylko będę ciągle znajdować sobie coś do roboty, skończę ten cały kurs, złożę papiery do college'ów, przeanalizuję możliwe warianty przyszłości, które mnie urzekły, to przestanę za nim tęsknić choć na jedną minutę jednego dnia.

Ale wszystko w tym cholernym mieście przypominało mi o nim.

Sierra zadzwoniła do mnie kilka dni po pożarze.

– Słodkości? Tak mi przykro, że na ciebie nawrzeszczałam.

Miała na swoją obronę to, że znalazła mnie stojącą wśród dymiących szczątków jej sklepu.

– Wydaje mi się, że krzyki były na miejscu.

– Ale nie na ciebie, cudowności ty moje. Teraz to zrozumiałam. Jest mi naprawdę bardzo przykro, że cię za tamto obwiniałam.

Okazało się też, że było jej przykro z powodu usłyszenia zarzutów nakazania pracownicy działania naruszającego przepisy przeciwpożarowe – mnóstwo świec i ani jednej gaśnicy. Chyba miała nadzieję, że nie podam jej do sądu o odszkodowanie.

– Kiedy ponowne otwarcie? – zapytałam.

Nie chciałam być zmuszona do szukania nowej pracy. Chciałam wrócić do okazywania całemu światu, jak bardzo mnie on nie obchodzi.

– Przepadła cała jesienna kolekcja – odparła Sierra. – Muszę wszystko robić od zera. Nie wiem, czy w tamtym miejscu równowaga energii nie została bezpowrotnie zachwiana. Nie wiem. Muszę podjąć kilka niełatwych decyzji.

– Tak mi przykro – powiedziałam.

Byłam zdziwiona, słysząc te słowa w moich ustach. Jeszcze bardziej mnie zdziwiło, że powiedziałam to na serio.

– Och, ślicznotko, wpadłam w tak koszmarną rutynę. To jest dla mnie dobre! Wszystkie stare pomysły odeszły i narodziła się nowa Sierra! Koniecznie wpadnij na następną imprezę. Nadal mi przykro, że na ciebie nakrzyczałam. Już nie będę tego robić. Och! Muszę lecieć. Pa, słodkości. Pa, pa.

Rozłączyłam się. Wzmianka o imprezie przypomniła mi historię z Markiem, a ta przypomniła mi o Cole’u.

Brakowało mi go. Brakowało mi go cały czas.

Jedyną rzeczą, która trochę poprawiała moje samopoczucie, był przedpokój Domu Tragedii. Matka zdjęła już ze ściany wszystkie zdjęcia ze ślubu i z wesela. Zastąpiły je fotografie przedstawiające mnie i ją, na których wyglądałyśmy jak siostry, albo tylko ją, szczerzącą zęby do obiektywu, z dyplomem ukończenia medycyny w dłoniach. Powinna była lepiej przemyśleć dowieszenie tego ostatniego zdjęcia. Chociaż nie było na nim jego twarzy, wciąż technicznie się tam znajdował. Ten uśmiech był przeznaczony dla niego, bo to on nacisnął spust migawki.

Dla mnie to jednak nie miało znaczenia. Ta ściana była mi potrzebna tylko jako niezawodne przypomnienie, że pięćdziesiąt procent wszystkich amerykańskich małżeństw kończyło się rozwodem, a pozostałe miały wkrótce dołączyć do tych pierwszych.

Przestałabym kochać Cole’a. Taka była brutalna prawda. Ta ściana była dowodem, że któregoś dnia przestałby mnie obchodzić.

Zamknęłam oczy. Nie tak do końca. Gdybym zatrzasnęła powieki, naruszyłabym napięcie powierzchniowe i wszystkie powstrzymywane dotąd łzy przerwałyby tamę.

– Isabel, powinnaś pójść – powiedziała Sofia do moich pleców.

Otworzyłam oczy tak szeroko, jak to tylko możliwe. Nie obróciłam się.

– Pójść? Z kim?

– Z tatą i ze mną. Idziemy...

– Nie mogę, jestem zajęta. – Wciąż wyczuwałam jej obecność, dodałam więc: – Dzięki za propozycję.

Nie poruszyła się. Nie musiałam się odwracać, aby wiedzieć, że zbiera się na odwagę, żeby coś powiedzieć. Chciałam jej kazać wydusić to z siebie, ale nie miałam już siły na bycie wredną.

– Nie jesteś zajęta – powiedziała dzielnie Sofia. – Przyglądałam ci się. Coś jest nie w porządku. Nie musisz... Nie musisz o tym ze mną rozmawiać, ale uważam, że powinnaś z nami pójść.

Nie mogłam uwierzyć, że tak kiepsko sobie radziłam z ukrywaniem uczuć. Do tego moja zgryźliwość najwyraźniej w jakiś sposób złagodniała na tyle, aby Sofia uznała, że można mi ją wytknąć.

– Zgódź się – poprosiła. – Nie będę cię męczyć.

– Już mnie męczysz!

Odwróciłam się. Nie wyglądała na zawstydzoną, chociaż stała z dłońmi złożonymi przed sobą.

– Na dworze jest naprawdę przyjemnie – dodała. – Zabieram swoje erhu. Idziemy posiedzieć trochę na plaży.

Rozłączyła dłonie i ujęła jedną z moich. Miała bardzo miękkie i ciepłe palce, tak jakby nie było w nich kości. A, co mi tam. Na pewno się od tego gorzej nie poczuję. Kiedy Sofia delikatnie pociągnęła, nie opierałam się. Przynajmniej aż do drzwi.

– Zaczekaj, moje buty.

Miałam też na myśli fryzurę. I makijaż. I ubranie. I serce. Musiałam doprowadzić do porządku tyle różnych rzeczy, zanim będę mogła wyjść z domu.

– Idziemy na *plażę* – stwierdziła Sofia.

Puściła moją rękę i wzięła ze stosu obuwia pod ścianą parę kłapek mojej matki. Włożyła mi je w dłoń i poszła po swoje erhu.

Choć ciężko mi było w to uwierzyć, parę chwil później wiozłam ją na plażę w klapkach, spodniach od dresu i bluzce na ramiączkach, z fryzurą godną osoby bezdomnej. Stałam na skraju parkingu. Kilku spoconych półnagich chłopaków grających w siatkówkę straciło na chwilę zainteresowanie piłką i przyglądało się mojemu wciąż

poobijanemu SUV-owi. Na miejscu był już mój wujek (były wujek?) Paolo. Nie przebrał się z kombinezonu ratownika medycznego, który boleśnie przypominał mi gliniarzy z odcinka programu Cole'a z basistami na plaży. Potargał Sofii włosy jak małemu dziecku (uśmiechnęła się błogo) i przyjrzał się krytycznie mojemu samochodowi.

– Cóż – powiedział – nieźle zmaltretowany. Z jakiej okazji?

– Życie – odparłam.

Pokiwał głową, po czym objął Sofię ramieniem.

– Miałem zamiar przynieść babeczki, ale wtedy pomyślałem sobie: nie, Sofia robi coś, przy czym wszystko, co mógłbym przynieść, będzie wyglądało fatalnie! Dlatego zamiast babeczek przyniosłem coś mocniejszego!

Oczywiście nie miał na myśli naprawdę mocnego alkoholu, tylko lokalne piwo korzenne w butelkach wilgotnych od skondensowanej pary wodnej. Sofia była wniebowzięta, ponieważ – oczywiście – zrobiła babeczki, których nie powstydzilaby się najlepsza cukiernia. Byłam pod wrażeniem tego, jak dobrze Paolo znał swoją córkę.

Wzajemne towarzystwo sprawiało im tak wyraźną radość, że pomagając im zanosić rzeczy na wybrane puste miejsce na piasku, czułam się jak piąte koło u wozu. Sofia rozłożyła koc, a jej ojciec wyciągnął plik czasopism dla majsterkowiczów, które dla niej zbierał. Chciałam usilnie dostrzec w jego zachowaniu wyrachowanie, coś, co by zdradziło, że robi to wszystko tylko po to, żeby wynagrodzić córce zostawienie jej z ciotką Lauren, ale nic takiego nie było. Ponieważ najwyraźniej był tylko przepracowanym i przemęczonym ratownikiem, który naprawdę cieszył się z okazji wykradnięcia życia paru chwil na spotkanie z córką, którą znał naprawdę dobrze.

Na świecie była tylko jedna osoba, która równie dobrze znała mnie.

Będzie lepiej, kiedy już wyjedzie. Kiedy nie będę wiedziała, gdzie jest. Musiałam się pozbyć wirtualnego Cole'a. Miałam zamiar zrobić to wieczorem. Wiedziałam, że wybierał się do studia, żeby dokończyć nagrywanie albumu. Zostawię telefon na jego samochodzie.

Nie mogłam sobie pozwolić zbyt mocno o tym myśleć.

Sofia trajkotała z ojcem. Oboje gestykulowali z wielkim ożywieniem. Potem moja kuzynka wyciągnęła erhu i zaczęła grać.

Dźwięki wydobywane z instrumentu słyhać było na całej plaży, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. To było L.A. Słyszeli już wszystko.

Leżałam wsparta na łokciach, z twarzą zwróconą ku niebu i zamkniętymi oczami. Ponieważ moje włosy co chwilę dotykały piasku za moimi plecami, nieustannie swędziała mnie skóra głowy. Postawiłam nagie stopy poza kocem i wbiłam palce w piasek.

W myślach Cole ciągle opierał mi głowę na ramieniu, gdy staliśmy na cmentarzu. Ciągle przemieniał się w wilka. Ciągle wszystko budował i potem palił.

„Po prostu pomyśl o zajęciach, Isabel – powiedziałam samej sobie. – O skończeniu studiów. Zostaniu lekarką. Tak wygląda życie”.

Zastanawiałam się, za jaki czas mój ojciec nas odwiedzi i zabierze mnie na plażę, zanim wróci do swojego życia w San Diego.

Sofia przestała grać.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytał mnie wujek.

To dlatego, że zaczęłam płakać. Usiadłam i przyciągałam kolana coraz bardziej i bardziej, aż ukryłam w nich twarz.

Życie było *do dupy*.

Sofia położyła mi dłoń na plecach. W normalnych okolicznościach nie zniosłabym tego, ale nie miałam już nawet sił protestować.

– Będzie łatwiej – stwierdził Paolo.

Ale ja to doskonale wiedziałam. To było właśnie najgorsze: że kiedyś, prędzej czy później, zapomina się o wszystkich tych, których się kochało. O tych martwych, o tych, którzy cię wychowali, i o tych, z którymi chciało się spędzić resztę życia.

Przed zajęciami z DAP dowiedziałam się, że nasze gruczoły łzowe wytwarzają trzy rodzaje łez o zupełnie odmiennym składzie chemicznym. Pierwszy jest wytwarzany regularnie w celu nawilżania oczu. Drugi pojawiał się, kiedy coś dostawało się pod powiekę, jakieś ciało obce, w celu otoczenia i wymycia intruza. Trzeci występował, gdy w człowieku zbiera się zbyt dużo smutku. Substancje wytwarzane w ciele w wyniku przygnębienia były usuwane z organizmu właśnie za pośrednictwem tych łez. Człowiek wypłakiwał z siebie smutek.

Wiedziałam więc, że było naukowe wytłumaczenie, dlaczego po płaczu czułam się lepiej.

Jednak ta cała wiedza w żaden sposób nie zmieniała tego, że mój nastrój rzeczywiście uległ tylko nieznacznej poprawie.

Po pewnym czasie uniosłam głowę na tyle, żeby oprzeć policzek na kolanie.

– Czy wciąż kochasz ciocię Lauren? – zapytałam wujka.

Spodziewałam się stężenia mięśni w ręce Sofii na moich plecach, ale nic takiego się nie stało.

Paolo posmutniał.

– Lubię ją. Jest miłą kobietą.

– Co się więc stało?

Zamyślił się. Moja twarz prawdopodobnie wyglądała teraz jak pole bitwy. Sofia zebrała moje włosy w kucyk, po czym ponownie je rozpuściła.

Po długim milczeniu powiedział:

– Chyba nie byliśmy przyjaciółmi. To była tylko miłość.

Zadurzenie. W zasadzie nie robiliśmy nic razem, jeśli nie byliśmy akurat umówieni na randkę. Potrzebowaliśmy wymówki. Po jakimś czasie zwyczajnie odechciało nam się już szukać kolejnych. Każde z nas miało własnych przyjaciół. To nie jest tak, że się od siebie odsunęliśmy. Tak naprawdę nigdy nie byliśmy razem. Padliśmy ofiarą braku przyjaźni.

Pomyślałam o sobie i Cole'u. Czy byliśmy przyjaciółmi? Czy też było to zwykłe zadurzenie?

Sofia złożyła głowę na moich plecach i westchnęła. Musiała wyglądać na smutną, bo jej ojciec też na takiego wyglądał.

– Pamiętaj, Sofio, jeśli chcesz brać ślub, to tylko ze swoim najlepszym przyjacielem – powiedział. – To moja ojcowska rada.

– Sądziłam, że powinienesz raczej przeganiać ze strzelbą wszystkich chłopaków, których przyprowadzi – wtrąciłam. – Myślałam, że właśnie tak zachowują się ojcowie.

– Może twój – odparł Paolo. – Strzela do wielu różnych rzeczy, łącznie z radością.

Zaśmialiśmy się oboje. Ostro, zdziwieni własnym zachowaniem i z poczuciem winy. Dźwignęłam się, odpychając Sofię, i usiadłam tak, żeby stykać się z nią ramionami. Sięgnęłam po piwo. Po raz pierwszy od tygodnia nie czułam się paskudnie. Mogłam z tego wyjść. Istniała

szansa, że to przeżyję.

Wróciłam myślami do oddania wirtualnego Cole'a. O tym, czy powinnam osobiście mu go wręczyć, czy też raczej zostawić na dachu samochodu.

Wtedy przyszła mi do głowy trzecia możliwość.

Wyjęłam wirtualnego Cole'a i swój telefon. Upewniłam się, że miałam zapisany numer do Baby.

– Muszę zadzwonić. Nie będzie wam to przeszkadzać? –
Wskazałam wirtualnego Cole'a. – To jest tak naprawdę telefon Baby.
Chcę go dzisiaj oddać.

Kiedy wstawałam, Sofia zaczęła poklepywać mnie po ramieniu, ale szybko zorientowała się, że teraz, kiedy już nie płaczę, nie pozwolę jej na to. Cofnęła więc rękę i stuknęła się ze mną butelką piwa. Uczyłyśmy się siebie nawzajem.

Gdy dzwoniłam do Baby, zastanawiałam się, czy rzeczywiście mam zamiar to zrobić.

To było życie. Tak właśnie wyglądało. To się działo naprawdę.

Nagrywanie ostatniego utworu trwało całą wieczność i byłem pewny, że odcinek wychodził z tego dość beznadziejny. Zachowałem tę piosenkę na koniec, bo była najtrudniejsza – nie byłem dobry w powolnych numerach, które miały być ładne. Łatwo było ukryć kiepski tekst pod dudniącą perkusją i szaleńczym tempem. Ludzie byli gotowi wybaczyć wszelkie usterki, dopóki mogli do tego zatańczyć.

Ale *Lovers (Killers)* nie było kawałkiem do tańca. Miało dopełniać i zamykać album, być ostatnim dźwiękiem w uchu słuchającego. Nie mogłem oszukiwać.

Nagrywaliśmy już od siedmiu godzin. Odnosiłem wrażenie, że Leyla i Jeremy chcieli mnie zabić, ale zaszli zbyt daleko w ewolucji, żeby powiedzieć to na głos. Właśnie kazałem Leyli zagrać linię perkusyjną po raz dziewiąty. Dziesiąty? Może i dziesiąty. Siedziałem na kanapie z winylowym obiciem w dużym pokoju nagraniowym ze słuchawkami na uszach, słuchając rezultatów starań Leyli w kabinie. Siedzący na drugim końcu mebla Jeremy wyglądał, jakby spał albo osiągnął nirwanę.

Na drugim końcu tego bezdusznego studia T i Joan sprawiali wrażenie, jakby też mieli ochotę się zdrzemnąć. To nie był najbardziej fascynujący odcinek. Cały czas czekałem na jakiś numer ze strony Baby, ale wychodziło na to, że ona też była już zmęczona tymi nieustannymi podchodami.

Leyla kolejny raz przedzierała się przez utwór. W przeciwieństwie do reszty, łącznie ze mną, ona z godziny na godzinę grała coraz lepiej, tak jakby rozwijała się w jakąś inną wersję siebie. Jeśli po dziewięciu powtórkach była o tyle lepsza, prawdopodobnie powinienem kazać jej to zagrać jeszcze ze trzy czy cztery razy, żeby się przekonać, co z tego wyjdzie. Trochę żałowałem, że dopiero po sześciu tygodniach zrozumiałem, jak należy z nią pracować. A teraz właśnie wszystko miało się skończyć.

Skończyć.....

Wiele moich myśli było w zaparkowanym na zewnątrz mustangu.

Zanim przyjechałem do studia, spakowałem wszystko, co przywiozłem ze sobą z Minnesoty, z powrotem do plecaka i położyłem na wąskiej tylnej kanapie samochodu. Dzisiaj miałem przenocować u Jeremy'ego. Rankiem byłem umówiony z Baby na dopięcie kilku spraw i z paroma dziennikarzami na wywiady. A potem...

Nie miałem pojęcia, co będzie potem.

Nie chciałem wracać do Minnesoty. Ale też nie mogłem zostać tutaj. Wszędzie, we wszystkim widziałem ją. Może któregoś dnia mógłbym wrócić, lecz nie teraz, nie z tą czarną dziurą w piersi. Nie mogłem spędzać kolejnych dni na spoglądaniu na nią, choć bez żadnego uczucia w środku.

Ukryłem twarz w dłoniach i słuchałem. Nie było powodu, żeby Leyla musiała nagrywać linię perkusyjną od nowa. Była w porządku. To nad swoim wokalem musiałem popracować. Mój głos brzmiał, jakbym był znieczulony.

Wstając, spojrzałem w stronę dźwiękowca przy konsolecie w pokoju mikserskim i machnąłem wyprostowaną dłońią w poprzek szyi. Próbowałem, bez powodzenia, zapamiętać jego imię. Teraz, na sam koniec nagrań, nie widziałem sensu w podejmowaniu ponownej próby.

– Perkusja jest w porządku. Dobrze jest. Ale ja muszę tam wrócić.

Wszyscy jak jeden mąż westchnęli ciężko. Wszyscy poza Jeremym.

– Cole – powiedział tylko. – Kiedyś, w końcu, musimy skończyć.

– Skończymy, kiedy ja powiem, że kończymy – odparłem i wszedłem do malutkiej przeszklonej kabiny nagraniowej.

Wewnątrz założyłem ponownie słuchawki na uszy i w czasie, gdy dźwiękowiec regulował poziomy poszczególnych kanałów i ogólnie przygotowywał się do nagrania kolejnej ścieżki z wokalem, próbowałem ustalić, co mogę zrobić lepiej niż przy poprzednim podejściu. Może powinienem tylko dodać jeszcze jedną warstwę harmoniczną?

Albo może powinienem przestać śpiewać, jakbym miał złamane serce. Wzdrygnąłem się. Miałem pełną świadomość tego, że kamery doskonale mnie widziały przez te szklane ściany. Byłem złotą rybką w akwarium.

– Dobra – powiedział technik. – Wszystko gotowe. Dajesz.

W słuchawkach usłyszałem teraz już nieskończenie znajomą pętlę syntezatora rozpoczynającą *Lovers (Killers)*. Po chwili weszła perkusja Leyli, a zaraz po niej – rytmiczny i łagodny bas Jeremy’ego. Wreszcie w słuchawkach zabrzmiał mój głos, głos Cole’a zmęczonego życiem, o złamanym sercu, tęskniącego za domem, którego co prawda jeszcze nie opuścił, ale który wkrótce zostawi za sobą. Czekałem i czekałem na miejsce, które by prosiło się o dodanie kolejnej warstwy, ale nic się nie rzucało w uszy.

Zamknąłem oczy i tylko słuchałem mojego wyśpiewanego żalostnego wyznania.

Nie chciałem stąd wyjeżdżać.

Z powodu słuchawek bardziej poczułem, niż usłyszałem otwarcie drzwi. Owiało mnie chłodniejsze powietrze z zewnątrz.

Otworzyłem oczy.

W progu stała Isabel, chłodna i elegancka jak pistolet.

Za nią, przez szybę, widziałem wycelowane w nas kamery i Baby stojącą w otwartych na panującą już noc podwójnych drzwiach. Na parkingu zebrało się kilka setek ludzi, którzy teraz wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje w środku.

Nic nie rozumiałem.

Isabel weszła do kabiny. Uniosła ręce, zdjęła mi słuchawki z głowy i delikatnie położyła je na stołku obok mnie. Nie mogłem wyczytać z jej twarzy, co jej mogło krążyć po głowie.

Uśmiech Baby był tak olbrzymi, a kamery wycelowane w nas pod tak korzystnym dla Isabel kątem, że zrozumiałem, choć to było przecież niemożliwe, że Isabel musiała wyrazić zgodę na zostanie sfilmowaną. Zgodziła się wziąć udział w programie z Cole’em St. Clairem. Kilkadziesiąt twarzy przysunęło się bliżej wejścia do studia, starając się lepiej zobaczyć cokolwiek, co się działo w środku. Ich wyraz twarzy był pełen... wyczekiwania.

– Isabel... – zacząłem mówić, jednak nie wiedziałem, co się dzieje, nie mogłem więc dokończyć zdania.

– Ta-da – powiedziała Isabel.

Wielki mikrofon stojący przede mną wychwycił jej głos i odtworzył go przez słuchawki leżące na stołku. Uśmiech groził

wtargnięciem na jej twarz. Taki prawdziwy.

– Culpeper, a może ja nie lubię takich „ta-da” – rzuciłem, chociaż nie było na świecie rzeczy, którą lubiłbym bardziej.

Ponieważ ona o tym wiedziała, w odpowiedzi tylko objęła mnie mocno. Po raz pierwszy ona otoczyła mnie ramionami, zanim ja to zrobiłem. Po raz pierwszy przycisnęła mnie do siebie tak, jakby najbardziej na świecie chciała się do mnie przytulić.

Po chwili powiedziała, ponownie dość głośno, żeby mikrofon wychwycił jej głos:

– Zostań.

Ale ja przecież zostawałem! To ona zawsze odchodziła.

– Skąd mam wiedzieć, że ty też zostaniesz?

Przysunęła usta do mojego ucha i wyszeptała w nie:

– Kocham cię.

Oparła mi głowę na ramieniu, przyciągnęła moją głowę do swojego i tak staliśmy, obejmując się. W końcu, choć raz, jak jedność.

Wspomniałem te wszystkie chwile, kiedy stałem na krawędzi – rzeczywistej lub wyobrażonej – i szukałem czegoś rzeczywistego lub wyobrażonego, nigdy nie znajdując tego, czego potrzebowałem.

Teraz to poczułem. Tego właśnie potrzebowałem.

Moje serce pompowało blask słońca.

Nie chciałem myśleć o kamerach, ale teraz, kiedy z powrotem mogłem oddychać, ciężko było o nich zapomnieć. Ciężko było też nie zauważyć, że Isabel zorganizowała iście perfekcyjne zakończenie dla całego programu. Bo była diablo inteligentna i do tego jeszcze mnie знаła. Ależ ci ludzie zebrani przed klubem musieli teraz konać w środku.

Isabel drżała. Dopiero po chwili zorientowałem się, że się śmieje – bezgłośnie i pogardliwie.

– W porządku – wyszeptała w mój obojczyk. – Po prostu to zrób. Wiem, że o tym myślisz, zwyczajnie więc zrób to.

Uniosła głowę. Spojrzałem na nią. Zapytała, wystarczająco głośno, żeby mikrofon wychwycił jej głos:

– Dlaczego tu w ogóle przyjechałeś, Cole?

Dotknąłem jej brody. To miejsce, to piękne miejsce, ta dziewczyna, ta piękna dziewczyna, ta muzyka, to życie.

– Przyjechałem tu dla ciebie.

Usta jej drgnęły, bo wiedziała, że powiedzenie tego na oczach tłumu nie czyniło tego mniej prawdziwym.

A potem złożyliśmy na swoich ustach pocałunek doskonały. Ludzie w studiu całkiem oszaleli.

Doskonale wiedziałem, jak realizować patent na show, kiedy byłem po prostu Cole'em St. Clairem.

Ale razem robiliśmy to lepiej...

F ♪ Live: *Dzisiaj rozmawiamy z młodym Cole'em St. Clairem, liderem NARKOTIKI. To jego pierwszy wywiad od premiery płyty Heart (Attack). Cole, większość zespołów po wydaniu albumu rusza w trasę. Ty zamiast tego otworzyłeś studio nagraniowe. Pomówmy o tym. Tak właściwie pozwól, że trochę się zagłębię w temat. Odkąd przyjechałeś do L.A., przetrwałeś występ w reality show, nagrałeś dwa cholernie dobre albumy, otworzyłeś studio nagraniowe, wyprodukowałeś debiutancki album Skidfield, który teraz cieszy się ogromną popularnością, a od początku roku co miesiąc udostępniasz nowy utwór, teraz ostatnio Heart (Attack). Jednocześnie przez cały ten czas regularnie odsyłasz z kwitkiem wszystkie wielkie wytwórnie. Proszę, powiedz mi, że też w końcu sprawiłeś sobie psa.*

Cole St. Clair: *Nie mam psa. Ale zdecydowałem się zatrzymać Lyle jako naszą perkusistkę, a ona jest dość włochata.*

F ♪ Live: *Czy patrzysz na siebie jak na nową wytwórnię? Czy to właśnie obserwujemy?*

Cole St. Clair: *Prr, prr, Martin. Nie zagalopowuj się tak. „Wytwórnia” brzmi jak jakiś obowiązek. A to jest bardziej tak, że czasem do studia wpada paru znajomych i razem coś tam nagrywamy.*

F ♪ Live: *Znajomi jak Skidfield?*

Cole St. Clair: *Ta.*

F ♪ Live: *To „coś tam”, które razem nagraliście, sprzedało się w ponad milionie egzemplarzy.*

Cole St. Clair: *Tak, cóż, to dobrzy znajomi.*

F ♪ Live: *Założę się, że... Co to za hałas?*

Cole St. Clair: *Los Angeles. Leon! Czy nie mógłbyś kazać tym ludziom się przesunąć? Martin, zapewne pamiętasz mojego nieustraszonego kierowcę. Przywitaj się.*

Leon: *Cześć.*

F ♪ Live: *Leon! Dokąd zabierasz dziś naszego nieustraszonego bohatera? Na nagranie kolejnego przeboju muzyki niezależnej? Na*

podbicie Broadwayu?

Leon: *Mogę mu powiedzieć?*

F ♪ Live: *Powiedzieć mi co? Czy to krzyki Cole'a? Co powiedział?*

Leon: *Powiedział: „Teraz nie będę musiał już nigdy pracować!”
Jego dziewczyna odbiera dzisiaj dyplom na uczelni medycznej.*

F ♪ Live: *Zaraz... Chodzi o Isabel, prawda? Tę dziewczynę z programu? Daj z powrotem Cole'a.*

Cole St. Clair: *Oczywiście, że chodzi o tę dziewczynę z programu.
Istnieje w ogóle ktoś inny? Pogratuluj mi. Zawsze chciałem umawiać się z lekarką.*

F ♪ Live: *Gratulacje. Po...*

Cole St. Clair: *Wiesz co? Tak. Tak, po prostu wysiądę tutaj.*

F ♪ Live: *Czekaj! Gdzie jesteś? Czy jesteś na autostradzie?*

Cole St. Clair: *Aha. Wiesz co, Martin, to właśnie zrobię. Wyskakuję tutaj. Powinieneś teraz puścić ten kawałek, który ci wysłałem, a ja zadzwonię do ciebie potem, żeby się przekonać, czy przypadł światu do gustu.*

F ♪ Live: *Rozejrzyj się w obie strony, Cole! Rozejrzyj się w obie strony!*

Cole St. Clair: *Zawsze to robię. Dobra, wysiadam. Leon, idziesz ze mną?*

F ♪ Live: *I co, idzie?*

F ♪ Live: *Cole?*

F ♪ Live: *Leon? Czy ktokolwiek został w tym samochodzie? Cóż.*

F ♪ Live: *Panie i panowie, to był Cole St. Clair z NARKOTIKI.*

¹ Przeł. M. Słomczyński, Czytelnik, Warszawa 1972.

² Harper, New York, 1952 (fragment w przekładzie J. Radziwińskiego).

³ Tradycyjny chiński instrument smyczkowy o dwóch strunach, czasem nazywany „chińskimi skrzypcami” (przyp. tłum.).

⁴ Dosł.: małe „t” (przyp. tłum.),

⁵ Grupa substancji wywołujących rozkurcz mięśni gładkich wzdłuż naczyń krwionośnych, co powoduje poszerzenie tych naczyń i obniżenie ciśnienia krwi (przyp. tłum.).

⁶ Leon ma na myśli oczywiście stopnie Fahrenheita. W skali Celsjusza jest to około siedemnastu, osiemnastu stopni (przyp. tłum.).

⁷ Dosł.: *Benzynowa miłość*.

⁸ W wolnym tłumaczeniu *Buziaki*. To nawiązanie do pomysłu na tekst piosenki z rozdziału dwudziestego piątego (przyp. tłum.).

⁹ Podgatunek niezależnego rocka z Wielkiej Brytanii z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku (przyp. tłum.)

Przekład: Jakub Radzimiński

Redakcja: Jerzy Wachowski

Korekta: Artur D. Kaniewski, Marcin Grabski

Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Denise Taylor/Moment/Getty Images*

© Robert Recker/Corbis/Getty Images

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3328-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

virtualo

